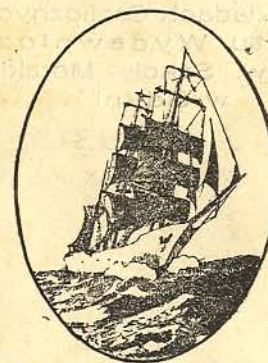


KALENDARZ

MORSKI I KOLONJALNY

NA ROK 1933



Nakładem Ligi Morskiej i Kolonjalnej
(Oddział I, im. Jana z Kolna — Związek Pionierów Kolonjalnych)
Warszawa

K-110/91



127053

Tłoczono
w Zakładach Graficznych
Instytutu Wydawniczego
Państw. Szkoły Morskiej
w Gdyni

KALENDARZ NA ROK 1933.

STYCZEŃ

N. 1 8 15 22 29
P. 2 9 16 23 30
W. 3 10 17 24 31
Sr. 4 11 18 25
C. 5 12 19 26
P. 6 13 20 27
S. 7 14 21 28

LUTY

N. 5 12 19 26
P. 6 13 20 27
W. 7 14 21 28
Sr. 1 8 15 22
C. 2 9 16 23
P. 3 10 17 24
S. 4 11 18 25

MARZEC

N. 5 12 19 26
P. 6 13 20 27
W. 7 14 21 28
Sr. 1 8 15 22 29
C. 2 9 16 23 30
P. 3 10 17 24 31
S. 4 11 18 25

KWIECIEŃ

N. 2 9 16 23 30
P. 3 10 17 24
W. 4 11 18 25
Sr. 5 12 19 26
C. 6 13 20 27
P. 7 14 21 28
S. 1 8 15 22 29

MAJ

N. 7 14 21 28
P. 1 8 15 22 29
W. 2 9 16 23 30
Sr. 3 10 17 24 31
C. 4 11 18 25
P. 5 12 19 26
S. 6 13 20 27

CZERWIEC

N. 4 11 18 25
P. 5 12 19 26
W. 6 13 20 27
Sr. 7 14 21 28
C. 1 8 15 22 29
P. 2 9 16 23 30
S. 3 10 17 24

LIPIEC

N. 2 9 16 23 30
P. 3 10 17 24 31
W. 4 11 18 25
Sr. 5 12 19 26
C. 6 13 20 27
P. 7 14 21 28
S. 1 8 15 22 29

SIERPIEŃ

N. 6 13 20 27
P. 7 14 21 28
W. 1 8 15 22 29
Sr. 2 9 16 23 30
C. 3 10 17 24 31
P. 4 11 18 25
S. 5 12 19 26

WRZESIEŃ

N. 3 10 17 24
P. 4 11 18 25
W. 5 12 19 26
Sr. 6 13 20 27
C. 7 14 21 28
P. 1 8 15 22 29
S. 2 9 16 23 30

PAŹDZIERNIK

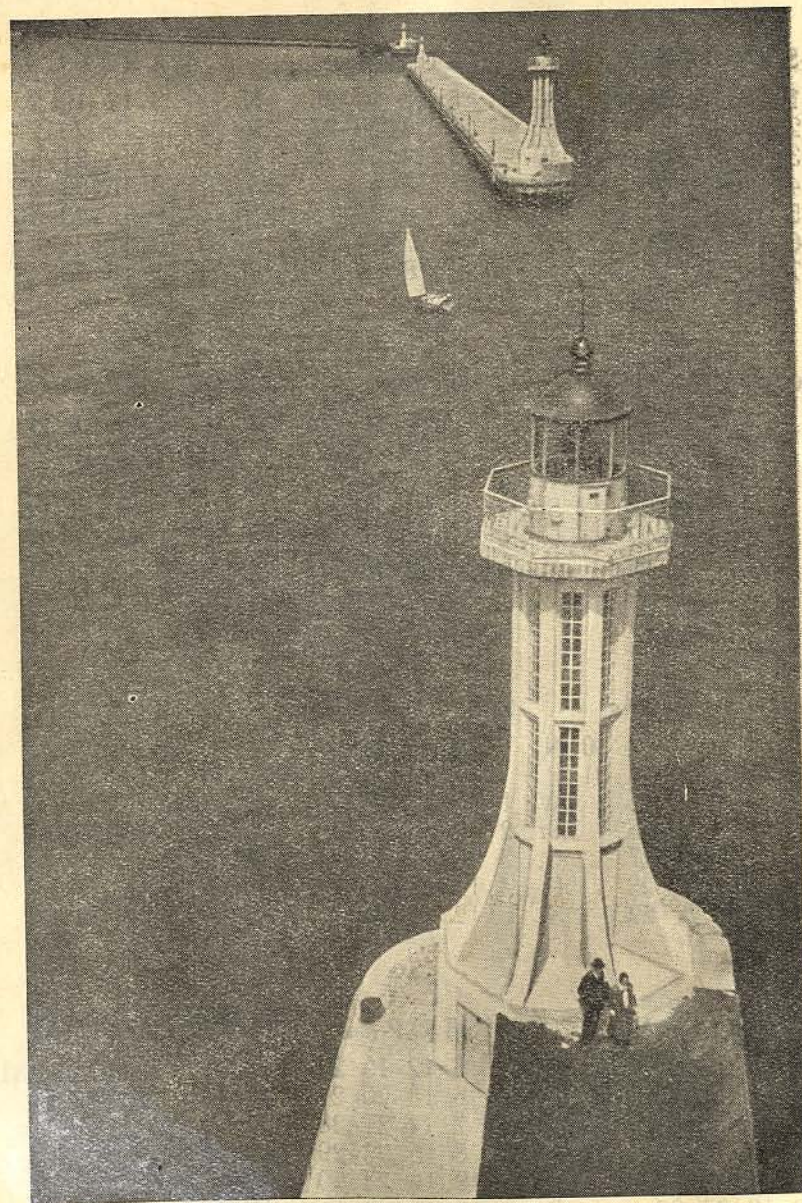
N. 1 8 15 22 29
P. 2 9 16 23 30
W. 3 10 17 24 31
Sr. 4 11 18 25
C. 5 12 19 26
P. 6 13 20 27
S. 7 14 21 28

LISTOPAD

N. 5 12 19 26
P. 6 13 20 27
W. 7 14 21 28
Sr. 1 8 15 22 29
C. 2 9 16 23 30
P. 3 10 17 24
S. 4 11 18 25

GRUDZIEŃ

N. 3 10 17 24 31
P. 4 11 18 25
W. 5 12 19 26
Sr. 6 13 20 27
C. 7 14 21 28
P. 1 8 15 22 29
S. 2 9 16 23 30



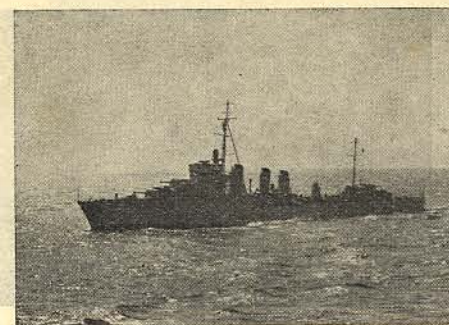
Wrota Polski na świat: — Wejście do portu gdynieńskiego.

(31 dni)

STYCZEŃ

1933

Styczeń pogodny
wróży rok płodny.



O. R. P. „Wicher“

Kiedy przyjdzie
[Nowy Rok,
już ku wiosnie
[bliski krok.

			Słońca		Księżycy		Zapiski
			wschód	zachód	wschód	zachód	
			g. m.	g. m.	g. m.	g. m.	
1	N. Nowy Rok	Mieczysława	7 45	15 34	10 25	21 59	
2	P. Makarego op.	Strzeżysława	7 45	15 35	10 36	23 14	
3	W. Genowefy p.	Włoszysława	7 45	15 36	10 45	—	
4	Sr. Eugenjusza m.	Dobromierza	7 45	15 37	10 56	0 27	
5	C. Im. Jezus	Włoszibora	7 45	15 38	11 7	1 40	
6	P. Trzech Króli	Bolemierza	7 45	15 39	11 23	2 54	
7	S. Łucjana	Chociesława	7 44	15 41	11 43	4 8	
8	N. 1 po 3 Kr., św. Rodz.	Mścislawa	7 43	15 42	12 12	5 20	
9	P. Juljana i Baz.	Borzymierza	7 43	15 44	12 52	6 26	
10	W. Jana Dobrego	Dobrosława	7 43	15 45	13 47	7 20	
11	Sr. Hygina pap.	Krzesimierza	7 42	15 47	14 56	8 0	
12	C. Jana bp., Arkadiusza	Czesława	7 41	15 48	16 13	8 30	
13	P. Weroniki	Bogusława	7 41	15 49	17 33	8 51	
14	S. Hilarego dK.	Radogosta	7 40	15 51	18 54	9 6	
15	N. 2 po 3 Kr., Pawła p.	Domasława	7 39	15 53	20 14	9 19	
16	P. Marcelego pap.	Włodzimierza	7 38	15 54	21 34	9 29	
17	W. Antoniego op.	Rościslawa	7 37	15 56	22 56	9 40	
18	Sr. Stol. św. Piotra w Rz.	Jarope'ka	7 36	15 57	—	9 52	
19	C. Kanuta, Henryka	Racimierza	7 35	15 59	0 21	10 5	
20	P. Fabjana i Sebastjana	Dobiegniewa	7 34	15 1	1 50	10 23	
21	S. Agnieszki pan. m.	Jarosławy	7 33	15 2	3 21	10 48	
22	N. 3 po 3 Kr., Wincenty	Dobromysła	7 32	15 4	4 50	11 26	
23	P. Rajmunda de P.	Wrócislawa	7 31	16 6	6 7	12 26	
24	W. Tymoteusza b. m.	Chwaliboga	7 29	16 8	7 2	13 45	
25	Sr. Nawr. św. Pawła	Miłowita	7 28	16 9	7 39	15 15	
26	C. Polikarpa b. m.	Skarbimierza	7 27	16 11	8 2	16 46	
27	P. Jana Złotoust. dK.	Przybysława	7 25	16 13	8 19	18 13	
28	S. Leonidasa męcz.	Radomierza	7 24	16 15	8 32	19 15	
29	N. 4 po 3 Kr., Fran. Sal.	Zdzisława	7 23	16 17	8 42	20 52	
30	P. Martyny pn. m.	Dziadumiła	7 21	16 18	8 52	22 8	
31	W. Piotra z Nolasko	Spycigniewa	7 20	16 20	8 2	23 22	

Fazy księżyca:

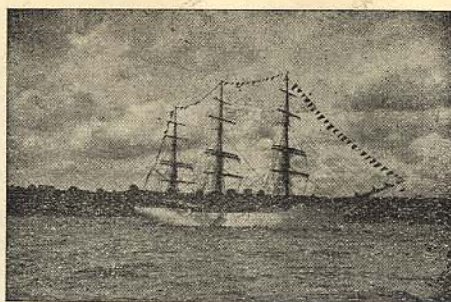
Pierwsza kw. dn. 3 o g. 17 m 24 Ostatnia kw. dn. 19 o g. 7 m 15
Pełnia „ 11 o g. 21 m 36 Nów „ 26 o g. 0 m 20

(dni 28)

LUTY

1933

Na luty
szykuj dobre buty.



Święty Maciej
zimę traci.

Statek szkolny „Dar Pomorza“

			Imiona słowiańskie	Słońca		Księżycy		Z a p i s k i
				wschód g. m.	zachód g. m.	wschód g. m.	zachód g. m.	
1	Sr.	Ignacego b. m.	Siemirada	7 18	16 22	9 13	—	
2	C.	M. B. Gromn.	Miłostawy	7 17	16 24	9 27	0 37	
3	P.	Błażeja b. m.	Uniemyła	7 15	16 26	9 45	1 52	
4	S.	Andrzeja Korsyn. bp.	Witosławy	7 13	16 28	10 10	3 5	
5	N.	5 po 3 Kr., Agaty	Strzeżysławy	7 12	16 29	10 45	4 14	
6	P.	Tytusa b., Dor. p. m.	Bogdany	7 10	16 31	11 34	5 13	
7	W.	Romualda op.	Sulistawa	7 8	16 33	12 38	5 59	
8	Sr.	Jana z Matty	Gniewomierza	7 7	16 35	13 53	6 32	
9	C.	Apolonji pn. m.	Gorzysława	7 5	16 37	15 14	6 55	
10	P.	Scholastyki p.	Tomisławy	7 3	16 39	16 36	7 13	
11	S.	M. B. z Lourdes	Świętomierzy	7 1	16 41	17 59	7 27	
12	N.	Starozap., 7 zał Ser.	Trzebieśławy	6 59	16 43	19 20	7 37	
13	P.	Grzegorza II.	Toligniewa	6 57	16 44	20 43	7 49	
14	W.	Walentego męcz.	Dobiesławy	6 55	16 46	22 7	8 0	
15	Sr.	Faustyna i Józefa dj.	Przybyrada	6 53	16 48	23 36	8 12	
16	C.	Juljany p. m.	Modlibogi	6 51	16 50	—	8 28	
17	P.	Konstancji	Niegomierza	6 49	16 52	1 7	8 51	
18	S.	Symeona	Więceśławy	6 47	16 54	2 36	9 24	
19	N.	Mięsop., Konrada	Bądziśławy	6 45	16 56	3 55	10 14	
20	P.	Leona bp.	Siestrzewita	6 43	16 58	4 56	11 24	
21	W.	Feliksa b.	Wyszeniegi	6 40	17 0	5 38	12 48	
22	Sr.	Stol. św. Piotra w A.	Wróciśława	6 38	17 2	6 5	14 18	
23	C.	Piotra Damjana	Bądzimierza	6 36	17 4	6 24	15 45	
24	P.	Macieja ap.	Bogurada	6 34	17 6	6 38	17 9	
25	S.	Wiktora	Bolebora	6 32	17 8	6 49	18 28	
26	N.	Zapust., Cezarjusza	Mierosława	6 30	17 9	6 59	19 46	
27	P.	Aleksandra	Sierosławy	6 28	17 11	7 9	21 2	
28	W.	Romana opata	Nadbora	6 26	17 13	7 20	22 17	
F a z y k s i ę ż y c a :								
Pierwsza kw. dn. 2 o g. 14 m. 16				Ostatnia kw. dn. 17 o g. 15 m. 8				
Pełnia „ 10 „ 14 m. 0				Nów „ 24 „ 13 m. 44				

F a z y k s i ę ż y c a :

Pierwsza kw. dn. 2 o g. 14 m. 16
Pełnia „ 10 „ 14 m. 0

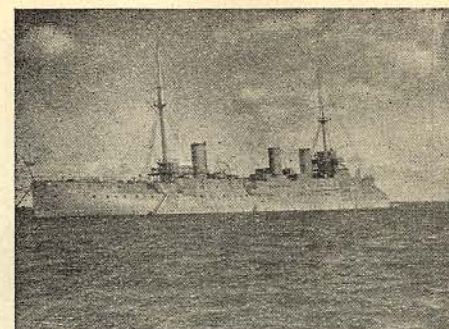
Ostatnia kw. dn. 17 o g. 15 m. 8
Nów „ 24 „ 13 m. 44

(dni 31)

MARZEC

1933

W dzień Św.
[Kazimierza
zima do morza
[zmierza.



Święty Grzegorz
[wielki śpiawnik,
nad wszystkimi
[rzeki ławnik.

O. R. P. „Bałtyk“

			Imiona słowiańskie	Słońca		Księżycy		Zapiski
				wschód g. m.	zachód g. m.	wschód g. m.	zachód g. m.	
1	Sr.	Popielec, Albina b.]	Budziśława	6 23	17 15	7 32	23 33	
2	C.	Heleny wd.	Radośława	6 21	17 17	7 48	—	
3	P.	Kunegundy	Wierzchośł.	6 19	17 18	8 10	0 47	
4	S.	Kazimierza królew.	Kazimierza	6 17	17 20	8 40	1 59	
5	N.	Wstępna, Hadrjana	Pakośława	6 14	17 22	9 23	3 20	
6	P.	Fel. i Perpet.	Wojśława	6 10	17 24	10 5	3 52	
7	W.	Tomasza z Akw.	Nadmierza	6 12	17 26	11 34	4 35	
8	Sr.	Such., Wicentego	Miłogosta	6 8	17 27	12 49	4 58	
9	C.	Franciszki wd.	Mściśławy	6 5	17 29	14 20	5 38	
10	P.	Such., 40 Męcz.	Bożyśława	6 3	17 31	15 33	5 33	
11	S.	Such., Konstantyna	Drogosławy	6 1	17 32	16 57	5 46	
12	N.	Sucha, Grzeg. p.	Blizbora	5 59	17 34	18 30	5 56	
13	P.	Krystyny panny i m.	Trzebieśława	5 56	17 36	19 47	6 8	
14	W.	Matyldy kr.	Bożeciechy	5 54	17 38	21 27	6 20	
15	Sr.	Klemensa Dw.	Gościmierza	5 51	17 40	22 50	6 36	
16	C.	Juljana m.	Miłosława	5 49	17 41	—	6 56	
17	P.	Patryka bp., Gert. p.	Zbygniewa	5 47	17 43	0 4	7 46	
18	S.	7 Bol. N.M.P., Cyr.J.	Boguchwała	5 45	17 45	1 46	8 30	
19	N.	Głucha, Józefa oblub.	Bogdana	5 41	17 46	2 52	9 04	
20	P.	Eufemji m.	Kazimierza	5 40	17 48	3 39	10 33	
21	W.	Benedykta opata	Lubomierzy	5 38	17 50	4 10	11 20	
22	Sr.	Katarzyny Szw.	Godziśława	5 36	17 51	4 30	13 26	
23	C.	Feliksa m.	Zbysława	5 34	17 53	4 46	14 50	
24	P.	Gabrjela arch.	Dzierżysławy	5 31	17 55	4 58	16 9	
25	S.	Zwiastow. N. M. P.	Lutomysła	5 29	17 57	5 7	17 27	
26	N.	Środop., Teodora	Tworzymierz.	5 23	17 58	5 17	18 40	
27	P.	Jana Damasc. dK.	Rościmierza	5 24	18 0	5 28	19 58	
28	W.	Jana Kapistrana	Krzesiśława	5 22	18 4	5 39	21 23	
29	Sr.	Wiktoryna m.	Czcirada	5 19	18 1	5 54	22 19	
30	C.	Jana Klimaha	Częstobora	5 17	18 5	6 20	23 43	
31	P.	Balbiny p.	Dobromierzy	5 15	18 7	6 40	—	

F a z y k s i ę ż y c a :

Pierwsza kw. dn. 4 o g. 13 m 13 Ostatnia kw. dn. 18 o g. 12 m 5

Pełnia „ 12 o g. 3 m 46 Nów „ 26 o g. 4 m 10

F a z y k s i ę ż y c a :

Pierwsza kw. dn. 4 o g. 13 m 13
Pełnia „ 12 o g. 3 m 46

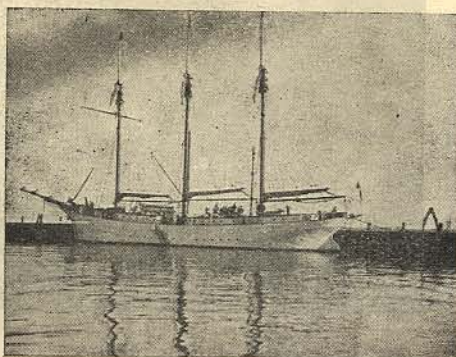
Ostatnia kw. dn. 18 o g. 12 m 5
Nów „ 26 o g. 4 m 10

(30 dni)

KWIECIEŃ

1933

Jeśli w Wielki Piątek
[deszcz kropi,
radujcie się chłopi!



Deszcz w Wielkanoc,
[mało paszy,
gdy sucho,
[przeszkodzi kaszy.

O. R. P. „Iskra”.

			Słońca		Księżycy		Z a p i s k i
			wschód	zachód	wschód	zachód	
Imiona słowiańskie			g. m.	g. m.	g. m.	g. m.	
1 S.	Hugona bp.	Tolisława	5 12	18 8	7 17	0 50	
2 N.	Czarna, Franc. z P.	Sądomierza	5 10	18 10	8 8	1 45	
3 P.	Ryszarda bp.	Cieszygora	5 8	18 12	9 12	2 28	
4 W.	Izydora b. dK.	Zdzimierza	5 6	18 14	10 26	2 58	
5 Sr.	Wincentego	Borzywoja	5 3	18 16	11 45	3 21	
6 C.	Celestyna pap.	Świętobora	5 1	18 17	13 5	3 38	
7 P.	Rufina męcz.	Przeclawa	4 59	18 19	14 28	3 55	
8 S.	Djonizego	Djonizego	4 56	18 21	15 51	4 2	
9 N.	Palmowa, Marji Kl.	Dobrosławy	4 54	18 22	17 17	4 14	
10 P.	Ezechjela pror.	Grodziśława	4 52	18 24	18 47	4 26	
11 W.	Leona W. papieża	Jaromierza	4 50	18 26	20 20	4 40	
12 Sr.	Juliusza p., Wiktora	Siemidroga	4 47	18 27	21 56	4 59	
13 C.	Wielki Czwartek	Przemysła	4 45	18 29	23 27	5 25	
14 P.	Wielki Piątek	Myślimierza	4 43	18 31	—	6 6	
15 S.	Wielka Sobota	Wszegniewa	4 41	18 33	0 44	7 3	
16 N.	Wielkanoc.	Nosiśława	4 38	18 35	1 38	8 22	
17 P.	Pon. Wielk.	Radociecha	4 36	18 36	2 13	9 48	
18 W.	Apolonjusza	Gościśława	4 34	18 38	2 36	11 14	
19 Sr.	Tymona m., Leona p.	Cieszyrada	4 31	18 40	2 53	12 38	
20 C.	Teodora W., Wikt.	Gawoja	4 29	18 42	3 6	13 57	
21 P.	Anzelma b.	Drogomiła	4 27	18 44	3 16	15 14	
22 S.	Sotera m. i Kajusa	Strzeżymierz	4 25	18 45	3 26	16 28	
23 N.	Przewod., Wojciech.	Wojciecha	4 23	18 47	3 36	17 43	
24 P.	Fidelisa z S., Egb.	Jarosiława	4 20	18 49	3 47	18 57	
25 W.	Marka Ewang.	Spycimierza	4 18	18 51	4 1	20 13	
26	Kleta i Marcelina	Bożebora	4 16	18 52	4 19	21 17	
27	Piotra Kanizjusza	Przybyczeta	4 14	18 54	4 41	22 36	
28	Pawła od Krzyża	Bogusława	4 11	18 56	5 16	23 36	
29	Łotra m.	Chwalisławy	4 10	18 57	6 1	—	
30	o W., Katarzyny	Chwalisławy	4 8	18 59	7 1	0 14	

F a z y k s i ę ż y c a :

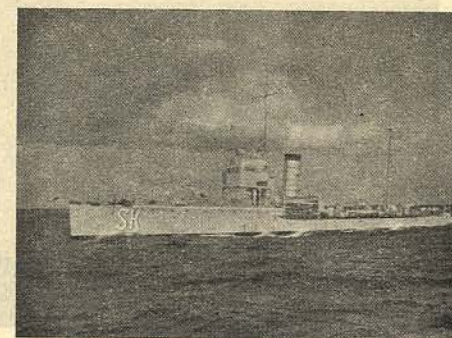
3 o g. 6 m 56 Ostatnia kw. dn. 17 o g. 5 m 17
10 o g. 14 m 38 Now „ 94 o g. 19 m 38

(dni 31)

MAJ

1933

Suchy kwiecień,
[mokry maj,
będzie żyto, jako
[gaj.



Na św. Izydora
na bociana pora.

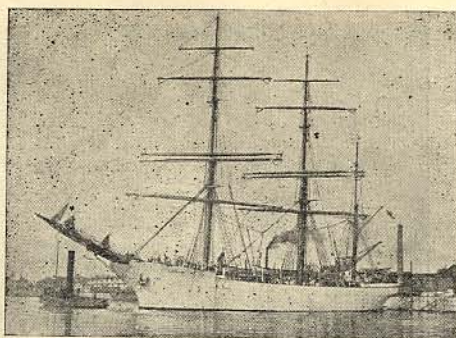
O. R. P. „Ślązak”.

			Słońca		Księżycy		Z a p i s k i
			wschód	zachód	wschód	zachód	
Imiona słowiańskie			g. m.	g. m.	g. m.	g. m.	
1 P.	Filipa i Jakuba ap.	Lubomierza	4 6	19 1	8 10	0 58	
2 W.	Zygmunta, Atanazego	Witomierza	4 5	19 1	9 26	1 23	
3 Sr.	Król. Korony Pol.	Świętosławy	4 3	19 4	10 44	1 42	
4 C.	Florjana, Zn. św. Krz.	Strzeżywoja	4 1	19 6	12 3	1 56	
5 P.	Piusa V. pap.	Zdzibora	3 59	19 7	13 23	2 9	
6 S.	Jana przy bramie łac.	Gościwita	3 57	19 9	14 46	2 19	
7 N.	3 po W., Florjana	Ludmiły	3 55	19 11	16 12	2 31	
8 P.	Stanisława biskupa	Stanisława	3 53	19 12	17 43	2 43	
9 W.	Grzeg. z Nazj. bp.	Bożydara	3 52	19 14	19 19	3 0	
10 Sr.	Izydora rol., Antonina	Częstomierza	3 50	19 15	20 57	3 24	
11 C.	Mamerta bp.	Lutogniewa	3 48	19 17	22 23	3 57	
12 P.	Pankracego	Wszemiła	3 47	19 19	23 28	4 50	
13 S.	Serwacego, Roberta	Ciechosława	3 45	19 20	—	6 3	
14 N.	4 po W., Bonifacego	Dobiesława	3 43	19 22	0 12	7 29	
15 P.	Zofji m.	Czciory	3 42	19 23	0 40	8 59	
16 W.	Jana Nepomucena	Trzebomysła	3 40	19 25	0 59	10 25	
17 Sr.	Paschalisa Baylon.	Stawomierza	3 39	19 26	1 14	11 47	
18 C.	Wenancjusza	Myślibora	3 37	19 28	1 24	13 4	
19 P.	Piotra Celest. pap.	Pekosława	3 36	19 29	1 34	14 19	
20 S.	Bernarda	Bronimierza	3 35	19 31	1 45	15 32	
21 N.	5 po W., Heleny	Przeclawa	3 33	19 32	1 56	16 46	
22 P.	Dni Krzyż., Julji p. m.	Krzesisławy	3 32	19 34	2 8	18 1	
23 W.	Dni Krzyż., Dezyderj.	Budziwoja	3 31	19 35	2 24	19 15	
24 Sr.	D. K. NMP. Wsp. w.	Cieszysławy	3 29	19 36	2 47	20 26	
25 C.	Wniebowst. P.	Imysławy	3 28	19 38	3 17	21 29	
26 P.	Filipa Ner.	Więcimiła	3 27	19 39	3 59	22 20	
27 S.	Bedy W., Jana pap.	Radowita	3 26	19 40	4 54	22 58	
28 N.	6 po W., August. b.	Wrocimierza	3 25	19 42	6 0	23 26	
29 P.	Marji de P.	Bogusławy	3 24	19 43	7 13	23 46	
30 W.	Feliksa p.	Sulimierza	3 23	19 44	8 29	—	
31 Sr.	Anieli Mer.	Bożysławy	3 22	19 45	9 47	0 2	

F a z y k s i ę ż y c a :

Pierwsza kw. dn. 2 o g. 23 m 39 Ostatnia kw. dn. 16 o g. 13 m 50
Pełnia „ 9 o g. 23 m 4 Now „ 24 o g. 11 m 7

Na Boże Ciało
siej proso śmiało.

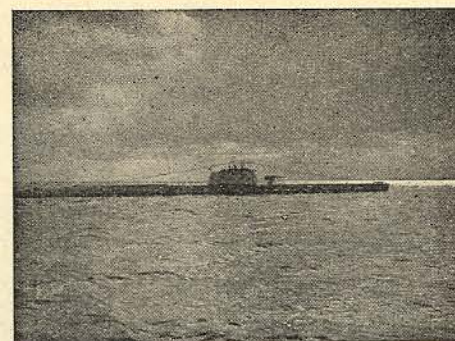


Na Święty Roch
w stodołę groch.

Statek szkolny „Lwów”

			Imiona słowiańskie	Słońca		Księżycy		Zapiski
				wschód g. m.	zachód g. m.	wschód g. m.	zachód g. m.	
1	C.	Bł. Jakóba Strepy	Świętopelka	3 21	19 46	11 4	0 14	
2	P.	Marcelina, Nadoka m.	Racisława	3 20	19 47	12 32	0 25	
3	S.	Gig., Klotyldy	Leszka	3 20	19 49	13 44	0 36	
4	N.	Ziel. Święta	Gościmiła	3 19	19 50	15 20	0 49	
5	P.	Pon. Św.	Dobrociecha	3 18	19 51	16 42	1 5	
6	W.	Norberta biskupa	Więcerada	3 17	19 52	18 38	1 30	
7	Sr.	Suche dni, Roberta op.	Ciechomierza	3 17	19 53	19 54	1 49	
8	C.	Medarda b., Sew.	Wyszestawa	3 16	19 53	21 20	2 32	
9	P.	Suche dni, Felicjana	Niemsty	3 16	19 54	22 4	3 37	
10	S.	Suche dni, Małgorzaty	Bogumiła	3 16	19 55	22 39	5 4	
11	N.	1 p. Św., św. Trójcy	Radomiła	3 15	19 56	23 3	6 33	
12	P.	Jana a s. Facunde	Wyszemierza	3 15	19 56	23 19	8 4	
13	W.	Antoniego z Padwy	Chociemierza	3 15	19 57	23 32	9 30	
14	Sr.	Bazylego b.	Sinogniewa	3 14	19 58	23 43	10 52	
15	C.	Boże Ciało	Witostawa	3 14	19 58	23 53	11 8	
16	P.	Jana Franciszka	Budzimierza	3 14	19 59	—	13 20	
17	S.	Marjana m.	Drogomysła	3 14	19 59	0 4	14 36	
18	N.	2 po Św., Efrema	Modliboga	3 14	20 0	0 15	15 52	
19	P.	Gerwazego, Protazego	Borzysława	3 14	20 0	0 34	17 5	
20	W.	Sylwerego pap.	Bogumiły	3 14	20 1	1 38	18 17	
21	Sr.	Alojzego Gonzagi	Domamierza	3 14	20 1	1 38	19 23	
22	C.	Paulina b.	Broniwoja	3 15	20 1	1 57	20 37	
23	P.	Najśw. Serca P. Jez.	Dobrowieści	3 15	20 1	2 49	20 59	
24	S.	Jana Chrzciela	Mirogniewa	3 15	20 1	3 52	21 30	
25	N.	3 po Św., Wilhelma	Tolisławy	3 15	20 1	5 3	21 51	
26	P.	Jana i Pawła	Zdziwoja	3 16	20 1	6 39	22 9	
27	W.	Władysława	Włodzisława	3 16	20 1	7 46	22 20	
28	Sr.	Ireneusza	Zbrostawa	3 17	20 1	8 52	22 33	
29	C.	Piotra i Pawła ap.	Dalebora	3 17	20 1	10 8	22 43	
30	P.	Wsp. św. Pawła	Ciechosławy	3 18	20 1	11 36	22 55	
Fazy księżycy:								
Pierwsza kw. dn. 1 o g. 10 m 15				Ostatnia kw. dn. 15 o g. 0 m 16				
Pełnia „ 8 o g. 6 m 5				Now „ 23 o g. 0 m 20				
Pierwsza kw. dn. 30 o g. 4 m 40.								

Od lip ciągnie
[wonnny lipiec,
nie daj słonku kłosa
[przypiec.

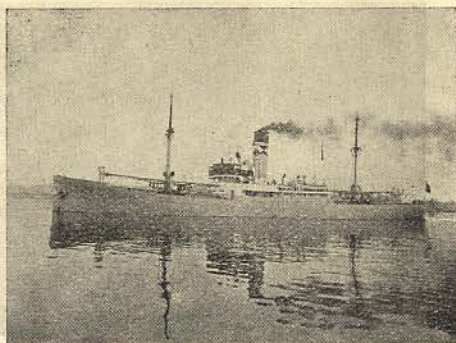


W dzień Św.
[Małgorzaty,
pierwsze gruszki do
[chaty.

O. R. P. „Wilk”.

			Imiona słowiańskie	Słońca		Księżycy		Zapiski
				wschód g. m.	zachód g. m.	wschód g. m.	zachód g. m.	
1	S.	<i>Przen. Krwi P. Jezusa</i>	Niegostawy	3 19	20 0	12 48	23 23	
2	N.	<i>4 p. Św., Naw. N.M.P.</i>	Radowuja	3 19	20 0	14 14	23 23	
3	P.	Anatola pap.	Miłostawa	3 20	19 59	15 46	23 46	
4	W.	Teodora b.	Wilistawa	3 21	19 56	17 19	—	
5	Sr.	Antoniego, Teodota	Przybywoja	3 22	19 59	18 44	0 19	
6	C.	Łucji m., Romula bp.	Chocieborza	3 22	19 58	19 50	1 12	
7	P.	Cyryla i Metodego	Sędzistawy	3 23	19 57	20 35	2 27	
8	S.	Elżbiety kr.	Chwalimierza	3 24	19 57	21 3	3 58	
9	N.	<i>5 po Św., Weroniki</i>	Wszebada	3 25	19 56	21 23	5 32	
10	P.	7 braci męcz.	Radziwoja	3 26	19 55	21 38	7 3	
11	W.	Piusa I. pap. m.	Wyszestawy	3 27	19 55	21 49	8 59	
12	Sr.	Jana Gwalberta	Tolimierza	3 28	19 54	21 59	9 49	
13	C.	Małgorzaty p.	Radomiły	3 30	19 53	22 10	11 7	
14	P.	Bonawentury	Dobrogosta	3 31	19 52	22 22	12 23	
15	S.	Henryka ces.	Lubomysła	3 32	19 51	22 36	13 38	
16	N.	<i>6 p. Św. M. B. Szkapl.</i>	Dzierżysława	3 33	19 50	22 54	14 53	
17	P.	Aleksego, Marcel.	Dzierżykraj	3 34	19 49	23 19	16 6	
18	W.	Szymona z Lipnicy	Unistawa	3 35	19 48	23 54	17 15	
19	Sr.	Wincentego a Paulo	Lutobora	3 37	19 47	—	18 14	
20	C.	Czesława, Hieronima	Czesława	3 38	19 45	0 40	19 0	
21	P.	Andrzeja i Benedykta	Stojysława	3 39	19 44	1 41	19 33	
22	S.	Marji Magdaleny	Więcemiły	3 41	19 44	2 52	19 58	
23	N.	<i>7 p. Św., Apolinar.</i>	Żelistawa	3 42	19 42	4 7	20 16	
24	P.	Franciszka, Krystyny	Wojciechy	3 44	19 40	5 25	20 30	
25	W.	Jakóba apost., Krz.	Nieznamierza	3 45	19 39	6 42	20 42	
26	Sr.	Anny matki N.M.P.	Mierosławy	3 47	19 37	7 58	20 52	
27	C.	Pantaleona, Julji m.	Wszebora	3 48	19 36	9 15	21 3	
28	P.	Wiktora pap.	Świętomierza	3 49	19 34	10 35	21 15	
29	S.	Marty p., Beatricy	Cierpiśławy	3 51	19 33	11 58	21 28	
30	N.	<i>8 po Św., Donat.</i>	Ubysława	3 52	19 31	13 25	21 47	
31	P.	Ignacego Loyoli	Miłobrata	3 54	19 30	14 55	22 15	
Fazy księżycy:								
Pierwsza kw. dn. 30 o g. 5 m. 44				Ostatnia kw. dn. 14 o g. 13 m. 24				
Pełnia dn. 7 o g. 12 m. 51				Now „ 22 o g. 17 m. 3				

Na Św. Dominika
zboże z pola znika.

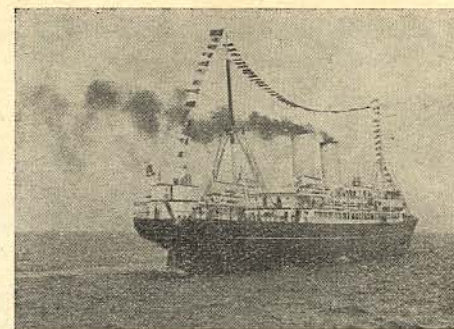


Kto na Św. Bartło-
[mieja się],
będzie chleba miał.

s/s „Lwów”

			Imiona słowiańskie		Słońca		Księżycy		Z a p i s k i
					wschód		zachód		
					g. m.		g. m.		
1	W.	Piotra w okowach	Brodzysława	3 55	19 28	16 22	22 57		
2	Śr.	N. M. P. Anielskiej	Borzystawy	3 57	19 26	17 35	—		
3	C.	Znał. św. Szczepana	Krzywosąda	3 59	19 25	18 28	0 0		
4	P.	Dominiką wyznaw.	Mieroniega	4 0	19 23	19 2	1 24		
5	S.	NMP. Śnieżnej	Stanisławy	4 2	19 21	19 25	2 56		
6	N.	9 p. Św., Przemien. P.	Niegoslawa	4 3	19 19	19 42	4 30		
7	P.	Kajetana w., Don.	Dobiemierza	4 5	19 17	19 55	6 0		
8	W.	Cyrjaka m., Emila	Niezamysła	4 6	19 16	20 6	7 24		
9	Śr.	Jnna Vianney'a	Milorada	4 8	19 14	20 17	8 44		
10	C.	Wawrzyńca djak. m.	Wierzchosław	4 10	19 12	20 29	10 3		
11	P.	Zuzanny p. m.	Włodziwoja	4 11	19 10	20 42	11 20		
12	S.	Klary p. Herkulana	Bądzisława	4 13	19 8	20 58	11 37		
13	N.	10 po Św., Hipol.	Wojbora	4 15	19 6	21 21	13 52		
14	P.	Wig. Euzebjusza bp.	Dobrowoja	4 16	19 4	21 52	15 3		
15	W.	Wnieb. N. M. P.	Trzebiemierz	4 18	19 2	22 34	16 6		
16	Śr.	Joachima, Rocha	Domarada	4 19	19 0	23 29	16 56		
17	C.	Jacka w., Stratona	Jaczewoja	4 21	18 58	—	17 35		
18	P.	Heleny ces.	Tworzyława	4 23	18 56	0 37	18 3		
19	S.	Ludwika z Tuluzy	Bolesława	4 24	18 54	1 51	18 22		
20	N.	11 po Św., Bernarda	Sobiesława	4 26	18 52	3 8	18 37		
21	P.	Joanny, Fremio w.	Męcimierza	4 27	18 50	4 27	18 50		
22	W.	Tymoteusza	Dalegora	4 29	18 48	5 45	19 1		
23	Śr.	Filipa, Benicjusza	Sulirada	4 31	18 45	7 3	19 11		
24	C.	Bartłomieja	Cieszymierza	4 32	18 43	8 23	19 23		
25	P.	Ludwika króla	Sieciysława	4 34	18 41	9 46	19 36		
26	S.	NMP. Częstochowskiej	Dobroniegi	4 36	18 38	11 12	19 53		
27	N.	12 po Św., Józefa	Przybymierz	4 38	18 36	12 40	20 17		
28	P.	Augustyna, Aleks.	Stroniława	4 40	18 34	14 7	20 53		
29	W.	Ściegie św. Jana Chr.	Racibora	4 42	18 31	15 24	21 48		
30	Śr.	Róży Limańskiej	Częstowoja	4 43	18 29	16 21	23 1		
31	C.	Rajmunda, Arystyda	Świętosława	4 44	18 27	17 2	—		
F a z y k s i ę z y c a:									
Pełnia dn. 5 o g. 20 m. 32 Nów dn. 21 o g. 6 m. 48									
Ostatnia kw. „ 13 „ „ 4 m. 49 Pierwsza kw. „ 28 „ „ 11 m. 13									

Skoro wrzesień
to już jesień.

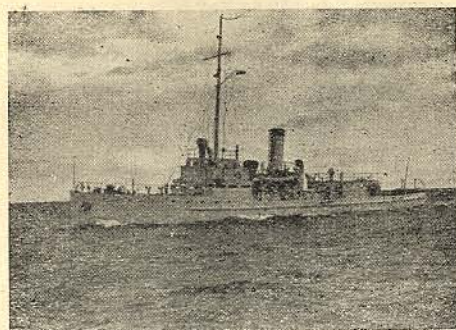


Na Michała
łowcy chwała.

s/s „Polonja”

			Imiona słowiańskie	Słońca		Księżycy		Z a p i s k i
				wschód	zachód	wschód	zachód	
				g. m.	g. m.	g. m.	g. m.	
1	P.	Bronisławy, Idziego	Bronisławy	4 46	18 25	16 28	0 29	
2	S.	Stefana kr. węg.	Witomyśła	4 48	18 22	17 47	2 1	
3	N.	13 po Św., Zenon	Mojmierza	4 50	18 20	18 0	3 30	
4	P.	Rozalji p., Róży	Rościgniewa	4 51	18 18	18 13	4 56	
5	W.	Wawrzyńca, Justyn.	Stronisławy	4 53	18 16	18 24	6 38	
6	Sr.	Zacharjasza pror.	Uniewita	4 55	18 13	18 35	7 19	
7	C.	Melchjora m.	Domasławy	4 56	18 11	18 47	8 57	
8	P.	Narodzenie N. M. P.	Radosławy	4 58	18 9	19 3	10 15	
9	S.	Piotra Klawera	Sobiesąda	5 0	18 9	19 23	11 33	
10	N.	14 po Św., Mikołaja	Mścibora	5 1	18 4	19 50	12 47	
11	P.	Prota i Jacka	Naczesława	5 3	18 2	20 27	13 54	
12	W.	Najśw Imienia Marji	Radzimierza	5 4	17 59	21 18	14 50	
13	Sr.	Filipa m., Aleks.	Morzysława	5 6	17 57	22 21	15 33	
14	C.	Podw. św. Krzyża	Ziemomysła	5 8	17 55	23 32	16 4	
15	P.	M. B. Bol.	Budżigniewa	5 9	17 52	—	16 27	
16	S.	Kornela i Cyprjana	Sędzysława	5 11	17 50	0 49	16 44	
17	N.	15 po Św., Piętn. ś. F.	Drogosława	5 13	17 48	2 7	16 58	
18	P.	Józefa z Kupertynu	Dobrowita	5 14	17 45	3 25	17 9	
19	W.	Januarego b. i m.	Więcmierza	5 16	17 43	4 44	17 20	
20	Sr.	Suche dni, Eustach.	Miłowu	5 18	17 41	6 5	17 31	
21	C.	Mateusza ap.	Bożeciecha	5 19	17 38	7 28	17 44	
22	P.	Suche dni, Tomasza	Prosimierza	5 21	17 36	8 54	18 1	
23	S.	Suche dni, Tekli	Boguchwały	5 22	17 34	10 25	18 21	
24	N.	16 po Św., NMP. w. n.	Uniegosta	5 24	17 31	11 54	18 54	
25	P.	Władysława, Kleofasa	Włodzisława	5 26	17 29	13 14	19 43	
26	W.	Cyprjan, Justyna	Łekomierza	5 27	17 27	14 17	20 50	
27	Sr.	Kosmy i Damjana	Przedbora	5 29	17 24	15 2	22 12	
28	C.	Wacława	Więcysława	5 30	17 22	15 32	23 41	
29	P.	Michała Archaniota	Dadźboga	5 32	17 20	15 52	—	
30	S.	Hieronima w. dK.	Imisława	5 34	17 17	16 8	1 9	
F a z y k s i ę z y c a								
Ostatnia kw. dn. 11 o g. 22 m 30				Pierwsza kw. dn. 26 o g. 16 m 36				
Pełnia „ 4 o g. 6 m 4				Nów „ 19 o g. 16 m 24				

Gdy nierychło liść
[opada,
zima wielka bywa
[rada.

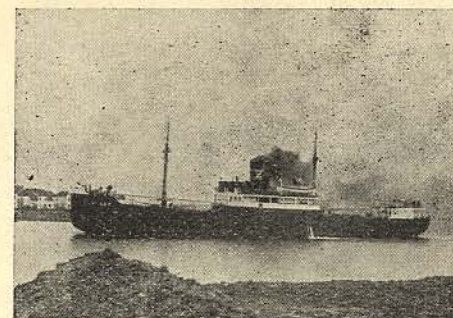


O. R. P. „Komendant Piłsudski”

W październiku
[słoty,
kończą się roboty.

			Imiona słowiańskie	Słońca		Księżycy		Zapiski
				wschód g. m.	zachód g. m.	wschód g. m.	zachód g. m.	
1	N.	17 po Św.,	Cieszysława	5 36	17 15	16 20	2 34	
2	P.	Aniołów Stróżów	Stanimierza	5 37	17 13	16 31	3 56	
3	W.	Teresy od Dz. Jezus	Sierostawa	5 39	17 10	16 41	5 15	
4	Sr.	Franciszka	Nieznawu	5 41	17 8	16 54	6 35	
5	C.	Placyda m., Apolinar.	Czestogniewa	5 42	17 6	17 9	7 55	
6	P.	Brunona, Emila	Bronisława	5 44	17 4	17 26	9 12	
7	S.	N. M. P. <i>Różaniec</i>	Rościslawy	5 46	17 1	17 50	10 27	
8	N.	18 po Św.,	Wojśławy	5 48	16 59	18 24	11 38	
9	P.	Djonizego, Ludwika	Przedpełka	5 49	16 57	19 10	12 40	
10	W.	<i>Dzięk. za zwyc. chocim</i>	Lutomierza	5 51	16 54	20 7	13 29	
11	Sr.	<i>Macierzyństw. NMP</i>	Dobromiły	5 53	16 51	21 15	14 3	
12	C.	Salwina i Serafina	Grzymisława	5 54	16 50	22 28	14 29	
13	P.	Edwarda kr. Teofila	Siemisława	5 56	16 48	23 44	14 48	
14	S.	Kaliksta pap.	Dzierzymierz	5 57	16 46	—	15 3	
15	N.	19 po Św.,	Gościśławy	6 0	16 43	1 2	15 15	
16	P.	Jadwigi	Radzisława	6 2	16 41	2 20	15 26	
17	W.	Małgorzaty Alacoque	Sulisławy	6 3	16 39	3 39	15 38	
18	Sr.	Łukasza ew.	Bratumiła	6 5	16 37	5 2	15 50	
19	C.	Piotra z Alkantary	Siemowita	6 7	16 35	6 28	16 6	
20	P.	Jana Kant., Ireny	Budzisławy	6 8	16 33	8 0	16 26	
21	S.	Urszuli p. m.	Wszebory	6 10	16 30	9 32	16 55	
22	N.	20 po Św.,	Przybysławy	6 12	16 28	10 59	17 38	
23	P.	Ignacego, Seweryna	Włoscisława	6 14	16 26	12 11	18 41	
24	W.	Rafała Archanioła	Bolecze	6 16	16 24	13 2	20 1	
25	Sr.	Kryspina, Januarego	Sambora	6 18	16 22	13 35	21 29	
26	C.	Ewarysta pap.	Lutosława	6 20	16 20	13 58	22 56	
27	P.	Wincentego, Sabiny	Siestrzemiła	6 22	16 17	14 15	—	
28	S.	Szymona i Tadeusza	Wszeciecha	6 24	16 15	14 28	0 21	
29	N.	21 po Św., <i>Chr. Kr.</i>	Lubogosta	6 25	16 13	14 39	1 42	
30	P.	Alfonsa Rodr.	Śadosława	6 27	16 12	14 50	3 0	
31	W.	<i>Wig. Lucyli Antonin.</i>	Godzimierza	6 29	16 10	15 2	4 18	
Fazy księżyca:								
Pełnia dn. 3 o g. 18 m. 8 Nów dn. 19 o g. 6 m. 45								
Ostatnia kw. „ 11 o g. 17 m. 46 Pierwsza kw. „ 25 o g. 23 m. 21								

Święty Marcin,
na siwym koniu
[jeździ.

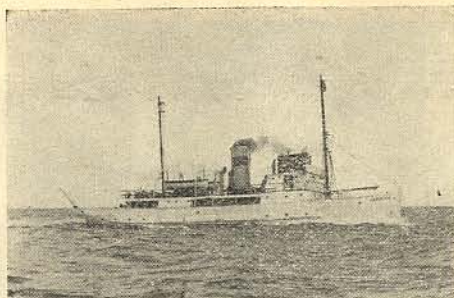


S/S „Słask”

W listopadzie,
[co niedzielę,
brzęczy gdzieś
[wesele.

			Imiona słowiańskie	Słońca		Księżycy		Zapiski
				wschód g. m.	zachód g. m.	wschód g. m.	zachód g. m.	
1	Sr.	Wszyst. Świętych	Warcisława	6 32	16 8	15 15	5 35	
2	C.	Dzień zaduszny	Stojmierza	6 33	16 6	15 32	6 52	
3	P.	Huberta b. w.	Chwalisława	6 34	16 4	15 54	8 9	
4	S.	Karola Boromeusza	Mściwoja	6 36	16 2	16 24	9 24	
5	N.	22 po Św., Elżbiety	Dalemierza	6 38	16 1	17 4	10 28	
6	P.	Leonarda	Trzebowita	6 40	15 59	17 57	11 20	
7	W.	Antoniego Bał.	Przemila	6 42	15 57	19 1	12 1	
8	Sr.	Sewerjana	Sędziwoja	6 43	15 55	20 12	12 30	
9	C.	Teodora, Ursyna	Bogudara	6 45	15 54	21 27	12 50	
10	P.	Andrzeja z Awel.	Ludomierza	6 47	15 52	22 41	13 7	
11	S.	Marcina b. w.	Spycisława	6 49	15 15	23 57	13 21	
12	N.	23 po Sw., 5 Br. Pol.	Czcibora	6 51	15 49	—	13 31	
13	P.	Stanisławowa Kostki	Stanisława	6 52	15 48	1 13	13 43	
14	W.	Jozafata b. m.	Wszerada	6 54	15 46	2 32	13 55	
15	Sr.	Leopolda, Gertrudy	Przybygniew.	6 56	15 45	3 56	14 8	
16	C.	MB Ostrobramskiej	Niedamierza	6 58	15 43	5 25	14 25	
17	P.	Salomei, Grzegorza	Subibora	6 59	15 42	6 58	14 51	
18	S.	Pośw. baz. ś. Piotr. i P.	Cieszymysła	7 1	15 41	8 31	15 29	
19	N.	24 po Sw., Elżb. kr. w.	Mieroniegi	7 3	15 39	9 52	16 26	
20	P.	Feliksa Wal., Eust.	Sędzimierza	7 5	15 38	10 53	17 42	
21	W.	Ofiar. N. M. P.	Twardosława	7 6	15 37	11 35	19 11	
22	Sr.	Cecylii p., Felicjty m.	Wszemiły	7 8	15 36	12 2	20 42	
23	C.	Klemensa pap. m.	Podwoja	7 10	15 35	12 21	22 9	
24	P.	Jana od Krzyża	Pęcisława	7 11	15 34	12 35	23 31	
25	S.	Katarzyny p. m.	Tęgomierza	7 13	15 33	12 47	—	
26	N.	25 po Sw., Jana B.	Dobiemista	7 14	15 32	12 58	0 50	
27	P.	Walerjana bp.	Stojgniewa	7 16	15 31	13 10	2 7	
28	W.	Zdzisława, Grzeg.	Gościrada	7 17	15 30	13 22	3 23	
29	Sr.	Saturnina, Iluminaty	Bolemysła	7 19	15 29	13 38	4 39	
30	C.	Andrzeja, Justyny	Zbysławy	7 20	15 28	13 57	5 56	
Fazy księżyca:								
Pełnia dn. 2, o g. 8 m. 59				Nów dn. 17, o g. 17 m. 24				
Ostatnia kw. dn. 10, o g. 13 m. 18				Pierwsza kw. dn. 24, o g. 8 m. 38				

Święta Barbara
[po wodzie
Boże Narodzenie
[po lodzie.



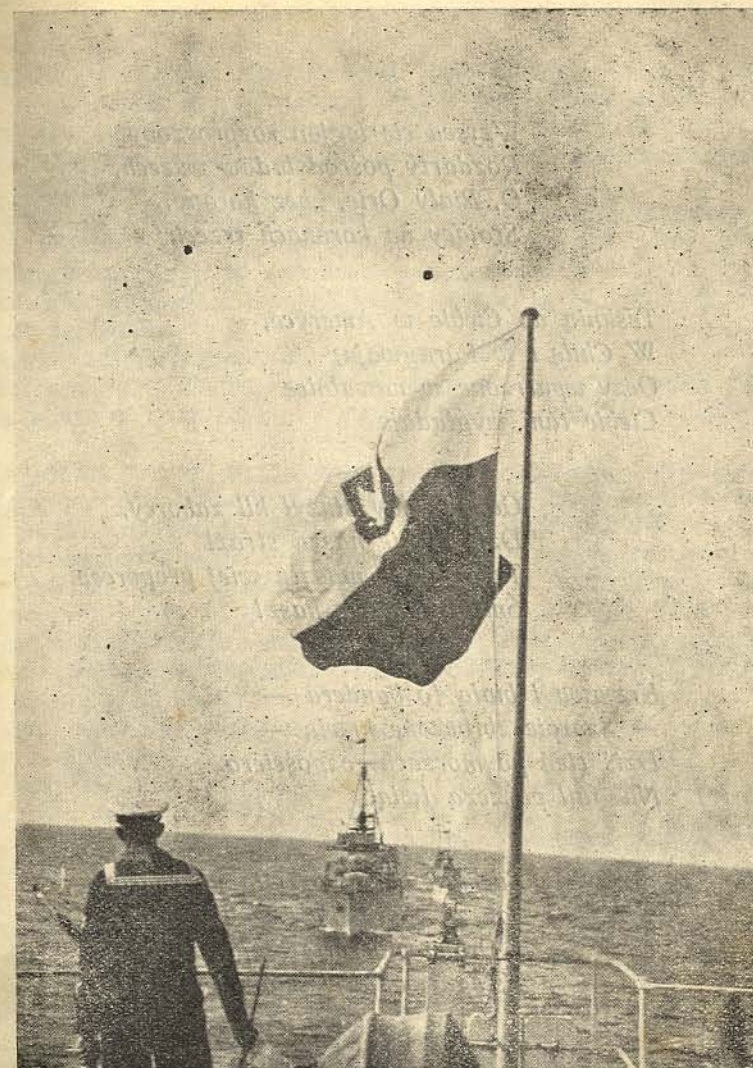
S/S „Jadwiga”

Na Boże Narodzenie
przybywa dnia na
[kurze stąpienie.

			Imiona / słowiańskie		Słońca		Księżycy		Zapiski
					wschód g. m.	zachód g. m.	wschód g. m.	zachód g. m.	
1	P.	Marjusza djak. Nat.	Sobiesław		7 22	15 28	14 24	7 9	
2	S.	Bibjany p. m.	Zbyluta		7 23	15 27	15 1	8 17	
3	N.	1 Adw., Franc. Ks.	Unimierza		7 25	15 26	15 51	9 14	
4	P.	Barbary, Piotra Zi.	Bratumiły		7 26	15 26	16 51	9 59	
5	W.	Anastazego, Sabby	Pęcislawy		7 27	15 26	18 0	10 31	
6	Sr.	Mikołaja bp.	Jarogniewa		7 29	15 25	19 14	10 54	
7	C.	Ambrożego bp.	Ninomysła		7 30	15 25	20 27	11 12	
8	P.	Niepokał. Pocz.	Boguwoli		7 31	15 24	21 40	11 26	
9	S.	Leokadji p.	Wielislawy		7 32	15 24	22 54	11 38	
10	N.	2 Adw., NMP Lor.	Radziślawy		7 33	15 24	—	11 48	
11	P.	Damazego pap.	Wojmierza		7 35	15 23	0 9	12 0	
12	W.	Aleksandra	Suliwoja		7 36	15 23	1 28	12 12	
13	Sr.	Łucji p. m., Otylji	Włodziślawy		7 37	15 23	2 51	12 27	
14	C.	Teodora m.	Sławobora		7 37	15 23	4 21	12 48	
15	P.	Walerjana, Celiny	Wolimierza		7 38	15 23	5 53	13 18	
16	S.	Euzebjusza. Albiny	Zdziślawy		7 39	15 24	7 21	14 4	
17	N.	3 Adw., Łazarza b.	Żeroslawa		7 40	15 24	8 36	15 13	
18	P.	Wiktoryna	Wszemierza		7 41	15 24	9 27	16 40	
19	W.	Grzegorza bp. Faustyna	Mścigniewa		7 42	15 24	10 1	18 14	
20	Sr.	Suche dni, Teofila	Bogumiły		7 42	15 25	10 24	19 47	
21	C.	Tomasza ap.	Tomislawa		7 43	15 25	10 41	21 15	
22	P.	Suche dni, Zenona m.	Drogomierza		7 43	15 26	10 53	22 37	
23	S.	Suche dni, Wiktorji	Sławomierzy		7 44	15 25	11 5	23 56	
24	N.	4 Adw., Wig. Boż. N.	Godziślawy		7 44	15 27	11 17	—	
25	P.	Boże Narodzenie	Grzymiślawy		7 45	15 27	11 29	1 13	
26	W.	Szczepana m.	Wróciwoja		7 45	15 28	11 44	2 29	
27	Sr.	Jana apost. i ew.	Radomysła		7 45	15 29	12 2	3 46	
28	C.	Młodzianków	Dobrowieśta		7 45	15 30	12 26	4 59	
29	P.	Tomasza z Kent b. m.	Domawita		7 45	15 31	13 0	6 9	
30	S.	Eugenjusza bp.	Uniedroga		7 45	15 32	13 46	7 10	
31	N.	Sylwestra p., Mel.	Tworzysława		7 45	15 33	14 42	7 58	

Fazy księżycy

Pełnia „ 2 o g. 2 m 31 Nów „ 17 o g. 3 m 53
Ostatnia kw. dn. 10 o g. 7 m 24 Pierwsza kw. dn. 23 o g. 21 m 9
Pełnia dnia 31 o godzinie 21 m 54



J. B. RYCHLIŃSKI
(1929)

BIAŁY ORZEŁ MÓRZ

Leć, Orle nasz, za Helu próg,
Na bujowiska fal,
A po rozłogach morskich dróg,
Dźwigaj się odzian w stal!



127053

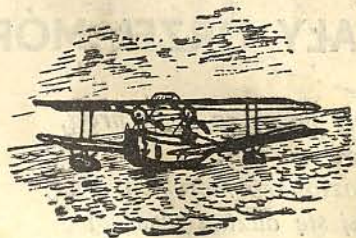
Wzywa cię legion rozproszony,
Rozdarty pośród ludów wszech,
O, Biały Orle, „bez korony,
Stojący na koronach trzech“

Tesknia do Ciebie w Ameryce,
W Chile i w Paragwaju;
Oczy wpatrzone w nawałnice
Ciebie tam wyglądają.

Gdzie wody płużył kil zaborcy,
Dziś płynie nasza straż!
Teraz im z masztu wiej proporcem
Śmigły okręcie nasz!

Krwawa i biała to bandera —
— Szarpie zbroczone krwią —
Dziś cię po morzach rozpościera
Na fali paszczą łwią.

Surmy i bębny grzmą na spardeku,
Jak za Sierpinką i za Dikmana,
I Orlem piórem złotego wieku
Księga wolności znów jest pisana.



Wstęp

Związek Pionierów Kolonialnych, będący Oddziałem I im. Jana z Kolna, Ligi Morskiej i Kolonjalnej, wydaje ten bezpretensjonalny Kalendarz, pragnąc w ten sposób dotrzeć do szerokich mas czytelników, z których niejeden — być może — poraz pierwszy zetknie się z tematami, przez nas stale poruszaniem.

Chcielibyśmy, aby polskie sprawy morskie i kolonjalne zajęły umysły wszystkich Polaków — i tych, żyjących w granicach Rzeczypospolitej i tych, których los rzucił w dalekie kraje, wgniatając ich w tryby odrębnych stosunków życiowych, innych kultur, a nieraz zupełnie obcych i nieprzyjaznych wpływów.

Sprawa, której służymy, nie jest nowa.

Byli przed nami w dawnej Polsce ludzie, którzy rozumieli, czym jest morze dla państwa i widzieli w jego posiadaniu wszelkie możliwe sposoby.

Dziś jednak trzeba wciąż mówić o tych rzeczach, trzeba społeczeństwu oczy otwierać i wskazywać najprostsze drogi, wiodące do celu, trzeba wołać głośno, by budzić obojętnych i nieświadomych.

Zwolna wchodzi w krew naszego narodu przeświadczenie o wartości własnego morza. We wszystkich zakątkach Kraju i daleko poza jego granicami powstają coraz to nowe oddziały Ligi Morskiej i Kolonjalnej, popularyzując wśród szerokich mas idee, którym służy nasza organizacja.

Święto Morza w Gdyni w roku 1932 przy udziale kroci rodaków z całego państwa, najlepszym było dowodem przełamania pierwszych lodów. Dla obcych było ono entuzjastyczną manifestacją uczuć społeczeństwa polskiego z potężnym zaakcentowaniem praw Polski do morza i Pomorza, dla nas zaś, siewców i apostołów tych prostych prawd, było pozątem stwierdzeniem, że praca nasza nie idzie na marne.

Na oczach świata rozwija się wspaiale nawskroś nowoczesny port polski, rośnie i mnoży się polska flota handlowa. Program morski, zadecydowany przez Marszałka Józefa Piłsudskiego, spełnia się mimo wszelkich przeszkód, a naród zaczyna odczuwać słuszną dumę z tego, tak świetnie zdanego egzaminu wobec historii.

Pokolenie wojenne uczyniło wszystko, aby potomstwu swemu zbudować warsztat pracy, od dzisiejszej młodzieży zależeć będzie, jak dalece warsztat ten się rozwinie. Dlatego też tak chętnie idziemy pomiędzy ludzi młodych z programem Ligi Morskiej i Kolonjalnej, z hasłami naszymi, wskazując im dorobek Rzeczypospolitej, na odcinku morza w niewielu latach niepodległości dokonany i wskazując im obowiązki, ciążące na wszystkich, którzy rozumieją, że nie może być Polski mocarstwowej bez zabezpieczonego i celowo wyzyskanego brzegu Bałtyku.

Należy przyznać, iż młodzież, nie tylko studująca ale i robotnicza, garnie się gromadnie do pracy dla morza polskiego i wykazuje coraz większe zrozumienie wszystkich zagadnień z nim związanych.

Gorzej nieco jest z kwestją kolonjalną.

Bardzo wielu ludziom nie może się w głowie pomieścić, w jaki sposób można dziś jeszcze zdobyć dla Polaków kolonię. Przecież państwa i narody tak dokładnie już rozparcelowały pomiędzy siebie całą kulę ziemską, że niema na niej najmniejszego kącika wolnego. Gdzież tedy można znaleźć kolonię, które mogłyby z jednej strony dostarczać nam taniego surowca, z drugiej zaś dać miejsce nadmiarowi ludności polskiej?

Prostu szaleństwo!

Ten sam wyraz słyszeliśmy nieraz przed wojną. Tak nazywano program tych, którzy wierzyli w odbudowanie niepodległej Polski przez czyn zbrojny.

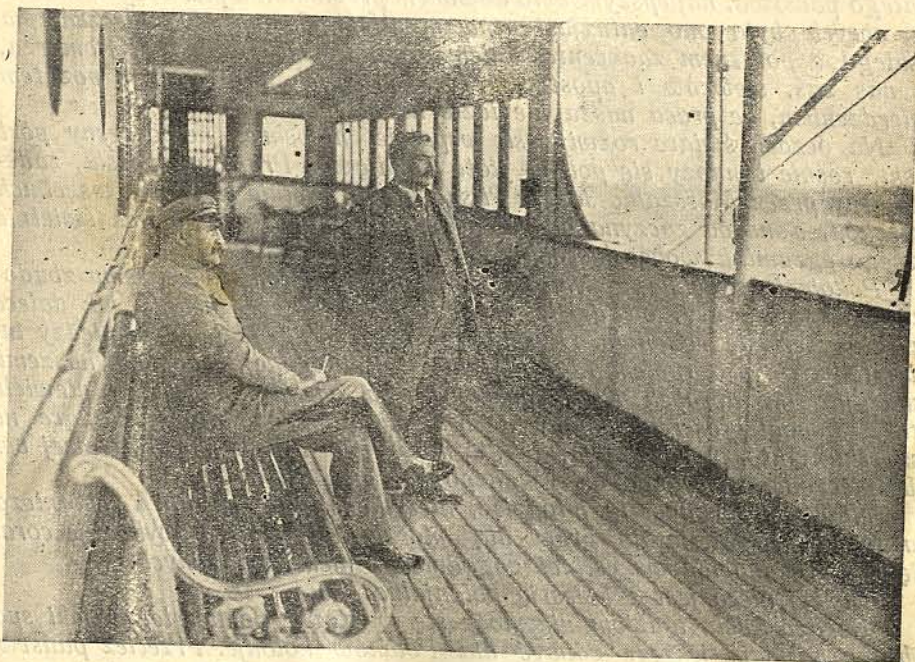
Ze zdumieniem, często z oburzeniem, a najczęściej z politowaniem spojerali „ludzie mądry i trzeźwi“ na ćwiczące się wojskowo oddziały polskiej młodzieży.

Przecież to niemożliwe! Pocóż tedy to bałamucenie siebie i drugich? Tymczasem pokazało się, że „szaleńcy“ mieli rację. Polska jest wolna, wielka i rozwija się w szybkim tempie.

Dlaczego i w sprawie kolonij nie mają zwyciężyć ci, którzy wierzą i pracują, nad tymi, którzy nic nie robią, kracząc tylko nad każdą nową ideą i krytykując wszystko, co poczyną się z wiary we własne siły i w sprawiedliwość dziejową?

Przecież zdobycie kolonij dla Polski jest drobiazgiem wobec olbrzymiego dzieła wywalczenia wolności i zjednoczenia ziem polskich i wobec tego wszystkiego, co na oczach naszych młoda Rzeczpospolita dokonała!

Związek Pionierów Kolonialnych pewnym krokiem zdąża do obranego celu. Nie zasypiając spraw morskich, wysuwa na odpowiednie miejsce kwestję kolonij i popularyzuje ją w miarę sił i środków. Jedną z dróg, wiodących do tego celu, jest ten kalendarz, który powinien znaleźć się w rękach każdego Polaka, umiejącego patrzeć dalej, w szczęśliwą i lepszą przyszłość naszego kraju.



Marszałek Piłsudski na pokładzie parowca „Angola“ w drodze z Lizbony do Funchalu.

J. Kożuchowski

prezes Ligi Morskiej i Kol.

Wiele pracy i uporu jeszcze potrzeba...*)

Rozwój stosunków gospodarczych opiera się na zasadzie wymiany międzynarodowej, a kształtowanie się cen światowych zmusza państwowe organizmy gospodarcze do świadomego poszukiwania najtańszych kosztów przewozu i swobody wyboru środków i dróg transportu.

Gdzież jest największa swoboda w wyborze środków i dróg przewozu? Wystarczy popatrzeć na mapę Polski, aby zrozumieć, gdzie jest wolność handlu polskiego oraz, aby zdać sobie sprawę z tego, że kontynentalne granice naszego kraju w procesie wymiany dóbr odgrywają przeważnie rolę bierną, ponieważ niektóre kraje sąsiednie traktują towary polskiej produkcji, jako konkurencję szkodliwą i dla siebie niebezpieczną.

Wolność jest tylko na morzu.

Wolność handlowa i polityczna.

Nietylko wolność.

Dokądkolwiek dotrze statek płynący pod polską banderą, kierowany przez kapitana polskiego — gdziekolwiek na kuli ziemskiej zębata kotwica polska zahaczy się o dno egzotycznego morza — rodzi się tam nietylko możliwość bezpośredniego poznania odległego kraju większa, niż w każdym innym wypadku, oraz możliwość nawiązania nowych stosunków gospodarczych, politycznych i społecznych, ale przede wszystkim okazja pokazania świata Polski takiej, jaką ona jest w istocie, Polski pracującej, walczącej, twórczej, dającej wyraz tężyźnie narodu polskiego, wbrew wrogię nam propagandzie, która stara się Państwo nasze zohydzić i skarykaturować.

W jednym z portów północnej Afryki turysta polski próbował z trudem wyjaśnić miejscowemu obywatelowi, gdzie jest Polska i co to za kraj — Polska. Przypadkowo podczas rozmowy padło słowo: Gdynia — port. To jedno słowo wystarczyło dla zrozumienia, że tam jest Polska, gdzie jest Gdynia, gdyż cudzoziemiec ten widział statki, płynące pod polską banderą z portu macierzystego Gdynia.

Tam jest Polska, gdzie jest Gdynia i gdzie znajduje się centrum polskiego transportu morskiego.

I jeszcze coś innego daje nam morze.

Możliwość wszechstronnego rozwoju sił narodu w tych kierunkach, w których hartowały się inne narody, a które przedrozbiorowe społeczeństwo polskie nieopatrnie i małodusznie zaniedbało.

Nie dość jest bić się dzisiaj w piersi. Trzeba odrabiać stracone możliwości.

Mamy do tego prawo historyczne, geograficzne, etnograficzne i polityczno-moralne, bo utrzymaliśmy się przy brzegu morskim do ostatniego dnia naszej niewoli, bo emancypację gospodarczą wywalczyliśmy sobie przede wszystkim przez aktywne wykorzystanie Gdyni i Gdańska, bo wszystkie ataki gospodarcze i polityczne ze strony naszych wrogów zawsze rozbiły się na kamiennych wybrzeżach portu gdyńskiego.

Wreszcie mamy obowiązek walczyć o wolny dostęp do świata, bo dusimy się w ciasnocie naszego terytorjum, bo tylko wielka prężność gos-

*) Wyjątki ze wstępu do książki Władysława Gindricha p.t. „Polska a morze“.

podarcza produkcji rolnej i przemysłowej oparta na swobodnej wymianie handlowej — może uczynić z Polski pozytywny czynnik rozwoju gospodarczego świata i społecznego ludzkości.

To polskie prawo do miejsca własnego pod słońcem dokumentowaliśmy nie tylko krwawym protestem żołnierza i rewolucjonisty w wieku XIX i XX, ale znojną kalwarią zaznaczyliśmy na szlakach emigracji, chłopskiej, sezonowych robotników, na kartach dziejów prac naszych geografów, przyrodników, podróżników, wreszcie kupców, inżynierów i urzędników, którzy pod imieniem obcych państw, dawali świadectwo polskiej energii, pracując dla cywilizacji powszechnej i ideałów ogólnoludzkich.

Odrodzenie państwa polskiego zakończyło ten okres pracy pod obcą maską. Dzisiaj Polska może i musi pracować dla swego dobrobytu i dla swego imienia. Dzisiaj każdy obywatel — chłop, rzemieślnik, żołnierz czy marynarz, inżynier czy kupiec — winien wiedzieć, że jego praca łączy się w jeden wątek wysiłku uruchamiającego całe gospodarstwo. Nie da się wyodrębnić owoców pracy na morzu od pracy na roli. Nie można wygrać wojny na lądzie, przegrywając na morzu. Nie można być wolnym na szlakach powietrznych, a związanym i ograniczonym na szlakach morskich. Wolność jest jedna i powaga państwa, narodu i wodzów jego jest jedna i niepodzielna.

Dzieją się rzeczy historyczne — nie na miarę dziesiątków lat, lecz w skali wieków: budujemy Polskę na morzu, budujemy z betonu i stali.

Głowa państwa polskiego na polskim statku z polskiego portu jedzie, by składać wizyty w innych państwach. Szef polskiej armji na polskim wojennym okręcie opływa dwa kontynenty.

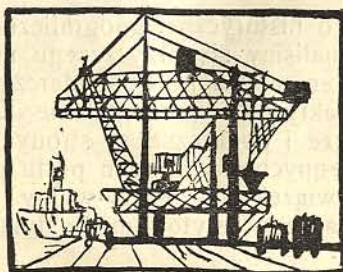
Polscy mężowie stanu budują port i flotę i miasto nad brzegiem Bałtyku, tysiącami nici łącząc najdalszy zakątek kraju z Gdynią i Gdańskiem.

Czy wiele mamy takich wspomnień w kronikach przedrozbiorowych?

Wiemy dobrze, że zabrakło w dziejach siły, skupiającej rozproszoną energję społeczeństwa, chociaż nie brakło ludzi uczonych, przestrzegających przed zaniedbaniem spraw morskich.

Polska niepodległa nieodrazu zabrała się do pracy na wybrzeżu, ale wezwana do walki — stanęła karnie do pracy, rok po roku odrabiając dawne zaległości.

Wiele pracy, miłości i woli złożyło się na dotychczasowe rezultaty. Wiele pracy i uporu jeszcze trzeba, aby umocnić co zrobiono, wiele miłości i ofiarności, aby pójść dalej.



Co każdy o dostępie Polski do morza wiedzieć powinien?

W ciągu roku 1932 ukazała się, nakładem Instytutu Bałtyckiego, w języku polskim, oraz w tłumaczeniu na najważniejsze języki świata, broszurka zatytułowana „Dziesięcioro o Pomorzu”^{)}. Znakomite to wydawnictwo, będące rezultatem pracy najwybitniejszych znawców spraw związanych z naszym dostępem do morza, winno się znaleźć w ręku każdego Polaka i zdobyć jaknajszersze rozpowszechnienie zagranicą. Podaje ono w zwięzłej, przejrzystej jasnej formie kardynalne prawdy, dotyczące polskiego wyjścia na morze, — prawdy niezachwiane, które stanowią druzgocące odparcie wszelkich argumentów, wykrętów i fałszerstw naszych wrogów, — prawdy, które wszyscy Polacy powinni znać i przy każdej sposobności przeciwstawiać propagandzie, mającej na celu wydarcie nam morza a przez to samo i niepodległego bytu państwowego.*

Poniżej podajemy wyjątki z tej broszury.

Pomorze Polskie jest nadmorską częścią Państwa Polskiego, położoną po obu stronach dolnej Wisły. Szerokość geograficzna: od 52°50' do 54°50', długość geograficzna: od 17°10' do 20°25' według Greenwich.

Pomorze tworzy osobną jednostkę administracyjną — Województwo Pomorskie, którego obszar wynosi 16386 km², a liczba ludności wynosiła w r. 1931 — 1086144. Województwo Pomorskie stanowi tylko część przedwojennej prowincji Prusy Zachodnie, której obszar wynosił 25245 km².

Obszar Województwa Pomorskiego jest większy od obszaru Alzacji i Lotaryngji (14522 km²) lub Saksonji (14993 km²), dorównywuje obszarowi Walji (19336 km²) oraz wynosi $\frac{2}{5}$ obszaru Szwajcarii (41298 km²) i więcej niż $\frac{1}{3}$ obszaru Danji (44278 km²). Ludność Województwa Pomorskiego wynosi niewiele mniej niż ludność Estonji (1300000 mieszkańców) i Stanu Connecticut (1380000), a prawie tyle, co połowa ludności Walji (2200000) i $\frac{1}{3}$ część ludności Danji (3300000).

Pomorze jest krajem, przez który przechodzi jedyny dostęp do morza 32-miljonowego Państwa Polskiego i przez który państwa zachodniej Europy i Ameryki mają bezpośrednią styczność z Polską.

Długość polskiego wybrzeża morskiego wynosi 140 km, co stanowi 2,5% granic Państwa Polskiego. Niemcy posiadają 1733 km wybrzeża, co stanowi 22,6% ogółu ich granic. — Na 1 km wybrzeża przypada w Państwie Polskiem 2774 km² powierzchni i 236000 mieszkańców, w Niemczech zaś 272 km² powierzchni i 37000 mieszkańców. Niemcy posiadają więc przeszło 12 razy więcej wybrzeża morskiego niż Polska. Stopeń obciążenia ich wybrzeża jest w stosunku do powierzchni 10 razy, w stosunku do liczby ludności 7 razy mniejszy niż w Polsce.

Pomorze, jako ziemia etnograficznie polska, umożliwiająca jednocześnie Państwu Polskiemu swobodny dostęp do morza, zostało przyznane Polsce w traktacie pokojowym, zawartym w Wersalu dnia 28 czerwca 1919 r., zgodnie z 13-tym punktem warunków pokojowych Prezydenta Wilsona,

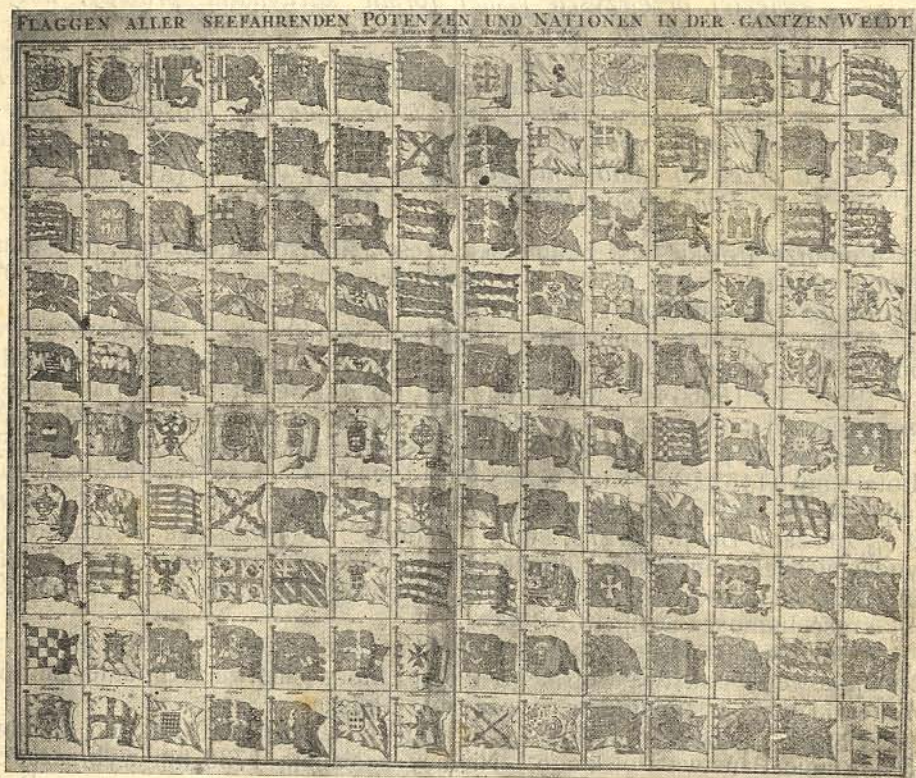
^{*)} Dziesięcioro o Pomorzu. Nakładem Instytutu Bałtyckiego. Cena 50 gr.

ogłoszonych dnia 8 stycznia 1918 r. Objęcie władzy przez Polskę na terenie Pomorza z rąk administracji niemieckiej odbyło się w sposób pokojowy i legalny w ciągu lutego 1920 r.

Przyznanie Polsce Pomorza oznaczało restytucję pogwałconego przez rozbiory Polski z końcem XVIII wieku odwiecznego stanu politycznego w tej części Europy i jest zwycięstwem zasady sprawiedliwości dziejowej nad gwałtem imperialistycznych państw zaborczych.

W czasach przedhistorycznych Pomorze, podobnie jak i całe dzisiejsze wschodnie Niemcy po rzekę Łabę, było zamieszkałe przez ludy słowiańskie, należące do tej samej grupy językowej, co ludność polska.

nik międzynarodowy — Stolicę Apostolską, która przeprowadziła w r. 1321 i 1339 dwa wielkie procesy polityczne, zakończone wyrokami, nakazującymi Krzyżakom zwrócenie Polsce zrabowanych ziem. Z powodu słabości politycznej ówczesnego Państwa Polskiego Pomorze, mimo korzystnych dla Polski wyroków, pozostało pod władzą Zakonu Krzyżackiego aż do r. 1454. W r. 1454 ludność państwa krzyżackiego przyłączyła się dobrowolnie do Polski. Od tego czasu aż do pierwszego rozbioru Polski w roku 1772 Pomorze było częścią składową Państwa Polskiego. Gdańsk i Toruń wraz z okolicami pozostały przy Polsce aż do drugiego rozbioru Polski w r. 1793. W roku 1920 wróciło Pomorze w znacznej części do Polski.



Tablica bander „wszystkich morskich potencyj i narodów całego świata” z XVI stulecia. W piątym rzędzie od góry uwidocznione są bandery polskie (8 i 9).

Gdy Pomorze po raz pierwszy około r. 960 ukazuje się na widowni dziejowej, pozostaje już w łączności z Polską, która pierwsza wprowadziła tu wiarę chrześcijańską i zachodnią kulturę. Ostatni książę pomorski Mestwin II za zgodą przedstawicieli Pomorza przekazał w r. 1282 Pomorze księciu wielkopolskiemu, późniejszemu królowi polskiemu, Przemysławowi II.

W r. 1308 Zakon Krzyżacki, wyzyskując ciężkie położenie polityczne ówczesnego króla polskiego, Władysława Łokietka, podstępnie opanował Pomorze, dokonując krwawych rzezi ludności pomorskiej w Gdańsku, Świeciu i innych grodach pomorskich. Bezprawny zabór Pomorza przez Krzyżaków został dwukrotnie potępiony przez najwyższy średniowieczny czyn-



Mapa zatoki Puckiej z czasów wojen szwedzkich (wiek XVII).

Pomijając czasy przedhistoryczne, w których Pomorze było zamieszkiwane przez ludy słowiańskie, Pomorze od r. 960—1308 i od 1454—1772, a więc przez 666 lat należało do Polski, a tylko w latach 1308—1454 i 1772—1919, zatem tylko przez 293 lat było pod obcą władzą.

Ludność polska na Pomorzu zachowała nawet za czasów zaboru pruskiego przewagę liczebną mimo systematycznej przeciwpolskiej polityki rządu pruskiego, który stosował wobec ludności polskiej prawa wyjątkowe, i mimo działalności Komisji Kolonizacyjnej, która od roku 1886 osadzała na Pomorzu kolonistów, sprowadzanych z głębi Niemiec, by wzmocnić stan posiadania niemieckiego na Pomorzu.

Północno-zachodnią część Pomorza oraz pograniczne powiaty niemieckiej prowincji Pomeranii i Wolnego Miasta Gdańskiego zamieszkują Kaszubi. Liczba ich na Pomorzu wynosi około 140 000 (według spisu pruskiego z r. 1910 — 120 000).

Kaszubi są szczepem w łonie narodu polskiego, posługującym się własnym dialektem. Są to resztki dawnych Słowian Zachodnich, którzy zamieszkiwali całe dzisiejsze wschodnie Niemcy po Łabę i zostali doszczętnie wytępieni przez Niemców. Różnice ich dialektu od innych dialektów polskich są mniejsze niż różnice między poszczególnymi dialektami niemieckimi lub między dialektem prowansalskim a językiem francuskim.

Wyjątkowe znaczenie Pomorza dla całości struktury gospodarczej Państwa polega na tem, że zapewnia ono jedyny, swobodny i nieskrępowany dostęp Polski do morza. Polska jako duże państwo nowoczesne z 32-miljonową ludnością utrzymuje ożywione stosunki gospodarcze i kulturalne niemal ze wszystkimi krajami świata. Jeżeli mówi się o „interesach Polski na morzu“ należy brać pod uwagę następujące składniki:

1. konieczność zapewnienia dla własnego gospodarstwa niezbędnych surowców i fabrykatów pochodzenia zamorskiego;
2. dążenie do umieszczenia w krajach zamorskich w zamian za powyższe nadwyżek własnej produkcji;
3. korzystanie w tym celu z portów morskich, położonych na terytorjum Państwa Polskiego i pozwalających na niezależnienie wymiany towarowej od niepożądanych wpływów czynników obcych;
4. uprawianie żeglugi morskiej i rybołówstwa morskiego przy oparciu o własne porty;
5. utrzymywanie styczności z licznymi skupieniami ludności polskiej w krajach zamorskich.

Do orientacji polskiego życia gospodarczego i wymiany towarowej w kierunku morskim zmusza okoliczność, że głównymi sąsiadami są Rosja i Niemcy, z którymi Polska graniczy na przestrzeni 3324 km, co stanowi 60 % ogólnej długości granic. Tymczasem właśnie na tych najbliższych rynkach dwóch największych sąsiadów istnieją i piętrzą się nadal poważne przeszkody, utrudniające normalną wymianę towarów. Z uwagi, że Niemcy popierają rolnictwo, a Rosja — przemysł, — Polska z natury rzeczy zmuszona jest szukać przede wszystkim na szlakach morskich zarówno niezbędnych dla siebie surowców, jak też nabywców na płody własnej produkcji, gdyż tylko tą drogą może uniknąć przeszkód i ograniczeń celnych i tranzytowych. Szczególne znaczenie dostępu do morza dla Polski wynika chociażby z tego, że około 40 % ogólnej ilości zatrudnionych w Polsce robotników (w r. 1929 345 000 osób) pracowało tylko w przemyśle włókienniczym oraz górnictwie, których losy są ściśle związane z możliwością nieskrępowanej wymiany towarowej z krajami zamorskimi.

Państwo Polskie bez własnego dostępu do morza nie mogłoby istnieć jako niezależne państwo i nie miałoby możliwości swobodnego rozwoju gospodarczego. Przez oba porty polskie Gdańsk i Gdynię idzie przeważna część polskiego handlu zagranicznego, która z każdym rokiem wzrasta i wynosiła pod względem tonażu w r. 1930 — 51,3 %, a w r. 1931 — 63,2 % ogólnego obrotu polskiego handlu zagranicznego*). Przed wypowiedzianą przez Niemcy w r. 1925 wojną celną 50 %, a po tym roku, mimo wojny celnej, 25—35 proc. całego handlu zagranicznego Polski przechodzi przez Niemcy. W razie więc utraty przez Polskę Pomorza 80—90 proc. handlowego obrotu zagranicznego Państwa Polskiego byłoby pod gospodarczą kontrolą Niemiec. Oznaczałoby to oddanie 32-miljonowego Państwa Polskiego w niewolę ekonomiczną Niemiec.

*) Według dotychczasowych obliczeń rok 1932 wykaże dalszy wzrost udziału handlu morskiego w handlu zagranicznym Polski.

Józef Ignacy Kraszewski.

BALTYK

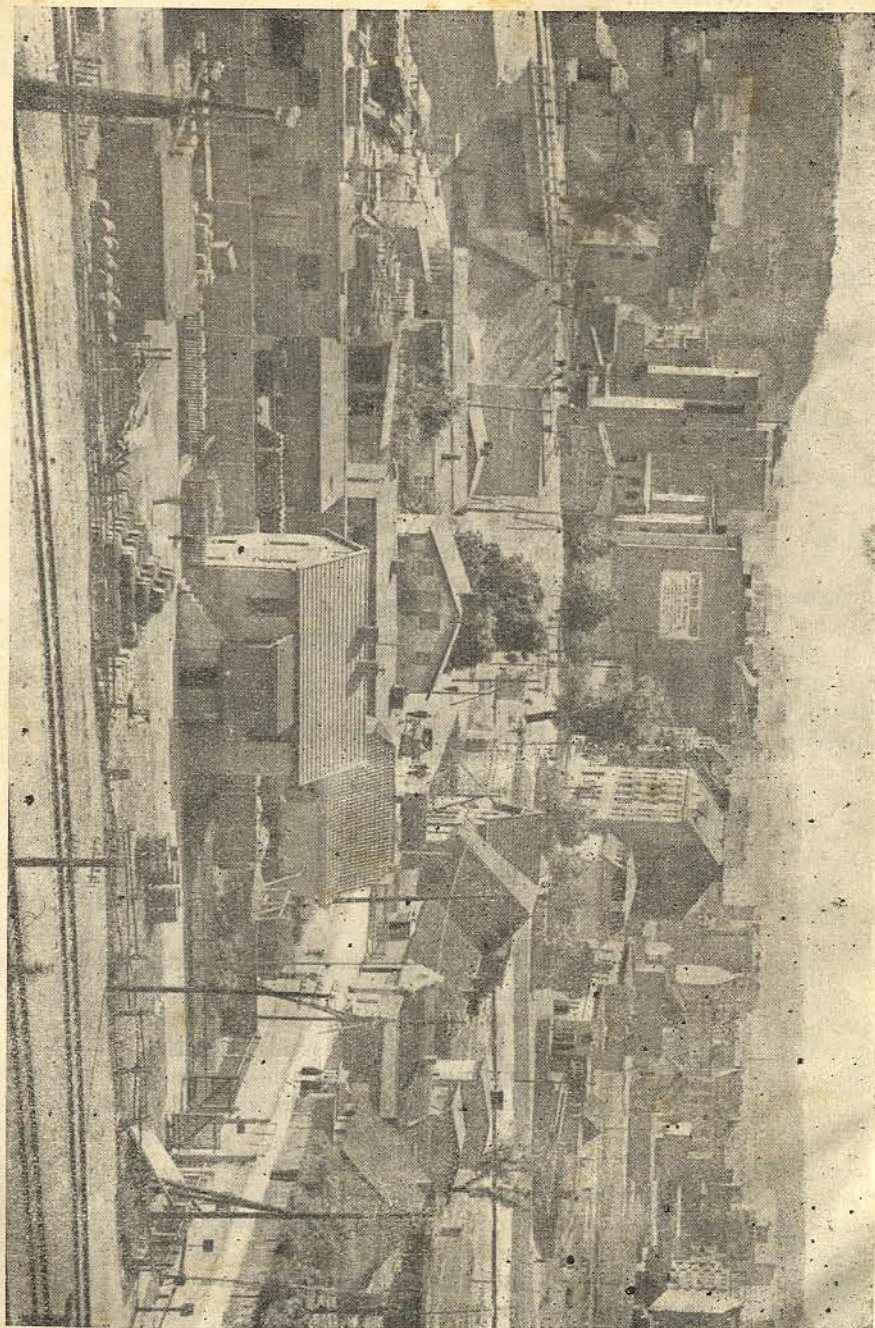
O morze! sine morze! kto nad cię piękniejszy!
Z wszystkich Stwórcy objawień, kto większy od ciebie?
Nic twych wdzięków nie zgasi, wielkości nie zmniejszy,
Piękneś w obliczu ziemi, i piękne przy niebie,
I wielkie i ogromne, jakby Bóg cię stworzył,
Aby wieczność wystawił, ludzi upokorzył.

Czy słońce się przegląda w twej zielonej fali,
I, topiąc swe promienie w przezroczyste głębie,
Stem barw ciebie ubiera, płomieniem zapali,
Lub maluje, jak opał, jak szyje gołębie,
Czy noc czarna zapadnie, Menes wejdzie błądy,
I strugą światła srebrną wysypie swe ślady —

Ty zawsze wielkie, piękne, ty zawsze cudowne!
Oko ludzkie, co na twych przestrzeniach spoczywa,
Drogie myśli z twych głębin, obrazy czarowne,
Drozsze pereł, koralu, nurzając, dobywa;
A ucho, twego głosu słuchając zdumiałe,
Zda się słyszy, jak w niebie nucą Bożą chwałę.

Ciche, tyś wielkie, straszne w swoim majestacie,
W lazurem, zielonością wyszywanej szacie,
Zburzone, ty falami bijąc brzeg zszarpany,
Rycząc, z wnętrzości białe wyrzucając piany,
Trwogą napełniasz serce, dusze niepokojem,
Jakbyś ziemię pochłoniąć chciało w łonie swoim.

Morze! czemuż ten, co cię pokochał namiętnie,
Jak pierwszą miłość w duszy, pamięć twoją chowa,
I wspomina o tobie z uniesieniem, smętnie!
We snach ku twoim brzegom zwraca mu się głowa
I serce na szmer fali podnosi się twojej,
A w oczach wciąż twa wielkość i piękność mu stoi?



Gustaw Orlicz-Dreszer — gen. dyw.

„Chcemy żyć pokojem, pracą i prawem”

Przemówienie, wygłoszone na Święcie Morza w Gdyni dnia 31. VII. 1932

Ze wszystkich stron wielkiej Ojczyzny, jak długa i szeroka, zjechaliśmy na ten brzeg piaszczysty, omywany wiecznie żywymi i pracowicie ruchliwymi falami potężnego żywiołu morskiego.

Przybyliśmy złączeni jedną myślą, związaną najściślej z przyszłością mocarstwową Państwa i tak silnie zespoloną z dobrą dolą Narodu, że niema na ziemi polskiej obywatela, dla którego niezrozumiałe byłoby bogactwo posiadania wolnej granicy morskiej, dającej nieskrępowane wyjście na cały, dostępny dla nas świat. Pogodni i radośni, zapatrzeni w zachwycie w bezgranicznych horyzontach potęgę wspaniałą, obchodzimy dzisiaj święto morza, polskiego od wieków i po wieki wieczne. I gdy stopy nasze dotykają tej starej ziemi lechickiej, na której „jak okiem spojrzeć wstecz krew się łała”, — niema w sercach naszych nienawiści i bezlitosnej chęci zemsty. Przyszliśmy „na jałowe piaski pobrzeża” Bałtyku, jak mówi jeden z najlepszych synów Polski „z pokojem i pracą”.



Gen. Gustaw Orlicz-Dreszer, prezes Zarządu Głównego Ligi Morskiej i Kolonjalnej.

Gdy spoglądamy na szeroko rozpostarte przed oczyma naszymi olbrzymie przestrzenie morza, niezgłębionego i bezkresnego, jak gdyby w przestrzeni i czasie, jawi się nam cud Bożej twórczości niepojętej, przed którą człowiek może tylko kornie uchylić czoła w zdumieniu dziękczynnem.

A teraz patrzcie! Na brzegu tych wód ruchliwych i czynnych bezustannie, jak wieczny motor życiodajny, pracujący wytrwale i wiernie dla

wszystkich, którzy pracować chcą i umieją, potężnym wysiłkiem dzisiejszego pokolenia zbudowane, — wyrosło miasto mające słuszne prawo do nazwy polskiej stolicy morskiej. Gdynia!

Ileż treści najgłębszej, podyktowanej zdrowym instynktem Narodu, oraz serdecznym i mądrym przewidywaniem najlepszych jej synów, — mieści ta nazwa cudowna grodu portowego znanego przynajmniej z imienia każdemu dziecku polskiemu, a wiodącego już dzisiaj władnie Najjaśniejszą Rzeczpospolitą ku lepszej, wspanialej przyszłości.

Jesteśmy świadkami potężniejącego z roku na rok wzrostu błogosławionego miasta, które jak gdyby powietrze orzeźwiające w płuca i krew czerwoną w żyły organizmu państwowego wsacza, pobudzając do zwiększenia ruchu rozmachu całokształt gospodarstwa narodowego i pracując bezustannie dla dobrobytu ludu polskiego.

Codziennie przez rok cały wre praca w pogłębianych basenach portu. Przyptywają i odpływają na morze dalekie wielkie korabie, okrętami dzisiaj zwane, niosąc dorobek narodu na wymianę do innych krajów, w swych wnętrzach wypełnionych twórczą pracą ludzką. Przywożą one dobrobyt ludom pracowitym i stają się przez to wielką dźwignią postępu i rozwoju kultury.

A imię narodu dzielnego, łopoczącą na wicherze morskim banderę z godłem państwowym, na ziemiach wszystkich rozsławiają. Niech więc wzrasta nasz gród nadmorski Gdynia i trud przeogromny dla dalszych pokoleń polskich potęguje wiecznie, jak wieczny jest ruch fal, uderzających o jej brzegi piaszczyste i twardy beton portowy.

Niezlomna praca ludu polskiego niech się łączy wytrwale z nieustającym wysiłkiem morza dla lepszej, wymarzonej i wielkiej przyszłości tych, co po nas przyjdą i budować będą dalej wieczny i obszerny gmach Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, mający dać wszystkim jej synom dogodne i dostatnie bytowanie.

Na całym pięknym polskim pobrzeżu morza Bałtyckiego coraz to nowe powstają osiedla, jakgdyby zwycięskie pokolenie dzisiejsze naprawić chciało jednym zamachem błędy przodków, a znojem swoim ofiarnym utrwalić i rozszerzyć, przez mądre wykorzystanie, morskie władanie nasze.

Gdy się widzi ten wysiłek przeogromny, znika zwątpienie, a w marzeniach nauczycieli i wodzów narodu poczęte, wyrastają kwiaty otuchy i wiary, by zrodzić pewność mocarstwowej przyszłości Narodu i Państwa, składającego swój dorobek kulturalny do skarbnicy całej ludzkości, przez nawiązanie drogą morską węzłów przyjaźni ze wszystkimi narodami świata.

Obróćmy się frontem do morza!
Jakiejże niepokonanej i niezlomnej potęgi przykład nam ono daje!
I pracy nieustępliwej bezustannego trwania! Wolności radosnej i twórczej panowania nieograniczonego!

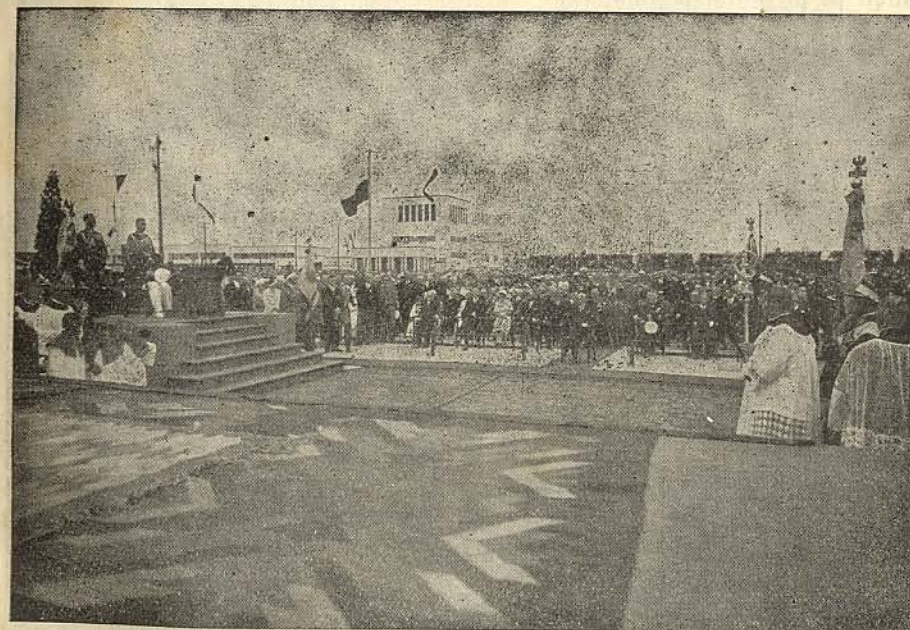
W uroczystym pogodnym dniu święta morskiego, nie wspominajmy tych, co po wolność morza naszego sięgają.

Nie odpowiadajmy na ich argumenty beztreściwe.
Dzisiaj, gdy do Państwa Polskiego powróciła najskąpiej wykrojona, niezbędna do jego życia część brzegu morskiego, nie mamy nic do targów i nic do oddania.

Chcemy żyć pokojem, pracą i prawem.

Święto Morza w Gdyni w dniu 31 lipca 1932

Na jednym z posiedzeń zarządu oddziału Ligi M. i K. w Gdyni, wczesną wiosną roku ub., padła myśl zorganizowania w Gdyni, na wzór państw zachodu, Święta Morza. Myśl ta została gorąco podchwyciona przez Zarząd Główny Ligi M. i K. i rozpoczęte zostały wspólne wysiłki, celem nadania temu Świętu jak najszerzego rozgłosu i jak najbardziej uroczystego charakteru. J. E. Ks. Biskup Chełmiński w Pelplinie, Dr. Stanisław Okoniewski, do którego zwrócono się o wyznaczenie dnia Święta Morza, przyjął inicjatywę Ligi Morskiej i Kolonjalnej jak najbardziej życzliwie i nie tylko ustalił dzień Święta Morza w Polsce po wszystkie czasy na 29 czerwca, tj. na dzień św. św. Piotra i Pawła, ale wyraził gorące pragnienie osobistego celebrowania uroczystego nabożeństwa w czasie pierwszego inauguracyjnego obchodu Święta Morza. Wobec tego jednak, że w końcu czerwca odbywał się w Dublinie, w Irlandji, kongres eucharystyczny, w którym Ks. Biskup miał wziąć udział, przeto wyjątkowo w roku ubiegłym przesunięto obchód Święta Morza na koniec lipca.



Święto Morza: — Uroczyste nabożeństwo na morze Rybackiem.
Na lewo siedzi Pan Prezydent Rzeczypospolitej w mundurze Komandora Honorowego.

Liga Morska i Kolonjalna zwróciła się z prośbą do Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, prof. Ignacego Mościckiego, który niejednokrotnie dawał dowody swego najwyższego zainteresowania dla spraw morskich, aby raczył uświetnić Święto Morza swoim osobistym w nim udziałem. Pan Prezydent Rzeczypospolitej wyraził bardzo chętnie swą zgodę na przyjazd do Gdyni.

Rozpoczęły się gorączkowe przygotowania do tego, aby obchód wypadł jak najwspanialej. Zarząd Główny L. M. i K. wziął na siebie rozpragowanie Święta Morza w Polsce. Poszły setki listów do wszystkich sto-

warzyszeń i organizacji społecznych w Polsce z zaproszeniem do wzięcia udziału w pierwszym Święcie Morza, przez mikrofon „Polskiego Radja” popłynęły wezwania do całego narodu.

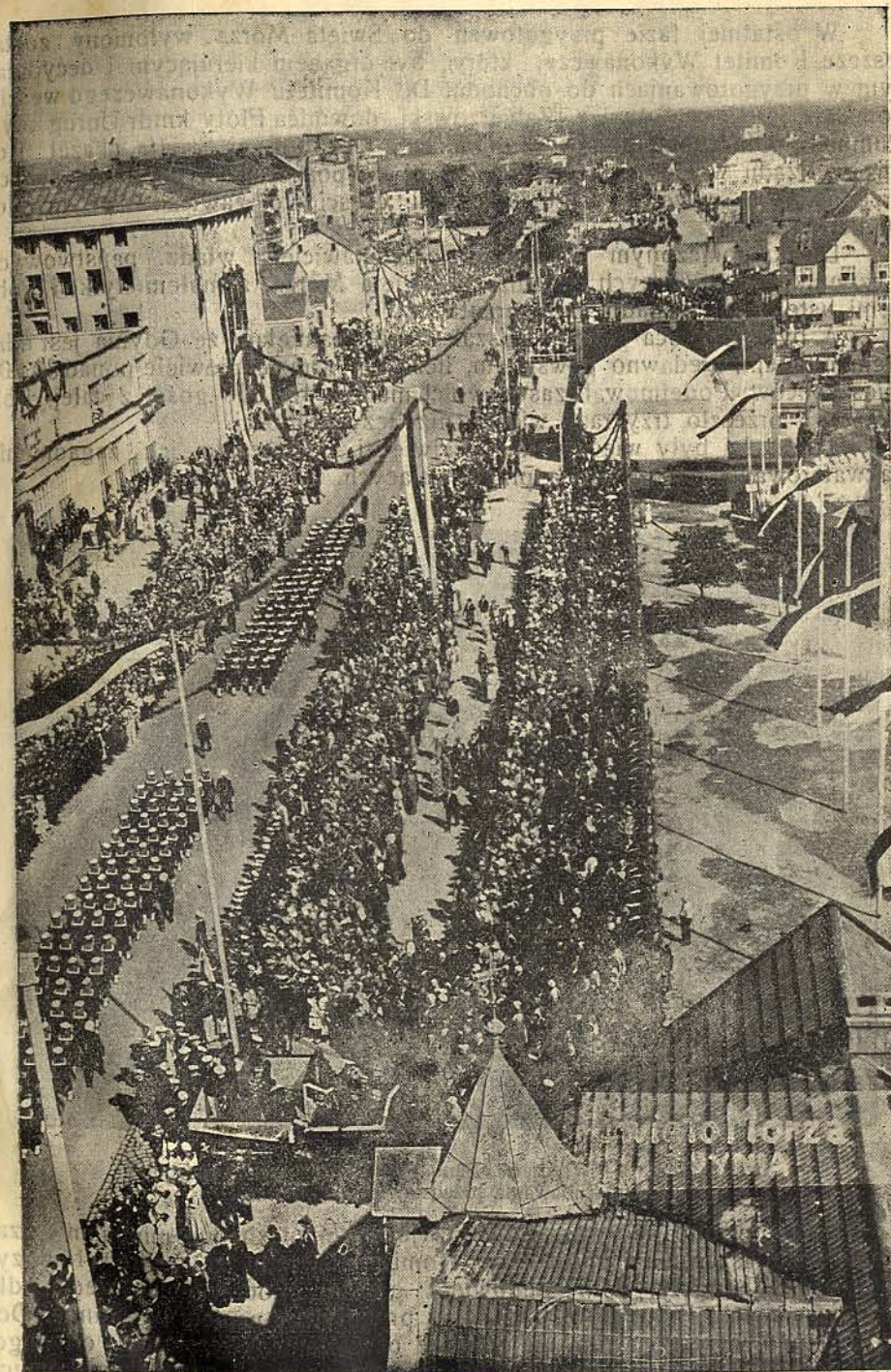
Już wcześniej powstał Komitet Honorowy „Święta Morza”, na którego czele stanął J. E. Ks. Biskup Okoniewski i do którego zaproszeni zostali p. p.: inż. Dobrzycki — prezes Dyrekcji P. K. P. w Gdańsku, Kirtiklis — wojewoda pomorski, inż. Korzón — prezes Izby Przemysłowo-Handlowej w Gdyni, inż. E. Kwiatkowski b. Minister Przemysłu i Handlu, gen. dyw. Orlicz-Dreszer, — prezes Zarządu Głównego Ligi Morskiej i Kolonjalnej, dr. Pappée — komisarz generalny R. P. w Gdańsku, gen. bryg. Paślawski — dowódca O. K. VIII, inż. Łęgowski — dyrektor Urzędu Morskiego w Gdyni, komandor Unrug — dowódca Floty, inż. Wenda — naczelnik Wydziału Budowy Portu w Gdyni i Zabierzowski — komisarz rządu w Gdyni.

Jednocześnie powstał w Gdyni Komitet Organizacyjny Święta Morza, do którego weszli p. p.: jako prezes — dyr. J. Rummel, prezes gdyńskiego oddziału L. M. i K. i jako wiceprezysi: komandor-por. W. Filanowicz i A. Wachowiak. Na czele poszczególnych komisji Komitetu Organizacyjnego stanęli p. p.: komisja finansowa — dyr. Gawiński, kwaterunkowa — płk.



Święto Morza: — Przemówienie p. min. Kwiatkowskiego.

Pożerski, aprowizacyjna — B. Nowacki, propagandowa — red. Downarowicz, porządkowa — insp. Mamczyński, dekoracyjna — inż. Müller, komunikacyjna — prezes inż. Dobrzycki (w zastępstwie przewodniczył inż. Dyakiewicz), organizacyjna na lądzie i na wodzie — kmr. - por. Filanowicz, zabawowa — Bartoszewski, sanitarno-ratunkowa — dr. Stankiewicz, informacyjna — mjr. Podlasiecki. Poza tem działała oddzielnie autonomiczna komisja zbiórki na Bazylikę pod przewodnictwem p. dyr. Grabowskiego.



Święto Morza: — Czoło defilady na ul. 10. lutego.

W ostatniej fazie przygotowań do Święta Morza wyłoniony został jeszcze Komitet Wykonawczy, który był organem kierującym i decydującym w przygotowaniach do obchodu. Do Komitetu Wykonawczego weszli: komisarz rządu w Gdyni p. Zabierzowski, dowódca Floty kmdr Unrug i dyr. Rummel. Olbrzymią pomoc w organizacji Technicznej Święta okazał Komisarz Rządu w Gdyni, który delegował do poszczególnych robót swoich urzędników, a nawet w ciągu kilku dni częściowo zawiesił swe urzędowanie.

Dzięki połączonym wysiłkom przedstawicieli władz państwowych i czynników społecznych organizacja Święta Morza, z małymi tylko i drobnymi usterkami, wypadła bez zarzutu.

A była to praca nielada. Wszak trzeba pamiętać, że Gdynia jest miastem młodem, niedawno powstałym, liczącym narazie niewiele ponad 30.000 mieszkańców. Podejmowała zaś w swoich murach 100.000 gości z całej Polski, czyli przeszło trzy razy więcej, niż liczy ludność.

Trudności były więc wielkie. Najwięcej nastroczało ich zagadnienie zakwaterowania i wyżywienia przybywających.



Święto Morza: — „Wręczenie” Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej aktu ślubowania przedstawicieli Pomorza.

Postanowiono dać wszystkim przyjezdnym niezbędne minimum w zakresie rozmieszczenia i aprowizacji. Komisarjat Rządu zarekwirował wszystkie szopy, stodoły, wolne budowle i gmachy pod pomieszczenia dla przybywających. Przygotowano w nich prymitywne noclegi na słomie. Doprowadzono wszędzie wodę i niezbędne oświetlenie. Niezależnie od tego, przy pomocy władz centralnych Ligi, wypożyczono od władz wojskowych 70 wielkich namiotów, na 100 osób każdy, z których powstało prawdziwe miasteczko na wolnych terenach na Grabówku. Doprowadzono do tych namiotów rury wodociągowe z kranami.

To też kwatery wystarczyło. W niedzielę, 31 lipca, rano było jeszcze wolnych miejsc dla około 3.000 ludzi.

Również całkowicie zadowalająco wywiązała się ze swego zadania komisja aprowizacyjna. Jadła i napojów było pod dostatkiem.

Na wielu placach i wolnych terenach wyrosły liczne bufety i jadłodajnie pod otwartym niebem.

Służba sanitarna była także zorganizowana bez zarzutu. Na szczęście odbyło się, mimo tak kolosalnego zjazdu, bez żadnych wypadków.

Porządek w czasie obchodu panował wzorowy. W ciągu całego dnia policja zatrzymała zaledwie kilka osób i to prawie wyłącznie za znajdowanie się na ulicach w stanie nietrzeźwym. Zanotowano zaledwie dwie drobne kradzieże kieszonkowe.

Pogoda przez cały czas panowała wspaniała. Było słonecznie, lecz nie za gorąco, a noc zupełnie ciepła, tak, że wiele osób nawet nie zgłaszało się o kwatery i obozowało pod gołym niebem.

Pociąg nadzwyczajny, wiozący Pana Prezydenta Rzeczypospolitej oraz p. Premjera i członków rządu, przeprowadzony został wprost do portu wojennego w Oksywiu. Wsiadającego przy dźwiękach hymnu narodowego Pana Prezydenta powitali przedstawiciele władz i wojskowości oraz prezes Zarządu Głównego Ligi Morskiej i Kolonjalnej p. gen. G. Orlicz-Dreszer, jak również przedstawiciele Komitetu Organizacyjnego Święta Morza z prezesem p. Rummlem na czele. Pan Prezydent przeszedł przed frontem kompani konorowej marynarki, poczem udał się na pokład statku „Żegluga Polskiej” — „Gdynia”, na którym zamieszkał. W chwili wejścia na pokład „Gdyni” oddano z krążownika „Bałtyk” na cześć Pana Prezydenta Rzeczypospolitej salut 21 strzałów armatnich.

Tymczasem na molo Rybackim stanęły w rozwiniętym szyku kompanie marynarki, bataljon morski z Wejherowa, poczty sztandarowe 4 pułków kawalerji, wchodzących w skład pomorskiej brygady jazdy, szwadrony ułanów i bataliony przysposobienia wojskowego. Na nabrzeżu Wilsonowskim ustawiono wspaniały ołtarz polowy, zaprojektowany przez inż. architekta Müllera. Obok ołtarza zaczęli się gromadzić przedstawiciele władz, organizacji i stowarzyszeń. Barwną oprawę stanowiły poczty sztandarowe różnych organizacji, które zajęły miejsca dookoła ołtarza. Obok podium, wzniesionego dla Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, stanęła bandera Ligi Morskiej i Kolonjalnej razem z asystą. Poza tem na zgóry wyznaczonych miejscach ustawiać się zaczęły przybyłe ze wszystkich zakątków kraju delegacje. W głębi stanął tłum nieorganizowanych uczestników uroczystości. Niebawem całe obszerne molo Rybackie i wybrzeże pokryło morze głów ludzkich. Kilka gigantofonów, rozmieszczonych na całym terenie uroczystości, pozwalało słyszeć wszystkim każde słowo, wygłoszone przy ołtarzu, czy na mównicy. Mikrofon „Polskiego Radja” transmitował uroczystość na całą Polskę.

W basenie Prezydenta, który znajduje się jeszcze w budowie stanęło na kotwicach kilkadziesiąt kutrów rybackich, wszystkie jachty i motorówki. Przy pomoście pasażerskim ustawiono statki pasażerskie „Żegluga Polskiej”. Dalej zaś pod Kamienną Górą stanęły na redzie portu przybrane galą flagową wszystkie jednostki naszej Floty z kontrtorpedowcem „Wicher” i łodziami podwodnymi „Żbik”, „Ryś” i „Wilk” na czele. Nieco z boku widniała zgrabna sylwetka norweskiego żaglowca szkolnego „Staatsraad Lehmkuhl”.

który poprzedniego dnia zawitał do Gdyni i którego oficerowie, załoga i uczniowie z konsulem norweskim w Gdyni p. Svendsenem na czele wzięli udział w Święcie Morza. Poza tem wszystkie stojące w porcie okręty podniosły galę flagową.

Punktualnie o godz. 11 przed poł. przybył do nabrzeża Wilsonowskiego O. R. P. „Mewa“, na którego pokładzie znajdował się Pan Prezydent Rzeczypospolitej ze swem otoczeniem. Przy zejściu na ląd Pana Prezydenta orkiestra Marynarki Wojennej odegrała hymn narodowy, poczem Pan Prezydent zasiadł na specjalnem podwyższeniu z prawej strony ołtarza polowego.

W krzesłach zajęli m. inn. miejsca: p. premier Prystor, marszałek Sejmu Światalski, marszałek Senatu Raczkiewicz, prezes Najwyższej Izby Kontroli dr. J. Krzemiński, min. Hubicki, szef Kierownictwa Marynarki Wojennej admirał Świrski, generał Orlicz-Dreszer, podsekretarze stanu: Beck, Doleżał i Gallot, komisarz generalny R. P. w Gdańsku min. Pappée, generalicja z inspektorem armji gen. Norwid-Neugebaurem na czele, dyrektor Dep. Morskiego w M. P. i H. Hulchen, wojewoda pomorski Kirtiklis, dowódca Floty komdr. Unrug, komisarz rządu w Gdyni Zabierzowski i inni.

Mszę Świętą celebrował w asyście liczego duchowieństwa J. E. Ks. Biskup Okoniewski. Pienia religijne wykonał chór pod batutą prof. Nowowiejskiego. W czasie Mszy grała orkiestra Marynarki Wojennej pod batutą kpt. Dulina.

Po nabożeństwie Ks. Biskup Okoniewski wygłosił do zebranych podniosłe kazanie okolicznościowe, w którym m. inn. podniósł, że na morzu musimy pracować dla dobra Polski i całej ludzkości. — Zetknięcie się z morzem każe dzięki czynić Twórcy za to morze, które jednocześnie zmusza nas do wielkich wysiłków, aby ten boski dar mógł być należycie wykorzystany dla pożytku kraju i całego świata.

Po kazaniu Ks. Biskup pobłogosławił morze, zebrane na niem okręty i tłumy uczestników uroczystości.

Po nabożeństwie wszedł na mównicę prezes oddziału gdyńskiego Ligi Morskiej i Kolonjalnej, p. Julian Rummel, który wygłosił krótkie przemówienie wstępne.

Następnie zabrał głos owacyjnie witany i gorąco oklaskiwany p. inż. Eugenjusz Kwiatkowski, b. Minister Przemysłu i Handlu.

Po nim wygłosił gorąco przyjęte przez zebranych przemówienie prezes Zarządu głównego Ligi Morskiej i Kolonjalnej, p. gen. G. Orlicz-Dreszer.

Po przemówieniach, na czele kilkudziesięciu przedstawicieli wszystkich miast i powiatów pomorskich stanął przed Panem Prezydentem Rzeczypospolitej pomorski starosta krajowy p. Łacki, który po przemówieniu złożył na ręce Pana Prezydenta następujący akt ślubowania.

AKT ŚLUBOWANIA.

„My przedstawiciele ziemi i miast pomorskich, zebrani w dniu „Święta Morza” nad Bałtykiem, którego szerokie wybrzeża przez wieki znajdowały się w posiadaniu przodków naszych, a gdzie dzisiaj wysiłkiem całej naszej Ojczyzny port Gdynia wyrasta i krzepnie, aby ugruntować moc i potęgę Państwa, zmierzającą do zapewnienia dobrobytu przyszłych pokoleń polskich;

w obliczu Najdostojniejszego Prezydenta Rzeczypospolitej, przedstawicieli Rządu, Duchowieństwa oraz władz wojskowych i cywilnych; zaprawieni od wieków w walce o wolność Pomorza i całość zjednoczonych ziem polskich,

pomni nakazu Mściwoja, wzywającego nas do nierozzerwalnego, a wiernego związku z naszą Macierzą Polską,

zapatrzeni w niezłomną wolę przodków naszych, co przed pół tysiącem lat w Związku Pruskim pod hasłem Ojczyzny Polskiej składali Jej ochoczo ofiary z krwi i mienia w walce z najeźdźczym Zakonem Krzyżackim,

zahartowani w dobie ostatniej uporczywą obroną języka i ziemi, kultury i mienia oraz całej tradycji przodków przed chciwym spadkobiercą rycerzy krzyżackich,

wzmacniamy dziś nierozzerwalność węzłów naszych z Polską i ślubujemy Jej wierność i wytrwałość niezłomną w pełnieniu straży przy tej niezwalczonej twierdzy polskiej nad Bałtykiem — tak nam dopomóż Bóg!

Po akcie hołdu Pomorza zabrał głos Pan Prezydent Rzeczypospolitej.

Następnie żegnany okrzykami na swą część udał się Pan Prezydent z powrotem na pokład O. R. P. „Mewa” i odjechał do przystani Yacht Klubu Polski, gdzie wraz z otoczeniem podejmowany był przez Yacht Klub śniadaniem.

O godz. 14 P. Prezydent w otoczeniu świty, przedstawiceli rządu i generalicji zajął trybunę, ustawioną przy ul. 10-go Lutego. Rozpoczęła się defilada wojska, prowadzona przez dowódcę pomorskiej brygady kawalerji płk. Abrahama. Przedefilowały entuzjastycznie witane przez tłumy publiczności oddziały marynarki, morskiego dywizjonu lotniczego, podchorążych sanitarnych, bataljon morski, szwadrony kawalerji i delegacje pułkowe. Za wojskiem w długich kolumnach maszerowały oddziały przysposobienia wojskowego, związków zawodowych, organizacji społecznych, delegacje Ligi Morskiej i Kolonjalnej z najodleglejszych zakątków kraju. Długo niemilknącymi oklaskami witano delegacje Gdańska, Śląska, Podhala, Łowickiego, Wołynia, Wilna i t. d. Udział w pochodzie grupy czeskosłowackiej oraz młodzieży litewskiej przybyłych do Gdyni na „Święto Morza”, wywołał gorące wyrazy sympatii. Pochodowi, który trwał zgórą 2 godziny, przyglądali się licznie przybyli goście i tłumy miejscowej ludności, zalegające ulice, balkony i dachy domów.

Po defiladzie Pan Prezydent eskortowany przez szwadron honorowy ułanów odjechał do portu wojennego. W czasie defilady krążyła nad miastem eskadra aeroplanów z 4-go pułku lotniczego z Torunia.

Po południu o godz. 18 P. Prezydent wraz z całym otoczeniem udał się na stadion sportowy, gdzie odtworzono widowisko „Opowieść Bałtycka“, utwór Janusza Stępowskiego pod dyрекcją i reżyserją Ireny Solskiej, w wykonaniu jej zespołu.

Uroczystości zakończył raut w auli Państwowej Szkoły Morskiej, wydany przez Pana Prezydanta Rzeczypospolitej, w którym wzięło udział kilkaset osób.

Dusza budowniczych lackiego państwa urodziła się nie w górach, ani też w lasach lecz na zielonych pagórkach Rujani (Rugji), skąd otwierał się widok na bezkresne błękity morza.

WACŁAW SIEROSZEWSKI

„Na własnej ziemi stoimy...”

Przemówienie, wygłoszone w dniu Święta Morza w Gdyni, dnia 31. VII. 1932

Gdyby tu, ponad brzegami Bałtyku mogły przemówić dziś dawno zagasłe i zapomniane wieki historii, gdyby tu w cudowny sposób mogły się odezwać zczerniałe obrazy i stare kamienie, ruiny i mury miast, zamków, kościołów, pomników i grobowców, gdyby tu wyszła dziś z fal morskich wizja zatopionych w ciągu stuleci okrętów z polską banderą, gdyby dziś zjawić się mogły cienie i duchy rycerzy i żołnierzy, którzy tu walczyli i tu polegli od najdawniejszych zamierzchłych lat słowiańsko-polskiej historii nad Bałtykiem, gdyby tu ożyły na chwilę wszystkie ofiary i wszystkie wysiłki, wszystkie myśli i wszyscy ludzie, którzy w imię Polski trwali i organizowali się w ciągu tysiąclecia nad brzegami Bałtyku — to w dniu dzisiejszego „Święta Morza” zerwałby się jeden wielki, potężny, niemilkący okrzyk na przestrzeni wielu kilometrów wybrzeża, od Odry aż po Niemni: Niech żyje Polska!



Inż. Eugenjusz Kwiatkowski.

Nie przybyliśmy tu nad morze polskie ani jako goście, ani jako wędrowcy, nie przybyliśmy tu z niczyjej łaski, ani obcej protekcji. Na własnej ziemi stoimy, na własną przeszłość — nieraz bohaterską i zwycięską, czasem twardą i gorzką — tu spoglądamy, dla własnej lepszej przyszłości tu trwać i pracować będziemy i własne polskie morze dzisiejszem świętem uczymy! Tu — nad brzegami Bałtyku, koncentrowały się zawsze najważniejsze sprawy gospodarcze i polityczne Polski, tu były źródła wielkości, sławy

i potęgi Polski Zygmuntońskiej, tu — gdy Polska od spraw morza i handlu odwracać się poczęła — wylęły się i wyrosły pierwsze siły, pracujące systematycznie nad zgonem i upadkiem Rzeczypospolitej XVIII wieku!

Bo też nigdzie nie rozstrzygały się sprawy ważniejsze dla Polski, decydujące o losie wielu pokoleń, o położeniu wielu milionów ludzi, sprawy nieraz niepozorne, a przecież sięgające swymi skutkami aż do źródeł bytu państwowego, jak właśnie tu — na brzegach morza Bałtyckiego. Zarazem żadna z dzielnic w najdawniejszej przeszłości Polski, w epoce Piastów i Jagiellonów, nie była może w takiej bliskości zrószone krwią polską w obronie przed obcym najazdem, jak właśnie ziemia pomorska,

Rozumiała dawna Polska polityczną wartość ziemi pomorskiej i wybrzeży Bałtyku, ale często nie doceniała wartości gospodarczej tych dzielnic i wartości własnej wytrwałości i upartej pracy na morzu, pomimo, iż każde pokolenie olbrzymi haracz płaciło obcym za ten błąd. Odwrotnie, z niewykłą jasnością rozumieli wrogowie Polski, że kto chce Polskę, jako państwo politycznie zabić a gospodarczo uzależnić i eksploatować, że kto chce naród polski „z wolnego — niewolnikiem uczynić” — ten musi dążyć niezmiennie do odcięcia Polski od morza i wytępienia ludności polskiej na Pomorzu.

Tu bowiem, — u wrót Bałtyku — nad tą małą „resztówką” praw Polski do morza, tu u stóp powstającej Gdyni i w porcie gdańskim leży i klucz egzystencji i rozwoju gospodarstwa polskiego dziś — tak samo — jak leżał tu przed wiekami. Tu, u wrót Bałtyku, leżą najszczytniejsze i najstarsze tradycje historyczne Polski z okresu, w którym naród zorganizowany, rządny, wolny, spoiły, zamożny, stojący na straży prawa, nie mieczem, ale rozumem i miłością, łączył narody i w zgodzie rozwiązywał największe zagadnienia wewnętrzne. Tu, u wrót Bałtyku, koncentrują się najistotniejsze walory polityczne Polski. Tu dopiero każdy, choćby najmniej — obywatel rozumie naocznie i odczuwa, że Polska jest wolna i niepodległa.

Dziś więc, gdy godność zdeptanej sprawiedliwości międzynarodowej została ponownie przywrócona, gdy zbrodnie podziałów Polski zostały przekreślone, gdy zgodnie z manifestem pokojowym wielkiego prezydenta Stanów Zjednoczonych W. Wilsona i zgodnie z wyrokiem, aprobowanym przez cały prawie cywilizowany świat, Polska powróciła nad własne brzegi Bałtyku, to musimy mieć nigdy niezamąconą świadomość, że tu obok przysługujących nam praw, ciąży na nas dziejowe i poważne obowiązki.

Trzeba umieć i chcieć uczciwie popatrzeć na mapę polityczną i gospodarczą Polski współczesnej, aby zrozumieć wartość naszej granicy morskiej, pracującej ekonomicznie już obecnie stokrotnie aktywniej, niż jakakolwiek granica lądowa Rzeczypospolitej. Żaden kraj w Europie nie ma podobnej sytuacji martwych gospodarczo granic lądowych, żaden kraj nie może zrozumieć i odczuć, czym jest dla nas port gdyński, Gdynia i Pomorze, czym jest dla nas bezpośredni kontakt z morzem, jak głębokim symbolem życia i stopniowego wyzwalań milionów ludzi z łańcuchów nędzy jest dla nas każdy okręt, przybijający do obu portów Polski, każdy nowy dźwиг ustawiony w Gdyni, każdy nowy skład, nowa fabryka, nowa linia kolejowa, nowy dom, czy nowa placówka handlowa na wybrzeżu.

Musimy i możemy stwierdzić w obliczu wszystkich narodów dobrej woli i szanujących jeszcze prawdę wyżej niż siłę, iż przyszedł nam odzyskanie własne wybrzeże morskie poprzez ziemie rdzennie polskie, z hasłami uczciwego pokoju i współpracy, nie zaś ze sztandarem nienawiści! Z hasłami pracy twórczej i realnej — nie zaś z tendencją niszczenia!

Nie nas ponosi przesadna i zwyrodniała ambicja narodowa, nie my chcemy naruszać obowiązujące traktaty, nie my szukamy nowych i nieprawych nabytków i grabieży na cudzej ziemi, — lecz jedynie chęć służby w imię postępu i cywilizacji, w imię zrównania narodów pod względem politycznym i ekonomicznym, jest tu naszym pokojowym zadaniem i prawem. Czyż prawa do tej pracy wymagają jeszcze dodatkowej legitymacji, oprócz tej, którą dawno już wystawili nam dobrowolnie nasi przeciwnicy, gdy przed wojną we wszystkich statystykach, wydawnictwach, mapach, — udowodnili polskość Pomorza i uważali za swój obowiązek odwołanie się do praw wyjątkowych dla stępienia przewagi żywiołu polskiego? W tych warunkach tylko nieuczciwość i rozmyślna ślepotą nie mogłaby dojrzeć wyraźnie, że prawo do ziemi pomorskiej i prawo do nieskrępowanej niczem pracy na naszym wybrzeżu morskiem są niepodzielnie po naszej stronie.

A prawo to nakłada na nas obowiązek odparcia każdego ataku, jakkolwiek on będzie, odparcia z bronią w rękę i w walce aż do naszego pełnego zwycięstwa. Zdajemy sobie sprawę, iż niema wyższej wartości dla człowieka — jak pokój, ale tu właśnie niema dla nas kompromisu: tu żadne szachrajstwo polityczne, podrzucane przez obcych, ostać się nie może, bo będzie rozdeptane przez miliony nóg polskich, przez cały naród, łącznie z każdorazowym rządem. Mamy tę świadomość, że dziś frontem do morza polskiego stoją tu w Gdyni liczne tysiące ramie przy ramieniu, że tu nic nas nie dzieli, a wszystko łączy i wiąże w jedno spoiste społeczeństwo. Mamy również tę świadomość, że w razie niebezpieczeństwa — grożącego morzu — za każdym z nas staną w kraju liczne tysiące ludzi, dla których wartość życia, wartość morza polskiego — to jedno i to samo.

Nienawiść, zazdrość, buta, — nieraz już w historii świata przegrywały. Miłość — nigdy jeszcze na trwałe pokonana nie była. A Polskę do wybrzeża morza Bałtyckiego, do Gdyni-miasta i Gdyni-portu, do dalszej niezłomnej pracy prowadzi właśnie miłość!

Może to jest tylko odzew drzemiaczy w duszach naszych z przed wielu wieków. Najstarsi bowiem historycy nasi i obcy wspominają, że przodkowie Polaków, Wenedowie, założyli ongiś olbrzymie miasto handlowe i portowe nad Bałtykiem u ujścia Odry, zwane Weneda. Istnieją w muzeach monety tego miasta. Jeden ze starych autorów niemieckich wspomina, iż miasto to ongiś zaliczało się do „największych w Europie“. Gdy wyrosły inne potęgi morskie i handlowe na Bałtyku — miasto to z zawiści zostało zburzone przez obcych.

Może dziś — jak cud odradza się tu to bajeczne miasto słowiańskie i polskie jako Gdynia i rośnie od 8 lat w zawrotnym tempie. Przy nim, jako przy symbolu naszej wolności, naszej pracy twórczej na morzu, stoją uczucia całej Polski. Podniesiony tu dziś przez nas okrzyk odbije się echem od Karpat, od Wilna, od Lwowa i od Katowic i spotęgowany w milionach serc, wróci tu nad Bałtyk:

Niech żyje Polska pracująca na morzu!

Niech żyje bohaterska ludność polska która wieki przetrwała nad Bałtykiem!

Niech żyje i rozwija się potężna Gdynia!

Prócz Gdańska trzeba się starać o jak najwięcej portów.

STANISŁAW STASZIC

MARSZ KASZUBSKI

Tam, gdzie Wisła od Krakowa

W polscie morze płynie,

Polsko wiara, polsko mowa

Nigde nie zadzinie.

Nigde do zgube,

Nie przyńdą Kaszube,

Marsz, marsz, za wrodiem!

Me trzymamę z Bodziem.

Me z mniemcami wiecie chtë

Krwawe wiedle wojne,

Wolne piesnie wjedno brzmiały

Bez gore i chojne.

Nigde do zgube,

Nie przyńdą Kaszube i t. d.

Przeszedł Krzyżok w twardy blasze,

Poleł wse i mniasta,

Za to jego cepe nasze

Grzmocęły lot dwa sta

Nigde do zgube,

Nie przyńdą Kaszube i t. d.

Noz zawołał do swe rote

Polści krol Jadzięto,

Tej w mniemniecciech kartach gnote

Trzeszczęły, jaż mniło.

Nigde do zgube,

Nie przyńdą Kaszube i t. d.

Gdzie krol Kazmierz gnoł Krzyżoka?

Gnoł go pod Chonice!

Be go zgnetę jak roboka,

Kaszubście kłonice.

Nigde do zgube,

Nie przyńdą Kaszube i t. d.

Ciej roz naju okrętami
Szwede najechale,
Me żesme jech kapuzami
Z Pucka wenekale.

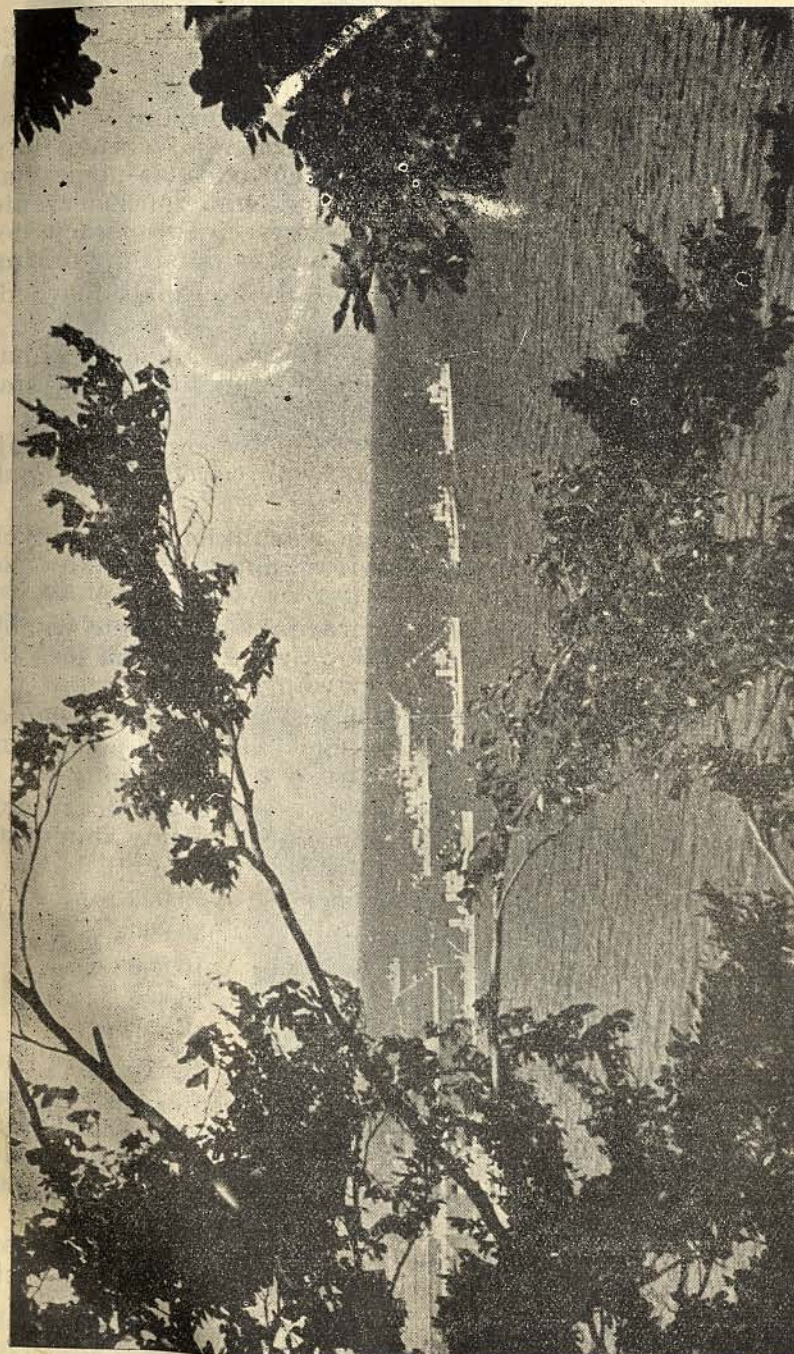
Nigde do zgube,
Nie przyńdą Kaszube i t. d.

Krzyżem świętym przeżegnanie,
Sec, seciera, kosa,
Z tym Kaszuba w piekle stanie,
Djobłu utrże nosa.

Nigde do zgube,
Nie przyńdą Kaszube i t. d.

Nasz Stanisław Kostka święty,
Co sę u nos rodzeł,
Nie dopuscy, be zawzety
Wrog nom długo szkodzeł.
Nigde do zgube,
Nie przyńdą Kaszube i t. d.

Płaczą matcie nad senami,
Płaczą dzys dziewice,
Hola, jesz je Bog nad nami,
Doł cepe, kłonice,
Nigde do zgube,
Nie przyńdą Kaszube i t. d.



Polskie okręty wojenne na redzie w Gdyni w czasie Święta Morza 31. VII. 1932.

Polska Marynarka Wojenna

Posiadanie własnego wybrzeża morskiego nakłada na kraj szereg obowiązków. Jednym z tych obowiązków, i to może najbardziej doniosłym, jest budowa odpowiedniej floty wojennej.

Na wypadek wojny zadania jej są bardzo różnorodne. W pierwszym rzędzie do floty należy: obrona wybrzeża, zniszczenie floty przeciwnika na morzu, blokada, mająca na celu odcięcie nieprzyjacielskiego kraju od łączności z drogami morskimi, zabezpieczenie swobody własnym transportom morskim, a wreszcie — operacje desantowe, zmierzające do zajęcia kraju przeciwnika od strony morza.

Rzecz jasna, że zadania te wykonać może tylko flota odpowiednio silna i nowoczesna.

Taka flota poza tem jest także najlepszą gwarancją utrzymania pokoju, gdyż każdy przeciwnik, licząc się z jej siłą, będzie starał się uniknąć wszelkiego zbrojnego konfliktu.

W czasie pokoju zagraniczne wizyty flot wojennych są najlepszą propagandą każdego kraju i to zarówno wśród obcych, jak i wśród własnego wychodźstwa.

Silna flota wojenna jest niezbędnym warunkiem korzystnych przymierzy i jako taka stanowi ważki atut w ręku kierowników polityki zagranicznej.

Sytuacja gospodarcza Polski i jej warunki polityczne wymagają posiadania silnej floty wojennej. Jak dalece konieczna jest dla nas łączność ze światem, mamy przykład z wojny w 1920 roku.

To też hasłem dnia dzisiejszego powinna być szybka rozbudowa naszej floty wojennej do rozmiarów, odpowiadających potrzebom kraju, przy uwzględnieniu naszych możliwości finansowych.

Według obliczeń *) flota, której budowa leży w granicach możliwości finansowej Rzeczypospolitej, a którą powinniśmy zbudować w ciągu najbliższego dziesięciolecia, winna składać się z:

2 orków linjowych, o łącznej wyporności	40.000 ton,
3 krążowników, o łącznej wyporności	30.000 „
1 okrętu macierzystego dla lotnictwa	10.800 „
1 krążownika stawiacza min	10.800 „
10 kontrtorpedowców	15.775 „
15 łodzi podwodnych	16.710 „

oraz szeregu małych torpedowców, okrętów pomocniczych i hydroplanów. Razem 32 większe jednostki o wyporności z górą 113.000 ton.

Koszt wykonania ich wyniesie w przybliżeniu 800 milionów złotych, co, uwzględniając dziesięcioletni okres budowy, wymagałoby w rocznym budżecie Państwa 80 milionów złotych.

Jak widzimy, są to wydatki bardzo poważne, nie mniej jednak sprawa jest tak doniosłej wagi, że środki na pokrycie ich znaleźć się powinny.



Marszałek Piłsudski w czasie podróży z Madery w kabinie nawigacyjnej na mostku O. R. P. „Wicher”.

W tych warunkach zbiórka przez społeczeństwo ofiar na flotę wojenną może jedynie zmanifestować stosunek tego społeczeństwa do sprawy, wywrzeć zaś większego wpływu na samą rozbudowę floty oczywiście nie może. Tak samo, jak nie do pomyślenia byłoby



Konradmirał J. Świrski, szef Kierownictwa Marynarki Wojennej.

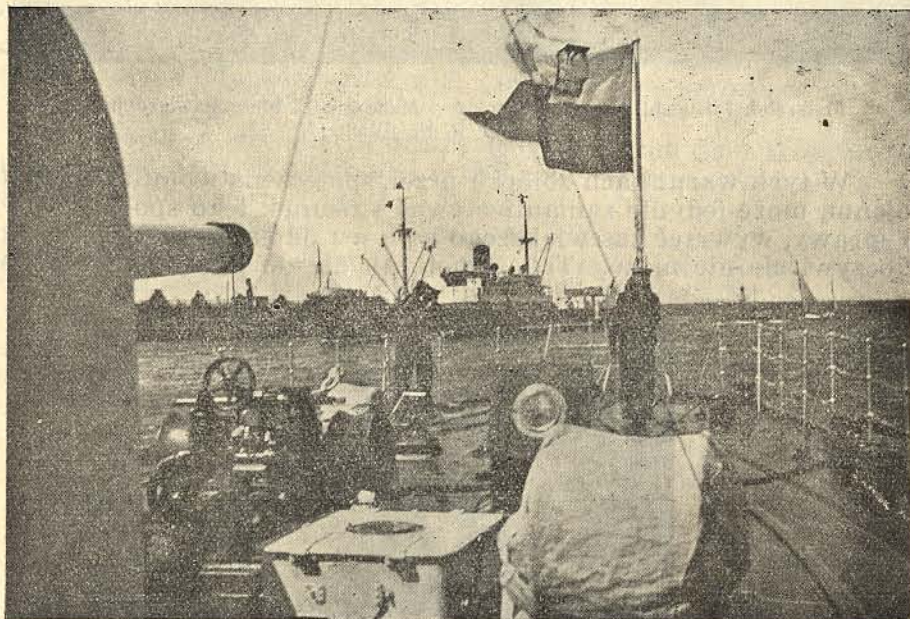
stworzenie nowoczesnej armji z drobnych składek, w równym stopniu nie do pomyślenia jest tworzenie w ten sposób floty.

Dlatego też tylko przy pomocy budżetu państwowego mogą być zapewnione dostateczne środki pieniężne.

*) Benedykt Krzywiec — „Jak należy traktować w Polsce sprawę marynarki wojennej”.

Nieodłączną część zagadnienia stanowi program rozbudowy floty wojennej, który powinien być uchwalony przez ciała ustawodawcze. Program ten, opracowany przez czynniki fachowe, po szczegółowym rozpatrzeniu i przedyskutowaniu, ustala zarówno plan i kolejność budowy, jak i przyznaje globalną sumę kredytów na cele budowy. Raz przyjęty rozstrzyga o organizacji wewnętrznej marynarki wojennej, jest podstawą do szkolenia personelu i rezerw, ustalenia planów na wypadek mobilizacji, planu pierwszych kroków działań wojennych i tego wszystkiego, co w rezultacie ma znaczenie decydujące na wypadek konfliktu.

Z chwilą, gdy Polska zbudowała Gdynię, gdy polski handel zagraniczny przeszedł z dróg lądowych na drogę morską tak dalece, że zgórami 60% obrotów towarowych kraju odbywa się przez Gdańsk i Gdynię, — nie możemy naszego wybrzeża zostawić na łasce losu.



O. R. P. „Wicher” w porcie gdańskim.

Wystarczy uprzytomnić sobie, że w razie zbrojnego konfliktu, chociażby tylko ze wschodnim sąsiadem, wystarczy niespełna 24 godziny, aby flota nieprzyjacielska przybyła z Kronsztadtu pod Gdynię, z której wtedy w ciągu paru godzin mogą pozostać tylko gruzy. Czy prócz innych konsekwencji, nie będzie to kosztowało nas drożej, niż budowa floty, która zabezpieczyłaby nas od podobnych możliwości?

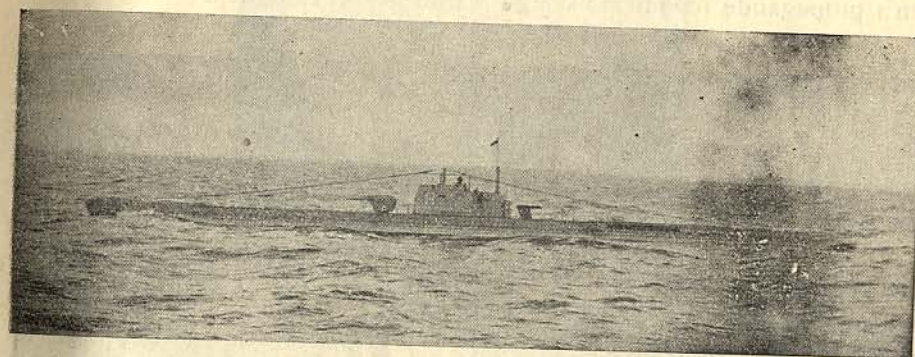
Musimy także pamiętać, że wydatki na rozbudowę floty nie są groźnym wyrzuceniem na marne. Uchwalenie programu morskiego dałoby dostateczne podstawy do założenia w Gdyni własnej stoczni, która uniezależniłaby nas w dziedzinie budowy okrętów wojennych i statków handlowych od zagranicy, oraz zapewniłaby zatrudnienie tysiącom osób, czy to na samej stoczni, czy też w przemysłach, dostarczających materiałów do budowy okrętów.

Flota wojenna, którą Polska dziś rozporządza, stanowi dopiero drobny zaczątek właściwej floty.

Prócz dwóch dywizjonów okrętów mniejszych, które przez szereg lat spełniają swe zadania przede wszystkim jako jednostki szkolne, posiadamy 5 okrętów najlepszych i największych w swoich typach na Bałtyku. Są to zbudowane ostatnio we Francji kontrtorpedowce po 1.500 ton „Wicher” i „Burza”, oraz łodzie podwodne: „Ryś”, „Wilk” i „Żbik”.

Do floty naszej należy także dywizjon lotnictwa morskiego, który jest częścią składową floty.

Pas wybrzeża morskiego od granicy gdańskiej, z portami Gdynią, Puckiem i całym półwyspem Helskim tworzy terytorjum podległe wojskowo Dowódcy Floty (analogicznie, jak terytorja podległa Dowództwom Okręgów Korpusów w całym kraju).



Łódź podwodna O. R. P. „Ryś”

Na wschodzie, na rzekach Pinie i Prypeci posiadamy flotyllę rzeczna, której głównymi jednostkami są specjalnie zbudowane monitory.

Topograficzne właściwości terenu sprawiają, że flotylla ta posiada bardzo duże znaczenie, zastępując u wschodnich rubieży dużą siłę lądową.

W roku 1920 flotylla rzeczna, jakkolwiek podówczas znajdowała się w pierwszej fazie swej organizacji, odegrała dość poważną rolę w operacjach wojennych na wodach Polesia, Dniepru i Wisły.

Nasza marynarka wojenna, tak pod względem organizacji wewnętrznej, jak i personelu jest przygotowana do dużego rozwoju i do zajęcia tej pozycji, jaką jej nakazują poważne i ciężkie zadania. To też hasło: „Wszystko dla floty wojennej” powinno stać się najbardziej aktualnym hasłem lat bieżących.

Marynarka jest najlepszym środkiem do zawierania korzystnych przymierzy.

ADMIRAŁ VON MANTEY

Polska Marynarka Handlowa

Z pośród różnych gałęzi gospodarstwa narodowego w Polsce w sytuacji może najtrudniejszej znajduje się flota handlowa. Bo gdy przemysł i handel w okresie powojennym miały czas przystosować się do nowych warunków i miały swoje dni powodzenia, to flota handlowa, która właściwie zaczęła powstawać dopiero w r. 1927, prawie natychmiast weszła w okres kryzysu i złej konjunktury.

Nie posiadając żadnych rezerw, nieznana na międzynarodowym rynku żeglugowym, powitana nieprzyjaźnie, jako nowy konkurent, otrzymała ona jednocześnie do spełnienia zadania niezwykle ważne i odpowiedzialne.

Z jednej strony oczekiwano od niej działalności pionierskiej w sensie dotarcia z towarem polskim tam, gdzie dotychczas dotrzeć było mu trudno, z drugiej — postawiono jej za zadanie utrzymanie łączności z wychodźstwem i propagandę towaru polskiego wśród naszej emigracji.



S/S „Śląsk”, należący do S. A. „Żegluga Polska”

Jeśli porównamy warunki powstawania polskich linii komunikacyjnych morskich z warunkami, w jakich odbywało się tworzenie linii okrętowych w innych państwach, to stwierdzimy, że u nas odbywało się to przeważnie w sposób wręcz odwrotny w stosunku do ogólnie praktykowanego.

Nie dlatego zakładano daną linię, że na szlaku tym czy innym istniejący ruch towarowy i pasażerski do portów naszych i odwrotnie mógł jej zapewnić normalną egzystencję, lecz tworząc na pewnych szlakach linię okrętową, liczone, iż spowoduje ona takie zwiększenie obrotów, że stworzy sobie po pewnym czasie podstawę egzystencji.



Minister Przemysłu i Handlu, gen. dr. Ferdynand Zarzycki.

Ze przewidywania te w naszych warunkach były słuszne, wykazały ubiegłe lata.

I dziś, trzeba to przyznać, nasze przedsiębiorstwa żeglugowe nie zawiodły pokładanych w nich nadziei.

Jeżeli jednak możemy stwierdzić ten przyjemny dla nas fakt, to musimy także zastanowić się nad tem, czemu zawdzięczać należy te korzystne wyniki realizacji naszej myśli morskiej.

W pierwszej linii jest to zasługa Rządu Polskiego, który pomimo kryzysu nie zawahał się powziąć w dziedzinie żeglugi morskiej uchwał decydujących, że wymienimy tylko takie uchwały Komitetu Ekonomicznego Ministrów, jak w sprawie wprowadzenia w życie i uwzględnienia w budżecie państwowym subwencji na popieranie i rozbudowę żeglugi morskiej (w obecnych czasach wszystkie kraje morskie subwencjonują swą żeglugę w sposób jawny lub ukryty) i uchwałę zatwierdzającą dziesięcioletni plan rozbudowy polskiej floty handlowej.

Uchwały te dokumentują stosunek Rządu do sprawy morskiej w Polsce i stwarzają niezbędną atmosferę zaufania i pewności do tej gałęzi gospodarstwa narodowego.

Polska marynarka handlowa składa się obecnie z 4 przedsiębiorstw żeglugowych, mianowicie:

„Żegluga Polska” Sp. Akc., przekształcona w połowie 1932 r. z przedsiębiorstwa państwowego, które zostało powołane do życia w grudniu 1926 r.

„Polsko-Brytyjskie T-wo Okrętowe”, Sp. Akc. o kapitale mieszanym polsko-angielskim, istniejąca od kwietnia 1928 r.

„Polskie Transatlantyczne T-wo Okrętowe“ Sp. Akc. o kapitale mieszanym polsko-duńskim, istniejące od kwietnia 1930 r.

„Polsko-Skandynawskie T-wo Transportowe“ o kapitale mieszanym polsko-szwedzkim.

Tonaż polskiej floty handlowej na dzień 1 stycznia 1933 roku przedstawiał się następująco:

nośność 62.801 ton DW

pojemn. 60.265 ton rej. brutto

36.812 ton rej. netto.

Tonaż ten dotyczy tylko statków stojących ściśle w służbie handlowej — towarowej i pasażerskiej, nie uwzględnia jednak statków pomocniczych, jak holowniki, statki służbowe itp. oraz statków wycieczkowych żeglugi przybrzeżnej, statku szkolnego „Dar Pomorza“ i statku „Ville de Toulon“, pływającego pod polską banderą po morzu Czarnem. Łącznie z temi statkami tonaż brutto przekroczy 63.000 ton.

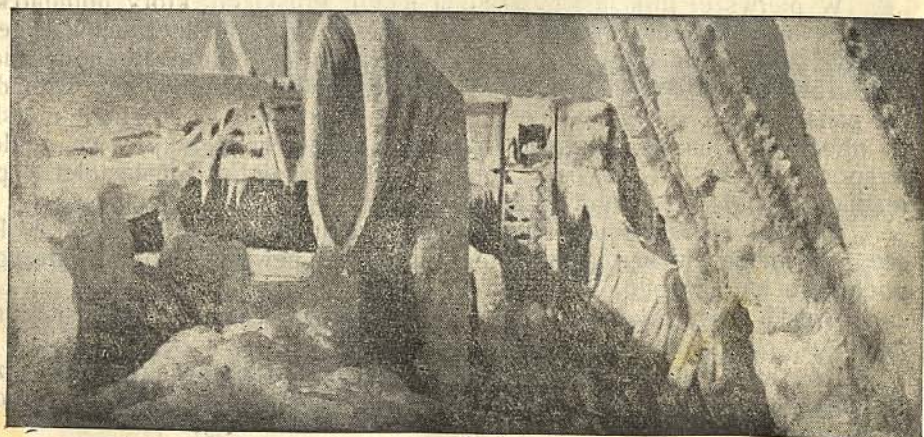
W ciągu 1932 r. w składzie polskiej floty handlowej zaszły zmiany następujące:

przybyły 4 statki pasażersko-towarowe: „Śląsk“ „Cieszyn“ „Lwów“ i „Lublin“,

ubyło 2 statki, z których par. tow. „Niemen“ (poj. 3.108 trb) zatonął w dn. 1 października na wodach Kattegatu po zderzeniu z fińskim żaglowcem „Lawhill“, drugi zaś — „Łódź“ (poj. 2.450 trb) został sprzedany polskiej marynarce wojennej. Zamiast tych statków zostały zamówione 3 statki nowe: 2 o typie „Lublina“ i 1 o typie „Śląsk“, razem o pojemności około 4.000 ton rej. brutto.

Rozwój naszej floty handlowej kształtował się jak poniżej:

rok	ilość st.	poj. trb
1. I. 1927	6	11.242
1928	10	14.722
1929	18	23.364
1930	25	41.334
1931	31	65.050
1932	33	67.834
1933	31	60.265 (plus 3 nowozamówione statki).



Pokład statku handlowego, osoplony lodem.

Jeżeli porównać obecny nasz tonaż z tonażem światowym, to na udział nasz przypada zaledwie nikły odsetek, wynoszący 0,097%, wobec 6,1% niemieckiego, 5,1 francuskiego, 29% brytyjskiego, 15% amerykańskiego i 6% norweskiego.

Aby lepiej zdać sobie sprawę, jak wielka praca czeka nas jeszcze w dziedzinie rozbudowy floty, przypatrzmy się liczbom, wykazującym ilość tonażu okrętowego, przypadającego na 1.000 mieszkańców na Bałtyku. Liczby te są następujące:

Finlandja	— 200 ton
Szwecja	— 200 „
Niemcy (po- mimostratwoj.)	75 „
Estonja	— 60 „
Polska	— 2 „

O dalszy rozwój floty handlowej możemy być jednak spokojni. Uprawnia nas do tego stanowisko zarówno sfer rządowych jak i kół gospodarczych, które zagadnieniu własnego transportu morskiego poświęcają należytą uwagę. Możliwości rozwojowe floty badane są stale, a w miarę potrzeby nabywane są nowe statki i organizowane nowe połączenia regularne. W ten sposób m. i. powstała właśnie w 1932 r. regularna linja pasażersko-towarowa do portów Zachodniej Europy.

O działalności polskiej floty handlowej świadczy niżej przytoczona tabelka, ilustrująca przewozy, dokonane w ostatnich latach pod polską banderą: (w tonach 1.000 kg)

	1927	1928	1929	1930	1931
wywóz	221.189	307.940	422.572	636.752	886.388
przywóz	42.374	132.745	195.170	158.229	135.074
między portami obcemi	51.585	25.955	42.652	89.099	72.330
RAZEM	315.148	526.640	660.394	884.080	1.093.792

Równolegle do wzrostu absolutnych liczb przewozu na polskich statkach handlowych wzrosły także liczby procentowe udziału bandery polskiej w obrotach towarowych portów polskich. Liczby te wynosiły w r. 1927 — 2,9%, a w r. 1931 — 7,5%. Wskazują one dobitnie, jakie są możliwości rozwojowe naszej floty handlowej, dla której transporty z polskich i do polskich portów są gwarantowane.

Niech tylko każdy Polak, czy to w kraju, czy zagranicą, pamięta o hasle: „Polski towar przez polski port na polskim okręcie“.

Każdemu panu i narodowi więcej na morskiem państwie zależy, niżli na ziemskim. Kto ma państwo morskie, a nie używa go, albo da sobie wydzierać, wszystkie korzyści od siebie oddala, a wszystkie szkody na siebie przywodzi, z wolnego niewolnikiem się staje, z bogatego ubogim.

BISKUP DYMITR SOLIKOWSKI
(1573 rok)



Prawa Polski w Gdańsku

Odwieczny port Rzeczypospolitej, pierwotnie nawskroś słowiański, później, po wycięciu w pień przez Krzyżaków słowiańskiej ludności, sztucznie zgermanizowany Gdańsk miał być, z chwilą wskrzeszenia naszego państwa po wojnie światowej, prosto do Polski włączony. Taki był pierwotny projekt paryskiej konferencji pokojowej. Intrygi i wysiłki naszych wrogów sprawiły jednak, że w ostatecznych decyzjach Traktatu Wersalskiego sprawę łączności Gdańska z Polską załatwiono połowicznie. Utworzone zostało „Wolne Miasto”, związane z Rzeczpospolitą, lecz rozporządzające wewnętrzną samodzielnością i oddane pod protektorat, czyli — jak oświadcza tekst Traktatu Wersalskiego — „pod ochronę” Ligi Narodów.

Stosunek Wolnego Miasta do Rzeczypospolitej, oraz prawa Polski w Gdańsku określone są, zasadniczo, przez artykuły Traktatu Wersalskiego od 100 do 108 włącznie, a w szczegółach praktycznego zastosowania, przez polsko-gdańską konwencję paryską, zawartą w jesieni 1920 roku, jako też przez późniejsze umowy i układy.

Wolne Miasto niezależne jest od Polski w zakresie lokalnego ustawodawstwa, policji i sądownictwa. Posiada własną wewnętrzną konstytucję, uchwaloną przez gdańskie przedstawicielstwo, która jednak musiała być zatwierdzona i w niektórych szczegółach została zmodyfikowana przez Ligę Narodów. Również żadna zmiana konstytucji nie może być przeprowadzona bez zezwolenia Ligi Narodów.

Pod względem celno-gospodarczym Wolne Miasto włączone jest do granic Polski i podlega naczelnemu zwierzchnictwu Rzeczypospolitej. Z ogólnych dochodów celnych Państwa Polskiego pewna kwota przypada na rzecz Gdańska. Wolne Miasto, w zakresie polskiego ustawodawstwa celnego, posiada specjalne ulgi i przywileje, dotyczące importu wyłącznie na własny użytek niektórych artykułów pochodzenia zagranicznego.

W zakresie spraw zagranicznych Gdańsk stanowi również składową część Rzeczypospolitej. W imieniu Wolnego Miasta wszelkie układy z obcymi państwami zawiera i wszelkie stosunki utrzymuje Polska. Do Polski należy opiekiwanie się gdańskimi obywatelami zagranicą.

Sprawy walutowe Wolnego Miasta muszą być regulowane w porozumieniu z Polską. Gdańsk ma prawo posiadać — i w samej rzeczy posiada — własną, odrębną walutę, lecz stało się to za zgodą i zezwoleniem Polski. Podobnie wszelka zmiana waluty w Gdańsku wymagałaby uprzedniej aprobaty Rzeczypospolitej. To samo dotyczy wszelkich zagranicznych pożyczek i kredytów dla Wolnego Miasta.

Cała sieć kolejowa na terenie Wolnego Miasta, wraz ze wszystkimi urządzeniami i budynkami, należy do Polski. W zakresie komunikacji pocztowych, telegraficznych i telefonicznych Gdańsk posiada własną służbę obok poczty polskiej, która funkcjonuje na części obszaru Wolnego Miasta, określonej jako terytorjum portu gdańskiego. Rozciągnięcie zakresu działania poczty polskiej na tereny Wolnego Miasta, któremu lokalne władze gdańskie próbowały się sprzeciwiać, nastąpiło jako wykonanie 3 punktu artykułu 104 Traktatu Wersalskiego. Punkt ten, poza siecią kolejową, oraz „zarządem komunikacji pocztowych, telegraficznych i telefonicznych między Polską i portem gdańskim”, oddaje Polsce także nadzór i zarząd Wisły w granicach Wolnego Miasta. Punkt 2 tegoż artykułu zapewnia Polsce bez żadnych zastrzeżeń swobodne używanie i korzystanie z dróg wodnych, basenów, nabrzeży i innych budowli na terytorjum Wolnego Miasta, ko-

niecznych dla wwozu i wywozu z Polski. Punkt 4 artykułu 104 traktatu pokoju nadaje Rzeczypospolitej prawo rozwijania i ulepszania wymienionych dróg, środków komunikacji, urządzeń i budowli na całym obszarze gdańskim, oraz prawo wydzierżawiania lub nabywania w tym celu koniecznych terenów i wszelkiej własności.

Obywatelom polskim przysługuje nieograniczone prawo osiedlania się na terytorjum Wolnego Miasta, zakładania przedsiębiorstw, uprawiania handlu i t. d. Traktat Wersalski postanawia (art. 104 punkt 6), że „żadne różnice nie będą czynione w Wolnem Mieście Gdańsku na niekorzyść obywateli polskich i innych osób polskiego pochodzenia, lub mówiących po polsku”. Obywatele polscy mogą przybywać do Wolnego Miasta, jak obywatele gdańscy do Polski, za okazaniem w punkcie granicznym jakiegokolwiek legitymacji osobistej, zaopatrzonej w fotografię, podpis oraz zaświadczenie obywatelstwa. Obok języka niemieckiego, który jest urzędowym językiem wewnętrznej administracji gdańskiej, język polski posiada uprzywilejowane stanowisko. W myśl ustawy Wolnego Miasta z dnia 11 października 1922 r. osobom, które oświadczą, że język polski jest ich językiem ojczystym, wolno zwracać się w tym języku tak ustnie, jak i piśmiennie, do sądów, urzędników sądowych i prokuratury Wolnego Miasta.

Pełnomocnikiem państwa polskiego w Wolnem Mieście Gdańsku jest Generalny Komisarz Rzeczypospolitej, mianowany przez Prezydenta Rzeczypospolitej na czas nieograniczony. Pełnomocnikiem Ligi Narodów jest jej Wysoki Komisarz, wyznaczany przez Radę Ligi na okres trzyletni, przy-



W Gdańsku nad Motławą.

czem urzędowanie jego może być, co każde trzy lata, przedłużane. Do Wysokiego Komisarza Ligi Narodów należy baczenie nad wykonywaniem w Wolnem Mieście i w stosunkach polsko-gdańskich obowiązków, oraz praw, wynikających z traktatu i umów. Wysokiemu Komisarzowi przysługuje, w wypadkach krytycznych, prawo wezwania na teren Wolnego Miasta siły zbrojnej polskiej, lub któregośkolwiek z mocarstw sprzymierzonych. Wysoki Komisarz rozstrzyga w pierwszej instancji kwestje sporne między Gdańskiem i Polską w razie, gdy Rzeczpospolita, lub zarząd Wolnego Miasta zwrócą się do niego o rozjemstwo. Od rozstrzygnięcia Wysokiego Komisarza przysługuje prawo odwołania się do Ligi Narodów, która może bądź od razu powziąć obowiązującą decyzję, bądź też przekazać sprawę do zaopiniowania specjalnemu komitetowi rzeczoznawców, albo Międzynarodowemu Trybunałowi Rozjemczemu w Hadze.

Sam port gdański pozostaje pod zarządem Rady Portu, składającej się z jedenastu członków: pięciu przedstawicieli Polski, pięciu przedstawicieli Wolnego Miasta Gdańska, oraz przewodniczącego narodowości szwajcarskiej.

Ogólna sytuacja Gdańska w stosunku do Rzeczypospolitej da się określić jako bardzo szeroka autonomia lokalna, pozostająca pod międzynarodową gwarancją, którą sprawuje instytucja Ligi Narodów. Wewnętrzny zarząd Gdańska i przyległych terytoriów nosi wszelkie cechy samorządu miejskiego o rozległych kompetencjach. Kierownictwo tego zarządu spoczywa w rękach prezydium, wyłanianego przez przedstawicielstwo miasta Gdańska i jego terenów (Volkstag), podobnie, jak w każdym samorządzie miejskim, rada miejska wybiera administrującego magistrat. Magistrat ów nosi w Gdańsku nazwę senatu i wypełnia obowiązki, oraz prawa władzy rządzącej w zakresie policyjno-porządkowym i podatkowym obok finansowo-budżetowego. Nie posiada on jednak żadnej zasadniczej atrybucji rządu, będąc pozbawiony wszelkich suwerennych kompetencji w dziedzinie zewnętrznej, w zakresie czy to politycznych czy gospodarczych stosunków Gdańska z zagranicą. Pod tym względem suwerenność nad Gdańskiem spoczywa w rękach Polski. Co więcej, w dziedzinie czysto wewnętrznej jeden z państwowo najważniejszych zakresów t. j. kolejnictwo należy całkowicie i wyłącznie do Polski.

Sam Gdańsk nie rozporządza żadną własną suwerennością nawet w tych sprawach, w których jest niezależny od Polski. Senat gdański zawiaduje niemi na podstawie ustroju, przepisane go przez Traktat Wersalski i na podstawie konstytucji, opracowanej w porozumieniu z Ligą Narodów i zależnej od Ligi Narodów. Suwerenność nad Gdańskiem, poza tym zakresem, jaki przypadł w udziale Polsce, należy do t. zw. głównych mocarstw sprzymierzonych i stowarzyszonych, na których rzecz Niemcy w traktacie pokoju zrzekły się wszystkich swych praw i tytułów do terytorjum, stanowiącego obecnie Wolne Miasto Gdańsk.

Wolne Miasto powołane zastało do życia przez Traktat Wersalski w tym celu, aby Polsce zapewnić swobodny i niczem nieskrępowany dostęp do morza przez Wisłę i jej ujście, przy jednoczesnym zachowaniu lokalnych swobód miejscowej ludności. Prawa Polski w Gdańsku są więc główną podstawą samej egzystencji ustroju, który tam obecnie panuje.

Gdyby nie władanie morzami, Rzym nigdy nie stałby się Imperjum.

Hasłem dnia dzisiejszego winno być: zasada "navigare necesse" znana była w Rzymie Cezarów na długo przed powstaniem hanzeatyckiej Bremy. Jest tedy absurdem nie żyć z morza, gdy się to morze posiada.

MUSSOLINI

JONASZ PROROK O ZNISZCZENIU MIASTA GDAŃSKA

Nowe, bogate miasto, co cię zowią Gdańskiem!

Przyjm słowa, które-ć niosę w rozkazaniu Pańskiem:

Krótki czas — jeśli grzeszyć nie przestaniesz dalej —

Twoja cię własna zbrodnia z posady obali.

Prędko wzrosłeś, lecz przebóg! i twa zguba chyża:

Twój dzień, miasto niewdzięczne, rychło się przybliża.

Bezbożność, pycha, rozkosz zawładły twe łono,

Trzy potwory gotują-ć zgubę nieminioną.

Wyuzdany, nadęty swoją zbrodnią czarną,

Mniemasz, Gdańsku, że wszystko uchodzi bezkarno.

Twój senat trzema grzechy głośno znany światu,

Twój lud zabójczy przykład bierze od senatu.

Bezbożność, pycha, niewstyd, gdzie zasięda z władzą,

Ludy, miasta, królestwa ze szczerem zagładzą.

Wszchemocny znieść tych zbrodni dalej już nie może:

Popraw się, bo nad tobą ukaranie Boże.

Smok obłęże twe mury, choćbyś wzmacniał wieże.

Kiedyż człowiek bez Boga zguby się ustrzeże?

Złamią się twoje baszty, jako domy z karty,

Gdańsku: jękniesz boleśnie z swych bogactw odarty;

Opuszczą ciebie siły, rozkosze i dary,

Których dzisiaj bezpiecznie używasz bez miary.

W salach nocnej rozpusty i w domach ze złota

Rozpaczliwe zamieszka łkanie i zgryzota;

Pychę, zbytek, nieczystość, co psuły wam łono,

Przepaście czeluściste wraz z wami pochłona.

(Urywek z utworu satyrycznego Jana Dantyszka p. t. „Jonas Propheta de interitu civitatis Gedanensis (1538) — w przekładzie Syrokomli).

Polacy w Prusiech Wschodnich

Cała południowa połać Prus Wschodnich zamieszkała jest przez ludność polską, składającą się z trzech elementów: mazurskiego, najliczniejszego, osiadłego w południowo - wschodnich i południowych powiatach prowincji, warmińskiego, zamieszkującego centralne powiaty: olsztyński, reszelski i częściowo heilsberski oraz nadwiślańskiego w powiatach kwidzyńskim i sztumskim rejencji kwidzyńskiej. Ogólną liczbę Polaków, zamieszkających w Prusiech Wschodnich, przyjąć można na około 200.000 ludzi, skupionych w jednym bloku.

Istnieją pewne różnice pomiędzy poszczególnymi grupami polskimi, osiadłymi w Prusiech Wschodnich.

Mazurzy, pochodzący zresztą z tego samego pnia, co Mazurzy podwarszawscy czy kurpiowscy, mówią gwarą mazurską i są wyznania ewangelickiego, gdyż znajdując się pod władzą książąt pruskich, musieli po sekularyzacji Zakonu Krzyżackiego przyjąć to wyznanie. Jest to lud wiejski, zajmujący się głównie rolnictwem lub rybołóstwem ze względu na jeziora mazurskie, bardzo do swej wiary i ziemi przywiązany. Germanizacja ma na niego wpływ dosyć silny poprzez kościół ewangelicki, szkołę niemiecką i organizacje, tembardziej, że inteligencji miejscowej, wiernej tradycjom mazurskim prawie że nie ma, a ta która jest, podlega intensywnemu prześladowaniu przez żywioły niemieckie. Szkoły polskiej na Mazurach nie ma ani jednej. Jedyne kontakty z kulturą polską stanowią nieliczne pisma polskie, kalendarze i radjo.

Warmjacy są katolikami, mówią gwarą odmienną nieco od gwary mazurskiej, gdyż pochodzą raczej z Pomorza i Wielkopolski, od wieków osiedli na Warmji. Warmjacy posiadają ściślejszą organizację, szereg stowarzyszeń społecznych i kulturalnych, parę szkółek polskich, własne pismo „Gazetę Olsztyńską” i spory zastęp inteligencji miejscowej. Są oni, podobnie, jak i Mazurzy, przeważnie rolnikami o wyłącznie drobnej własności rolnej.

Na Powiślu wreszcie zamieszkuje znaczna grupa, aczkolwiek najmniejsza z trzech tych grup, również, jak i warmijska, katolicka, stanowiąca dalszy ciąg ludności polskiej Pomorza. Znajdujemy tu drobną, średnią i większą własność rolną oraz sporo inteligencji.

Nie należy zapominać, że poza miejscową ludnością polską istnieje w Prusiech Wschodnich element napływowy polski w postaci robotników rolnych sezonowych, rekrutujących się przeważnie z powiatów trzech województw (pomorskiego, warszawskiego i białostockiego), graniczących z Prusami Wschodnimi. Spora garść tych robotników sezonowych, przybyłych jeszcze przed wojną lub w czasie niej, pozostała w Prusiech, zaś co rok przybywa ich mniejsza lub większa ilość na roboty sezonowe, wracając po ukończeniu ich do kraju.

Warmja była terenem najstarszej kolonizacji polskiej, gdyż element polski napłynął tam jeszcze w XIII wieku, wzmacniając się znacznie w okresie czasu, gdy Warmja należała do Polski, pozostając jednakże pod bezpośrednią władzą swoich biskupów. Nie trzeba zapominać, że na Warmji, w Olsztynie i Fromborku pracował i tworzył swe światoburcze poglądy Mikołaj Kopernik, że stamtąd

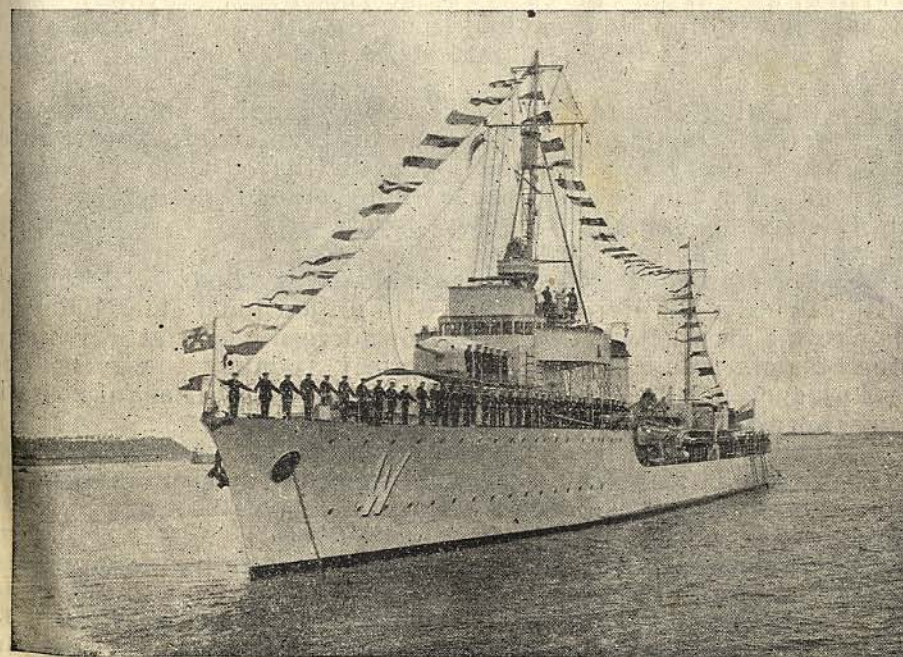
właśnie popłynęła w XVI wieku fala reakcji katolickiej przeciwko ruchowi protestanckiemu w Polsce, że biskup warmijski, Stanisław Hozjusz, w Brunsberdze założył pierwszą szkołę typu jezuickiego, który przetrwał w Polsce do końca prawie XVIII wieku.

Bardzo dużą rolę w Polsce odegrał również Mazury, dla których polscy działacze ewangelicki przełożyli po raz pierwszy na polski język Pismo św. oraz szereg tłumaczeń utworów religijnych. Królewiec był po Krakowie miastem, gdzie w XVI wieku najwięcej polskich ukazywało się druków. Ewangelicki uniwersytet królewiecki powstał z pomocą polskich profesorów w XVI wieku i na mocy przywileju króla polskiego, Zygmunta Augusta.

To wielkie znaczenie zawdzięczały Prusy Wschodnie bliskiemu kontaktowi z życiem całej Polski, ale obecnie kontakt ten przez nacisk niemiecki został przerwany, to też i polski lud tamtejszy, z trudem broniąc się przeciwko wynarodowieniu, zastygł niejako w tym stanie kulturalnym, do jakiego doprowadzony był w wiekach ubiegłych.

Związani z Polakami wschodniopruskimi tak licznymi więzami historycznymi, narodowymi i kulturalnymi, nie mamy prawa zapominać o nich w okresie, gdy znajdują się oni w ciężkiej opresji, zagrażającej ich bytowi narodowemu, tembardziej, że nie dzielą nas od nich dalekie morza, lecz tylko miedza graniczna, która nie powinna powodować takiego rozgraniczenia, jak, niestety, dzisiaj stanowi.

M. P.



O. R. P. „Wicher” w gali flagowej podczas Święta Morza w Gdyni.

Polacy na szerokim świecie

Po złudzeniach „wielkiej emigracji“, której potomkowie przeżywają w samotności resztki marzeń o „wiośnie ludów“, po katastrofach lat czterdziestych ósmych i sześćdziesiątych trzecich — sprawa polska staje się w Europie nieaktualna...

„Jeszcze Polska“ grają raz jeszcze jedynie pruskie orkiestry pułkowe w roku 1870 Maćkom i Bartkom poznańskim dla podstępного zagrzania ich do walki z „czarnymi djabłami“ Mac Mahona.

Ostatkiem sił walczy o prawo do życia zdławione społeczeństwo polskie.

Na tem tle wyrasta w Polsce zjawisko nowe, którego skolatana myśl polska, ani objąć nie może, ani nie potrafi należycie ocenić. Zaczyna się wielka wędrówka polskiego ludu za chlebem, za poszukiwaniem warsztatu pracy, którego nie stało w ziemi rodzimej.

Twarda jest dola tych, którzy na obczyźnie wysiłkiem mięśni zdobywają prawa do życia.

Ludność Polski wzrastała i wzrasta w tempie szybkim, choć ziemi nie przybywa, choć miasta, mimo mnożenia się kominów fabrycznych, nie mogą podolać naporowi mas wiejskiej biedoty. Żądza zarobków pcha proletarijat wiejski na obczyznę — za chlebem.

W tych warunkach rośnie z roku na rok agitacja agentów linii okrętowych. Jak objawienie otwiera się przed wieśniakiem — analfabetą — szeroki świat i miraż lepszego życia. Nie czyn świadomy, ale ślepy traf losu sprawia, że tułaczem szlakiem podąża w świat biedny polski lud, aby wśród obcych stwarzać znośniejsze warunki bytu. Emigrant instynktownie zachowuje na obczyźnie własne polskie życie, które w nim tkwi korzeniami, gdzieś głęboko w duszy, z ukochania ojczystej ziemi.

Że mylili się ci, którzy prorokowali wychodźcy polskiemu zastrętę, widzimy dzisiaj, gdyż lud nasz na obczyźnie walczy wytrwale o zachowanie swej mowy ojczystej. I nie dziwnego, bo polskie masy ludowe na obczyźnie — choć pozbawione przodowników społecznych, inteligencji, same musiały wydobyć z siebie i wydobyły ową silną wolę wytrwania w polskości.

Wskrzeszenie państwa nie przerwało fali wychodźczej, płynącej z Polski. Dziesięć lat niepodległości — to milion ludzi emigrujących bezpowrotnie z wolnej już Ojczyzny. Równocześnie traktat wersalski odcina od pnia macierzystego setki tysięcy rodaków naszych, zamieszkujących polskie etnograficznie ziemie, którzy skazani zostali na ciężką walkę o utrzymanie narodowego bytu.

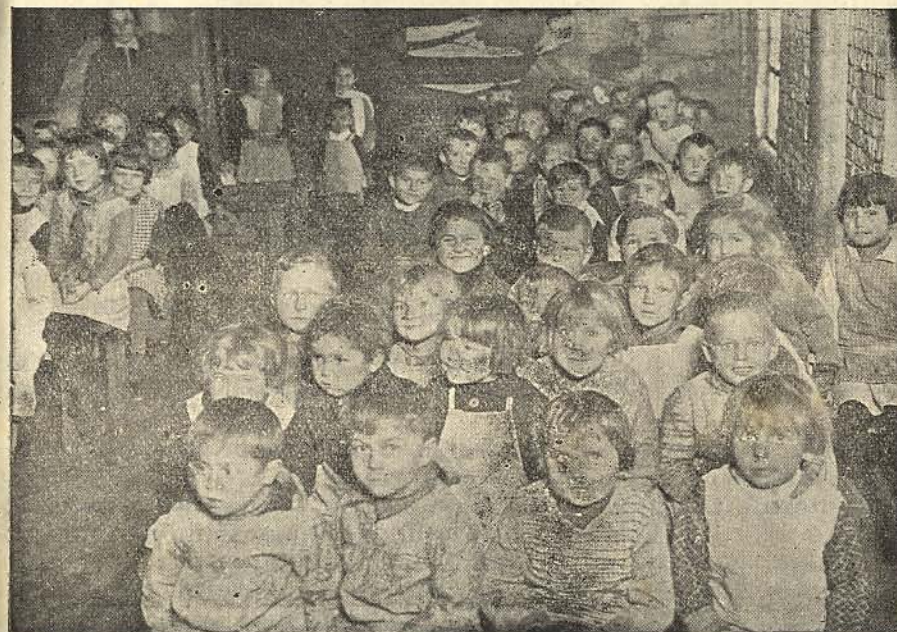
Mówiąc o Polakach rozproszonych na globie, ograniczymy się do liczb krótkich, niby na marginesie notowanych wzmianek. Pamiętać jednak należy, że każda z nich oznacza polską pracę i polski pochod w świat.

Zanim ocenimy wartość dorobku polskiego za morzami, musimy zatrzymać się w „starej“ Europie.

W Niemczech dzisiejszych liczba Polaków dociega 1.450 tys. głów. Na samym Śląsku Opolskim znajduje się 800 tys., w Prusiech Wschodnich 200 tys., około 200 tys. na pograniczu Poznańskiego i Pomorza. Reszta to górnicy i hutnicy nasi w Westfalji i w Nadrenji, oraz kilkanaście tysięcy w stolicy Niemiec, w Berlinie. Do roku 1931

rok rocznie wyjeżdżało do Niemiec z Polski około 100 tys. emigrantów sezonowych, których popularnie nazywano „wyjeżdżającymi na saksy“. Panujący kryzys gospodarczy przerwał jednak prawie całkowicie emigrację sezonową do Niemiec. Polacy w Niemczech walczyć muszą z akcją wynaradawiającą, solidarnie prowadzoną przez rząd, społeczeństwo, szkołę i kler niemiecki. Od czasów komisji kolonizacyjnej i Wrześni nie wiele się zmieniło po niemieckiej stronie.

W Czechosłowacji zato lepiej powodzi się 200-tysięcznej rzeszy naszych rodaków, zamieszkującej oderwany w roku 1919 Śląsk Cieszyński i inne części kraju. Polacy w Czechosłowacji, to element robotniczy, wiejski i miejski, — w większości zorganizowany i narodowo uświadomiony. Układające się przyjaźnie stosunki obu słowiańskich republik i współpraca gospodarcza, powinny stanowić szeroką podstawę do swobodnego nadal rozwoju Polaków w Czechosłowacji.



Z życia wychodźstwa polskiego we Francji. Działwa szkolna w szkole polskiej w Marles les Mines.

A Polacy w Rumunji? — Zadzierzgnięte zaraz po wojnie węzły przyjaźni polsko - rumuńskiej niestety nie uchroniły początkowo 90-tysięcznej rzeszy tamtejszych Polaków, zamieszkałych na Bukowinie i w Besarabji, od prześladowań, wywołanych szowinizmem władz lokalnych. Oczywiście nie złamały one Polonji rumuńskiej, która buduje swoje narodowe życie, wierząc, że stosunki przyjazne obu państw wpłyną stale na polepszanie jej losu.

Brak normalnych stosunków z Litwą, ogarniętą szaleńcem antypolskim, sprawił, że przeszło 200 tys. Polaków, przeważnie drobnych rolników, prześladowanych jest przez biurokrację litewską. Mimo to Polacy litewscy nie upadają na duchu i w niezmiernie ciężkich warunkach życie polskie rozwija się tam. Być może, że gdy przy-



Polacy we francuskiej legji cudzoziemskiej. Na posterunku w głębi Maroka.

dzie dzień, w którym bielmo spadnie z oczów litewskich, — rodacy nasi na Litwie staną się pomostem jednoczącym obydwu bratnie narody.

W **Łotwie**, związanej z Polską braterstwem broni z 1919 roku — liczba Polaków wynosi około 70 tysięcy. Rodacy nasi na Łotwie osiedli są głównie w Letgalji (południowa część Łotwy). Ostatnio społeczeństwo nasze na Łotwie przeżywało okres prześladowań politycznych, jakie spotkały lojalną tamtejszą Polonję ze strony administracji łotewskiej. Należy jednak wierzyć, że niesprawiedliwe ustosunkowanie się władz łotewskich do polskiej mniejszości minie bezpowrotnie i że współzycie z rodakami naszymi ułożone zostanie normalnie.

W pozostałych państwach bałtyckich, t. zn. w **Estonji** i w **Finlandji** pozostało jeszcze z przed wojny nieco inteligencji, oraz elementu robotniczego. Fobieżne obliczenia mówią o 15 tys. zamieszkujących Estonję oraz o tysiącu rodaków, zamieszkujących Finlandję.

Wielką tragedją jest los miliona Polaków, zamieszkujących do dziś dnia olbrzymie przestrzenie **Rosji Sowieckiej**. Większa część wśród nich, to element rolniczy, osiadły na ziemiach, wchodzących ongiś w skład Rzeczypospolitej, więc na: Białorusi, Wołyniu, Podolu i Kijowszczyźnie. Dwieście tysięcy, zgrupowane w guberniach centralnych, moskiewskiej i leningradzkiej, oraz 60 tys. w Rosji azjatyckiej — to resztki przedwojennej emigracji, rzemieślniczej i inteligentkiej, oraz potomkowie zesłańców politycznych, którzy nie zdążyli po wybuchu rewolucji powrócić do kraju.

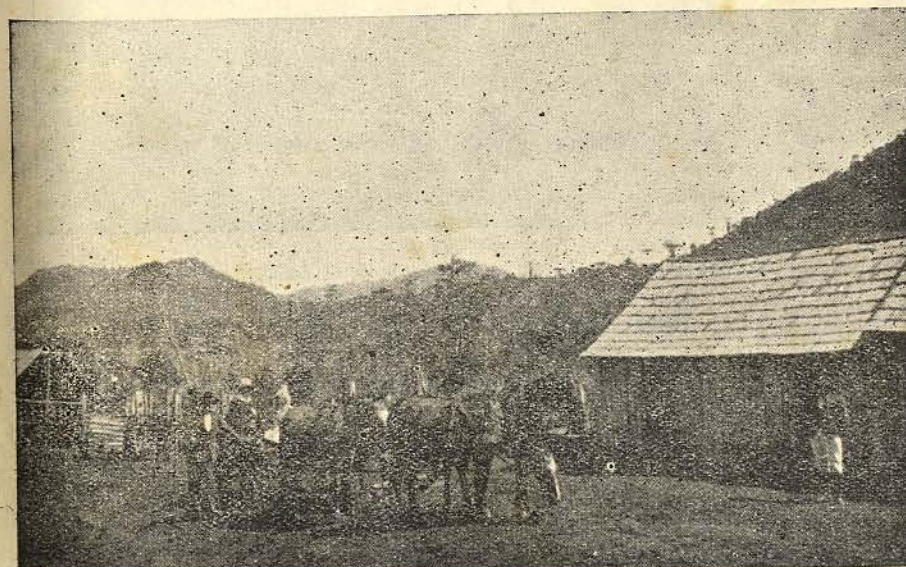
Pozbawieni wszelkiej możności zrzeszania się w wolne zbiorowiska i kontakt z krajem, skazani na życie w ramach niwelującego wysiłku jednostki ustroju komunistycznego, dążącego do wyzyskania ich dla przyszłej rewolucji światowej, Polacy w Rosji odcierani są od pnia narodowego.

Nie mogąc w obecnych warunkach udzielić im żadnej pomocy, musimy jedynie zachować wiarę, że, górując cywilizacją nad otaczającym ich środowiskiem, zdołają rodacy nasi w Rosji przetrwać obecne cnwile, aż do czasu, kiedy zostanie przywrócona ich łączność z Ojczyzną.

Przechodząc z kolei do oceny polskich środowisk emigracyjnych na zachodzie Europy, zwrócić przede wszystkim należy uwagę na Francję, gdzie liczba Polaków zatrudnionych w górnictwie, przemyśle i na roli przekracza liczbę 700 tysięcy. Czynione przed wojną przez Małopolskie Towarzystwo Kolonizacyjne próby skierowania polskiej fali wychodźczej do Francji, zamiast do Niemiec — przyniosły minimalne rezultaty. Dopiero po wojnie światowej Francja, nie mając rąk robotczych dla odkrudowania zniszczonych obszarów, wycieńczona niebывałym upływem krwi, mając najmniejszy w Europie przyrost ludności, zmuszona była ohejrzeć się za robotnikiem cudzoziemskim.

W obliczu szalejącego w Niemczech bezrobocia — podążyła stamtąd do Francji świetnie zorganizowana, patriotyczna rzesza około 200 tys. górników z Westfalji i Nadrenji.

Północno - wschodni okręg przemysłowo - górniczy, t. j. departamenty Nord i Pas de Calais, Alzacja i Lotaryngja i wreszcie środkowy okręg Lyonu — oto miejsca najsilniejszych skupień polskich dosięgających w niektórych miejscowościach 70% ogółu mie-



Wśród Polaków w Brazylii. Zaprzęg kolonisty polskiego na drodze z Cruseiro do Hervalu (Santa Catharina).

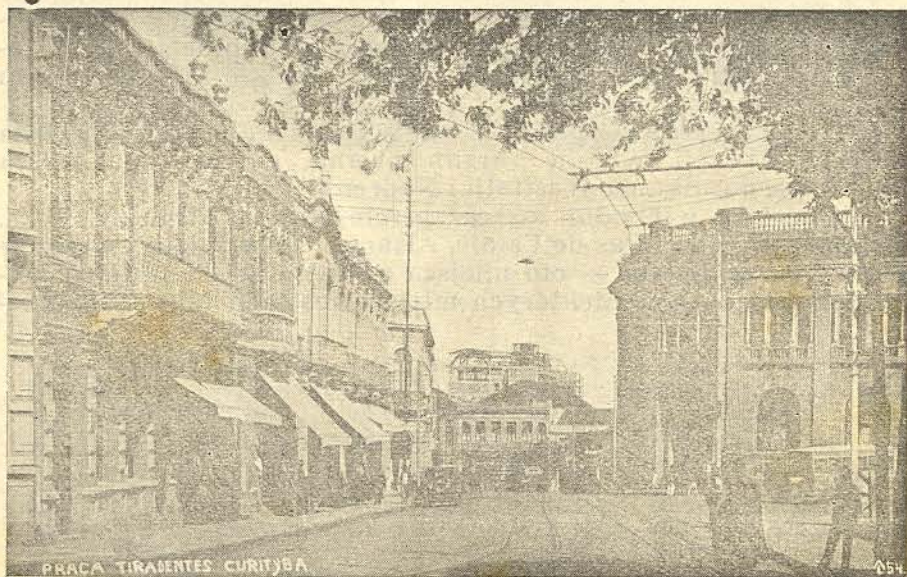
szkańców tych miejscowości. Poza tem nie brak robotników polskich na przedmieściach Paryża i w rolniczych miejscowościach całej Francji.

Życie polskie we Francji, któremu ton w dużej mierze nadaje emigracja polska przybyła z Niemiec, rozwinęło się bujnie zwłaszcza w osiedlach górniczych i przemysłowych.

Trudno dziś cokolwiek powiedzieć o przyszłości. Ostry przebieg kryzysu gospodarczego, dotyczącego w pierwszym rzędzie Polaków, oraz dążenia asymilacyjne władz francuskich, nie uznających problemu mniejszościowego u siebie — oto powody serdecznej troski o los tych, którzy stanowią część naszego narodu.

Równolegle z napływem do Francji wytwarzał się 40 tys. ośrodek polski w **Belgii**, złożony z górników i hutników, pracujących w okręgu górniczym. Na przeszkodzie rozwojowi tej Polonji, cieszącej się pełnią swobody kulturalnej, stanął ostatnio kryzys gospodarczy.

Również pochodzenia powojennego jest dobrze zorganizowany górniczy ośrodek polski w **Holandji** (Limburgja). Natomiast 12 tys. emigracja rolnicza w **Danji** datuje się jeszcze z przed wojny. Osiedla



Kurytyba, stolica stanu Parana w Brazylii, w którym mieszka około 150.000 Polaków.

ona na wyspach Falster, Holland, Fiongi oraz w północnym Szlezwiku. Dzięki dużemu rozproszeniu, dopiero niedawno zaczęła wytwarzać formy narodowego życia, walcząc z asymilacyjnymi dążeniami miejscowego kleru.

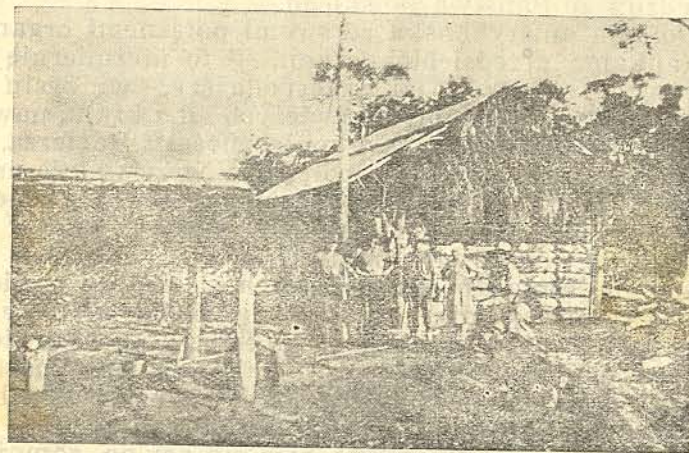
Osiadła w stolicy **Austrii**, ośmiotysięczna kolonia polska — to pozostałość po dawnym licznym elemencie urzędniczym oraz robotnicy. Życie polskie na bruku wiedeńskim posiada swoje tradycje, to też — mimo biedy nękającej wielką stolicę małej republiki — toczy się ustalonem korytem. Gorzej przedstawia się sytuacja w sąsiednim Budapeszcie (**Węgry**), gdzie piętnastotysięczna rzesza robotnicza polska ulega coraz bardziej prądom asymilacyjnym.

Powstanie Zjednoczonej **Jugosławii** nie polepszyło losu 15 tys. kolonistów polskich w Bośni. Miejscowe ustawodawstwo utrudnia ich rozwój kulturalny i narodowy. Trudna komunikacja wpływa również na brak żywszego kontaktu z krajem ojczystym.

Rozglądając się za Polakami w Europie, wypadnie wspomnieć o 2 tysiącach Polaków w Szwajcarii, o 1.000 mniej więcej Polaków we Włoszech, o 5 tysiącach w Anglii, oraz o drobnych skupieniach polskich w Bułgarii, Szwecji, Luksemburgu i t. d.

Już poza nawiasem wychodźstwa europejskiego znajduje się grupa 350 Polaków, osiadłych w Turcji azjatyckiej. 170 z nich zamieszkuje kolonję rolniczą Adampol, założoną dla emigrantów w r. 1831 przez ks. Adama Czartoryskiego.

Kończąc przegląd ośrodków polskich w Europie, stwierdzić musimy, że obraz ich nie przedstawia się w różowych barwach. Z jednej strony „mniejszości“ polskie broniące prawa do narodowego życia, z drugiej zaś niepewna jutra, odczuwająca najdotkliwiej skutki wahanja konjunktur gospodarczych, emigracja. Sytuacja w Europie wykazuje, że musimy rozstać się z myślą o szukaniu tutaj ujścia nadmiaru naszego przyrostu naturalnego.



Paragwaj. Kol. Vacany — pierwsze „zabudowanie“ kolonisty polskiego.

Obraz zmieni się zasadniczo, kiedy poszukamy dla naszego wychodźcy warsztatów i to niezależnych za oceanami.

Na plan pierwszy wysuwa się, zwana przed wojną IV-tą dzielnicą Polski za oceanem, — Polonja w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Zapoczątkowane przez emigrantów politycznych, nabiera wychodźstwo zarobkowe polskie w Stanach Zjednoczonych w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia istic żywiołowej siły, obejmując kolejno wszystkie trzy zabory. Fala ta płynie bezustannie. Przerwana na chwilę wojną światową, płynie nadal, aż do zamknięcia bramy do Nowego Świata, dla przybyszów z Europy.

Niedokładność statystyk przedwojennych uniemożliwia ściśle stwierdzenie ilości Polaków w Stanach Zjednoczonych Am. Półn. Obracając się w sferze prawdopodobieństw, możemy liczbę Polaków w Stanach Zjednoczonych oznaczyć na 4 — 4½ miliona.

Upłynęło lat 80 od chwili, kiedy osadnicy polscy ze Śląska z ks. Moczygębą na czele przybyli do Ameryki Północnej i założyli dwa pierwsze osiedla polskie: Najświęszą Maryję Pannę i Częstochowę. Dziś ilość farm polskich w Stanach północnych obliczają na 400 tysięcy, rozrzuconych od Atlantyku do Pacyfiku, z wyraźną przewagą stanów: Wisconsin, Michigan i Connecticut. Wychodźstwo miejskie zgrupowane jest wokół Chicago, które ze swoją 350-tysięczną ludnością polską uważane jest za stolicę tamtejszej Polonii. W przemysłowych Stanach zachodnich, New York, Buffalo, Erie, Pittsburg, Filadelfja, Baltimore, Cleveland, Toledo, Detroit, Milwaukee i St. Louis — sto wykaz metropolii Stanów, w których przybysz z Europy natknie się bez trudu na skupienia polskie. Liczba osiedli polskich w Stanach Zjednoczonych wynosi 1.500, parafii 800, szkół parafjalnych 530.

Dorobek Polonii amerykańskiej wynosi 4.200 milionów dolarów, zdobytych wyłącznie pracą rąk. Znaczenie naszego wychodźstwa amerykańskiego dla Macierzy ujawniło się w całej pełni w czasie wielkiej wojny, gdy złożyła ona liczne ofiary krwi i mienia na ołtarzu Odrodzonego Państwa Polskiego.

Dziś Polonia amerykańska ze swemi potężnymi organizacjami, prasą, bankami przedsiębiorstwami, — to niezmiernie ważny czynnik zarówno polityczny, jak i gospodarczy, w życiu Polski współczesnej. Pozbawiona dopływu świeżych sił z kraju, nawet częściowo amerykanizując się, — nie traci łączności z Macierzą, reagując żywo na każde wezwanie do współpracy. Niezawodnie przetrwa ona obecne ciężkie czasy, wnosząc do gmachu kultury amerykańskiej walory polskie, a zarazem stanowiąc pomost między Polską a potężnym mocarstwem drugiej półkuli.

W sąsiedniej **Kanadzie**, zwanej „śpiczlerzem brytyjskiego imperjum“ liczba rolniczej emigracji polskiej, osiadłej głównie w prowincjach Manitoba, Saskatchewan i Alberta, — dosięga liczby 80 tysięcy ludzi na ogólną liczbę 120 tys. Polaków. Rodacy nasi w Kanadzie tworzą również znaczniejsze skupiska po miastach, jak: Montreal, Toronto, Winnipeg, Hamilton, Windsor i t. d.

O ile farmerzy polscy odznaczają się pewną zamożnością, o tyle los robotnika miejskiego nie zawsze godny jest pozazdroszczenia, zwłaszcza w obliczu światowego kryzysu rolnego, który Kanadzie dał się szczególnie we znaki. Kryzys zatrzymał zupełnie dopływ świeżych sił polskich do kraju przyszłości, jakim jest Kanada.

Rozproszona na olbrzymich obszarach Polonia kanadyjska, oprócz osiedli miejskich nie zdołała do tej pory skryształizować form swego życia narodowego w takim stopniu, w jakim uczyniło to np. 400 tys. emigrantów rusińskich. Niezawodnie jest to tylko kwestja czasu.

Polacy w **Ameryce Środkowej i Meksyku**, oraz na **Kubie**, to drobne grupy tych, którym przeważnie nie udało się dostać do Stanów Zjednoczonych.

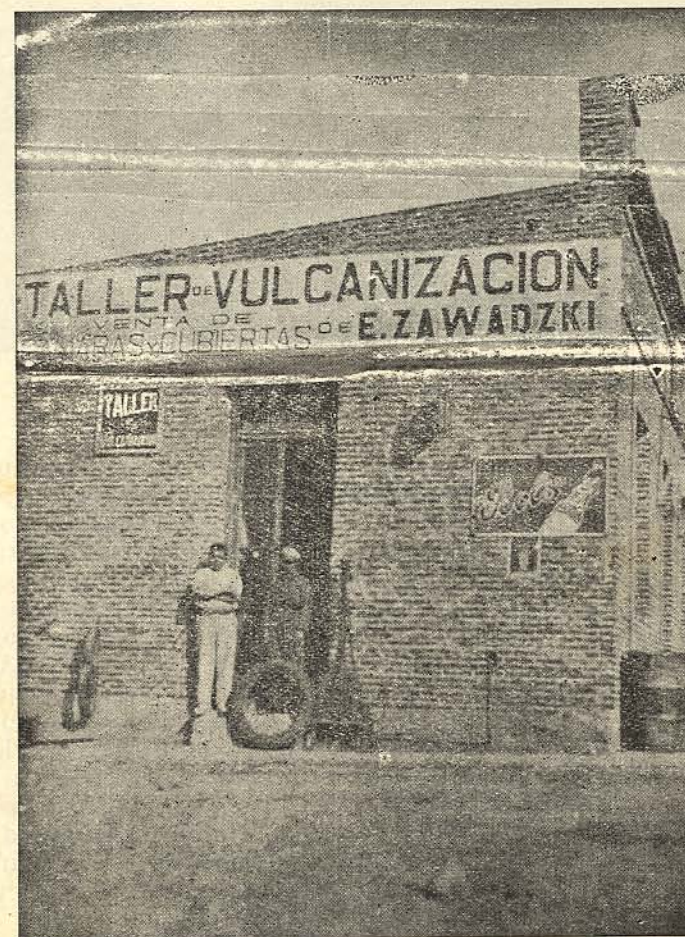
Zato Polonia w Ameryce Południowej stanowi jeden z najcięższych ośrodków polskich na świecie, posiadający przed sobą wielkie możliwości rozwoju.

Na czele Polonii południowo - amerykańskiej postawić należy 300 tysięcy osadników polskich w **Brazylii**, których większość przywędrowała tam w okresach t. zw. „gorączki brazylijskiej“.

Dziś, kiedy mija już okres twardego zmagania się polskiego chłopca z dziewiczą puszcza, kiedy niemal trzecie pokolenie wyrosło pod Krzyżem Południa, oszłodzić możemy wartość tego osadnictwa.

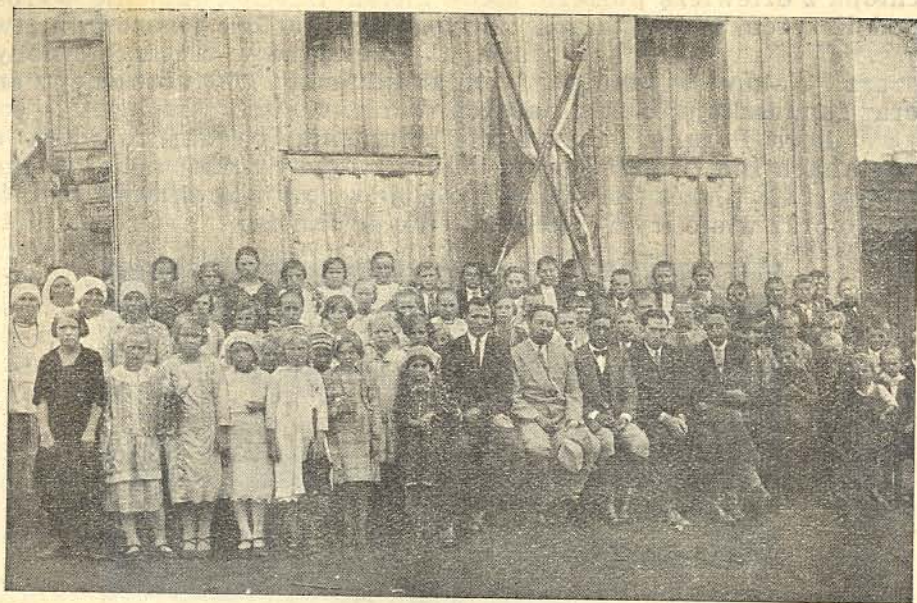
W samym stanie Parana, najgęściej, bo w 20% zaludnionym przez Polaków, w ręku polskim znajduje się 70% uprawnej ziemi, oraz zamieszkuje 200 tys. naszych rodaków.

Poza Parana znaczniejsze skupienia polskie znajdują się w stanach Rio Grande do Sul (60 tys.), oraz St. Catharina (20 tys.). Mniejsze skupienia polskie znajdują się w stanie Sao Paulo, Espirito Santo oraz w stolicy Republiki — Rio de Janeiro.



Polacy na szerokim świecie. Zakład wulkanizacyjny p. E. Zawadzkiego w Comodoro Rivadavia (Patagonja)

Wzrastająca łączność kulturalna i gospodarcza Polaków brazylijskich z Macierzą, wzrost uświadomienia narodowego, powiększająca się z roku na rok ilość rodzimej inteligencji, oraz istniejące możliwości kontynuowania akcji osadniczej polskiej na terenie **Brazylii**: — to wszystko każe nam patrzeć na tamtejszą emigrację osadniczą, jako na ważny czynnik naszej ekspansji na świecie.



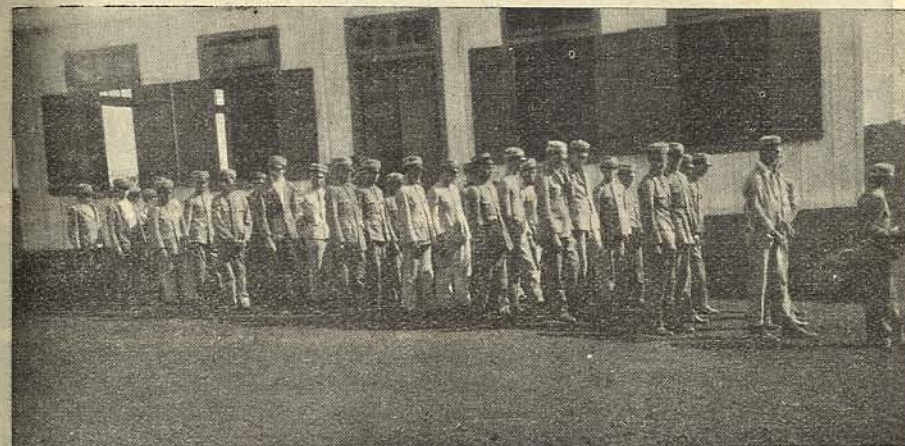
Szkoła polska we Floresta (Brazylja)

Późniejszego pochodzenia, częściowo już powojennego, jest wychództwo polskie w **Argentynie**, którego początek przypada na 1900 rok. Około 15 tys. kolonistów polskich zgrupowało się tutaj w prowincji Misiones, osiągając pewną zamożność. Znacznie gorsza jest sytuacja przeszło stu tysięcy rzeszy robotniczej, rozproszonej po miastach, względnie zatrudnionej przy najcięższych robotach, jak budowa linii kolejowych, szos, mostów i t. p. Kryzys gospodarczy daje się tej kategorii naszego wychództwa również i w Argentynie we znaki. Mimo to zarówno w prowincjach wschodnich, jak i w oddalonym Misiones, życie polskie zaznacza się coraz śmielej.

Od tych dwóch zasadniczych nurtów emigracji polskiej odbiły się drobne odpływy. Grupy, a nawet całe osiedla polskie napotkać można w Paragwaju, Urugwaju i Chile. Jako pozostałość nieudanych narazie prób kolonizacji istnieje drobna, składająca się z kilkudziesięciu osób, grupka osadnicza w Montanji Peruwjańskiej.

Polacy w Południowej Ameryce na tym kontynencie nieobliczanych możliwości, cieszą się zasłużonym uznaniem. Dokonał tego czyn chłop polski, który okazał się dzielny i nieustępliwym pionierem cywilizacji na niezmiernie wielkich obszarach „Zielonego Łądu”.

Dla uzupełnienia obrazu wspomnieć trzeba o wzorowo zorganizowanym skupisku polskim na kresach Azji. W odległej **Mandżurji**, na terenie obecnego starcia chińsko - japońskiego, zamieszkuje 5-tysięczna kolonia polska, osiadła w większości w Charbinie. Przeważnie są to potomkowie dawnych zesłańców politycznych i byli urzędnicy wschodnio - chińskiej kolei, oraz uciekinierzy z pożaru rewolucji rosyjskiej. Jest to narodowo uświadomiony żywioł, znakomity materiał pionierski dla ekspansji gospodarczej na



Uczniowie polskiego kolegium im. W. Reymonta w Guarany (Brazylja).

Daleki Wschód, posiadający już zresztą bogate w tym względzie tradycje.

Poza tem spotykamy grupy Polaków, oraz jednostki, w japońskiej części Sachalinu, w międzynarodowym Szanghaju, na Filipinach, w Sjamie, w Indjach, w Indochinach i w Persji. Niema kraju na świecie, gdzieby nie było Polaków.

Wojna światowa przyczyniła się także do wzrostu tysiącznej kolonii **australijskiej**, utrzymującej coraz żywszą łączność z krajem.

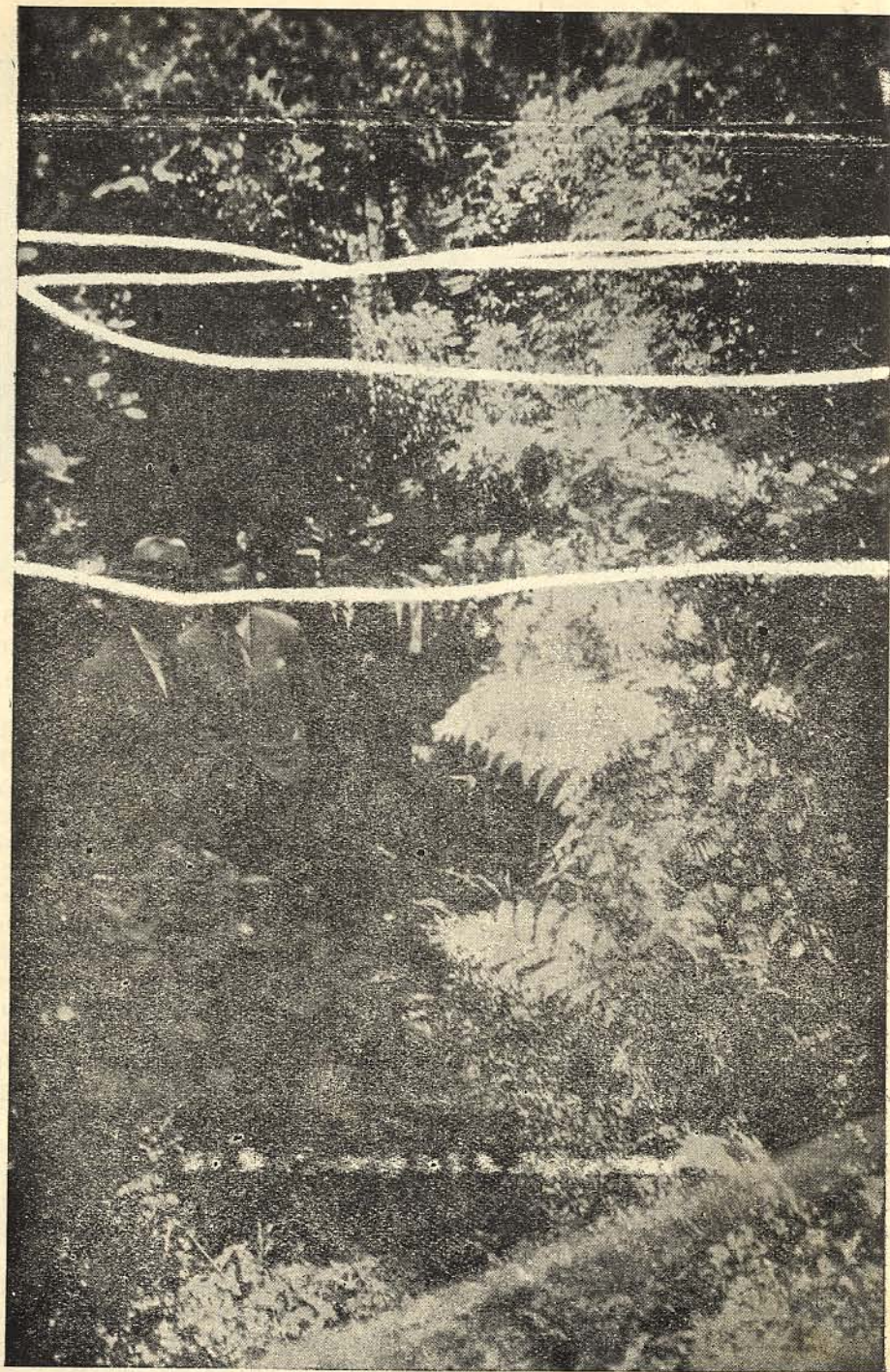
Ostatnio dokonuje się coraz żywsze przenikanie Polaków na czarny ląd, — do Afryki. Obok, liczących po paruset ludzi, skupisk w Afryce Północnej, jak w Marokko, w Algierze, czy w Tunisie, obok Polaków służących we francuskiej legii cudzoziemskiej, — coraz więcej inteligencji pojawia się w Kongu Belgijskim, w Afryce Równikowej, w Angoli. Są to przeważnie plantatorzy-przedsiębiorcy kolonialni. Ojław to zdrowy i pożądany, mogący w przyszłości przynieść polskiemu gospodarstwu narodowemu poważne korzyści.

Obraz zamknięty. Na tych niewielu kartkach przebiegliśmy niemal całą kulę ziemską, dalecy choćby od pobieżnego wglębnienia się w te rozliczne formy życia polskiego, kształtującego się nieraz w całkowicie odmiennych warunkach od tych, jakie mamy w kraju.

Hartuje się dusza polska na odległych drogach świata. Wychodźca polski zdobywa nowe wartości, powiększając polski stan posiadania. Daleko poza granice wybiega polska mowa. Z szarych tłumów wiejskich i miejskich tułaczów, niedostatkiem wygnanych z kraju — wyrasta pokolenie pionierów - zdobywców, bezimiennych ambasadorów polskiego imienia.

Wierzymy, że rodacy nasi, gdziekolwiek się znajdowali, coraz bardziej dążyć będą do ściślejszej współpracy ze swoim „Starym krajem”. Są i będą zawsze przedstawicielami polskiej kultury i polskich interesów gospodarczych. Wzorem Anglików, Czechów czy Niemców — zawsze i przede wszystkim mieć będą na względzie interesy Polski. Kraj ze swej strony zawsze we wspólnych interesach współdziała i współdziałać będzie z naszymi rodakami na obczyźnie.

FRANCISZEK ŁYP.



Brazylja — W puszczy riograndeńskiej.

Jan Kuczyński

Harcerskie drużyny żeglarskie

Od wczesnej wiosny do późnej jesieni rzeki, jeziora i kanały naszych sąsiadów zachodnich i tych po drugiej stronie Bałtyku — noszą na swoich wodach całe masy kajaków, łodzi, żagliówek. Bałtyk zaś gości śmielszych żeglarzy, którzy rok rocznie na małych jachtach odwiedzają wzajemnie swoje porty — składają sobie wizyty i, co dla państwa najważniejsze, prezentują swoją banderę na obcych wodach.

Większość naszego społeczeństwa niezawsze rozumie, jak wielkie korzyści przynosi turystyka i sport żeglarski, nie tylko dla osób je uprawiających, ale i dla państwa. Na osobiste korzyści sportowca — żeglarza, oprócz wyrobienia fizycznego, składa się cały szereg wartości moralnych, jak: hart, odwaga, wytrzymałość, przytomność umysłu, sztywność decyzji, wiara we własne siły... — wyliczać tak można długo. Niema takiej prawdziwie męskiej cechy charakteru, której nie wymagałoby się od dobrego żeglarskiego. Gdy weźmiemy pod uwagę, że, wyjeżdżając na małym jachcie na pełne morze — stateczek taki musimy zaopatrzyć we wszystko, co będzie nam potrzebne w drodze, bo sklepiku na morzu nie spotkamy — dojdziemy do wniosku, że od żeglarza poza wszystkim wymagać trzeba wszelkich cech zabiegliwego, przewidującego gospodarza i dobrego organizatora. Zatem przed wyniesieniem na morze na niedługą nawet wycieczkę, pomyśleć musi o setkach drobiazgów, których obecności obok siebie na lądzie w potocznym życiu nawet nie zauważamy, a których brak w odpowiedniej chwili na morzu dobrze daje się nam we znaki, lub nierzadko stać się może przyczyną zguby.

A, że podróże kształcą, — o tem już wspominać nie trzeba.

A korzyści dla państwa? Trzeba widzieć, z jaką sympatją i uznaniem wita ludność w każdym porcie jachtowców i jak to uznanie spływa na reprezentowaną przez nich banderę! Naturalnem przecież pytaniem zawsze będzie: „Skąd oni — co za jedni?“ Finowie, Szwedzi, Łotysze, Norwedzy... Niemcy! Wśród nich polską banderę spotyka się, jak na lekarstwo. A przez to, gdy się nawet ukaże zrzadka, niezawsze ludzie wiedzą, co to za bandera. A czyż doprawdy polska młodzież jest taka nieporadna, tchórzliwa, leniwa, bez ochoty do trudów żeglarskich, że mało, wprost wcale, można powiedzieć, nie bierze udziału w turystyce morskiej? Wiemy dobrze, że tak nie jest — winę ponosi tu nasze ogólne opóźnienie na morzu. Niemcy i państwa skandynawskie w zrozumieniu doniołej roli żeglarstwa dla wyrobienia hartu w swych obywatelach — z Bałtyku zrobiły teren wakacyjny dla swej młodzieży. Wielki czas i na nas. Nadążać za temi narodami musimy wielkimi krokami; tempo rozwoju żeglarstwa musi u nas być przyspieszone. Materiał ludzki mamy pierwszorzędny. Brak nam pełnego zrozumienia w szerszym społeczeństwie, a co za tem idzie — funduszy na ten cel.

A funduszy tych nie trzeba zbyt dużo. Do turystyki na wodach śródlądowych dostaniemy kajak za 50, a nawet za 30 zł., jolkę na jeziora za kilkaset złotych. Słowa „jacht morski“ wielu ludzi przestrasza. Pod słowem tem wyobrażamy sobie często kosztowny statek, na który sobie może pozwolić milioner, lub conajmniej jaka gwiazda

filmowa. A tymczasem jacht do turystyki po Bałtyku, to nie żaden luksus. Można go dostać w cenie od kilku do kilkunastu tysięcy złotych. Powiecie, że niebezpiecznie na takim jachcie wypływać na morze? Nie hipnotyzujcie się słowami „morze“ i „burza na morzu“. Znaćcie burszów niemieckich — czyż lepsi oni od naszych zuchów? Prawda, że nie — a przecież setkami pływają oni na takich właśnie jachtach.

I w Polsce zaczyna się budzić zrozumienie tych spraw. Państwowy Urząd Wychowania Fizycznego i P. W. organizuje ośrodki żeglarskie. Liga Morska i Kolonjalna tworzy sekcje wodnego wychowania młodzieży. Prawnicy kupują i oddają na cele szkolenia żeglarskiego dwa jachty pełnomorskie „Temida I“ i „Temida II“. Kluby sportowe tworzą sekcje żeglarskie, które naturalną koleją losu przekształcają się w oddzielne Yacht - Kluby. Yacht - Kluby zjednoczone w Polskim Zw. Żegl., dostarczają materiału ludzkiego — kandydatów na żeglarzy.



Jezioro Garczyńskie na Pomorzu, z „Czarcia wyspą“, — teren mieliznaro owego zlotu skautów wodnych w roku 1935

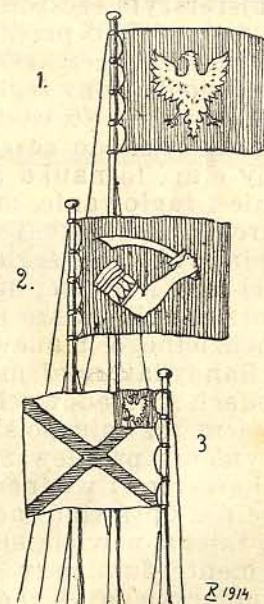
Ale najcenniejszego, z punktu widzenia państwowego, materiału do ośrodków żeglarskich dostarcza Harcerstwo. Dlaczego najcenniejszego? Bo w Związku Harcerstwa Polskiego stosunki są tak ułożone, że każdy uczestnik jakiegokolwiek kursu instruktorskiego — a w danym wypadku kursu, na który łoży pośrednio czy bezpośrednio państwo — dzieli się swymi zdobytymi wiadomościami z kilkudziesięciu kolegami młodszymi. Harcerstwo jest organizacją, która zdobytymi wiadomościami najintensywniej „promieniuje“ w głąb — co leży w interesie państwa. Kluby, czy stowarzyszenia żeglarskie, mogą liczyć dziesiątki, czy setki członków — harcerzy liczy się na tysiące...

Organizacje społeczne i władze państwowe rozumieją to doskonale i całkowicie popierają akcję żeglarską w łonie Z. H. P. Akcją tą w Głównej Kwaterze Harcerzy kieruje wydział pod nazwą „Kierownictwo Harcerskich Drużyn Żeglarskich“.

Kierownictwo Harcerskich Drużyn Żeglarskich w wychowaniu wodnym młodzieży postawiło sobie za zadanie:

- a) Wytrobienie w harcerzach wodnych dodatnich cech żeglarza.
- b) Dostarczenia młodzieży szeregu wiadomości technicznych, koniecznych do samodzielnego uprawiania turystyki i sportu żeglarskiego.
- c) Obycie młodzieży z wodą (pływanie, ratownictwo, udział w wycieczkach i obozach wodnych i t. p.).
- d) Zainteresowanie młodzieży sprawami morza i dróg wodnych, oraz zachęcenie jej do propagandy tych zagadnień.
- e) Zorganizowanie czynnego rozszerzania przez młodzież znajomości żeglarstwa (instruowanie młodszych).
- f) Zbieranie materiału statystycznego o drogach wodnych.
- g) Zorganizowanie pomocy na wypadek burz i powodzi.

Celem ułatwienia wykonania tych zadań utworzono szereg „stopni żeglarskich“. Każdy stopień żeglarski uwzględnia nabycie pewnych wiadomości, lub wykonanie pewnych prac w powyższym



LES DRAPEAUX DE LA FLOTTE POLONAISE
FLAGS OF THE POLISH FLEET.
FAHNEN DER POLNISCHEN FLOTTE

LA FLOTTE NATIONALE JUSQU'AU XVIII^e { LA FLOTTE ROYALE JUSQU'AU XVIII^e
THE NATIONAL FLEET TO XVIII^e 2. THE ROYAL FLEET TO XVIII^e
(NATIONALFLOTTE BIS ZUM XVIII^e) (KÖNIGLICHE FLOTTE BIS ZUM XVIII^e)
3. { LA FLOTTE DU XVIII^e
THE FLEET FROM XVIII^e
FLOTTE DES XVIII^e.

Dawne bandery polskie.

zakresie. Uzyskanie więc pewnego stopnia oznacza, że harcerz posiada szereg wskazanych programem stopnia wiadomości i umiejętności i podzielił się temi zdobyczami z innymi.

Sport żeglarski, a szczególnie turystyka, wymagają znacznie większego, niż w innych sportach, przygotowania teoretycznego i praktycznego. Wyszukanie więc techniczne harcerzy wodnych jest jednym z najpracowniejszych zadań kierownictwa.

W szkoleniu technicznym harcerzy wodnych wylaniają się dwa zadania. Jedno, to wyuczenie kadr żeglarzy śródlądowych, uprawiających z zamiłowaniem turystykę śródlądową — drugie, to wypuszczenie w szeroki świat żeglarzy morskich, tworzących zgrane i odważne załogi jachtów pełnomorskich — a z jednostek zdolniejszych — kierowników tych jachtów.

Szkolenie żeglarzy śródlądowych odbywa się na naszych licznych jeziorach i rzekach. Trudniejsze jest, ze względu na szczupłość wybrzeża morskiego i znaczną jego odległość od niektórych ośrodków, szkolenie żeglarzy morskich. Dojazd i pobyt nad morzem pociąga za sobą pewne koszty, z tego względu terenu morskiego używa się do dalszego szkolenia żeglarskiego, a początków uczy się na wodach śródlądowych. Są one świetnym terenem przygotowawczym do żeglarstwa morskiego, a z drugiej strony morze jest świetnym terenem do szybkiego wyrobienia instruktorów żeglarstwa. Morze bowiem daje możliwość większego i szybszego wyrobienia w żeglarzach przytomności umysłu, odwagi, rozwagi i t. p. cech, przydatnych wszystkim, a w szczególności instruktorom żeglarstwa. Starając się więc o umożliwienie jak najszerszym rzeszom harcerzy wodnych dostępu do morza — z terenu morskiego przedewszystkiem korzystając się będzie do szkolenia instruktorów żeglarskich.

Harcerz, po wstąpieniu do drużyny żeglarskiej, uczy się pływania, wiosłowania i ogólnego obycia się z wodą. W miarę nabywania doświadczenia, zostaje dopuszczany do coraz to trudniejszych wycieczek wodnych. Następny etap, to nauka żaglowania. Opanowawszy pływanie, wiosłowanie i żaglowanie, ma możliwość uprawiania samodzielnie wszelakiego rodzaju turystyki wodnej.

Dalsze przeszkolenie instruktorów żeglarstwa, lub kandydatów na żeglarzy morskich, polega na kształceniu ich w specjalnie organizowanych ośrodkach morskich. Pierwsze to przeszkolenie na morzu polega na nauce samodzielnego manewrowania niewielkimi jachtamiorskimi, aby kandydat miał możność manewrowania całym statkiem, jak na wodach śródlądowych, a tylko w warunkach morskich. W dalszym bowiem rozwoju polskiej turystyki morskiej harcerze będą mieli do czynienia przedewszystkiem z niewielkimi jachtami. W tym okresie harcerzowi wodnemu daje się tyle wiadomości, aby mógł samodzielnie uprawiać jachting po zatoce Gdańskiej, lub brać udział, jako załoga, w wielkiej turystyce morskiej.

Wysegregowany element zdolniejszy — kandydatów na kierowników jachtingu pełnomorskiego — zaokrętownuje się na duży szkolny jacht harcerski, jako załogę, gdzie otrzymają przeszkolenie nawigacyjne i żeglarskie, konieczne do tego celu. W razie dodatnich wyników nauki na harcerskim jachcie szkolnym, harcerz taki ma prawo zajmowania stanowiska zastępcy kapitana na jachtach morskich w podróżach zagranicznych. Dopiero po przepływaniu przewidzianej programem ilości dni w charakterze zastępcy, harcerz ma

prawo starać się o przyznanie mu stopnia, upoważniającego do uprawiania samodzielnej żeglugi morskiej na jachtach harcerskich.

Aby w czyn wprowadzić tę metodę, potrzeba odpowiedniego taboru żeglarskiego, składającego się z: jachtów rzecznych, jachtów przybrzeżnych, dużego jachtu szkolnego (ponad 100 ton), jachtów pełnomorskich (10 — 15 ton). Jachtów rzecznych, t. zw. jolek, harcerstwo nie posiada wiele. Aby zaspokoić potrzeby, tabor ten musiałby zwiększyć się kilkadziesiąt razy. Jednak, ze względu na niewielkie stosunkowo koszty — spodziewane jest — że drużyny we własnym zakresie uzupełnią braki. Gorzej jest z taborzem morskim. Dwie morskie drużyny — jedna w Gdyni, druga w Gdańsku — wymagają taboru przybrzeżnego morskiego, którego zdobycie nie leży w możliwościach finansowych tych drużyn. Tabor ten w miesiącach letnich potrzebny jest do szkolenia drużyn z głębi lądu. Jeszcze gorzej przedstawia się sytuacja z pełnomorskimi jachtami, do dalszych wycieczek morskich, których harcerstwo nie posiada zupełnie. Tak samo nie posiada statku szkolnego, którego potrzebę już obecnie daje się silnie odczuwać. A jacht szkolny i mniejsze jachty pełnomorskie, to kwestja kilkudziesięciu tysięcy złotych. To ponad siły samych harcerzy. Ale to jednocześnie niewielki wysiłek dla narodu polskiego, który większe sumy łoży na cele, przynoszące państwu bez porównania mniej korzyści.

A zatem sprawa pomyślnego rozwoju Harcerskich Drużyn Żeglarskich, jest tylko kwestją zrozumienia ich dążeń w naszym społeczeństwie. Przyszłość pokaże, czy nasze rzeki i jeziora pokryją się lasem żaglówek i kajaków i czy długo nasz Bałtyk będzie wypatrywał wśród bander różnych narodowości harcerskiej bandery polskiej.



Na morzu.



Fotografia modelu konwojowego okrętu polskiego z drugiej połowy wieku XVII. skonstruowanego przez kapitana Schneehagena na podstawie współczesnego sztychu Willema van de Velde. Model ten znajduje się na zamku w Malborgu.
(Ze zbiorów prof. A. Kleczkowskiego).

Poławianie rekinów

Rekiny w największych ilościach pojawiają się między zwrotnikami, w ciepłych wodach zatoki Meksykańskiej, w zatoce Gwinejskiej, wzdłuż wschodnich brzegów Afryki, a bodajże najliczniej na wodach oceanu Indyjskiego wśród wysp Oceanji. Niemniej jednak od czasu do czasu pojawiają się w chłodniejszych morzach, a niezmiernie rzadko w morzach zimnych tam, gdzie dochodzą ciepłe prądy morskie.

Rekinów jest 514 gatunków. Wśród nich największy jest gatunek żarłaczy - ludojadów, zw. także „tygrysami”. Są to najstraszniejsze potwory morskie, postrach poławiaczy pereł, nurków i ludzi, eksploatujących głębie wód.

W ostatnim dziesiętku lat podjęto próby poławiania rekinów dla celów przemysłowych. Wkrótce okazało się, że zależnie od gatunku i wieku rekiny mają różną wielkość i różny ciężar.

Małe rekiny ważą 25 — 50 kg., średnie około 250 kg., duże 500 kg., natomiast wielkie rekiny mają nawet do 1.000 kg., ale te ostatnie są rzadko spotykane. Trafiają się jednak wyjątkowe kazy. Taki wyjątkowo olbrzymi okaz złowiono około Florydy — miał prawie 15 m. długości i ważył 15.000 kg.

Ze względu na możliwość wykorzystania wszystkich części rekina, porównuje się go ze świnia, z której nic się nie marnuje.

Z rekina otrzymuje się:

skórę na wyrób (po wygarbowaniu) pasów napędnych, obuwia, waliz, torebek itp.,

tłuszcz z wątroby; $\frac{1}{3}$ wagi całego potwora zajmuje wątroba, zawierająca 75 — 90% tłuszczu, używanego do celów odżywczych, a gorszego gatunku do wyrobu mydła,

mięso jadalne, spożywane po wysuszeniu przez tubylców, lub przerabiane w Stanach Zjednoczonych na konserwy,

mięso niejadalne, przerabiane na nawóz, bogaty w azot; używa się go także do tuczenia świń itp.,

kości używane na wyrób kleju,

ściianki żołądka i wnętrzości wygarbowane dają cieniutką, bardzo silną skórę,

żółć używana jest w garbarstwie, jako środek gryzący.

Użytek więc z rekina jest wielostronny. Powstały już odpowiednie przedsiębiorstwa poławiania i przemysłowego wykorzystania rekinów. W dużej ilości poławiane są rekiny na wybrzeżu południowym St. Zjednoczonych — mniej w innych krajach. Między innymi w południowej części Angoli, jedno z przedsiębiorstw w pobliżu „Bahia dos Tigres” (t. j. zatoki tygrysów — nazwanej tak z powodu dużej ilości rekinów) łowi dziennie do 7 sztuk różnej wielkości tych potworów.

Na świecie znajduje się tak duża ilość rekinów, że połów ich może odbywać się w wielkich rozmiarach. Rozmnażają się one szybko: rozrodczość jednej samicy dochodzi do 65 sztuk rocznie. Gdyby stare rekiny nie pożerały młodych, to zapewne już wszystkie stworzenia morskie zostałyby wyniszczone przez te potwory, których żarłoczność jest nadzwyczajna.

G. Ł.

Na półwyspie helskim



Hel.



Jastarnia.

Polko i Polaku!

gdziekolwiek losy Cię rzuciły, czy dane Ci jest mieszkać na ojczystej ziemi, czy też odcięty kordonami, żyjesz poza granicami Rzeczypospolitej Polskiej, czy wreszcie w wędrowce za chlebem znalazłeś przystań życiową na krańcach Europy i Azji, lub za oceanami i morzami

**poznaj Swój kraj!
poznaj Twą ziemię macierzystą
i naród na niej zamieszkały!**

Pamiętaj, ażebyś udając się w podróż dla poznania obcych krajów i ludów, przede wszystkim poznał ziemię i naród, którym zawdzięczasz swe pochodzenie!

Polskie koleje państwowe, polskie samoloty, polskie statki, polskie biura podróży ułatwią Ci podróż po Polsce.

POZNAJ SWÓJ KRAJ!

Polska Żegluga Rzeczna „VISTULA”

Warszawa

Sewerynów 3

Codzienna bezpośrednia komunikacja parostatkami na liniach:

Warszawa — Płock — Włocławek — Ciechocinek
Toruń — Grudziądz — Tczew — Gdańsk — Gdy-
nia — Warszawa — Puławy — Kazimierz — San-
domierz.

Wycieczki turystyczne, krajoznawcze i szkolne szlakiem Wisły nad Bałtyk do polskiego morza.

Przejazdy turystyczne, indywidualne i zbiorowe po cenach
wyjątkowo ulgowych, z całkowitem utrzymaniem.

Informacje i zamówienia na kabiny załatwiają w Warszawie:

Kasa zamawiań S-ki tel. 406.22 i 416.31 — Polskie Biura
Podróży: „Francopol” tel. 206.73, „Orbis” tel. 799.49.

Nasze Agentury na linii w Sandomierzu, Puła-
wach, Wyszogrodzie, Płocku, Włocławku, Toruniu, Grudzią-
dzu, Tczewie, Gdańsku i Gdyni.

Uwaga: Członkowie Ligi Morskiej i Kolonjalnej korzystają
z 25% zniżki za okazaniem
legitymacji członkowskiej

Pospieszny przewóz wszelkich ładunków masowych, drobnicy i ba-
gażu po cenach bezkonkurencyjnych.

Przesyłki za zaliczeniem

Magazynowanie towarów.

Grzegorz Piotrowski

Polskie rybactwo morskie

Morze Bałtyckie jest stosunkowo ubogie w ryby. Spotykamy tu pra-
wie te same gatunki ryb, co w morzu Północnym, jednak przeważnie w mniej-
szych ilościach i zdrobniałej postaci.

Dotyczy to w pierwszym rzędzie ryb z gatunków dorszy i fląder. Ry-
by te w Bałtyku są mniejsze, niż w Morzu Północnym, a zwłaszcza mniej-
sze od tychże i pokrewnych gatunków, spotykanych w wodach islandzkich,
i na Murmanie, to jest tam, dokąd dociera ciepły prąd morski Gofsztröm,
obfitujący w „plankton” t. j. drobne roślinki i żyjątka, stanowiące pokarm
dla ryb.

Jeśli jednak chodzi o śledzie, to na ich obfitość wpływa nie tylko
„plankton”, ale również temperatura wody. Temperatura Bałtyku jest za-
leżna prawie wyłącznie od pory roku, gdy tymczasem w pobliżu Anglii
i Szkocji ciepła woda Gofsztrömu, płynąca od strony Atlantyku, miesza się
z zimną wodą Morza Północnego. Spotyka się tam warstwy wody zimnej
i ciepłej na różnych głębokościach. Tam też spotyka się największe ilości
śledzi i największą różnorodność ich odmian. Stąd wzięło się przypuszczenie,
że różnica temperatury warstw wody sprzyja rozwojowi i rozmnażaniu się
śledzi.

Morze Bałtyckie łączy się z Morzem Północnym przez wąskie cieśniny
Kattegatu i Skageraku. Wymiana wody tych mórz jest przeto mało ener-
giczna i różnica temperatury — nieznaczna. Te warunki widocznie nie
sprzyjają rozwojowi i rozmnażaniu się śledzi. Śledzie bałtyckie są znacznie
mniejsze i okresy ich migracji, a więc i połowów, są znacznie krótsze.
W południowej części Bałtyku, a więc także u wybrzeży polskich, okresy
te przypadają na wczesną wiosnę i jesień i trwają zaledwie po kilka ty-
godni.

Śledź bałtycki nie nadaje się do solenia. Popularny w Polsce śledź
solony jest artykułem, importowanym prawie wyłącznie ze Szkocji i z Anglii.
Dopiero w ostatnich latach na rynku polskim ukazał się śledź islandzki
i jako tańszy, a jednak odpowiadający lubianym w Polsce, szkockim ma-
tjasom — energicznie zdobywa nasz rynek.

Są jednak ryby, które stanowią „specjalność” Morza Bałtyckiego.
Do takich należą przede wszystkim szprot bałtycki odpowiednik nor-
weskiego brylinga i dalszy krewny francuskich, portugalskich i śródziemno-
morskich sardynek. Szprot nadaje się do wędzenia i do solenia i jest pod-
stawą rozmaitych konserw; szprot w oliwie w puszkach, kilki, anchois —
wyrabiane na całym wybrzeżu Bałtyku, zwłaszcza w punktach, położonych
przy zatokach, jak Tallin, Ryga, Gdańsk, Kilonja i inne, gdyż w zatokach
połowy szprotów są najobfitsze.

Pomimo obfitości szprotów i długiego okresu połowu tych rybek
(w zatoce Gdańskiej od listopada do marca), połowy te nie stanowią jed-
nak podstawy bytu rybaków, a to dlatego, że niezawsze się opłacają. Zdo-
bycz przewyższa zapotrzebowanie, ceny spadają katastroficznie, nieraz do-
chodząc u nas do 1—2 gr. za kg. wobec czego uzyskane ze sprzedaży po-
łowu pieniądze nie pokrywają kosztów nawet oleju gazowego, zużytego
przez silnik na kutrze rybackim. Połów szprotów jest więc hazardem
większym, niż inne rodzaje rybołówstwa. Nawet przy powodzeniu, t. j. wów-
czas, gdy połów wypadnie obfity, niema pewności, że konjunktura ryn-
kowa pozwoli na zarobek.

Na Łotwie i w Polsce rybacy solą szproty w beczki dla własnego użytku. Szprot solony zastępuje śledzia solonego, jako przekąska i okrasa do potraw. Gdyby się dało spopularyzować ten artykuł wśród naszych wieśniaków wewnątrz kraju, zmniejszyłoby to znacznie import śledzi solonych z zagranicy.

Wczesną wiosną okoliczni gospodarze Gdyni kupują za bezcen szproty w porcie rybackim i nawożą nimi swe pola.

Podstawą bytu rybaków polskich stanowią węgorze i łososie. Te tak niepodobne do siebie, ani pod względem wyglądu, ani pod względem smaku, ryby mają tę wspólną cechę, że migrują one z morza w górę rzek i odwrotnie i trzymają się w większych ilościach w pobliżu ujść rzek, gdzie woda morska jest mało słona, jak to jest np. w zatoce Gdańskiej, stanowiącej duży basen mało słonej wody. Węgorze i łososie nasze cieszą się dobrą opinią zagranicą i są eksportowane w większych ilościach do Niemiec i do Holandji. Zapotrzebowanie ich na rynku jest stałe, przeto ceny utrzymują się na poziomie, zapewniającym zysk rybakowi. Zarobek rybaka zależy w tym wypadku jedynie od rezultatu połowów. Wysiłek i koszty nie idą na marne gdy połów wypadnie pomyślnie.

W porównaniu z czasami przedwojennymi rybołówstwo na wybrzeżu polskim ogromnie się podniosło. Za czasów niemieckich, oraz w pierwszych latach po wojnie światowej, ogólna ilość ryb, złowionych na wybrzeżu polskim wynosiła około 1 milj. kg. rocznie, gdy dziś ilość ta wzrosła do 6 milj. kg. Stało się to dzięki udzielaniu rybakom przez rząd polski kredytów na budowę większych kutrów motorowych oraz na zakup sprzętu rybackiego. W ostatnich latach do wzrostu połowów bardzo się przyczyniło stosowanie przez naszych rybaków sieci-włoka dawniej nieznanego, a wprowadzonego przez polskie władze rybackie.

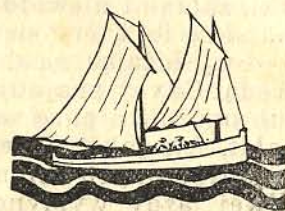
Niestety, udoskonalenie techniki połowów, wywołując zwiększenie podaży ryb, nie stwarza przez to dogodniejszych warunków ich zbytu. Gdańsk jest dotychczas tak samo jak dawniej miejscem zbytu największej części połowów polskich rybaków. Dopiero w ostatnich czasach, po utworzeniu portu rybackiego w Gdyni a zwłaszcza po uruchomieniu hali i chłodni rybnej w tymże porcie, zaczynają się wytwarzać warunki sprzyjające rozwojowi handlu rybnego na polskim wybrzeżu. Rybacy korzystają z chłodni dla składowania ryb w oczekiwaniu na lepszą koniunkturę, czy to Gdańsku czy też w Gdyni. Coraz więcej firm handlowych polskich osiada w Gdyni i wysyła na rynki wewnętrzne ryby świeże i wędzone, nabywane bezpośrednio na wybrzeżu.

Ryby wędzone, skupywane są w wędzarniach kaszubskich na wybrzeżu, przeważnie drobnych i pracujących sporadycznie, a więc nie mogących utrzymać handlowego kontaktu z rynkami wewnątrz kraju, które wymagają systematycznych dostaw. Organizacje kupieckie skupujące ryby wędzone w wędzarniach, rozrzuconych na wybrzeżu oraz mając możność akumulowania ryby świeżej w chłodni, są w stanie wysyłać towar w głąb kraju w należytych ilościach i odpowiednim czasie co dotychczas mógł robić tylko Gdańsk. Należy się spodziewać, że zdrowa konkurencja Gdańska i Gdyni na tem polu obecnie zapoczątkowana przyczyni się do zmniejszenia cen na ryby w handlu i tem do spopularyzowania u nas spożycia ryb morskich.

Jest rzeczą znaną, że wysyłka ryb z Gdyni w pewnej mierze odbywa się przy pomocy poczty; idą one jako żywnościowe, w myśl nowych przepisów, wprowadzonych w życie od dnia 1 września 1932 r. Przesyłka

paczki żywnościowej 5 do 10 kilogramowej kosztuje od 50 gr. do 2 zł., w zależności od wagi i od odległości. Paczka żywnościowa jest w drodze tyle czasu, co list, a więc np. do Warszawy przychodzi nazajutrz i jest dostarczana do domu przez listonosza. W tych warunkach nawet ryby świeże i przesłane bez lodu nie psują się. Podobno sklepy, nie chcąc mieć na składzie za dużo towaru oraz kosztów i kłopotów, związanych z odbiorem przesyłek bagażowych na stacji kolejowej, coraz chętniej korzystają z codziennych dostaw zawsze świeżego towaru pocztą żywnościową. Podobno praktyczne panie domu, dla których 5 kg. paczka jest porcją za dużą (a za paczkę poniżej 5 kg. opłata pocztowa wynosi to samo, co za paczkę 5 kg.) zamawiają sobie paczki mieszane, t. j. np. zawierające 2 lub 3 kg. ryb świeżych, a resztę ryb wędzonych, które pozostają na później.

Dla charakterystyki polskiego rybactwa morskiego należy dodać, że przed rokiem powstało polsko-holenderskie przedsiębiorstwo dla połowu śledzi „Morze Północne”, S. A. w Gdyni, posiadające 4 statki parowe i 4 motorowe, zastosowane do połowu i solenia na pokładzie śledzi. Przedsiębiorstwo posługuje się częściami załogą polską, przyczem okazało się, że załoga polska szybko się przystosowała do odmiennych warunków i techniki połowu śledzi na pełnym morzu, wobec czego przedsiębiorstwo w sezonie obecnym zwiększyło w dwójnasób ilość polskich pracowników (do ilości 34 ludzi). „Morze Północne” czyli t. zw. w skróceniu „Mopol” wyprodukowało w sezonie ubiegłym około 13 tys. beczek śledzi co stanowi zaledwie kilka procent spożycia tego artykułu w Polsce. Praca przedsiębiorstwa wobec tego może być traktowana narazie jedynie, jako próba zapoczątkowania dalekomorskiego rybołówstwa śledziowego..



Trawlerem po wodach Polesia

W pogodny majowy wieczór wzdłuż wyłoczonej promieniami zachodzącego słońca Prypeci, posuwała się szybko łódź motorowa. Bandera wojenna na rufie kazała domyślać się w niej kutra marynarki wojennej. Załogę jego stanowiło zaledwie kilku ludzi. Kuter miał zadanie zameldowania się w najkrótszym czasie w „N”, gdzie oczekiwały go dalsze rozkazy.

Wieczór zapadał szybko, a łódź, mijając wioski i chutory, głębie i mielizny, płynęła w dal. Sternik wyteżonym wzrokiem śledził bieg głównego nurtu rzeki i za nim prowadził ten maleńki okręt, któremu ufał niezmiernie.

Pewny siebie był również motorzysta. Silnik jego, to jeden z tych, co nie zawodzą, zwłaszcza w potrzebie. Teraz właśnie sapał i stukał, ale tak dobitnie i miarowo, jak mechanizm zegara. Motorzysta dość często posługiwał się olejarką, pryskając oliwę w otwory i wały korbowe. Od czasu do czasu otwierał kraniki probiercze na cylindrach silnika, wówczas słyszał było niby strzały karabina maszynowego, pracę tłoków i pienie świec.

Przy skąpym blasku gwiazd minęła zalaną wieś. Naokoło panowała pustka, martwość i ciemność. Po kilkunastu minutach poszukiwania przy pomocy światła „nietoperza“ (spec. lampy naft.), odnaleźli wąskie ujście jednego z mniejszych dopływów Prypeci. Poczem wpłynęli.

Jazda wąską i krętą rzeką w lecie lub jesienią jest niczem, ale w czasie wiosennych roztopów i nocą, kiedy najlepszy kompas i mapa niewiele pomaga, przedstawia pasmo niespodzianek i trudności. Wkrótce przekonała się o tem załoga, gdy na dziesiątkach zakrętów obijał kuter swe burty o nadbrzeżne drzewa.

Las się nie kończył, a zdawał się ciągnąć w nieskończoność, a z nim razem koryto rzeki, zalane i niewidoczne.

W pewnej chwili na skrócie, który się nagle wyłonił, sternik nie zdążył zwrócić łodzi — wjeżdżając na drzewo, którego potężne konary wystawały nad wodą. Gdyby znajdujący się na dziobie mat nie rzucił się na pierś, lub opóźnił o parę sekund, byłby się na jeden z takich konarów nabił. Ale jakiś dobry anioł — stróż czuwał nad nim. Skończyło się na potłuczonych kolanach.

Po godzinie uciążliwej jazdy wypłynęli na szeroko rozlane wody, gdzie wiało pustką i chłodem. Płynęli niby w dobrym kierunku, gdy tymczasem było wręcz przeciwnie. Zjechali z głównego nurtu i kołowali na jednym prawie miejscu, nie znajdując innego wyjścia.

Dziesiątki rzeczulek i jezior tworzyło jedną zalaną przestrzeń; gdzieniegdzie sterczały niby maleńkie wyspy kępy wiklin i karłowatych drzew. Woda płynęła wolno i spokojnie. Aby uniknąć osadzenia na mieliźnie i kołowania bez celu, dowódca postanowił zakotwiczyć, aby dopiero przy dziennym świetle płynąć dalej. Wkrótce w mule rzeki zaryła się kotwica. Trawler szarpnął się i stanął. Była prawie północ, gdy załoga zasnęła, a pokład zaległa niczem niezmaczona cisza. Tylko blade światło „nietoperza“, umieszczone na dziobie, wskazywało zabłąkany w te odludne moczary maleńki okręt.

Na granatowym niebie błyszczał srebrny sierp księżyca.

Wsparty na rękę spoczywał mat na górnym pokładzie. Nie mógł zasnąć. Troska o niewykonane zadanie — chłodna noc i krzyki dzielnego ptactwa były tego przyczyną. Czuwał tak długo, aż minęła noc i powiało rannym chłodem. Wówczas zbudził załogę i w chwilę potem odkotwiczył w nieznanym kierunku. Płynęli pewien czas, dopóki nie spotkali jakiegoś rybaka na „czajce“. Za kilka minut dwie pary rąk przeniosło go na pokład, a „czajkę“ umocowano u rufy. Dobrym był przewodnikiem, to też w pół godziny potem — po zawróceniu z obranej drogi wprowadził kuter w głęboki kanał, którym dalsza jazda szła już doskonale aż do miejsca przeznaczenia.

Po otrzymaniu dalszych instrukcyj i prowadantu odkotwiczyli. Marszruta prowadziła rzeką do miejscowości P. Na pokładzie obok kilku oficerów znajdował się przewodnik, który, jak się potem przyznał, ostatnim razem na rzece był przed kilku laty. Nic to jednak nie przeszkadzało, płynęli dalej.

W pewnym miejscu, gdzie rzeka płynęła wśród odwiecznego boru, ludzką nogą rzadko nawiedzanego, natknęli się na kilka pni, zwalonych wpoprzek rzeki. Minąć je niepodobna, zakotwiczyli tedy i pracując na zmianę jednym toporem, rzekę oczyścili; kuter mógł już swobodnie przesunąć się i w górę rzeki popłynąć. Długo płynęli jeszcze pośród ponurej gęstwiny leśnej, wkońcu wyjechali na wolną przestrzeń — las pozostał za nimi. Gdy słońce zniżyło się ku zachodowi i nagle zaszło, trawler osiadł na mieliźnie tak szybko, że o ściągnięciu ani mowy. Już wypadało nocować i czekać zmiłowania boskiego, gdy, naraz, wspólnymi siłami zepchnięto kuter z mielizny. Nie obeszło się jednak bez wypadku, bowiem zbyt energiczny dowódca, biegnąc z dziobu na rufę i odwrotnie z bosakiem w rękę, poślizgnął się i wypadł za burtę, dziwnym trafem nie dostając dna, choć dziób trawlera stał na mieliźnie. Kiedy wypłynął, uderzony został jeszcze przypadkiem bosakiem w plecy, aż skrył się pod wodą. Lecz dobrym był nurkiem, bo wnet wypłynął z pod drugiej burty i zmoczony, jak kura, wdrapał się na pokład. Z jego ubrania, czapki i obuwia woda ciekła, jak z gąbki. Był jednak w humorze, zwłaszcza kiedy się przekonał, że i zegarek jego tyka, jakgdyby nic i pieniądze w „podkówce“ nie zamokły.

Po siedmiu godzinach jazdy zuchy byli jeszcze o kilkanaście kilometrów drogi wodnej, a kilka powietrznej, oddaleni od celu podróżnicy. Jak okiem sięgnąć woda i woda. Brzegów rzeki nadal ani śladu; woda śpykająca „bez cienia“ i „falowania“ nie pozwalała ich określić. Przewodnik kręci głową i nie radzi dalej nocą płynąć. I znów przerwa, kotwica, stop. Na „plandecę“, służącej do ochrony przed deszczem — między beczkami z benzyną a silnikiem, spoczywali zwinięci w kablak jeden obok drugiego, pomęczeni marynarze. Wokół nich wszystko zastygło w bezruchu. Jedynie noc ponura, choć niby wiosenna, trwała dalej. Marynarze zaś śnili cudne sny o tem, że są „rycerzami kresowych stanic, co wśród lasów i wód poleskich trwają z bronią u nogi“.

Wczesnym rankiem ruszono dalej, by bez przeszkód dotrzeć do celu.

„Trzymajmy się morza.“

STANISŁAW STASZIC.

Tempo... tempo

Od połowy miesiąca zakłady metalurgiczne Bothmana zaczęły pracować na trzy zmiany. Co to był za ruch! — prawdziwe piekło pracy.

Pośród zrzadka tylko dymiących kominów hut i kopalń, wielkie piece Bothmana wyrzucały przez cały dzień pod niebo grube kolumny czarnego dymu, który płynął dalej poziomo, układając się w szereg równoległych strumieni, zlewających się nad miastem w jedną szeroką rzekę. W nocy nad fabryką stała wysoka rudoczerwona łuna ognia i ulewa iskieł buchała ze środka czarnego labiryntu hal i okopconych budynków. Bezsenne, obojętnie wpatrzone w ciemność oczy drobno pokratkowanych okien i ostre grzbiety szklanych dachów pulsowały krwawo, a łomot rozpędzonych walców, tętent młotów i huk przetaczanych wind, grzmiał donośnie w pustych, słabo oświetlonych ulicach przedmieścia.

Wewnątrz jęczało wszystkimi odcieniami mowy metalu torturowane przez ludzi żelazo. Gięło i płaszczyło się pod straszliwymi uderzeniami parowych młotów, stękając ciężko w takt sapania pracowanych cylindrów. Z sykiem, sypiąc skrami, pęzało w potwornych zwojach, wyciągane na cienki drut. Charkotało, duszone w szczękach walców na coraz dłuższe i kształtniejsze odcinki szyn, teowników i belek. Wyło, prasowane na szerokie placki blach i rozdzierającym wrzaskiem protestowało przeciw krajaniu go na równe, prostokątne arkusze. Wychlustywało, groźnie pryskając i gulgacząc, z rozwartych paszcz pieców, by spłynąć w formy i zwolna zastygnąć; a potem szło na tokarnie i z bolesnym gwizdem poddawało się stalowym ostrzom, płacząc drobnymi łzami opiłków i wiórów. Borowane nawskroś, krzyczało ochryple; hartowane na twardą stal, sykliwie pluło i parskalo; sztancowane bezlitosnymi uderzeniami, gięło się z jękiem rozpacz w surowe kształty półfabrykatów.

Tempo! Tempo!

Trzy razy na dobę wyrzuca fabryka szare masy robotników przez otwarte naociecz wrota. Trzy razy na dobę płynie wąskimi ulicami świeży potok ludzi do pracy. Do późna w noc świecą jasne lampy w biurach, gdzie pochyleni nad papierami i księgami urzędnicy przecierają zmęczone oczy w czasie nadliczbowych godzin.

Tempo! Tempo!

Dziesięć tysięcy plugów; szyny kolejowe; żelazne podkłady; kształtowniki, półkonstrukcje i blachy do budowy zbiorników nafty; narzędzia i części zamienne do maszyn. Razem około 3.000 ton żelaza w jednym zamówieniu!

Zdobyto je po zacieklej walce. Niepodzielnie i ostatecznie. Oferta w złotych polskich przechyliła szalę i zdecydowała o zwycięstwie: inni żądali zabezpieczenia w dolarach.

Odrazu ruszono „całą naprzód”. Dla wycieńczonej kryzysem, trzymającej się ostatkiem sił fabryki, zamówienie mogło stać się potężną podporą: 3.000 ton produkcji dla Belgji, niemogącej nadażyć z zaopatrzeniem nowoodkrytych terenów naftowych w Kongo.

Warunki dostawy były korzystne, choć niebezpieczne: konwencjonalne kary za opóźnienie terminu, mogły zrujnować firmę.

I właśnie na parę tygodni przed tym terminem wybuchnął dziki strajk za pieniądze komunistycznych agitatorów ze wschodu. Wówczas, gdy rada nadzorcza zakładów miała już pewność, że termin zostanie dotrzymany. Wówczas, gdy już zamówiono w Gdyni Towarzystwie Żegluga Oceanicznej s/s. „Śląsk” na wielki rejs do Banana — przeszło pięć i pół tysiąca mil morskich żegluga...

Pomimo wysiłków rządowych inspektorów pracy, pomimo całej dobrej woli dyrekcji i związków zawodowych, strajk trwał przez cały tydzień. Niektóre działy uruchomiono dopiero po dziesięciu dniach. Ogółem, opóźnienie, przeliczone na pracę, wynosiło dwadzieścia dodatkowych ośmiogodzinnych zmian robotników. A do terminu pozostało zaledwie trzy tygodnie. Przytem — rozpęd został zahamowany i trzeba było liczyć się z całym szeregiem trudności w użytkowaniu pełnej jego mocy.

Dlatego to wyznaczono premje dla brygad robotniczych i od połowy miesiąca pracowano we dnie i w nocy bez przerw.

I dlatego też urzędnik biura ekspedycyjnego Zakładów Metalurgicznych Bothmana, Roman Wardaszko, pracował po dwanaście godzin na dobę, często nie jedząc obiadu.

Roman Wardaszko miał lat dwadzieścia sześć i wyższe wykształcenie handlowe. Wkrótce po zdobyciu belgijskiego zamówienia przez Bothmana, otrzymał skromną posadę w jego biurach. Od tego czasu życie jego płynęło szaro, jak szare były mury i ściany „Ekspedycji”.

A przecież młody handlowiec przy swoich zdolnościach i energii zasługiwał na coś więcej, niż los mu przeznaczył. Marzyły mu się wielkie przedsięwzięcia, agencje eksportowe w zamorskich krajach, podróże handlowe do kolonii, kolorowe życie faktorji i egzotycznych portów południa.

Nieprawdopodobne, wszechbarwne zachody słońca Południowego Atlantyku; niebotyczne, ciemnozielone ściany lasów dziewiczych afrykańskiej puszczy złotodajne pola Rodezji; uprawne przestrzenie plantacji pod ołowianymi promieniami słońca; pomarańczowe plaże z pióropuszcami palm na tle nieba. Wielojęzyczny tłum kupców białych i kolorowych, karawany słoniowej kości, pagody hinduskie, muzułmańskie meczety, murzyńskie kraale i białe bungalowy Europejczyków. Żaglowe flotylle szkunerów handlarzy pereł, brygi kabotujących Chińczyków, kecze i kutry rybackie między wyspami dalekich archipelagów, zwinne kanoe i praia krajowców. Gładkie laguny koralowe, potężne ujścia wielkich rzek, nieznane wybrzeża i porty bogatych krain.

Znał je wyłącznie z opisów podróży i z teoretycznych studjów handlu morskiego. I — będąc skromnym urzędnikiem ekspedycyjnym dużej fabryki — mógł czasem conajwyżej zapisać w książkach handlowych jakąś dźwięcznie brzmiącą nazwę jednego z tych miast, czy też krajów, o których marzył. Po wielu, wielu latach, jeśli mu szczęście sprzyjało i jeżeli w przemyśle utrzymałoby się ożywienie produkcji eksportowej, Roman Wardaszko miał niejaki szanse zostać agentem — przedstawicielem fabryki, konwojującym większe dostawy na miejsce ich przeznaczenia.

Zakłady Bothmana utrzymywały jednego takiego urzędnika. Był nim dawny makler portowy, niejaki Habura, którego Wardaszko znał osobiście.

Habura lubił opowiadać o swoich podróżach, ani w drobnej części zresztą nie tak dalekich i egzotycznych, o jakich marzył Wardaszko. Jeździł do Szwecji, do Rosji i Państw Bałtyckich, a raz, czy dwa — do portów Morza Śródziemnego. Mimo to, Wardaszko zazdrościł mu, ciekawszej bądź co bądź od siedzenia w biurze pracy i wyciągał go na długie gawędy przy piwie w knajpce, gdzie się spotykali.

Wiadomo było, że Habura popłynie do Kongo.

— Zobacz pan Teneryfę, zobacz pan wyspy Kanaryjskie i Zielony Przylądek — mówił ze smutnym uśmiechem Wardaszko. — Będzie pan płynął przez równik i koło brzegów Liberji, koło Dakaru i Grand Bassa. Zobacz pan jeszcze granatowe lasy Kabindy i potem, w ujściu wielkiej rzeki — Banana. Będzie pan oglądał własnymi oczyma inne konstelacje i pionowo świecące słońce. Będzie pan w Kongo.

Habura popijał piwo, z zadowoleniem patrząc dokoła.

— Kongo! — mówił dalej Wardaszko. — Kongo, Katanga, Kasai, Uganda, Ruanda - Urundi. Ach, pojechać tam... Kongo — jak to daleko! Czy pan wie gdzie to jest?

— Thi — pogarliwie wydał usta Habura — na południe od Szopienic.

Na jeden dzień przed terminem dostawy zamówienia do Gdyni, o godzinie trzeciej po północy zaczęto ładować ostatni transport na bocznicę fabryki. Sześćdziesiąt dwa wagony po piętnaście ton każdy. Stu dwudziestu ludzi dokonało tego w ciągu trzech godzin.

Wardaszko liczył skrzynie drobnicy i sprawdzał wagę luźnych, jednolitych ładunków. Dzięki protekcji Habury, miał odprowadzić pociąg do Gdyni. (Habura pojechał tam wcześniej, aby załatwić formalności w porcie).

Papiery, frachty, kwity, faktury, cyfry, cały kierat ekspedycyjny kręcił się w głowie młodego urzędnika. Wardaszko podpisywał karty pracy, kwitował poszczególne brygady i magazynierów, szczęśliwy, że wyrwano go z szarego biura i kazano jechać tam, skąd wypływa się w szeroki świat. Miał odstawić transport aż na statek i dopilnować przeładunku w porcie. A potem — wrócić do szarego biura.

To była okazja: zorganizować tak przejazd stuczterdziestoosobowego pociągu o dwóch parowozach, żeby w ciągu kilkunastu godzin przebyć przestrzeń z okręgu przemysłowego do Gdyni — nie należało do rzeczy łatwych. W dyrekcji poważnie liczone się z możliwością opóźnienia o całą dobę, i w takim razie „Śląsk“ nie mógłby odejść wcześniej, jak za trzy dni: transport nadszedłby dopiero w sobotę w nocy i całą niedzielę musiałby czekać na rampie.

Wardaszko miał nadzieję przybyć na miejsce jeszcze tego samego dnia, to jest w piątek. Odrazu zwróciłoby to na niego uwagę.

Studując od tygodnia rozkłady kolejowe, zdążył na dwa dni przed wykończeniem zamówienia wyrwać się na parę godzin samolotem do Głównej Dyrekcji Kolejowej w Warszawie, aby przedstawić swój plan jazdy. Zrobił to na własną odpowiedzialność, zaopatrzonego zresztą w pełnomocnictwa, podpisane przez Bothmana. I, wbrew sceptycznym przepowiadaniom Habury, zdołał uzyskać zasadniczą zgodę. Była ona wprawdzie podminowana licznymi zastrzeżeniami i niezbyt kategorierna, ale nie wykluczała powodzenia.

O czwartej przyszły parowozy i w dziesięć minut potem transport ruszył.

Wardaszko jechał na tendrze, wyrzekając się zgóry osobowego wagonu, który chciano dla niego doczepić. Prędko porozumiał się z maszynistami. Walili, aż huczało w uszach, a na zwrotnicach i zakrętach zdawało się, że pociąg wylatuje z szyn. Gorzej było na stacjach: tu musieli czekać na przejście pośpiesznego, który spóźnił się — jak na złość — o trzy kwadranse; gdzieindziej — mimo telefonicznego uprzedzenia — nie opróżniono toru z przetaczanych wagonów i trzeba było stać pod sygnałem; na jakiejś stacji węzłowej zatrzymano ich znowu dłużej, ponieważ przybyli zapóźno i zawiadowca, nie mogąc się doczekać, odprawił przodem inny pociąg.

Naczelnicy stacyj też nie wszędzie byli przychylnie usposobieni dla rozdygotanego pośpiechem Wardaszki.

— Pilny transport? Niech będzie najpilniejszy — rozkładu dla niego się nie zmieni. Postoi do jutra i pójdzie.

Nie mieli czasu ani ochoty wyszukiwać mało prawdopodobnych, a często ryzykownych luk między regularnymi pociągami. I tylko dzięki temu, że Wardaszko świetnie się orjentował w tych lukach, a przytem uporczywie gadał, prosił, tłumaczył i przekonywał, — nie zmieniali wprawdzie rozkładów, ale w końcu ustępowali przecież, zwyciężeni jego energią i wymową.

Chrobotła szufla po żelaznej podłodze, karmiąc węglem rozwartą paszczę pieca. Buchało gorąco z kotła, drżały strzałki manometrów, dyszała para, przerzucana między tłokami cylindrów. Pociąg rwał naprzód po dudniącym torze, zgrzytał hamulcami na stacjach, przesywał nawylot tunele pod wiadukami i łomotał na mostach, pozerając długie kilometry szyn na gęstej drabince podkładów.

Tempo! Tempo!

Zapadł wieczór i bliska, dotykalna niemal ciemność ułożyła się wzdłuż rozpędzonych wagonów. Dwukrotnie zmieniono parowozy i obsługę.

Wardaszko nie spał już drugą noc. Oczy zamykały mu się same i co chwila łapał się na drzemce. Był nie ludzko zmęczony i głodny. W bufecie, na którejś z pomorskich stacyjek, wypił herbatę i zaczął czytać gazetę. Mieli czekać pół godziny na przejście pośpiesznego i osobowego.

„Mobilizacja w Japonji — Echa wybuchu gazu w Gdyni — Konferencja finansowa w Stanach Zjednoczonych“ — — Usnął.

Gdyby nie maszynista, który przyszedł po niego, spałby do rana.

Siedli i jechali dalej.

Sapiąc kołysze się parowóz. Pojękują przeciągle zderzaki. Jednostajnie na spojeniach szyn stukają koła:

— Klap, klap, klap — klap, klap, klap...

Chiny i Liga Narodów — szare biura „Ekspedycji“ — dalekie kolorowe Kongo — tysiące ton żelaza — spadek funta — Habura, popijający piwo — szum silnika samolotu — wybory w Anglii — Gdynia. —

— Gdynia! — ktoś szarpie za ramię. — Gdynia!

Sobota. Szósta rano.

Niby żołnierze - olbrzymy ćwiczące na tempa chwytą bronią — pracują niestrudzenie wielkie dźwigi portowe. Całe snopy szyn podciąga w górę kańciaste ramie kranu, przenosi je szerokim łukiem i opuszcza do otwartego luku. Jedne po drugich znikają w ciemnym wnętrzu statku ogromne skrzynie. Grzmi zsypywany do bunkrów węgiel.

Czarny komin „Śląska“ dymi lekko i gdzieś z boku nad chybotałą, drobną falą cichutko syczy kłębek pary u burty.

Głęboko pod pokładem pracują robotnicy. Setka rąk chwytą skrzynie i ustawia je na złożonych już w kilka warstw szynach. Piętrzą się pod strop komór, ciasno, tuż przy sobie, zamocowane taśmami blachy.

Spoceni ludzie klą ochryple w kurzu i pyłe węglowym, który zasypuje im oczy. Stukają windy, rozdzierającym uszy gwizdem sygnalizują nowe partje ładunków maszyniści.

Powoli słońce wznosi się coraz wyżej, zagląda do luków i przechyla się na drugą stronę.

Nowa brygada robocza napęła wrzawą pokład. I znów grzmi węgiel, stukają windy, klą i krzyczą zdyszani od wysiłku ludzie.

Statek stał pod parą. Habury jeszcze nie było. Nie było także jego bagażu.

— Przyjdzie na ostatnią chwilę — pomyślał Wardaszko z irytacją. — Wtedy, kiedy ja mu już wszystko załatwię.

Walcząc ze snem, porządkował inwentarze i notatki. Było tego dużo. Aż męciło się w głowie od cyfr i sumowanych rybynek.

Wardaszko pisał: zapewne nie starczy czasu na ustną rozmowę; a tu — 3.000 ton towarów, listy, polecenia, co, dla kogo, i — gdzie. Habura musi o tem wiedzieć.

Głowa opadała mu na ramię. Raz uderzył czołem o blat stołu, przy którym siedział w mesie.

Zasnął? — Ech, to trwało może minutę, może dwie. Zresztą — już, wszystko.

Ktoś mówi głośno w drzwiach kajuty:

— Ci z ekspedycji odpłyną na brzeg szalupą razem z pilotem. Trzeba ich zawołać.

W tej samej chwili Wardaszko zdaje sobie sprawę, że „Śląsk“ płynie. Daleko migają reflektory latarni morskich. Szumi fala, rozbijana dziobem statku. Księżyc rozlewa po morzu kadź srebra. Na czarnym brzegu — skupienia małych iskier: Gdynia, Gdańsk, Sopoty...

„Śląsk“ płynie — cóż z tego? Wardaszko powróci z pilotem do portu, a potem tłuc się będzie wagonem, aby od poniedziałku znów chodzić do biura.

Wolnie tempo, zamiera, ginie.

Fale biegną w dal, szepcą opowieści o przesyconych słońcem wybrzeżach, o ciepłych prądach i ożywczych passatach.

Habura popłynie do Banana.

Coś ścisną za gardło. Coś, jakby łyż, wypełnia zaczerwienione znużeniem oczy.

— Dlaczego nie ja? — myśli smutnie Wardaszko, stojąc w progu kajuty.

Trzej brygadziści z ekspedycji portowej potrącają go, przechodząc obok. I Wardaszko czuje, że nie będzie miał dość siły, aby spokojnie pożegnać się z Haburą. Lepiej posłać mu całą tekę papierów przez boy'a. Zresztą — niema już czasu: pilot schodzi ze statku. Żegnaj, daleka podróż.

Powolnym, ciężkim krokiem wlecze się szary, jeden z wielu, urzędniczy zakładow Bothmana przez pokład do oświetlonego latarnią trapu. Nie patrząc na kapitana, wyciąga do niego rękę. (Łzy duszą: ach, szare, złe życie!).

— A pan dokąd?! — Twardy, rozkazujący głos komendanta, jak kłoda pod nogi.

— Ja... no przecież... Habura...

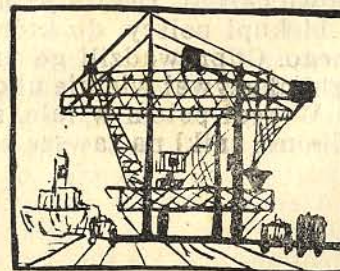
— Haburę odwołali. Przyszła depesza tam od was: płynie pan z nami do Kogno.

Nie, nie można tego pojąć tak odrazu. Nie można uwierzyć. A potem — nie można utrzymać w piersi wybuchającego nagle szczęścia.

I Wardaszko rzuca się na szyję surowemu komendantowi:

— Naprawdę?!

— No, no — mruczy protestująco wilk morski. — No, no.



Koniec statku „Hougomount”

Dla Gustawa Eriksena rok 1932 wypadł fatalnie. Flota jego, największa i najpiękniejsza na świecie flota żaglowców, poniosła szereg ciężkich strat.

„Melbourn” zatonął w połowie roku koło wybrzeży Irlandji po zderzeniu się nocą z parowcem. Jedenastu ludzi, a w ich liczbie kapitan statku, poniosło śmierć w morzu.

„Archibald Russel” we wrześniu miał przygodę, która omal nie skończyła się katastrofą. Statek stał pod balastem koło wyspy Deal (Południowa Australja) w oczekiwaniu na ładunek. Nagle gwałtowny sztorm porwał statek i mimo, że rzucono obie kotwice zapasowe, niósł go na skały, gdzie groziła statkowi niechybna zguba. W ostatniej chwili zręcznym manewrem udało się kapitanowi ocalić statek od zagłady.

Podobną przygodę na Tamizie miał również żaglowiec „Olivebank”, który w czasie odpływu zaczęła znosić fala i który tylko dzięki przepływającemu akurat holownikowi uniknął katastrofy.

Z pośród flotyli 8 dużych żaglowców, które, jak co roku, wypłynęły we wrześniu z Mariehamn (wyspy Alandzkie) w podróż do Australji, na statku „Herzogen Cecilie” na wysokości wyspy Gotland spadł z rei na pokład jeden z marynarzy i poniósł śmierć na miejscu.

W dniu 1 października żaglowiec „Lawhill” najechał nocą w Kattegacie na polski parowiec „Niemen”, który zatopił, sam zaś odniósł poważne uszkodzenia dziobu.

Wreszcie żaglowiec „Hougomount”, idąc wiosną do Australji, odniósł z powodu burzy tak poważne szkody, że armatorowi już nie opłacało się remontować go, wobec czego po zdjęciu ze statku przedmiotów cenniejszych, „Hougomount” został odholowany na morze i zatopiony.

O wypadku z nim piszemy obszerniej na podstawie relacji załogi.

Nocy poprzedzającej katastrofę, Denisowi Wilenowi, najmłodszemu członkowi załogi statku „Hougomount” śniło się, że wskutek burzy został zmieciony z pokładu cały takielunek statku.

O śnie swym chłopiec opowiedział zrana oficerowi wachtowemu, który wyśmiał go, zaznaczając przytem, że wogóle nie uważa za możliwe, aby statek z tak mocnymi masztami i stalowem olinowaniem mógł utracić takielunek. Nawet więc Denis Wilen, najmłodszy na pokładzie, któremu śnił się ten niemiły sen, nie troszczył się o możliwość wypadku.

Tymczasem już w godzinę później, bez jakichkolwiek innych niepokojących oznak, poza szybko opadającym barometrem i złowieszczą czarną zasłoną chmur, którą statek został owinięty w przeciągu paru minut, trząsł przedni maszt, który padając zwałił maszt główny i przedni z całym ich osprzętem.

Takielunek masztu przedniego wraz z najwyższym żaglem i reją, na której pracowało czterech marynarzy, zwałił się na śródokręcie. Cała załoga w liczbie 25 ludzi, od kapitana Lindholma począwszy, a kończąc na kucharzu, rzuciła się do pracy. Toporami,

Jak to w Bałtyku biskupa morskiego rybacy ułowili

W roku 1704 ukazała się we Francji oryginalna książka pod tytułem: „Podróże historyczne po Europie, albo przyjemności Francji, Hiszpanji, Włoch, Niemiec, Anglii, Prowincyj Zjednoczonych, Niderlandów Hiszpańskich, Polski, Litwy, Szwecji, Danji, Irlandji i Moskwy”.

Autor tego dzieła, p. de F. B., nie zadawał sobie prawdopodobnie trudu osobistego zwiedzenia tych wszystkich krajów, ale pisał to, co słyszał od innych i każdą bajkę brał za dobrą monetę.

Trzeba przyznać, że nad Polską się nie znęcał i dość dobrze o naszym narodzie się wyrażał, choć Gdańszczan, Litwinów i Prusaków czarną farbą odmalował.

Za to głupstw najrozmaitszych w opisach Polski nie żałował. Widział np. u nas pantery, a na Litwie karłów, gdyż z powodu zimna nie mogą tam ludzie rosnąć normalnie. Widział w Polsce jezioro Białe, którego woda czerniła twarze tym, którzy się w niem na wiosnę myli, opowiada o trującej wodzie Dniestru, powodującej chorobę „koltuna”.

Najciekawszy jednak jest opis potworów, jakie u brzegu polskiego Bałtyku znajdowały się w falach morza.

Za czasów Warneńczyka (dokładnie w 1433 roku) wyłowili rybacy nawet biskupa morskiego.

„Na głowie miał infułę, w rękę trzymał pastorał i ubrany był w szaty, właściwe swej godności, pokryte jednak pletwami.

„Rozumiał wszystko, co doń mówiono, lecz odpowiadał tylko gestami. Zmartwił się bardzo, gdy posłyszał, iż z woli króla, przed którego go przywiedziono, ma zostać uwięziony w wieży, zaopatrzonej w głębokie kąpielowe baseny. Ocalili jednak nieszczęśnika i wyprosili dlań wolność biskupi polscy, do których odnosił się życzliwiej, niż do kogo innego. Odprowadzili go uroczyście aż do morza. Podczas tej przechadzki okazywał wielkie ukontentowanie z powodu odzyskania swobody. Wszedł potem w fale, złożył głęboki majestacyjny ukłon dostojnikom i znikł na zawsze w nurtach Bałtyku”.

Początek rozbudowy Polskiej Floty Wojennej jest najlepszą rękojmnią rozwoju państwowego Państwa i kwitnącej pomyślności Narodu.

JÓZEF PIŁSUDSKI

piłami, dłutami, nożami, czem tylko się dało, odcinano takielunek zwisający za burta, co groziło statkowi wywróceniem.

Przebieg wypadku był następujący:

Ponieważ wiatr około północy zaczął się nieco wzmacniać, drugi oficer, Hugo Karlsonn, polecił kilku ludziom ze swej wachty zwinąć górny bramzagię na przednim maszcie. Ani on, ani wogóle nikt nie mógł wtedy jeszcze przewidzieć, co za chwilę nastąpi.

Zupełnie znienacka w pobliżu zjawiała się wielka, czarna chmura, która zaczęła z zawrotną szybkością sunąć ku statkowi. Jednocześnie barometr opadł z taką szybkością, jakgdyby w ręcznej rurce wypadło dno. Natychmiast wydano załodze rozkaz przygotować się do refowania żagli. Ale zanim przystąpiono do roboty, nadciągnął szkwał o niebywałej sile.

Dokładnie określić siłę wiatru było trudno, lecz zarówno kapitan, jak też oficerowie i starzy marynarze zgodnie twierdzą, że szybkość jego przekraczała 18 kilometrów na godzinę.

Dzięki jednak tej sile wiatru uratowani zostali dwaj marynarze, będący akurat na górnej reji. Szkwał, łamiąc samą reję, przycisnął ją na pewien czas do takielunku, co pozwoliło im uciec z życiem.

Inni dwaj marynarze zdołali ześlizgnąć się wdół po linach, żaden z nich jednak nie umie opowiedzieć, jak to się stało, że wśród powodzi latających wokół ich głów szczątków rej, bloków i łańcuchów, zdołali wyjść cało.

Nieszcześnie spadło jak piorun z jasnego nieba. Równy idący statek zaczął nagle chylić się gwałtownie na obie burty, czerpiąc na pokład wodę. Przewalały się po nim ciężkie przedmioty, które spadały zgóry, a rozkołysane na szczątkach masztów splątane części olinowania, groziły śmiertelnymi uderzeniami stalowych biczów.

Każdy zdawał sobie sprawę, że póki statek nie zostanie uwolniony z wlokących się za burta części takielunku i wędrujących po pokładzie ciężarów, lada chwila grozić mu może wywrócenie.

To też, nie zważając na niebezpieczeństwo otrzymania śmiertelnych porażeń, cała załoga rzuciła się do gorączkowej, rozpaczliwej pracy uwolnienia statku od groźących przebicciem burt szczątków masztów i rej.

Straszliwy orkan minał tak samo szybko i niespodzianie, jak i nadciągnął. A statek bezradny, bez masztów i żagli, pozostał na łasce olbrzymich zwałów wodnych.

„Hougomount“, przed chwilą jeszcze piękny kliper, obecnie przedstawiał obraz godny pożałowania.

O godz. 2 min. 30 nad ranem, po półtoragodzinnej nadludzkiej pracy, statek został uwolniony od ciężaru zwałonego głównego masztu i jego takielunku. „W ciągu tych 90 minut gorączkowej pracy — oświadczył jeden z marynarzy — spoglądaliśmy w stronę wieczności tysiące razy. Nikt z nas nie wierzył, że wyjdzie cało“.

Wszyscy jeszcze byli przy pracy, gdy wskutek ciężkiego pochylenia się statku, trząsł trzeci maszt.

Trzeci oficer zajęty przygotowaniem łodzi ratunkowych, które mogły być lada chwila potrzebne, uniknął śmierci zaledwie o włos. Spadający kłoc trafił w łódź, przy której właśnie się znajdował i rozbil ją literalnie na drzazgi. Pozostała jeszcze tylko jedna łódź okrętowa.

W tym samym czasie został ciężko uszkodzony główny kompas, a spadające drewno głęboko wbiło się w tylny pokład.

W tych warunkach naprawdę podziwu godna była odwaga dwu marynarzy, którzy wspięli się na szczątki trzeciego masztu i umocowali „latającą“, pozostałą, dolną reję, której zerwanie się mogło przynieść nowe nieobliczalne szkody.

O godz. 10-ej, mniej niż w 9 godzin od chwili rozpoczęcia herkulesowej pracy, została ona posunięta tak daleko, że załoga mogła zamienić ze sobą pierwsze zdania.

Przy oględzinach statku, okazało się, że żadna ze stalowych nadbudówek nie odniosła uszkodzeń. To, oraz wytrzymałość burt na uderzenia kłoców, spowodowało uwagę drugiego oficera: „ależ dawniej budowano statki...“

W ciągu następnych 19 dni, „Hougomount“ włókł się pod jedynym kłiwrem, grotżaglem i starym sztakslem. Kapitan Lindholm, jakkolwiek pozbawiony głównego kompasu, szczęśliwie jednak doprowadził resztki statku, wyglądającego raczej na jakieś widmo, do portu przeznaczenia, do którego zawinął na 129 dzień podróży od Londynu.

Jedną z wielu niezwykłych rzeczy podczas katastrofy statku „Hougomount“ jest fakt, że nikt z załogi nie został nawet ranny. Gdy zważy się, że na maleńką, kołyszącą się powierzchnię pokładu, liczącego 292 stopy długości i 43 stopy szerokości, padał w ciągu paru godzin grad poszarpanych i splątanych łańcuchów, stalowych lin, bloków, rej, części masztów itp., że załoga w tym czasie musiała być ciągle na pokładzie przy pracy, — podobna rzecz wydaje się wprost niemożliwą. Historia żeglarstwa zna jednak i inne tego rodzaju wypadki.

Statek żaglowy „Garthnill“, stojący obecnie w Melbourn jako hulk, przed 11 laty na oceanie Spokojnym stracił całe swe omasztowanie, to zaś, co zostało, kołysało się nad pokładem niczem olbrzymie cepy. Z załogi jednak nikt nie został nawet ranny.

Słynna „Cutty Sark“, pływająca swego czasu pod banderą portugalską, jako „Ferrario“, straciła podczas wojny cały takielunek i została odholowana do Capetown. Jak na swe rozmiary, posiadała ona szczególnie wysokie maszty i długie reje. Tu także z załogi nikt nie ucierpiał.

Takie jednak wypadki należą do nielicznych, szczęśliwych wyjątków. Wrazie połamania masztów, gdy cała olbrzymia budowa ich wali się na pokład, tylko ręka Opatrzności może uchronić marynarza od fruwających nad oceanem szczątków masztów i rej.



Przez głębie i mielizny*)

Wśród ludzi jest ogólnie rozpowszechnione mniemanie, że podróż morska na własnym yachcie koniecznie wymaga rozporządzania w znacznej obfitości, jeżeli nawet nie w nadmiarze, zarówno poważnymi zasobami finansowymi, jak i zupełną niezależnością. Opis nader interesującej podróży, odbytej naokoło świata przez p. Williama Alberta Robinsona, autora książki pod tytułem, wymienionym w nagłówku, wprost tryumfalnie obala to mniemanie w sposób niezbity i poparty praktycznymi dowodami. Stwierdza on, że ktokolwiekby z należytym zasobem odwagi, łatwością orientacji i zupełnie wolny od różnych więzów domowych, dysponujący choćby czasową możliwością wyrwania się z wszelakich codziennych trosk o „koszty utrzymania“, może przebyć pięćdziesiąt tysięcy kilometrów, przepływając wszystkie oceany świata, prowiantować się po drodze, gdzie zajdzie potrzeba, dokonywać potrzebnych napraw lub uzupełnień na statku, zwiedzać niezliczone lądy i wyspy na Wschodzie i Zachodzie, wszystko to przy kapitale, wcale nie większym od tego, jakiby był potrzebny, przypuśćmy, do założenia handlu rybnego. Nie potrzeba chyba tu dodawać, że p. Robinson w swojej określonej podróży, nie pozwalał sobie na żadne zbytki. Przeciwnie, niekiedy było tak „cienko“, że o środki na opędzenie niezbędnych potrzeb życiowych musiał „starać się“ na najbliższym lądzie lub wyspie; między innymi wspomina, że „zwiedził Indie i przepłynął ocean Indyjski kosztem dziesięciu dolarów“.

Statek „Svaap“, na którym p. Robinson odbył swoją podróż — nazwany tak według sanskryckiego słowa, oznaczającego „marzenie“ — był żaglowcem, dziesięć metrów długim, przeznaczonym tylko do odbywania morskich wycieczek przybrzeżnych i zbudowanym w Shelbourne, miejscowości portowej w Nowej Szkocji. Pewnych, niewielu zresztą, nieznacznych zmian w jego ożaglowaniu, dokonał p. Robinson już w ciągu swej podróży; dodał on mianowicie jedną reję i żagiel prostokątny. Poza tem statek był zaopatrzony w mały motor pomocniczy, który w ciągu podróży wielokrotnie umożliwiał jego właścicielowi wydostanie się z różnych, nieraz bardzo ciężkich opresyj. Twierdzi on z całą stanowczością, że „nigdy się nie wybierał w dalszą podróż bez motoru, bez względu na sentymentalną przyjemność, jakiejby się miało doznawać z powodu swej zależności od samych tylko żagli“. W ciągu znacznej części podróży, całą „załogę“ statku stanowił Polinezyjczyk z Tahiti, doskonały marynarz, jak wszyscy tamtejsi krajowcy; odznaczał się on tem, że w każdym porcie, do którego „Svaap“ zawijał, musiał się porządnie upić i wywołać jakąś awanturę, co w języku marynarskim nazywa się „pomalowaniem portu na czerwono“.

Swego żeglarsstwa uczył się p. Robinson wieczorami w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Nowym Yorku, studiując przeważnie Poor'a „Naukę żeglarską“ („Nautical Science“) i Claud Worth'a „Żeglugę yachtową“ („Yacht Navigation“). Powiada on, że „ci, którzy są obznajmieni ze sztuką żeglarską, skłonni są do przedstawiania

jej, jako daleko trudniejszej, aniżeli nią jest istotnie“. Pod tym względem jest jednak niepotrzebnie skromny, gdyż nawet najbardziej gorliwe studjum nie stworzy żeglarza, bez tej, prawie niemożliwej do zdefiniowania osobistej zalety, jaką stanowi „zmysł morza“.

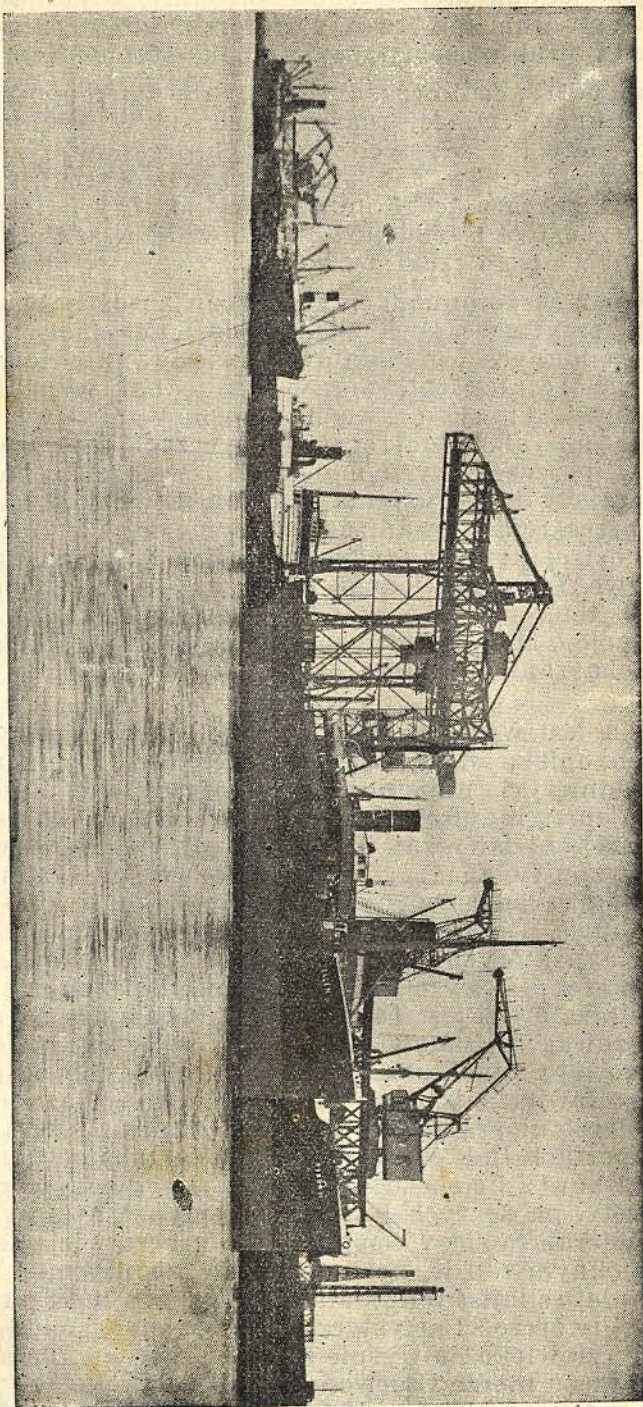
Swoją podróż, co do czasu, rozłożył on w ten sposób, aby o ile możliwości uniknąć, częściej zdarzających się w pewnych określonych porach roku i w pewnych okolicach oceanów, różnych cyklonów, orkanów, tajfunów, a w związku z tem wprost na ironję zakrawa fakt, że zagrażającego mu, z całej podróży najpoważniejszego niebezpieczeństwa z trudem tylko uniknął właśnie przy samem wybrzeżu i to u ujścia rzeki Tybru.

W swoich wspomnieniach z podróży autor najwięcej oburza się na biurokracizm różnych władz i na... misjonarzy. O administracji wysp, oddanych w mandatowe zawiadywanie Nowej Zelandji, wyraża się bardzo niepochlebnie; w tym jednak wypadku, jak i w wielu innych podobnych sprawach, w formowaniu swej opinii prawdopodobnie opierał się on raczej na rzeczach zasłyszanych, gdyż pobyt jego w poszczególnych miejscach trwał zakrótka, aby mógł być wytsarczający do wyrobienia sobie obiektywnego sądu. Metody, stosowane przez różne organizacje misyjne na Pacyfiku, poddane są również ostrej krytyce, zwłaszcza różne misyjne przedsiębiorstwa handlowe. Traktując jednak rzecz zupełnie bezstronnie, należy pamiętać i o tem, że tego rodzaju przedsięwzięcia, prowadzone przez instytucje o charakterze religijnym, nie muszą konieczne pociągać za sobą zaniedbywania czysto duchowej strony ich działalności.

Książka jest wprost kalejdoskopem, zmieniających się obrazów i zdarzeń, opisywanych z werwą i zacięciem, z pełnem uwzględnieniem zasadniczych, najistotniejszych szczegółów, a nieraz i z pewnym rodzajem ujmującej naiwności, co jednak w całości czyni lekturę książki nadzwyczaj interesującą. Mamy więc pustynne i samotne wyspy Galapagos z ich obumarłymi wulkanami, olbrzymiemi żółwiami, jaskrawo upierzonymi ptakami i jaszczurkami, plującymi z furją. Mamy szeregi dni, przebytych na przestworzach oceanu, w ciągu których statek „posuwa się po morzu w kołysaniach tak lekkich, jak rytm poematu“. Jest Rarotonga „prawdziwa wyspa króla piratów“ i jest Tahaa, której „upajający zapach wanilji daje się odczuwać już daleko na morzu“. A potem rozległa wyspa kontynentu Nowej Gwinei, gdzie o kilka zaledwie mil od posterunku rządowego „człowiek tak długo nie jest uważany za człowieka, dopóki nie zabierze nieprzyjacielowi głowy z karku“. „Svaap“ zatrzymuje się w portach Indj Holenderskich, zarzucając kotwicę w sąsiedztwie statków z Celebesu — „prau“, „wyglądających zupełnie tak, jak okręty, na których Kolumb przepłynął Atlantyk“. Bali — to „raczej zacierająca się w wspomnieniu uroczą wizja sennego marzenia... o pięknym ludzie, żyjącym tylko dla piękna i życia i dla swej wspaniałej religji, która stała się dla tegoż ludu natchnieniem niezrównanej twórczości artystycznej“. A dalej — smoki — jaszczury, wielkości człowieka na wyspie Komodo i wrogie plemiona Beduinów na wybrzeżu morza Czerwonego. „Wszystko to“ — jak wyraża się autor przedmowy Weston Martyr — „wydaje się być bajecznie tanie za cenę 1.000 funtów szterlingów“.

*) *Deep Water and Shoal*. By William Albert Robinson. With an introduction by Weston Martyr. London. Jonathan Cape. Wydanie ilustrowane. Stron 359. Cena 10 szyl. 6 pens.

Port w Gdyni. Basen węglowy z wywrotnicą wagonową firmy „Polskarob”.



PORT GDYŃSKI

...Trzeba ten port, jego obraz, jego niezbędne konieczności, jego narodowe widziadło w duszach ludzkich wykuwać, ryc w sercach, ciosać w granicę woli. Trzeba otoczyć to dzieło pospólną miłością. Trzeba je za dnia i w nocy budować wszystkimi ziemiami i całym narodem.

Stefan Żeromski (1925).

Dlaczego Polska zbudowała Gdynię?

Morze jest fundamentem i dźwignią rozwoju gospodarczego każdego kraju. Niema bowiem mowy o rozwoju gospodarczym bez swobodnej wymiany międzynarodowej, a tę swobodę w całej pełni daje tylko morze.

Starą tę prawdę potwierdza raz jeszcze historia ostatnich lat dwunastu życia gospodarczego Polski. Państwo Polskie po odzyskaniu niepodległości, znalazło się odrazu w niezwyklej sytuacji gospodarczej. Złączyło ono znowu w jedną całość ziemie, które były podzielone między trzech zaborców i które w okresie najintensywniejszego kształtowania się współczesnego oblicza ekonomicznego świata rozwijały się w różnych warunkach. Trzeba było nie tylko wykuwać z trzech odrębnych kompleksów jeden nowy, wspólny organizm, ale także bardzo intensywnie zająć się wynalezieniem nowych dróg i nowego ujęcia dla odradzającej się po wojnie rodzimej wytwórczości Polski. — Stare drogi handlowe i dawne rynki zbytu były przeważnie zamknięte.

Wystarczy rzucić okiem na mapę Polski, aby natychmiast zrozumieć, gdzie leży ujęcie dla prężności gospodarczej młodego Państwa, dla jego handlu zagranicznego. Na wschodzie ciągnie się około 1.000 klm. granicy polsko - sowieckiej, która jest nie tylko granicą dwóch państw, ale i dwóch odrębnych światów. Na południu łańcuch wysokich gór utrudnia wszelką wymianę towarową. Na zachodzie i na północy, na przestrzeni około 1.400 klm., Polska graniczy z Rzeszą niemiecką. Nie jest to granica, przez którą polski towar może się swobodnie w świat przedostawać. Wreszcie na północy także mamy około 400 klm. granicy z Litwą. Jest to granica wogóle zamknięta dla jakiegokolwiek racjonalnej wymiany towarowej.

Wprawdzie mamy trzy niewielkie odcinki graniczne, przez które względnie swobodnie produkt polski może się przedostawać do zagranicznego odbiorcy. Są to granice z Rumunją, Czechosłowacją i Łotwą. Ale i tutaj bądź co bądź polski handel uzależniony jest od obcej woli.

Jedyną granicą wolną, w całym tego słowa znaczeniu, która „niczego nie dzieli, a wszystkich łączy”, jest — morze!

Morze stało się naturalnym ujściem dla nadmiaru polskiej produkcji. To też nic dziwnego, że udział handlu morskiego w handlu zagranicznym Polski, który w roku 1922 wynosił jeszcze 7,3%, wzrastał z roku na rok, aż w roku 1931

osiągnął rekordową liczbę 63,2%. Ten gwałtowny, żywiołowy wprost rozwój naszego handlu morskiego, najlepiej ilustruje następująca tabelka:

Rok	Udział procentowy obrotu towarowego morskiego w ogólnym obrocie Polski z zagranicą
1922	7,3%
1923	7,4%
1924	13,1%
1925	16,3%
1926	27,1%
1927	35 %
1928	38 %
1929	42 %
1930	51,3%
1931	63,2%

Trzeba zauważyć, że proces tego przesuwania się naszego handlu zagranicznego z dróg lądowych na drogę morską jest jeszcze niezakończony. Olbrzymią większość swoich towarów Polska wywozi na rynki europejskie, a tylko nieznaczny ich procent lokuje poza Europą. W ostatnim trzechleciu sytuacja pod tym względem przedstawia się, jak następuje:

Rok	Eksport Polski	
	na rynki europejskie	poza Europę
1929	95,3%	4,7%
1930	94,9%	5,1%
1931	94,1%	5,9%

Jak z tego wynika, polski handel morski ma przed sobą wielkie perspektywy rozwoju.

W tych krótkich wywodach rola i znaczenie dostępu Polski do morza zarysowały się jasno i wyraźnie.

Aby rolę tę jak najlepiej spełnić, wybrzeże morskie Polski musi być wyposażone w odpowiednie urządzenia przeładunkowe.

Kiedy w roku 1920 Polska obejmowała w swoje władanie skromny skrawek morskiego wybrzeża, na całym tem wybrzeżu nie było ani jednego portu, w należytem tego słowa rozumieniu. Dlatego jedyny port, leżący u ujścia największej rzeki polskiej — Wisły, Gdańsk, został na mocy traktatu pokoju wydzielony w Wolne Miasto i przyłączony do Polski, jako jej wyjście na morze. Doświadczenie wykazało wszakże niebawem, że port gdański sam zadaniu łącznika Polski ze światem, jakie nań spadło, nie podoła. W dodatku mimo kolosalnego — dzięki łączności z Polską — wzrostu obrotów towarowych tego portu, nienotowanego w latach powojennych w tym stopniu w żadnym innym porcie świata Gdańsk nie zawsze dawał warunki całkiem swobodnego i nieskrępowanego kontaktu ze światem.

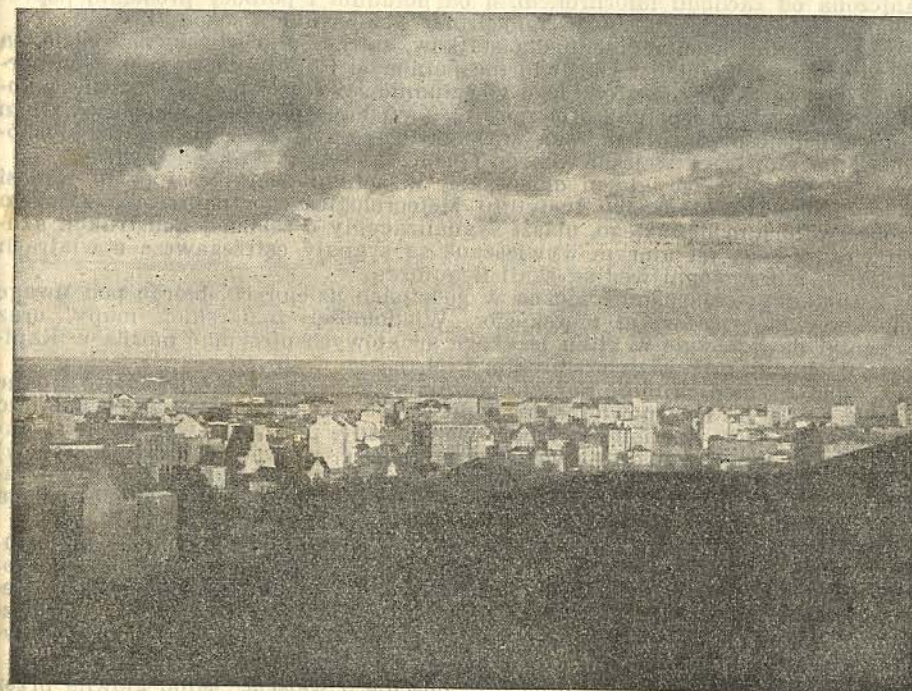
Polska musiała zatem pomyśleć o budowie drugiego, własnego portu, któryby wspólnie z Gdańskiem, mógł obsłużyć szybko wzrastający jej obrót towarowy na morzu. W ten sposób przyszło do budowy portu w Gdyni, która dziś po 6 latach intensywnego wysiłku jest już faktem dokonanym.

Opis portu gdyńskiego

Większość portów europejskich czy światowych powstała przy ujściach większych rzek lub ich splawnych odnóg; np. Gdańsk, Królewiec, Szczecin, Hamburg i t. d. Nieodzownym warunkiem powstawania tych portów musiało być naturalne połączenie ze śródlądziem w postaci drogi wodnej, jako przyrodzonego łącznika między portem i całym jego obszarem cieżenia.

Nie jest to jednak warunkiem nieodzownym i przykładów powstawania portów w zgoła odmiennych warunkach, bezpośrednio nad zatoką lub morzem otwartem, spotkać można cały szereg. Należą do nich w pierwszym rzędzie Marsylja nad zatoką Ljońską, Genua nad zatoką Genueńską, czy wreszcie Casablanca nad otwartymi wodami Atlantyku.

W dzisiejszych czasach zwłaszcza połączenia wodne kraju z portem można w zupełności zastąpić drogą kołową, żelazną czy bitą, bez najmniejszego uszczerbku dla ruchu portowego, a nawet rzeką, jeśli w pewnych okresach roku jest mało zasobna w wodę, nie spełnia wówczas swej roli i przysparza krajowi trosk o jej sztuczne zasilanie, jak to bywa np. z Odrą w czasie suszy.



Gdynia. Ogólny widok miasta.

Port gdyński również powstał w warunkach nieco odmiennych, w warunkach, które jednak w zupełności pozwalają na jego rozwój i zajęcie poczynnego i dominującego stanowiska wśród portów Bałtyku. Wprawdzie nie posiada on drogi wodnej, łączącej go z krajem, jak Królewiec czy Hamburg, jednak połączenie kolejowe via Gdańsk i nowozbudowana magistrala Katowice - Gdynia, wraz z całą siecią gospodarczych dróg żelaznych w kraju, spełniają doskonale rolę łącznika między wszystkimi ośrodkami polskiego przemysłu i górnictwa a portem, umożliwiając w ten sposób bezpośredni kontakt handlowy Polski z krajami zamorskimi, a nawet zwiększając jego zaplecze, pojęte szerzej, o północną część Rumunii, Czechosłowacji i Węgier, dla których port gdyński w stosunkach handlowych z krajami bałtyckimi czy skandynawskimi może spełniać rolę naturalnego, wygodnego pośrednika.

Warunki geograficzne portu gdyńskiego nie ustępują wcale warunkom ekonomicznym. Port gdyński położony jest na południowo - zachodnim brzegu zatoki Gdańskiej w południowej części morza Bałtyckiego, pod 54° 32' północnej szerokości geograficznej oraz 18° 34' długości wschodniej od Greenwich. Miejsce to osłonięte wrzynającą się w morze mierzeją Helską, jest doskonale chronione od fali morza otwartego. Wiatr wschodni lub południowo - wschodni, a więc od strony nieosłoniętej, zwykle nie jest silny i fala z tego kierunku zazwyczaj bywa mała. Dzięki temu postój statków w porcie i na redzie jest o każdej porze roku dogodny i bezpieczny. Port gdyński zasadniczo należy do niezamarzających i tylko w czasie wyjątkowo ostrych zim ulega na krótki okres czasu częściowemu zamarznięciu. Wypadek takiego zamarznięcia zdarzył się ostatnio w r. 1929, jednak nie stanowiło to zasadniczej przeszkody w żegludze, gdyż przy pomocy lodolamaczy trudności te dało się usunąć bez uszczerbku dla ruchu w porcie.

Dojście do portu jest bardzo łatwe i nie nastrecza statkom żadnych trudności. Zdaża się do portu wprost z morza otwartego od południowej części cypla mierzei Helskiej poprzez redę, nie mając po drodze żadnych przeszkód nawigacyjnych. Reda przed portem o głębokości 9 — 14 m. (30 — 45 stóp angielskich) posiada dno piaszczyste i bardzo dobrze kotwiczne. Redę stanowi tafla wody, ograniczona od zachodu falochronem, a od południa i północy prostemi, poprowadzonymi równolegle z krańców falochronu w kierunku wschodnim.

Punktami orientacyjnymi dla statków, zatrzymujących się na redzie, są w porze dziennej: kościół w Oksywiu (na północ od Gdyni), wieża ciśnień w porcie, maszt Obserwatorium Morskiego w południowej części portu oraz wieża kościoła gdyńskiego (na południe od portu). W porze nocnej głównym światłem orientacyjnym jest latarnia morska w Oksywiu oraz tymczasowe światła błyskowe, białe na głowicach wejściowych do portu.

Na południe od latarni oksywskiej w południowej części portu wznosi się na gmachu Państwowego Instytutu Meteorologicznego, pełniącego zarazem rolę obserwatorium morskiego, maszt sygnalizacyjny o żelaznej konstrukcji ażurowej wraz z reją, na którym wywieszane są sygnały ostrzegawcze o wiatrach silniejszych, niż 6 stopni według skali Beauforta.

Dokładny czas ustalić można w godzinach dziennych, biorąc pod uwagę chronometry obserwatorium morskiego. Wiadomości żeglarskie, mapy, oraz podręczniki nawigacyjne w kilku językach światowych otrzymać można w Kaptanacie Portu lub w Wydziale Morskim PIM-u.

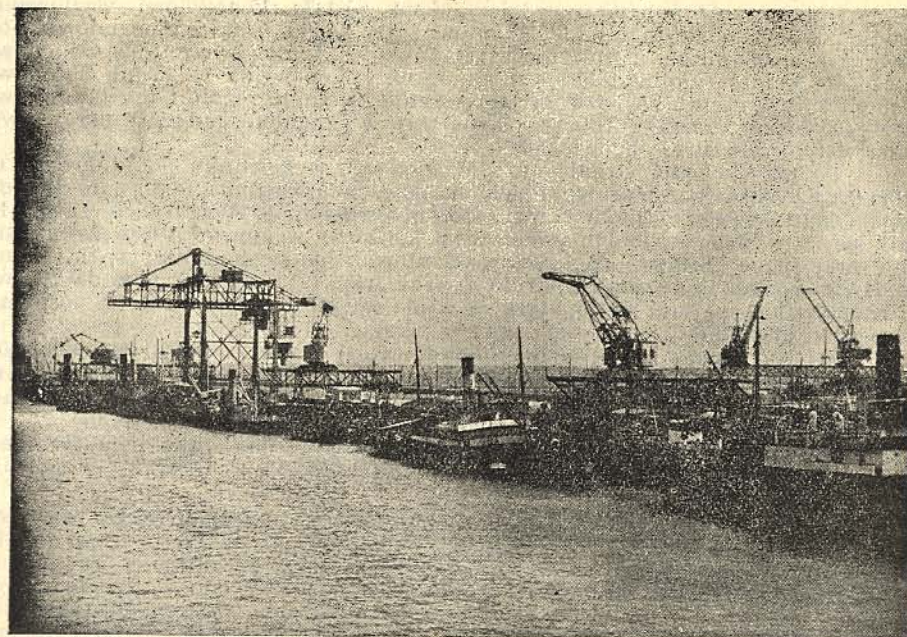
Port gdyński zajmuje narazie obszar ca. 950 ha, z czego na lustro wodne przypada ca. 320 ha i na powierzchnię lądu ca. 630 ha. Port dzieli się zasadniczo na dwie części, port zewnętrzny i port wewnętrzny, połączone wspólnym awanportem, przed którym znajduje się główne wejście, prowadzące z morza (redy) do obu części portów. Powierzchnia wodna awanportu wynosi ca. 97 ha i ograniczona jest od północy basenem floty wojennej, a od południa i zachodu obiema częściami portu.

Port zewnętrzny ciągnie się w kierunku południowym od awanportu; obejmuje on trzy duże baseny o łącznej powierzchni wodnej ca. 81 ha. Są to: basen Węglowy pow. wodnej ca. 33 ha, basen Południowy ca. 23 ha i basen Prezydenta ca. 25 ha. Poza tem do portu zewnętrznego należą 4 mola (pirsy) o łącznej powierzchni lądowej ca. 44 ha, mianowicie: molo Pasażerskie, Węglowe, Rybackie i t. zw. Reprezentacyjne (jeszcze niewykończone).

Do portu zewnętrznego prowadzą obecnie 3 wejścia: jedno główne przez awanport do basenu Węglowego, drugie do basenu Południowego i trzecie do basenu Prezydenta. W najbliższej przyszłości wejście do portu zewnętrznego ulegnie małej zmianie. Do całego portu zewnętrznego prowadzić będzie jedno główne wejście ze wschodu, przez awanport i drugie — uboczne od południa.

Molo Pasażerskie ma kształt prostokąta wydłużonego w kierunku wschodnim o powierzchni lądowej 4,8 ha, odgradzające awanport od basenu Węglowego, obramowane jest od północy — nabrzeżem Francuskim, zachodu — nabrzeżem Belgijskim i południa — nabrzeżem Holenderskim. Głębokość przy tem molo wynosi 12 m, co pozwala na zawijanie największych statków, jakie wogóle zdolne są wejść na Bałtyk.

U nasady mola przy nabrz. Francuskim znajduje się w budowie magazyn tranzytowy o powierzchni ca. 8.000 m², przeznaczony do składowania różnych towarów drobnicowych. Część tego magazynu posiadać ma ogrzewane komory. W części magazynu znajdować się będzie hala pasażerska, posiadająca pomieszczenie dla rewizji celnej i t. p.



Port gdyński. Nabrzeże szwedzkie z dźwigami „Robura”.

Nabrzeże francuskie posiadać będzie narazie przed magazynem 4 dźwigi portalowe o nośności 3 — 5 ton każdy, przeznaczone do obsługi magazynu.

Południowa część mola Pasażerskiego — nab. Holenderskie — ma być wykorzystana przedewszystkiem do wyładunku złomu żelaznego oraz dla innych towarów masowych. W tym celu przy nabrzeżu tem zmontowano 10 dźwigów portalowych, z czego 4 o nośności 7 ton, reszta o nośności 3 — 5 ton (z przekładnią).

Przeładunek węgla, idącego na eksport, skoncentrowany jest w basenie Węglowym i na molo Węglowym. Basen Węglowy, położony na południe od awanportu, zajmuje taflę wody o powierzchni ca. 33 ha i ma głębokość 8 — 9 m. Od zachodu obramowany jest nabrzeżem Duńskim (391 m) i od południa — nab. Szwedzkim (788 m).

Nab. Duńskie wyposażone jest w dwa najnowszej konstrukcji taśmowe urządzenia przeładunkowe. W północnej części urządzenie taśmowe (transporter) zostało zainstalowane przez koncern węglowy „Skarboferm” dla przeładunku węgla z kopalń koncernu. Teoretyczna zdolność przeładunkowa tego transportera wynosi 600 t na godzinę. W południowej części nab. Duńskiego znajduje się drugie urządzenie przeładunkowe, t. zw. stacja bunkrowa, z konstrukcji i mechanizmu działania, podobna do poprzedniego, a zmontowana kosztem Skarbu Państwa. Wydajność pracy jest jeszcze wyższa, osiągnęto bowiem rezultaty około 670 t na godzinę *).

Nab. Szwedzkie prawie całe służy do przeładunku węgla. Posiada ono u nasady 3 dźwigi mostowe 7-tonowe. Dźwigi te w pierwszym rzędzie służą do przeładunku sypkich towarów masowych, jak rudy żelazne, fosforyty, piryty i t. p. oraz węgla eksportowego. Pospołu z dźwigami mostowymi pracuje znajdująca się tam waga automatyczna, t. zw. zasobnik samoważący, służąca do ważenia towarów sypkich

* O rozmiarach i sprawności przeładunkowej tego urządzenia daje obrazowe pojęcie uświadomienie sobie faktu, że cały pociąg towarowy z węglem, składający się z 67 wagonów 10-tonowych, może być wyładowany w ciągu jednej godziny.

Dalsza część nabrzeża wydzierżawiona została koncernowi węglowemu „Robur”, który na swym terenie zmontował dla węgla 4 dźwigi portalowe 7-tonowe oraz mechaniczne urządzenie przeładunkowe, t. zw. wywrotnicę wagonową o nośności 32 tony, zdolną załadować na statek wagon węgla 10, 15 lub 20-tonowy w ciągu 3 — 4 minut, co pozwala teoretycznie osiągnąć rezultat przeładunkowy 300 — 400 ton na godzinę. Koncern eksploatuje wymienione nabrzeże przez stworzoną w tym celu firmę „Polskarob”.

Po przeciwległej stronie mola Węglowego, w kierunku południowym od nabrzeża Szwedzkiego, przy nab. Śląskiem, położonem równoległe do nab. Szwedzkiego i stanowiącem pospół z niem obramowanie mola Węglowego, zainstalowały się na wydzierżawionym terenie dwa koncerny węglowe: „Progress” i „Giesche” oraz firma „Elibor”. Wszystkie zmontowały do przeładunku węgla 7-tonowe dźwigi portalowe różnej konstrukcji. Tak więc f. „Progress” posiada 2 dźwigi, zaopatrzone w wagi automatyczne, firma Giesche i firma Elibor posiadają po jednym dźwigu.

Do węglowych urządzeń przeładunkowych zaliczyć trzeba dźwig pływający, należący do firmy „Poldag”, o nośności 7 ton. Dźwig ten w pracy eksploatacyjnej okazał się sprawny i ekonomiczny. Jest on zbudowany na pontonach i może być przesuwany z jednego miejsca na drugie, zależnie od potrzeby.

Cały zatem przeładunek węgla uskuteczniany jest przy pomocy trzech specjalnych urządzeń przeładunkowych i 12 dźwigów (3 mostowe, 8 portalo- wych i 1 pływający).

Następnym z kolei basenem, ku południowi portu zewnętrznego, jest basen Południowy, o powierzchni wodnej 23 ha, składający się z trzech części między sobą połączonych. Główna część basenu, 9 m głęboka, ograniczona jest od północy nab. Śląskiem, od południa — Angielskiem i od zachodu — dwiema z różnych przeciwnych punktów wychodzącymi ostrogami. Ostrogi, biegnące prostopadłe, jedna od nabrzeża Śląskiego ku południowi, druga od nabrzeża Angielskiego ku północy, oddzielają główną część basenu od dwóch powstałych w ten sposób kwadratów wodnych, tworząc w północno - zachodniej części basenu Po-



Port w Gdyni. Wnętrze magazynu drobnicowego.

łudniowego — basen przeznaczony dla Stoczni Gdyńskiej i jej urządzeń oraz w południowo - zachodniej — basen rybacki, służący jako przystań dla małych statków i kutrów rybackich.

W basenie, zajęтым przez stocznice, znajduje się dok pływający o nośności 3.000 t DW, pełniący rolę warsztatu reparacyjnego dla mniejszych statków i jednostek pływających oraz dźwig pływający o nośności 50 ton, przeznaczony do dźwigania wielkich ciężarów.

Basen Południowy posiada narazie oddzielne wejście z reddy. W przyszłości wejście to zostanie skasowane i statki doń kierować się będą przez wejście główne i awanport.

Molo Rybackie, obramowane od północy nab. Angielskiem i Kaszubskiem o łącznej długości 658 m i od południa nab. — Wilsonowskim, posiada 650 m długości i 175 m szerokości. U nasady jego przy nabrzeżu Angielskiem skoncentrowany został przeładunek i handel rybny. Znajdująca się tu hala rybna o użytkowej powierzchni składowej ca. 2.500 m², posiada najnowszej konstrukcji urządzenia chłodnicze dla ryb i ich przetworów, a prócz tego — dużą salę, służącą, jako miejsce dla aukcyj rybnych oraz cały szereg pomieszczeń na biura firm, zajmujących się handlem rybnym. Obok hali rybnej zbudowany został na nab. Kaszubskiem mały drewniany o izolowanych ścianach magazyn śledziowy o powierzchni użytkowej 600 m² firmy „Mopol” Spółki Polsko - Holenderskiej. Spółka ta za cel swej działalności handlowej postawiła sobie połów śledzi u wybrzeży szkockich. W tym celu przy pomocy specjalnego taboru, złożonego z 8 statków, bierze udział w dalekomorskich połowach w okresie od czerwca do grudnia i złowiony towar odstawia w beczkach do wydzierżawionego przez nią magazynu w porcie holenderskim Vlaardingen, aby stąd przewieźć je większymi partiami do Gdyni.

Jako uzupełnienie potrzeb w tym kierunku, zbudowany został przy nab. Angielskiem specjalny magazyn śledziowy o pow. ca. 2.070 m². W ten sposób cały handel rybny skoncentrowany został w Gdyni, a przemysł przetwórczy z nim związany ma tutaj duże szanse rozwoju.

Dalsza część nab. Angielskiego została zajęta narazie pod składy drzewne firmy „Paged” i wreszcie w końcu tego nab. Państwowe Zakłady Naftowe „Polmin” wybudowały mały magazyn o pow. użytkowej 282 m² wraz z rampami, a ponadto wybudować mają zbiornik do olejów mineralnych. Urządzenie to wraz z istniejącymi już małymi zbiornikami firmy „Gazolina” na nab. Śląskiem służyć będzie wyłącznie do bunkrowania statków.

W południowej części mola przy nab. Wilsonowskim zbudowane zostały 2 magazyny: jeden o pow. 150 m², należący do firmy „Vistula”, przedsiębiorstwa żeglugowego, utrzymującego regularną komunikację z wnętrzem kraju drogą wodną przez Tczew i Gdańsk, oraz drugi magazyn Żegluga Polskiej S. A., o pow. 1.080 m².

Ostatnim basenem portu zewnętrznego jest basen Prezydenta o pow. wodnej ca. 25 ha. Basen ten nie jest jeszcze wykończony. Narazie gotowe jest nab. Wilsonowskie i część nab. Prezydenta, biegnące prostopadłe ku południowi. W najbliższej przyszłości zostanie wybudowane, zamiast dotychczasowego drewnianego pomostu Żegluga Polskiej, molo Reprezentacyjne długości 680 m i szerokości 120 m, biegnące w kierunku wschodnim, które zamknie basen Prezydenta od południa. U nasady tego mola po stronie zewnętrznej całkiem na południe przewidziana jest budowa małego basenu dla jachtów z oddzielnym wejściem od południa.

Drugą część portu stanowi port wewnętrzny. Podobnie, jak cały port zewnętrzny wybudowany został na wodzie przez zarefultowanie miejsc przeznaczonych na mola, a odpowiednie pogłębienie miejsc stanowiących baseny, tak cały port wewnętrzny wybudowany został w głębi lądu przez wybagrowanie basenów. Ośią konstrukcji portu wewnętrznego jest t. zw. kanał Portowy, idący w kierunku północno - zachodnim od awanportu w głąb niziny gdyńskiej, dawnego łożyska rzeki Chylonki.

Kanał Portowy wchodzi w ląd narazie na ca. 2½ klm. Na południe - zachód od osi kanału Portowego biegną równoległe 2 baseny: basen im. Marsz. Piłsudskiego o pow. wodnej ca. 27 ha i basen im. Min. Kwiatkowskiego o tafli wodnej ca. 16 ha. Głębokości portu wewnętrznego są różne: w kanale Portowym i w basenie Marsz. Piłsudskiego — 10 m, w basenie Min. Kwiatkowskiego przy nab. Stanów Zjednoczonych — 9 m.

Port wewnętrzny zaczyna się od 2 przeciwległe położonych terenów, między którymi biegnie jakby przesmyk, wiodący z awanportu do kanału Portowego. Na południe od tego przesmyku leżą nabrzeża: Portowe o długości 79 m. i Pilotowe — 199 m.

Przy nab. Pilotowym znajduje się najstarszy w porcie hangar Nr. 1. Magazyn ten o powierzchni użytkowej 4.000 m² posiada po obu stronach rampy. Służy on do składowania wszelkiego rodzaju towarów drobnicowych i eksploatowany jest głównie przez linie regularne Żegluga Polskiej i Svenska Orient Line. Nabrzeże Pilotowe zaopatrzone jest w 4 dźwigi portalowe (w tem 2 dźwigi 1½ ton i 2 dźwigi 5½ ton).

Od nabrzeża Pilotowego, w kierunku południowo - wschodnim, leży basen im. Marsz. Piłsudskiego, obramowany nabrzeżami: Polskiem od południo - wschodu, Rotterdamskiem od południa i Indyjskiem od północy - zachodu.

Przy nab. Polskiem o długości 1.130 m położone są: a) w pierwszej strefie: magazyny cukrowe o łącznej powierzchni użytkowej 18.000 m², zbudowane przez Zachodnio Polski Związek Przemysłu Cukrowniczego w Poznaniu i eksploatowane przez powstałą w tym celu firmę „Cukroport”. Magazyny te służą do składowania cukru, przeznaczonego na eksport. Cukier, który przychodzi tu bezpośrednio z cukrowni związkowych koleją lub drogą wodną przez Tczew i Gdańsk, jest magazynowany i następnie wywożony do krajów skandynawskich, Anglii, na Bliski Wschód i t. d.

W dalszym ciągu nabrzeża Polskiego mieszczą się zabudowania firmy prywatnej J. Fetter (suszarnia owoców). Budynki te obejmują magazyn o pow. 2.470 m², służący do składowania różnego rodzaju owoców, a głównie śliwek kalifornijskich i serbskich oraz suszarnię owoców, dojrzewalnię bananów, jako też sortownię i fabrykę różnych mieszanek owocowych. Obok firmy J. Fetter znajduje się magazyn państwowy Nr. 4, o powierzchni użytkowej 3.200 m², wydzielony na długi okres czasu Amerykańskiemu Towarzystwu Żeglutowemu „American Scantic Line”, utrzymującemu regularne połączenie między Gdynią i New Yorkiem.

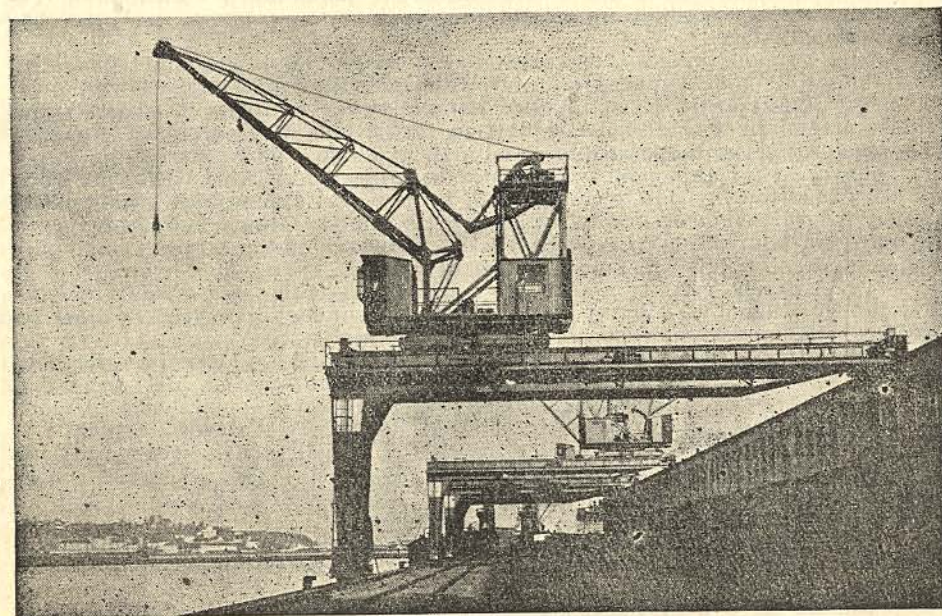


Port w Gdyni. Magazyn łuszczeni ryżu.

Magazyn firmy ekspedycyjnej „Pantarei” o powierzchni użytkowej 5.950 m² służy do składowania towarów drobnicowych. Jest on także eksploatowany przez linie regularne, m. in. przez Polskie Transatlantyczne Towarzystwo Okrętowe — Linja Gdynia - Ameryka.

Magazyn portowy Nr. 3 o powierzchni użytkowej 6.500 m² (w tem 500 m² zajmują piwnice chłodzone), służy, jako punkt oparcia dla linii regularnych Polsko - Brytyjskiego Towarzystwa Okrętowego i Polskiej Zjednoczonej Korporacji Bałtyckiej (Polish United Baltic Corporation), utrzymujących regularną komunikację między Gdynią a Londynem i Hull.

Chłodnia Portowa, wybudowana przez Państwowy Bank Rolny, należy do jednego z największych urządzeń portowych w Gdyni i zajmuje zarazem, co do wielkości 2 miejsce w Europie. Jest zaledwie o 10% mniejsza od chłodni portowej w Hamburgu. Budynek chłodni posiada 4 kondygnacje o podstawie 100 × 50 m i skonstruowany jest w ten sposób, że w miarę potrzeby, może być podniesiony o dalsze dwa piętra. Chłodnia obejmuje 72 komory chłodzone o różnych rozmiarach oraz 3 duże sale manipulacyjne i ładunkowe. Łączna powierzchnia składowa chłodni wynosi ca. 10.000 m². Służy ona głównie do przechowywania wszelkich produktów przemysłu rolnego, idących na eksport, jak jaja, masło, drób bity, mięso i wędliny, grzyby i t. p., a ponadto składowane są w niej niekiedy owoce południowe, niektóre gatunki ryb i t. p.



Port w Gdyni. Nabrzeże Stanów Zjednoczonych w basenie im. Ministra Kwiatkowskiego. Nowoczesne 3 tonowe dźwigi półportalowe przy magazynie bawełnianym.

W przyległych zabudowaniach mieszczą się maszyny chłodnicze, fabryka lodu, produkująca dziennie ca. 20 ton lodu krystalicznego oraz lokale biurowe firmy „Chłodnia i Składy Portowe” S. A. w Gdyni, eksploatującej te urządzenia. Do przeładunku towarów z komór chłodni do luków statku i odwrotnie służy należące do firmy specjalne urządzenie przeładunkowe, t. zw. suwnica o nośności 1½ tony.

Etapowy magazyn tytoniowy, leżący w drugiej linii nabrzeża Polskiego, naprzeciw zabudowań firmy J. Fetter, o powierzchni użytkowej 10.700 m², wybudowany został przez Polski Monopol Tytoniowy w celu składowania tytoniu. W magazynie tym surowiec podlega sortowaniu i repartycji na poszczególne fabryki wyrobów tytoniowych w kraju. W części tego magazynu mieści się czasowo główna składnica wyrobów Państwowego Monopoli Spirytusowego.

Magazyn portowy Nr. 5, znajdujący się również w II strefie nab. Polskiego, przeznaczony jest do składowania towarów na okres długoterminowy. Składa się on narazie z dwóch kondygnacji o łącznej powierzchni użytkowej ca. 7.500 m² i posiada na parterze i piętrze po 12 komór. Magazyn ten dla obsługi towarów wewnątrz ma 9 wind elektrycznych. W razie potrzeby hangar ten, mający fundament na płycie żelazobetonowej, może być podniesiony o 3 dalsze kondygnacje.

Obecnie, prócz komór wynajętych przez prywatne firmy portowe na biura i składy, hangar ten mieści również biura Zarządu nabrzeży.

Całe nabrzeże Polskie wyposażone jest w 15 dźwigów portalowych (w tym 10 dźwigów o nośności 1½ tony każdy, 1 — 2½-tonowy i 4 — 3-tonowe) i jedno urządzenie przeładunkowe chłodni portowej, t. zw. suwnicę o nośności 1½ tony.

Nabrzeże Rotterdamskie o długości 310 m. biegnie w kierunku północno-zachodnim od nabrzeża Polskiego. Wyposażone ono jest w 5 dźwigów portalowych (w tym jeden dźwig 2½-tonowy i cztery 1½-tonowe), służących do przeładunku towarów półmasowych. Przy tem nabrzeżu znajduje się państwowy hangar Nr. 2, najdłuższy obecnie w porcie, o użytkowej powierzchni składowej 13.260 m². Magazyn ten, nieposiadający ramp, służy do składowania towarów masowych, jak sole potasowe, tomasyna, nawozy azotowe, ziemniaki i t. p. Może on być również użyty do składowania towarów wysokowartościowych.

Nabrzeże Indyjskie o długości 1.109 m biegnie równoległe do nabrzeża Polskiego w kierunku północno-wschodnim. W południowo-zachodniej części tego nabrzeża ześrodkowany został przemysł portowy, oparty na przeróbce surowca zamorskiego.

Stoi tu nowoczesna łuszcznia ryżu w budynku o 5 kondygnacjach, oraz należące do niej 2 magazyny murowane o łącznej powierzchni użytkowej 8.600 m², („Łuszcznia Ryżu, Spółka Komandytowa w Gdyni“). Teoretyczna zdolność przemiału w ciągu roku wynosi do 150.000 ton. Ryż surowy (niełuszczone) sprowadzany jest bezpośrednio z Indii Brytyjskich i po wyłuszczeniu, w postaci gotowej do użytku, pokrywa zapotrzebowanie rynku krajowego, jak również jest eksportowany do Czechosłowacji, krajów skandynawskich i bałtyckich, Niemiec, Anglii, a nawet krajów Bliskiego Wschodu. Przy łuszczeniu ryżu otrzymuje się jako produkty uboczne makę ryżową i otręby, które to artykuły eksportuje się do pobliskich krajów drogą morską, a głównie do Niemiec.

Przeładunek ryżu ze statku do magazynów, jako też z magazynów na statki lub do wagonów, odbywa się przy pomocy wind okrętowych, wózków żelaznych i wind magazynowych.

Olejarnia Gdynńska składa się z fabryki, magazynów o łącznej powierzchni użytkowej 4.026 m² i jednego silosu zbożowego, mieszczącego ca. 5.000 ton. Jest ona własnością firmy Zakłady Przemysłu Tłuszczowego i Olejarskiego „Union“ S. A. w Gdyni, należącej do międzynarodowego koncernu „Unilever - Schicht“.

Produkcja olejów, w ¾ technicznych i w ¼ jadalnych, oparta jest na przeróbce surowców oleistych pochodzenia zamorskiego, jak: kopra, orzechy ziemne (araszyty), ziarna palmowe, soja i t. p. Gotowy olej wraz z produktami pochodnymi, jak makuchy, idzie głównie na eksport.

Do przeładunku surowca ze statku do magazynu służy urządzenie przeładunkowe w postaci taśm transportowych o zdolności przeładunkowej do 90 ton na godzinę.

Dalsza część nab. Indyjskiego jest zajęta przez firmy: „Polski Melas“ i „Paged“. „Polski Melas“ eksploatuje wybudowane przez Związek Przemysłu Cukrowniczego Małopolski i byłego Królestwa Polskiego, 2 rezerwoary o łącznej pojemności 14.800 ton, służące do przechowywania melasy krajowej, idącej na eksport. W przyszłości zbudowane być mają w tym celu jeszcze dwa takie same zbiorniki.

Firma „Paged“ (Polska Agencja Eksportu Drewna, Spółka z ograniczoną poręką w Gdyni) na wydzierżawionych przez nią placach przy nab. Indyjskim i Norweskim o łącznej powierzchni ca. 46.200 m² oraz na placu przy nab. Angielskim (port zewnętrzny) o powierzchni 21.295 m², urządziła składy drzewne dla drzewa eksportowego okrągłego i tarcicy, głównie z polskich lasów państwowych.

Nabrzeże Stanów Zjednoczonych o dług. 820 m, położone równoległe do nab. Indyjskiego w kierunku północno-zachodnim, stanowi razem z niem oraz z nab. Norweskim obramowanie dla pierwszego mola w porcie wewnętrznym.

Północno-wschodnia część tego nabrzeża służy do przeładunku bawełny, importowanej głównie ze Stanów Zjednoczonych i z Egiptu dla krajowego prze-

mysłu włókienniczego. Wybudowany został tutaj specjalny magazyn bawełniany (Nr. 6) o powierzchni użytkowej 12.000 m². Magazyn ten posiada po obydwu stronach szerokie 4-metrowe rampy, jako też z obu boków wjazd do jego wnętrza dla ruchu samochodowego.

Do przeładunku towarów ze statku do magazynu służy 8 dźwigów półportalowych o nośności 3 ton każdy, ustawionych przed magazynem.

W najbliższym czasie planowana jest budowa jeszcze dwóch magazynów drobnicowych. Jeden ma stać w drugiej linii za magazynem bawełnianym i drugi obok magazynu bawełnianego przy nabrzeżu Stanów Zjednoczonych.

Ogólna długość torów kolejowych, służących do obsługi całego portu, wynosi około 120 klm.

Łączna powierzchnia wszystkich magazynów wynosi ca. 14.482 m² w porcie zewnętrznym i ca. 106.106 m² w porcie wewnętrznym — razem ca. 120.788 m², oraz łączna pojemność zbiorników (silos i 2 zbiorniki na melasę) 19.800 ton.

Dalszy program rozbudowy portu gdyńskiego obejmuje prace w porcie wewnętrznym. Port zewnętrzny, poza przewidzianym wykonaniem basenu Prezydenta i mola Reprezentacyjnego oraz przebudową falochronu, nie ulegnie dalszej rozbudowie.

Rozbudowa portu wewnętrznego będzie polegała na dalszym wrzynaniu się w ląd w kierunku północno-zachodnim, wzdłuż osi dzisiejszego kanału Portowego. Od osi kanału odchodzą będą po obydwu jego stronach nowe baseny i mola. Narazie kanał Portowy wchodzi w ląd na ca. 2½ klm. Projektowane jest jego przedłużenie w głąb nizin gdyńskiej, o dalsze 2 klm. i stworzenie w ten sposób dostępu drogą wodną do terenów, na których przewidziane jest skoncentrowanie innych gałęzi przemysłu.

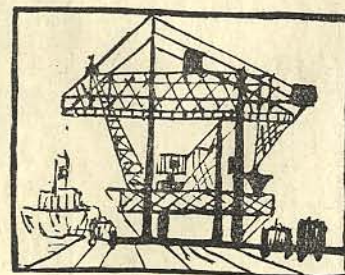
Dalsza część kanału Portowego nosić będzie nazwę kanału Przemysłowego.

W najbliższym czasie w porcie wewnętrznym utworzona będzie strefa wolnocłowa. Na ten cel przewidziane są baseny i mola, jakie powstaną po południowo-zachodniej stronie od osi kanału Portowego.

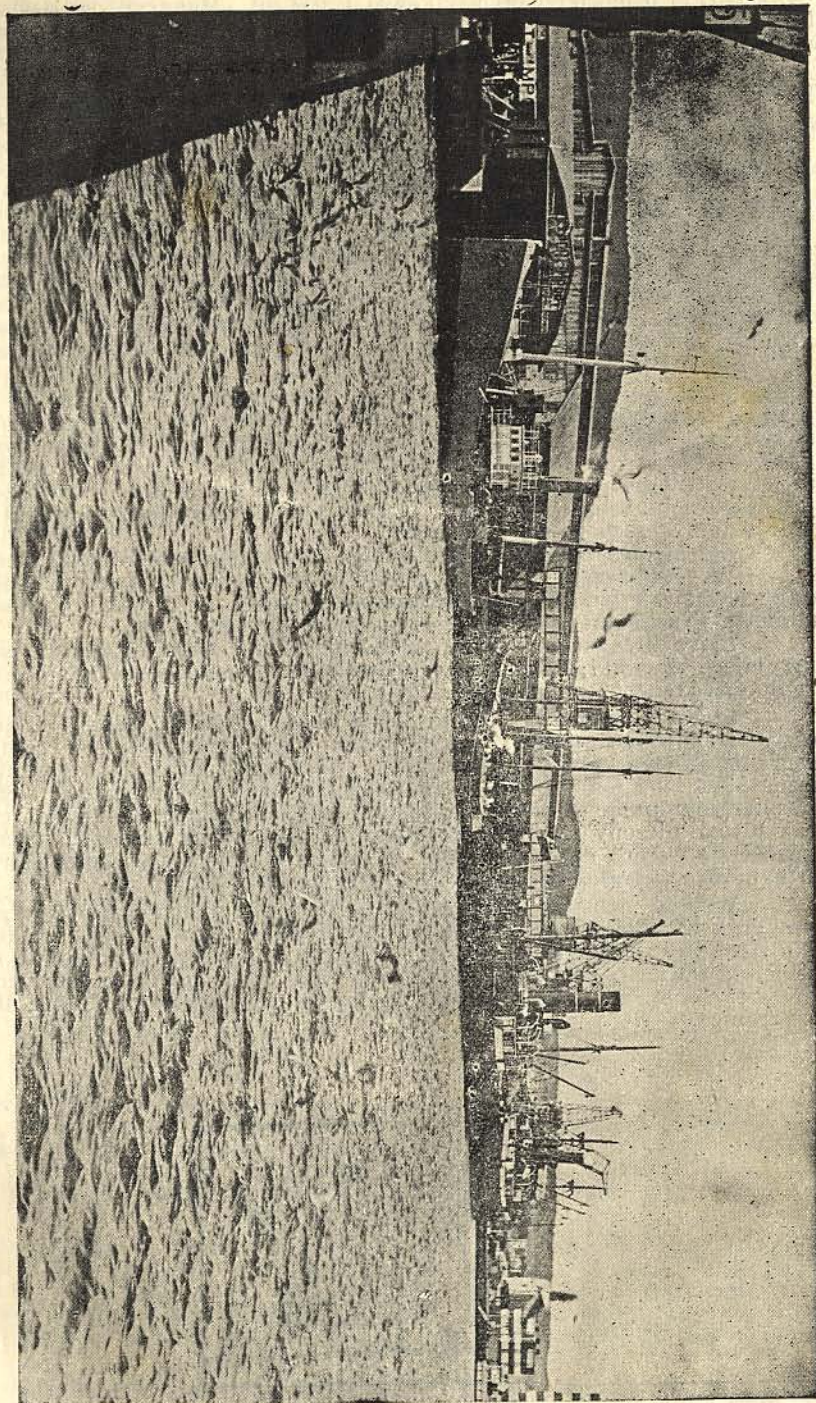
Przez urządzenie strefy wolnocłowej w porcie gdyńskim stworzy się sprzyjające warunki dla dalszego rozwoju portu, jako portu handlowego o znaczeniu międzynarodowym.

Strefa wolnocłowa jest to ściśle określona część portu, izolowana od reszty terenów portowych i wyodrębniona z ogólnych przepisów celnych. Usunięcie ograniczeń celnych, odnoszących się bezpośrednio do zawijania i kladowania statków i ładunku oraz opłaty cła od towarów importowanych, jako też dowolna manipulacja niemi względnie częściowa przeróbka w obrębie strefy, oraz nieograniczony termin pozostawiania towarów na składzie, stwarzają okoliczności ze wszelkich miar korzystne dla ugruntowania się w wolnej strefie ośrodku handlu o charakterze wybitnie międzynarodowym.

Według projektu wolna strefa portu w Gdyni ma być pod względem celnym oraz w zakresie opłat monopolowych i podatków pośrednich traktowana, jako zagranica. Kontrola celna nad wolną strefą ograniczona będzie do strzeżenia jej od zewnątrz oraz do haczenia, aby ruch osób i towarów przez granice wolnej Strefy odbywał się z zachowaniem ogólnych przepisów celnych dla obrotów z zagranicą.



Port gdyński. Nabrzeże Rotterdamskie w basenie im. Marszałka Piłsudskiego.



Obroty towarowe portu gdyńskiego

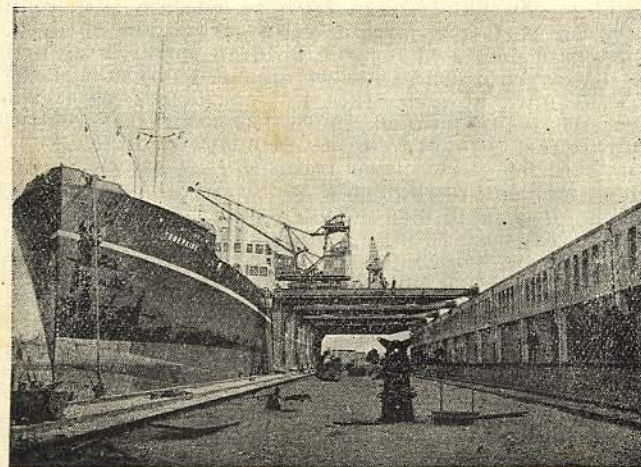
Obroty towarowe każdego portu są najbardziej miarodajnym sprawdzianem intensywności jego rozwoju oraz użyteczności dla życia gospodarczego jego zaplecza. Porównanie liczb, którymi się wyraża sumaryczny przywóz i wywóz dokonywany przez port w Gdyni, pozwala stwierdzić, że tempo rozwoju obrotów towarowych nie ustąpiło w żadnym stopniu szybkości rozbudowy urządzeń samego portu.

Należy pamiętać, że w najpierwszych zamierzeniach port gdyński miał nosić raczej charakter pomocniczy, uzupełniający w stosunku do Gdańska, a dopiero samo życie, już w czasie trwania prac budowlanych, wskazało, że zasięg pracy nowego portu musi być zrozumiany o wiele szerzej i że pierwotne plany muszą ulec bardzo wydatnemu rozszerzeniu.

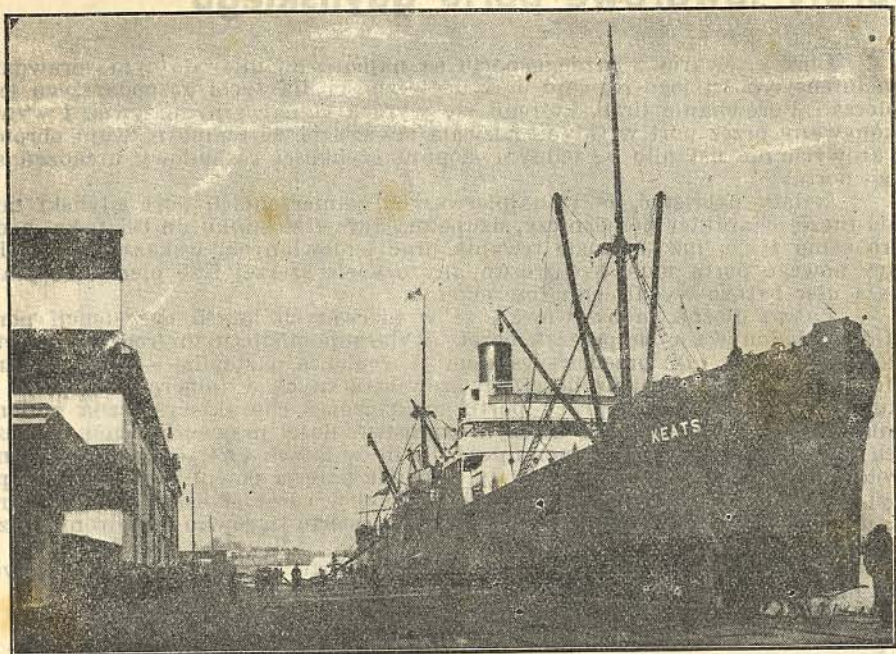
Łatwo można zaobserwować, że w pierwszych latach egzystencji portu w Gdyni dokonywane są przezeń obroty wyłącznie nielicznymi rodzajami artykułów masowych, jak: przede wszystkim — węgiel, a następnie — rudy żelazne, fosforyty, piryty oraz pewne ilości nawozów sztucznych w imporcie. Dopiero od roku 1928 zaczyna się w pracy portu uwidaczniać charakterystyczna zmiana, a mianowicie — równoległe z dalszym wzrostem ilości przywożonych i wywożonych towarów wzrasta ich różnorodność. O ile w latach 1924 — 1928 zestawienia obrotów portowych w Gdyni zawierały zaledwie parę, a potem kilka różnych pozycji, to w latach następnych ilość tych pozycji w coraz słabszym tempie wzrasta, dochodząc w roku 1932 do ilości kilkudziesięciu zarówno po stronie przywozu jak i wywozu.

W ogólnych liczbach zamorskie obroty portu gdyńskiego w pierwszych 9-ciu latach jego egzystencji przedstawiają się następująco:

Rok	Import	Eksport	Ogółem
			w t o n a c h
1924	981	9.187	10.167
1925	1.646	53.925	55.571
1926	310	404.251	404.561
1927	6.411	891.683	898.094
1928	192.712	1.765.058	1.957.770
1929	329.644	2.492.858	2.822.502
1930	504.117	3.121.631	3.625.748
1931	558.549	4.741.565	5.300.114



Port w Gdyni. Przybycie z Australii pierwszego bezpośredniego transportu wełny na statku norweskim „Temeraire” (październik 1932)



Port w Gdyni. Łuszcarnia ryżu. Obok statek angielski „Keats”, który przywiózł ryż wprost z Rangoonu (Indje)

Tak intensywny wzrost zarówno ilości, przechodzących przez port towarów, jak i różnorodności ich, ma podwójnie dodatnie znaczenie. Po pierwsze dowodzi on, że port gdyński gra coraz ważniejszą rolę w życiu gospodarczym swego zaplecza, oraz że coraz liczniejsze dziedziny tego życia wiążą swą pracę z pracą portu. Z drugiej strony należy zaznaczyć, że właśnie różnorodność towarów przechodzących przez port, a zwłaszcza wzrost artykułów różnych, t. zw. drobnicy jest najważniejszą podstawą rozwoju każdego portu. Przy przewozach morskich towarów masowych zatrudniane są niemal wyłącznie statki żeglugi nieregularnej, t. zw. trampy, których praca jest oparta przedewszystkiem na artykułach, stanowiących ładunki całookrętowe, lecz zazwyczaj tańszych i opłacających niższe stawki frachtowe. Drobnica natomiast, czyli towary stanowiące ładunki mieszane bardziej wartościowe i bardziej zyskowne w transporcie, jest przedewszystkiem źródłem zatrudnienia regularnych linii okrętowych, wiążących porty stałymi arterjami komunikacyjnymi i zapewniających tem samem sferom handlowym możność stałej i punktualnej wymiany towarów. Dlatego też bardzo znane i często głoszone twierdzenie, iż handel morski kraju idzie za jego banderą, zastosowane być powinno przedewszystkiem do żeglugi regularnej, będącej w bardzo licznych wypadkach pionierem tego handlu i jego propagatorem. Trzeba przytem uwzględnić, że na drobnicę składają się w największej mierze artykuły trudniejsze w przeładunku i bardziej wrażliwe na wpływy atmosferyczne. Te właśnie artykuły dają najwięcej zatrudnienia pracującym w porcie firmom i przysparzają najwięcej dochodów samemu portowi, korzystając z magazynów portowych, składów i różnych urządzeń specjalnych. Dlatego też analizując obroty towarowe w porcie gdyńskim, należy w równej mierze uwzględnić, jako oznaki rozwoju tego portu, wzrost ilości oraz różnorodności i wartości przechodzących przezeń towarów.

Naturalną rzeczą jest, że w ściślejszej łączności z rozwojem obrotów pozostaje wzrost ruchu statków. W latach 1924 — 1932 ruch ten pod względem ilości

statków oraz ich tonażu w rejestrowanych tonach netto (NRT) przedstawiał się następująco:

Rok	Weszło		Wyszło	
	Statków	N. R. T.	Statków	N. R. T.
1924	29	40.469	29	40.469
1925	85	74.919	79	71.549
1926	312	209.928	316	213.086
1927	542	426.722	532	421.226
1928	1.108	984.980	1.093	972.902
1929	1.567	1.442.492	1.575	1.445.400
1930	2.238	2.027.822	2.219	2.018.299
1931	3.144	2.649.268	3.148	2.665.400

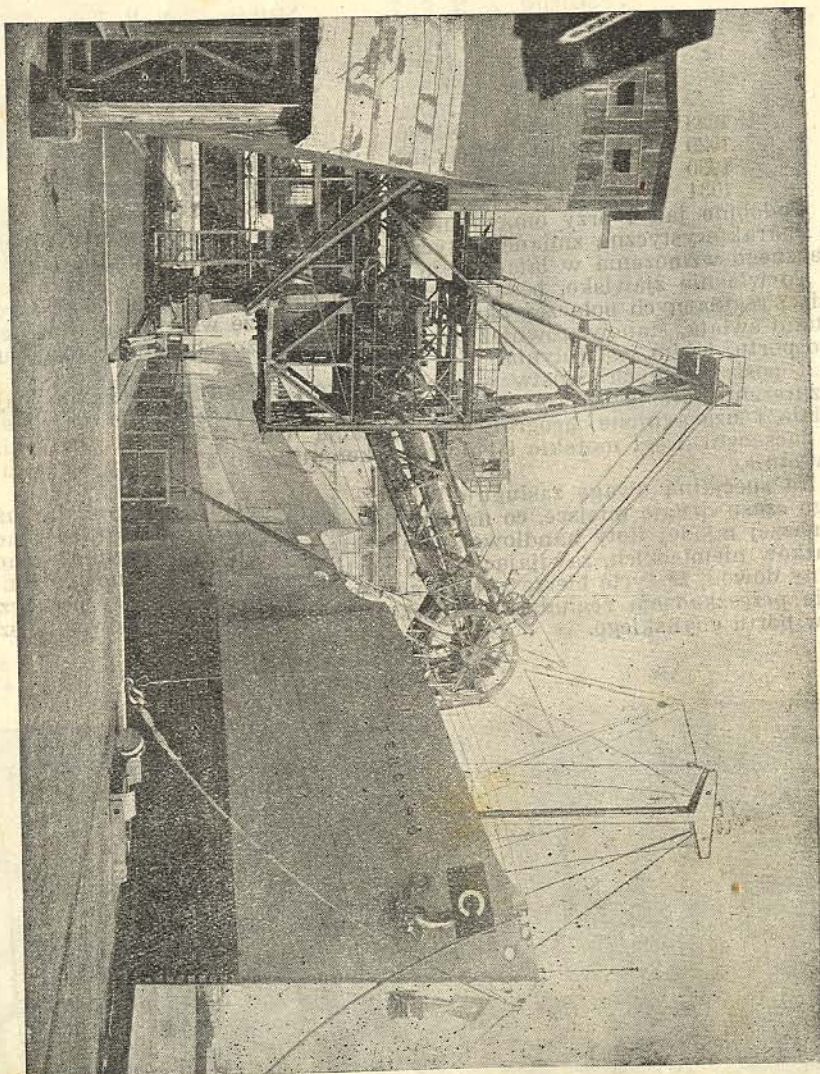
Podobnie jak i przy omawianiu obrotów towarowych należy zaznaczyć równie charakterystyczną zmianę, dotyczącą ruchu statków, a mianowicie: bardzo znacznego wzmoczenia w latach 1928 — 1932 udziału statków regularnej żeglugi. To właśnie zjawisko, będące przejawem intensywnego wzrostu i rozbudowy sieci regularnych połączeń okrętowych w Gdyni ze wszystkimi ważniejszymi portami świata, stanowi również jeden z bardzo ważnych etapów rozwoju tak młodego portu, jakim jest Gdynia.

Z poszczególnych państw w ruchu statków w porcie gdyńskim najliczniej reprezentowane są kraje skandynawskie. Jest to zjawisko najzupełniej zrozumiałe i uzasadnione geograficzną sytuacją Gdyni, będącej naturalnym węzłem łączącym drogi morskie i lądowe w komunikacji z północy na południe lub odwrotnie.

Na specjalną uwagę zasługuje fakt, że polska bandera uzyskała już od dłuższego czasu drugie miejsce, co należy niewątpliwie uznać za bardzo znaczny sukces naszej młodej floty handlowej. Charakterystyczna jest również znaczna ilość statków niemieckich, zawijających do portu gdyńskiego. Stanowi to niezaprzeczalny dowód, że życie bierze zawsze górę nad względami natury politycznej, które nie przeszkadzają żegludze niemieckiej być jednym z najpoważniejszych klientów portu gdyńskiego.



Port w Gdyni. Sortowanie ziemniaków, przeznaczonych na eksport.



Z danych liczbowych uwzględnić jeszcze należy statystykę ruchu pasażerów w porcie gdyńskim w latach 1924 — 1932, a mianowicie:

Rok	Przyjechało	Wyjechało	Razem
1924	1.190	6.377	7.567
1925	1.065	10.632	11.697
1926	811	6.990	7.801
1927	1.368	8.172	9.540
1928	3.215	20.007	23.222
1929	5.970	17.591	23.561
1930	6.781	17.388	24.169
1931	7.873	7.603	15.476

Spadek liczby pasażerów w latach 1931 i 1932 w porównaniu z latami 1928 — 1930 pozostaje w ścisłym związku z ograniczeniami emigracyjnymi, poczynionymi przez wszystkie kraje Ameryki, i z zupełnym zanikiem ruchu emigrantów z Polski.

Należy obecnie zastanowić się nad tem, w jakim stopniu port gdyński jest dostosowany dla przyjęcia niektórych towarów importowanych, względnie w jakiej mierze może w nim być dokonany załadunek na statki i wysyłka artykułów eksportowych. W tym celu trzeba zbadać poszczególne grupy pokrewnych artykułów, figurujących w zestawieniach dotychczasowych obrotów portowych.

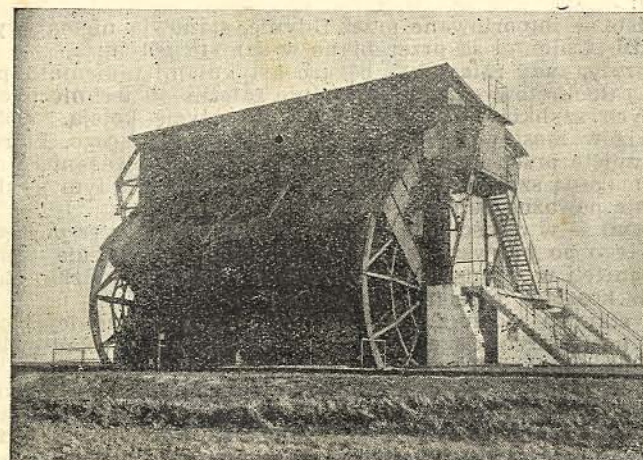
W przywozie:

ryż surowy — wobec powstania w Gdyni wielkiej Łuszcarni Ryżu, port gdyński znalazł się w roli faktycznego monopolisty w przywozie ryżu nie tylko na Polskę, lecz i na część krajów ościennych. Zupełnie nowoczesne urządzenia i wyjątkowo dogodna sytuacja Łuszcarni pod względem komunikacyjnym stwarzają również wyjątkowo sprzyjające warunki przywozu ryżu do Gdyni;

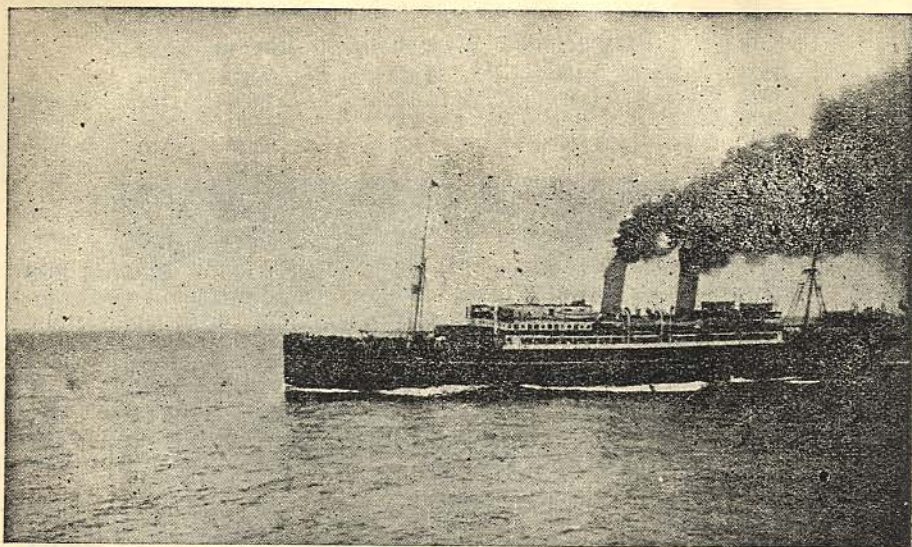
owoce południowe — już w obecnej sytuacji portu znajdują w nim zupełnie sprzyjające warunki, całkowicie umożliwiające przywóz ich przez Gdynię. Składają się na to: obszerne, suche i jasne magazyny portowe, szybkie i dokładne w pracy urządzenia przeładunkowe, oraz na wypadek mrozów ogrzewane przestrzenie składowe w chłodni portowej, a w bardziej niedługiej przyszłości również w specjalnym magazynie na nabrzeżu Francuskiem;

owoce suszone — z chwilą powstania w porcie gdyńskim specjalnego zakładu firmy „Józef Fetter”, Gdynia stała się miejscem szczególnie uprzywilejowanym pod względem przywozu wszelkiego rodzaju owoców suszonych;

kawa, kakao, herbata i różne artykuły kolonjalne — ze względu na łatwość przeładunku w porcie, dogodne warunki manipulacji w magazynach, oraz składowania, a przede wszystkim dzięki istniejącej już dziś łatwości komunika-



Port w Gdyni. Transporter węglowy. Wywrotnica wagonów.



S/S „Kościuszko”.

cyjnej Gdyni z portami nadającymi te artykuły, względnie rozdzielającymi je, również znajdują w porcie gdyniskim zupełnie sprzyjające warunki;

tytoń — importowany całkowicie przez Państwowy Monopol Tytoniowy, korzysta z nowowyprowadzonego bardzo nowoczesnego i dogodnego magazynu, stanowiącego własność Monopoli;

śledzie — stanowią artykuł, którego przywóz przez port gdyniski zaczął się coraz wyraźniej kształtować. Sytuacja ta ulegnie dalszej poprawie z chwilą wykończenia magazynu dla śledzi na nab. Angielskiem;

skóry — wobec zatracenia przez Hamburg stanowiska głównego rozdzielcy skór na rynki europejskie, wobec utworzenia giełdy skór w Antwerpii, oraz uznania Gdyni za miejsce arbitrażu w handlu skórą, przywóz skór przez port gdyniski wydatnie wzrasta, znajdując w nim zupełnie odpowiadające mu warunki techniczne;

nasiona oleiste — importowane przez Gdynię, stanowią niemal wyłącznie surowiec dla Olejarni „Union” i są przerabiane w samym porcie;

fosforyty, piryty, rudy żelazne — będące artykułami tanimi, a przychodzące w ładunkach całookrętowych, są szczególnie zależne od technicznych urządzeń, umożliwiających szybki wyładunek ich i ekspedycję koleją. Połączenie pracy wielkich dźwigów mostowych oraz zasobnika samowładającego, którego notowania wagi są przyjęte przez kolej i usuwają potrzebę przewożenia wagonów, dają właśnie tą wymaganą szybkość, dlatego też wymienione w tym punkcie artykuły stanowią stale poważną rubrykę obrotów w Gdyni;

żelazto (złom) — w całości jest obecnie importowane przez port gdyniski. Przyczyniły się do tego po pierwsze sprawne działające urządzenia techniczne, a następnie tańsza aniżeli w Gdańsku lub Szczecinie robocizna ludzka, stanowiąca ważną pozycję w kosztach przeładunku złomu;

bawełna — stanowi jeden z najpoważniejszych i najcenniejszych artykułów w przywozie portu gdyniskiego. Już w chwili obecnej przeładunek i bardzo skomplikowana manipulacja bawełny nie natrafia w Gdyni na żadne trudności. W najbliższej przyszłości powstaną w porcie specjalne magazyny dla długoterminowego składowania bawełny, poczem bezwzględnie nastąpi utworzenie w Gdyni wielkich składów konsygnacyjnych. Należy się liczyć już dziś, że 100% bawełny importowanej przez Polski Przemysł Włókienniczy, będzie stale kierowany do Polski przez Gdynię;

węlna — drugi z kolei najważniejszy surowiec przemysłu włókienniczego, również w roku 1932 zaczął regularnie nadchodzić przez port gdyniski. W danym wypadku poza ogólnym przystosowaniem portu i jego urządzeń do dokonywa-

nia przeładunku wełny, decydującą rolę odegrało utworzenie stałej komunikacji okrętowej pomiędzy Gdynią, a portami australijskimi;

juta — podobnie jak bawełna po szeregu prób, które dały pomyślne wyniki, zaczęła stale figurować w zestawieniach obrotów portu gdyniskiego, znajdując w nim wszelkie warunki, potrzebne przy przeładunku i manipulacji tego artykułu.

Co się tyczy innych towarów w imporcie, to, wobec trudności wyliczania ich, można ogólnie stwierdzić, że niema wśród nich ani jednego, któryby w obecnym stadium rozbudowy portu gdyniskiego nie znalazł w tym porcie warunków, umożliwiających mu najzupełniej szybki przeładunek, wygodny transport, a w razie potrzeby jaknajlepsze warunki składowania na każdy termin.

Przechodząc do artykułów, stanowiących przedmiot wywozu, należy stwierdzić, że dla nich rola portu gdyniskiego okazała się o wiele donioślejsza, niż dla artykułów importowanych. Niektóre działy eksportu polskiego powstały jedynie dzięki możliwościom, które stworzyła budowa portu w Gdyni.

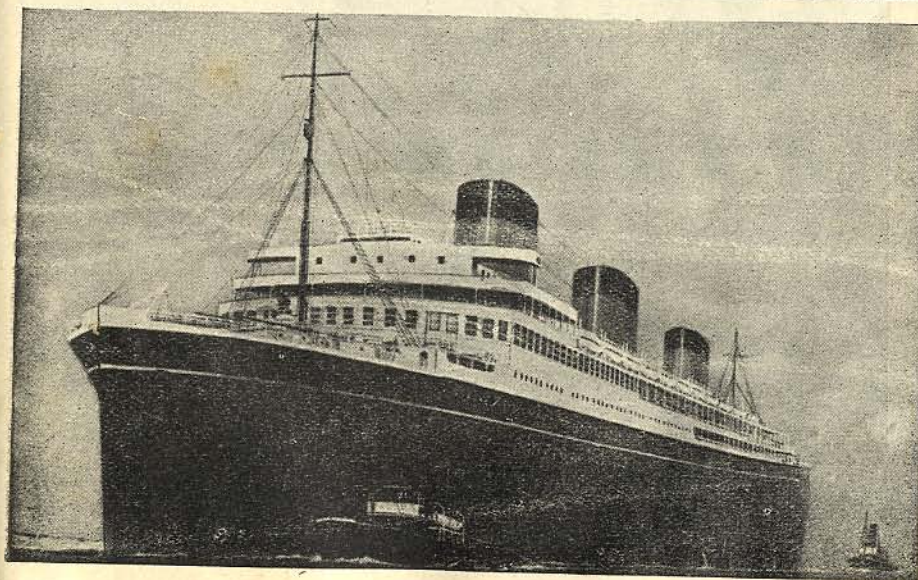
Ryż wyluszczone i mąka ryżowa — wywóz tych artykułów jest całkowicie uzależniony od powstania Łuszczarni i rozwoju produkcji jej. Można powiedzieć, że jest to lokalny eksport gdyniski raczej niż polski.

Cukier — wywożony jest przez Gdynię w dużych ilościach, a ponadto jest składowany na długie terminy w specjalnych wielkich magazynach, stanowiących własność Banku Cukrownictwa, a będących poważną placówką eksportową Polskiego Przemysłu Cukrowniczego w dziale cukru, podobnie jak

melasa — poboczny produkt tego przemysłu, wywożona jest z Gdyni z własnej bazy, którą stanowią specjalne zbiorniki, zaopatrzone we wszelkie nowoczesne urządzenia, służące do przechowywania i przepompowywania tego artykułu na statki.

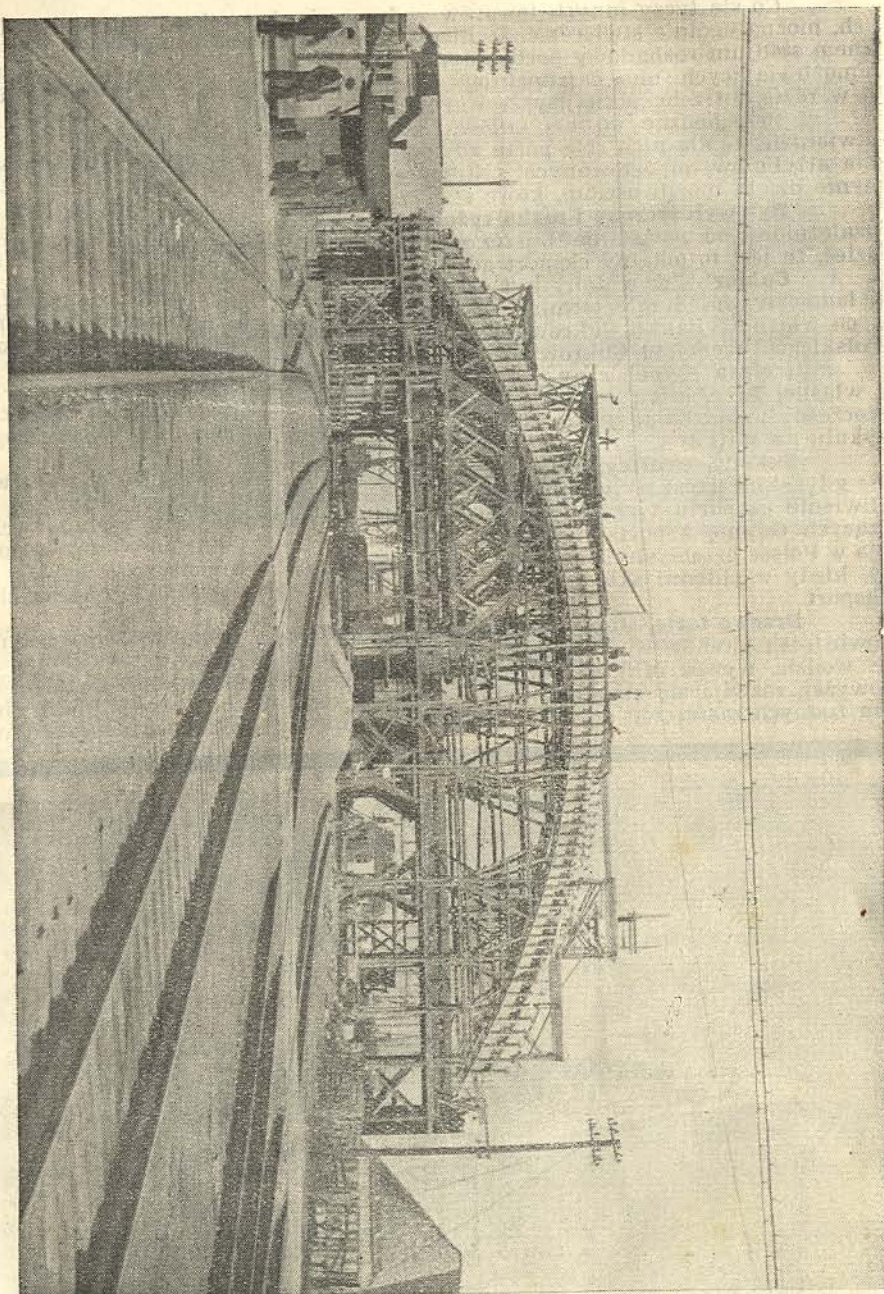
Bekony, wędliny, drób bity, masło i jaja — po powstaniu chłodni w porcie gdyniskim uzyskały w nim szczególnie dogodne warunki przy eksporcie. Umożliwienie eksportu tych artykułów łącznie z powstaniem linii żeglugowych, łączących Gdynię z portami angielskimi, dało między innymi początek powstania w Polsce przemysłu bekoniarstwa. Można również zaznaczyć, iż bywały okresy, kiedy w chłodni składowane było ok. 35 milionów jaj, przeznaczonych na eksport.

Drzewo tarte, słupy telegraficzne, kopalniaki — mimo braku w Gdyni odpowiednich terenów wodnych, dla gatunków drzewa, wymagających składowania na wodzie, wywóz innych rodzajów drzewa, a przede wszystkim wymienionych powyżej, rozwija się zupełnie, zadawalniając zaś warunki przeładunku nie budzą żadnych zastrzeżeń ani ze względu na techniczną stronę, ani na czas trwania



Wielki parowiec francuski „L'Atlantique” (40.00 ton).

Port w Gdyni. Budowa wiaduktu żelazo-betonowego nad torami kolejowymi na molo Węglowem.



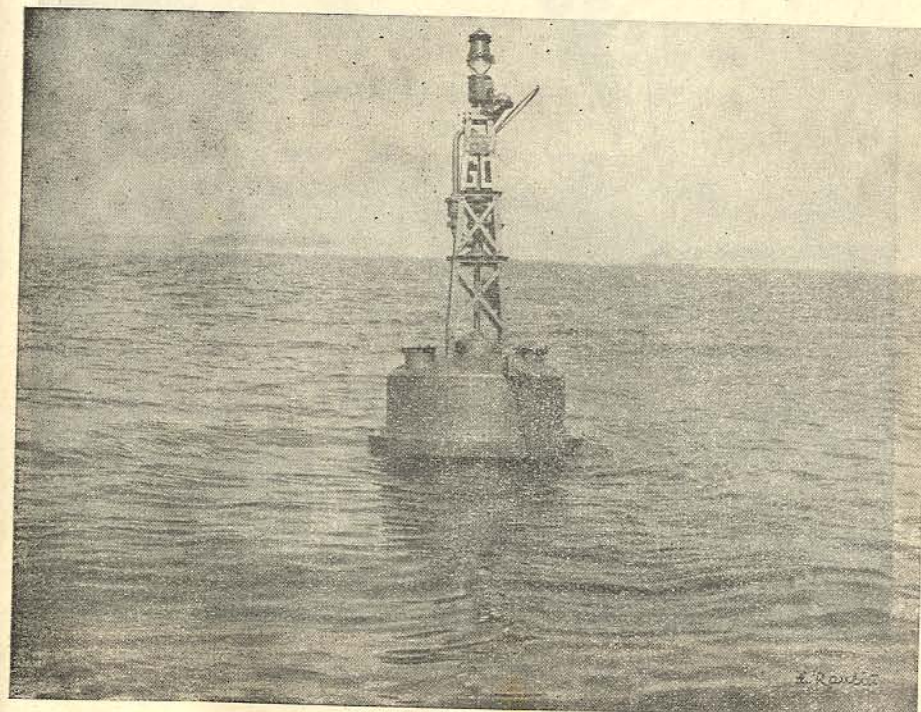
Węgiel — stanowi w porcie gdyńskim ilościowo największą pozycję w wywozie. Osiągnięcie tych liczb, które wyrażał się wywóz węgla w latach 1931 — 1932 było możliwem tylko dzięki licznym bardzo nowoczesnym urządzeniom przeładunkowym, które w wielu wypadkach zostały w Gdyni zastosowane po raz pierwszy w pracy portów.

Sole potasowe i nawozy azotowe — których eksport z Polski znacznie wzrósł w ostatnich latach, w dużym stopniu są kierowane przez port gdyński. Dla nawozów sztucznych został przedewszystkiem przeznaczony w porcie jeden z większych magazynów portowych (hangar Nr. 2 na nab. Rotterdamskim), leżący w bezpośrednim sąsiedztwie wody i obsługiwany przez 5 dźwigów bramowych.

Cynk — który do niedawna był wywożony prawie wyłącznie przez port szczeciński, po paru pomyślnych próbach jest również obecnie stale kierowany przez port w Gdyni.

Przy omawianiu innych artykułów, figurujących w wywozie, można się ograniczyć do stwierdzenia, iż tylko pewne z nich, wymagające bardzo specjalnych urządzeń technicznych, służących do składowania lub przeładunku ich, a dotychczas nieistniejących jeszcze w Gdyni, nie mogą posługiwać się portem gdyńskim. Do artykułów takich należą: **zboże** — dla którego eksportu konieczne jest powstanie elewatora, mającego powstać w Gdyni dopiero w najbliższych latach, **produkty naftowe** — które muszą posiadać odpowiednie, specjalne zabezpieczone zbiorniki, wreszcie te gatunki **drzewa** — dla których konieczne jest składowanie na wodzie.

Specjalną uwagę należy zwrócić na rolę Gdyni jako portu tranzytowego, zarówno w komunikacji czysto morskiej, jak również morsko - lądowej. Sytuacja geograficzna Gdyni powoduje, że do naturalnego zaplecza jej powinna być wcielona nie tylko Polska, lecz również niektóre inne państwa ościenne, zaś w pierwszym rzędzie Czechosłowacja, Rumunia i Węgry. Również do zaplecza portu czynności przeładunkowych.

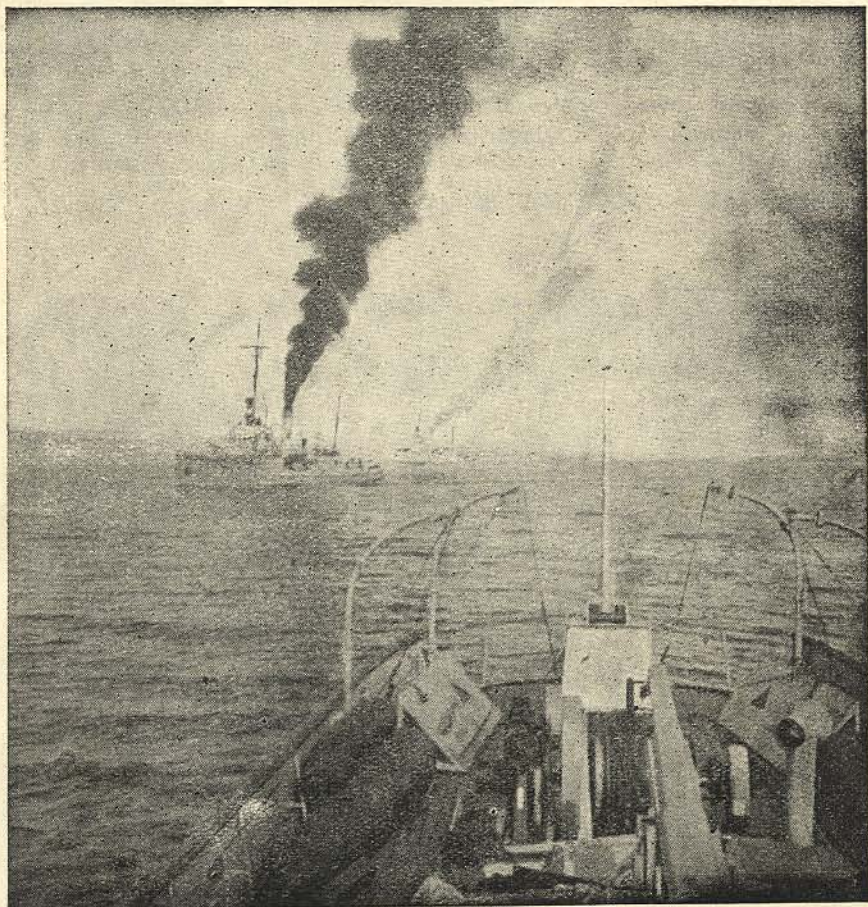


Boja wjazdowa portu gdyńskiego.

w Gdyni zaliczone być mogą kraje bałtyckie, powstałe po wojnie europejskiej, a mianowicie: Łotwa, Estonia i Finlandja, ciężące przed wojną ku niektórym portom niemieckim, zaś ze względów politycznych w znacznym stopniu do dzisiejszego Leningradu. Istnieje cały szereg artykułów, przywożonych do tych państw, lub wywożonych przez nie, dla których najprostszą i najbardziej uzasadnioną handlowo jest droga przez Gdynię. Z artykułów tych wymienić można: surowce dla przemysłu jak np. bawełna, rudy, metale półszlachetne, skóry, celuloza, niektóre artykuły żywnościowe, owoce, papier, drzewo i inne.

Znaczenie Gdyni doznaje już dzisiaj w zupełności zrozumienia przez sfery gospodarcze wymienionych krajów i coraz większe ilości różnych artykułów przechodzą dziś przez Gdynię w tranzycie lądowo - morskim.

O ile chodzi o połączenia dróg morskich w Gdyni, to dla przykładu wymienić można skoordynowanie prac niektórych lokalnych linii bałtyckich, jak „Fińska Angfartygs A. B.” lub „Linja Bałtycka Żegluga Polskiej” oraz „Svenska Orient Linien”. Towary przeznaczone dla Bliższego Wschodu, a pochodzące z krajów obsługiwanych przez wymienione linie lokalne, zostają w Gdyni przeładowywane na dalekobieżne statki „Svenska Orient Linien” i w ten sposób dochodzą do portów przeznaczenia. Rozwój tej odmiany łamanych transportów morskich pozwala mieć nadzieję, że port gdyński stanie się już w niedługiej przyszłości centralnym portem rozdzielczym na Bałtyku, osiągając w ten sposób bardzo doniosłe znaczenie w międzynarodowej wymianie towarów.

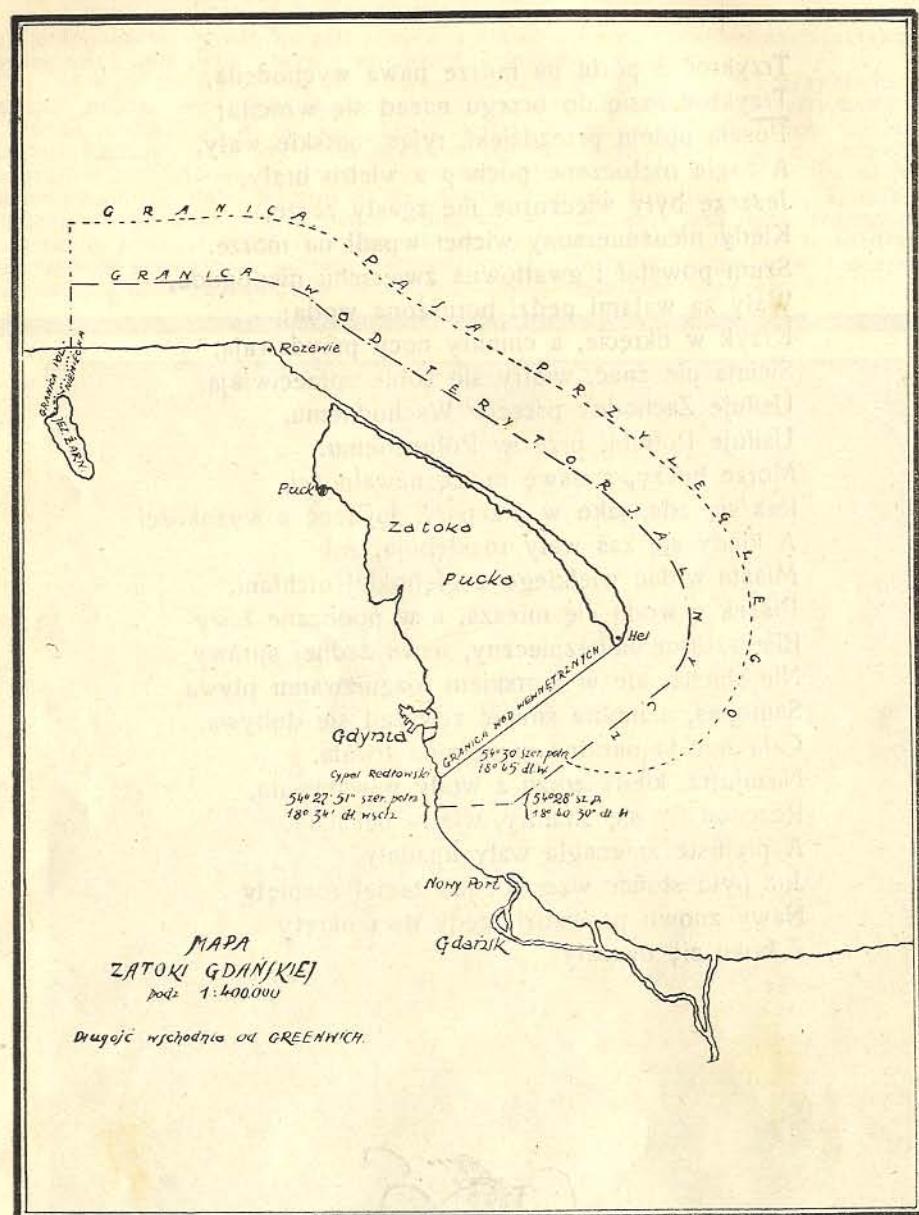


Ćwiczenia polskich okrętów wojennych.

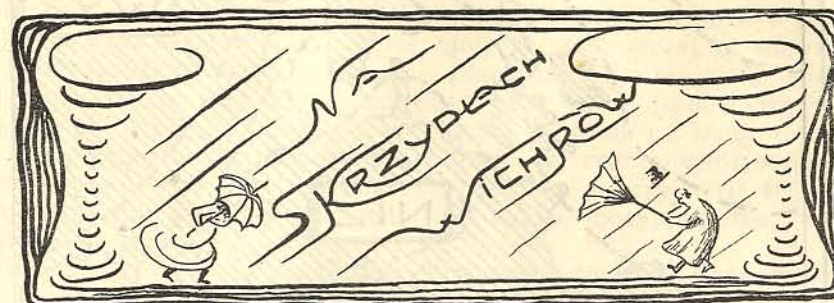
BURZA NA BAŁTYKU

Trzykroć z portu na morze nawa wychodziła,
Trzykroć zasię do brzegu nazad się wróciła;
Poszła potem przezdziki, ryjąc morskie wały,
A żagle roztoczone pochop z wiatru brały.
Jeszcze były wieczorne nie zgasły zorze,
Kiedy nieuśmierzony wichur wpadł na morze.
Szum powstał i gwałtowna zwierzchu niepogoda,
Wały za wałami pędzi poruszona woda;
Krzyk w okręcie, a chmury nocy przydają,
Świata nie znać, wiatry się sobie sprzeciwiają,
Usiłuje Zachodny przeciw Wschodnemu,
Usiłuje Południ przeciw Północnemu.
Morze huczy, a nawę miecą nawałności,
Raz się zda, jako w przepaść pojrzyć z wysokości
A kiedy się zaś wały rozstępują, ani
Miasta widać wielkiego z głębokiej otchłani.
Piasek z wodą się miesza, a w poboczne ławy
Bije szturm niebezpieczny, nawa żadnej sprawy
Nie słucha, ale w morskiem rozgniewaniu pływa
Samopas, a mokra śmierć zewsząd się dobywa.
Całą noc ta okrutna niepogoda trwała.
Nazajutrz, kiedy zorza z wody powstawała,
Rozczodziły się chmury, wiatry ucichały,
A pienne zniegła wały upadały.
Już było słońce weszło, już żagiel rozpięty
Nawy znowu prowadzi, kędy dwa okręty
Z boku się okazały.





Granica morska Rzeczypospolitej Polskiej.



Ilustr. inż. W. Karpowicz

Wiatr! Wiatr!

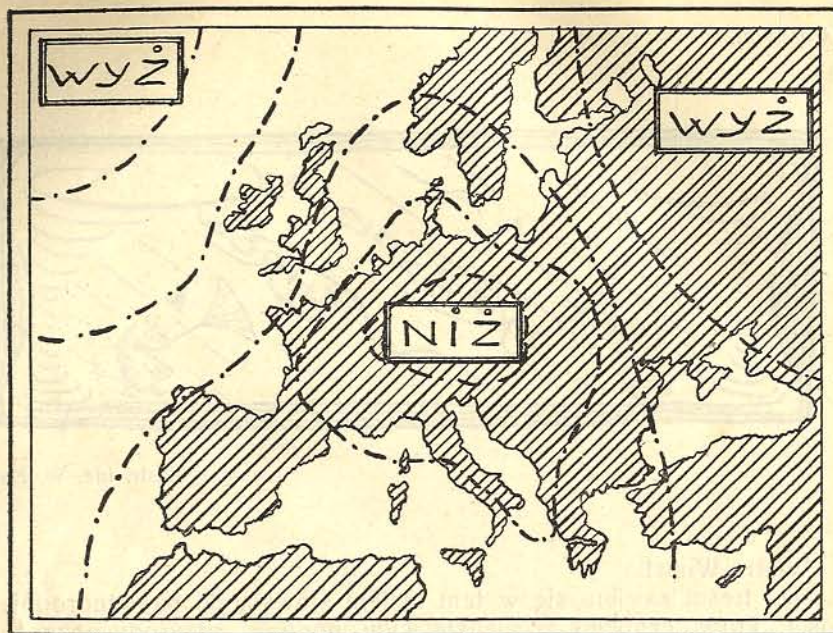
Ileż treści zawiera się w tem małym słówku, ile najróżnorodniejszych istności, które człowiek w nieustającym podboju przyrody poznać i okiełznać musiał lub przynajmniej próbuje.

Wiatr! — z upragnieniem witany przez spalonego żarem słonecznym człowieka — upajający, kiedy zadmie i precz odrzuci jakby kulę szklaną, co zamyka się nad nami w skwarne dni letnie — błogosławiony przez żeglarza, którego „sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem” ogarnęła nagle niesamowita cisza — z lękiem przeżywany, gdy siła jego z każdą chwilą wzrasta, gdy wśród nieopowiedzianego ryku mknie z szybkością dwudziestu, trzydziestu i więcej metrów na sekundę — przerażeniem napętlający, gdy postać orkanu, jakby bestji apokaliptycznej, przybiera i na skrzydłach swoich niesie zamęt, zniszczenie, ruinę, a „okiem” złowrogiem zabija wszystko, co żyje.

Wiatr nie przedstawia dziś zagadki dla nikogo, kto się cokolwiek zapoznał z meteorologią. Określono dokładnie jego powstawanie, drogi, siłę natężenia, szybkość, nawet... zamiary. Stwierdzono przede wszystkim, że wiatr jest pędem powietrza, uzależnionym od jego ciśnienia, płynącym jakby nurtem z miejsca wyższego do miejsca niższego ciśnienia. Dla badania ciśnienia powietrza wynaleziono barometr. Z biegiem czasu utworzono całe mnóstwo stacyj meteorologicznych, których zadaniem jest bezustanne śledzenie ciśnienia, kierunku wiatru, zachmurzenia, temperatury i opadów. Wyniki tych badań przenosi się na mapkę meteorologiczną, stosując dość prosty system znaków dla oznaczenia wyników.

Zanim wlecimy na skrzydłach wichrów ponad dalekie lądy i morza, zanim poznamy różne odmiany wiatrów i różne ich cechy, rzućmy okiem przez chwilę na mapkę meteorologiczną (ryc. 1).

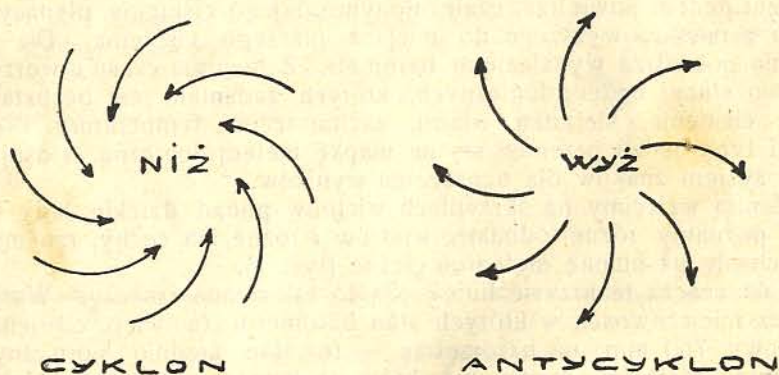
Cóż znaczą te krzywe linie? Są to tak zwane izobary. Wytycza się je przez miejscowości, w których stan barometru (a więc ciśnienie) jest jednakowy 760 mm na barometrze — to stan średnio normalny. Jeśli się podnosi idzie ku „maximum”, które na mapce oznacza się jako wyż. Jeśli jest coraz niższy — to dowód, że ciśnienie powietrza się zmniejsza, aż doprowadza barometr do „minimum”, t. j. do 750—740 mm lub jeszcze mniej. To minimum oznaczamy na mapce jako niż. Jeśli izobary tworzą



Ryc. 1.

koła współśrodkowe, w których centrum panuje minimum, mówi się o depresji barometrycznej. Te minima nie tkwią na miejscu, lecz nieprzerwanie wędrują, najczęściej z zachodu na wschód. Tak np. depresja, notowana na wschodnim wybrzeżu Ameryki, puszcza się w podróż przez Atlantyk i już w 5—6 dni nawiedza wybrzeża Irlandji. Drogi niżów wytyczyła przyroda niemal raz na zawsze i rzadko kiedy ulegają one zmianie.

A wiatr? Wiatr związany jest ściśle ze stanem barometru: wieje właśnie od maximum do minimum w liniach spiralnych. Ogół tych linii spiralnych, ciągnących od zewnątrz ku środkowi, nazywamy cyklonem (a tak samo i sumę wiatrów, uzmystowionych przez linje), w wypadku przeciwnym antycyklonem (ryc. 2).



Ryc. 2.

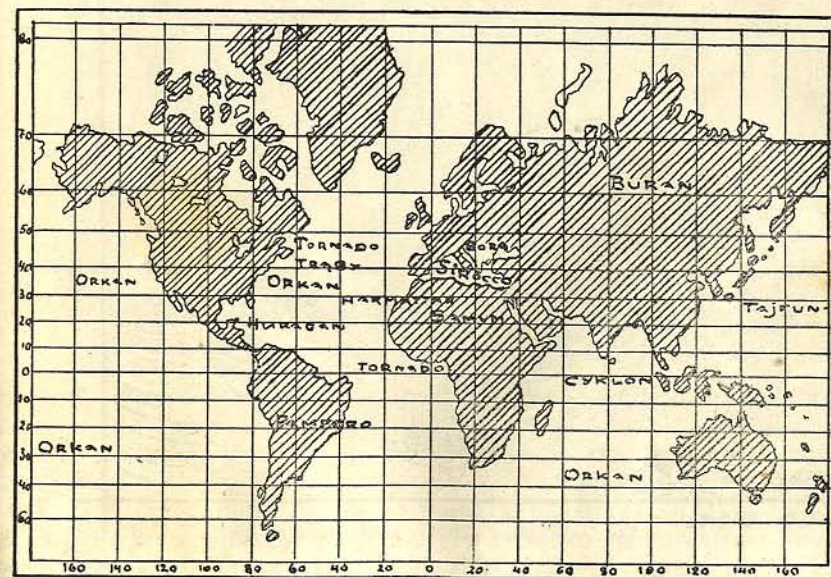
Ale dość cyfr, map, terminów! Żyjemy szybko, intensywnie i pobieżnie. Porywa nas wszystko, co wielkie, potężne, nadzwyczajne, niewiarygodne. Nienawidzimy systematyczności, akurtności, punktualności (nawet wyrazy niepolskie), — pominiemy więc różne wiatry, co — jakoby urzędnicy, zmierzający codziennie o jednej porze z domu do biura i z biura do domu — wieją regularnie w oznaczonych porach i w oznaczonych kierunkach, pominiemy passaty, monsuny i jak tam się nazywają ci przyjaciele żeglarzy, porzucimy dziedzinę zwyczajności: pędu nam trzeba, mocy, zgiełku, walki, zwycięstwa lub klęski.

Więc dajmy się nieść na skrzydłach wichrów dmących: bory, samumu scirocco'a, harmattan'u, pamperu i norderów; wichrów wirowodmących: tornado i trąb powietrznych; oraz wichrów wirowych, nad wszystko straszniejszych, pod różnemi znanymi nazwami: orkanu, huraganu, cyklonu, tajfunu.

Jeden jest wiatr, a jednak wiele jest wichrów i każdy ma odrębną duszę.

Dajmy pierwszeństwo wichrom, które niejeden poznał, przebywając w Alpach czy też w Dalmacji. Alpejski fön i nadadriatycka bora — to wiatry charakterystyczne i typowe dla mnóstwa innych wichrów. Fön, to wicher suchy i ciepły (jak w Tatrach wiatr halny), wieje z grzbietów górskich w doliny, a powstać może nawet z bardzo błahej przyczyny, n. p. krzyku lub strzału, oczywiście, gdy sprzyjają warunki atmosferyczne, t. j. gdy po jednej stronie grzbietu górskiego jest wysokie ciśnienie, a z drugiej skłonność do „minimum“.

Ale oto — uwaga! Niebo się zaciąga niespodzianie, ciężkie zwały chmur wtoczyły się na szczyty nadbrzeżne i stanęły nieruchomo, grozę wzbudzając wśród ludzi, którzy chronią się szybko do domów. Najwyższy czas, bo oto z gór, od wschodu, runął pierwszy podmuch zimnego, suchego wiatru, wstrząsnął w posadach domami, zakołysał potężnie drzewami, roz-

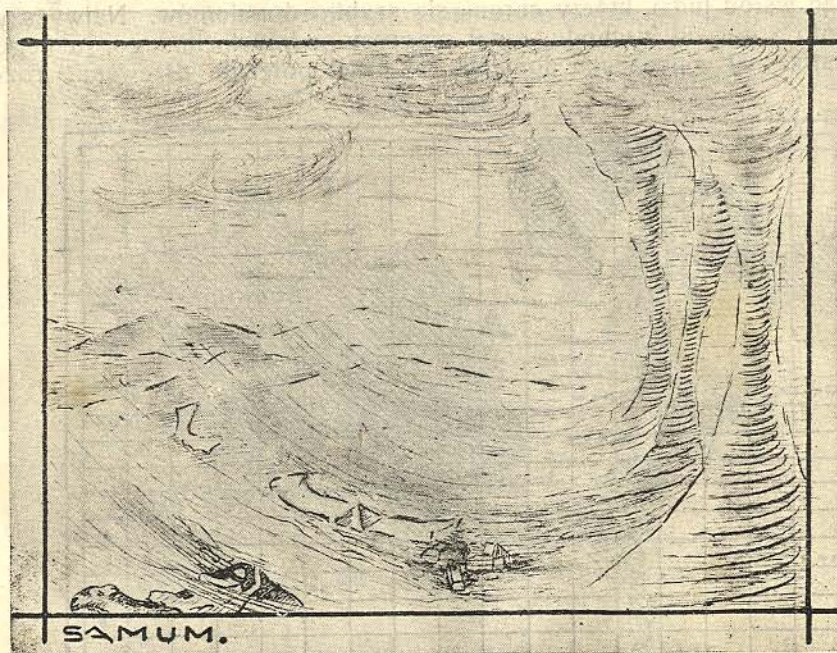


Ryc. 3.

sypał grad kamieni, oderwanych po drodze od głazów, aż — przebiwszy na wylot miasto — spadł na morze, rozbił fale w miljarde kropel czy atomów wody i mgłą przesłonił widnokrąg. Za pierwszym podmuchem drugi, dziesiąty, setny, milionowy — coraz gwałtowniejsze, coraz szybsze, ba, niewiarogodne: 50—60 m na sekundę. To bora nad Adrjatykiem, odmienna nieco od siostrzycy, co wieje na północno-wschodnich wybrzeżach morza Czarnego w okolicy Noworosyjska, odmienna, bo czarnomorski wicher, zleciawszy od gór waradyjskich, przynosi z sobą tak silny zamróz, że pył wodny w zetknięciu z masztami i takielunkiem okrętów w mgnieniu oka przemienia się w lód. Biada wówczas żeglarzom, którzy nie usuwają tego pancerza lodowego — zatonać mogą rychło, jak gdyby stali na morzach podbiegunowych, a nie na szerokości Bordeaux, Turynu czy Fiume.

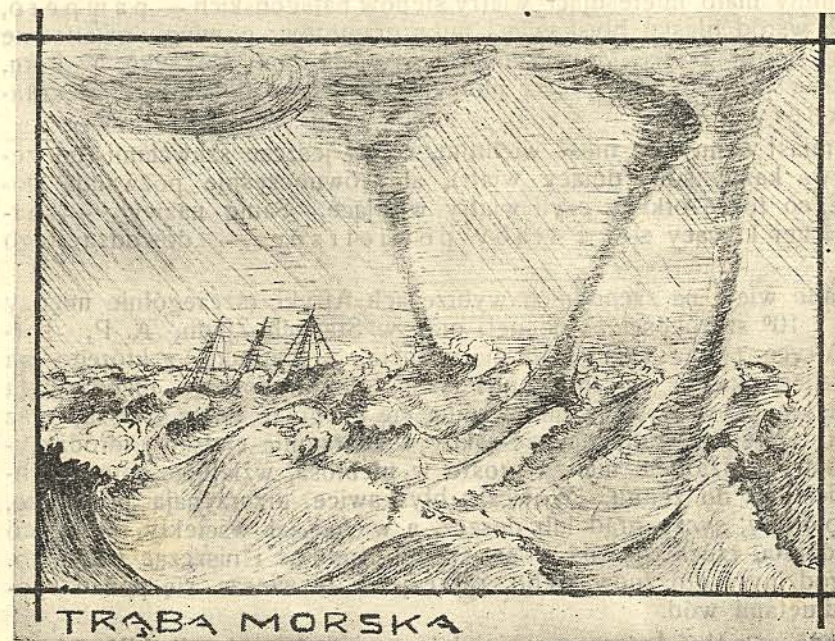
Bora wieje przeważnie w zimie, ale nierzadko zdarzyć się może i latem, trwa nieraz kilka godzin, a nieraz kilka tygodni (z przerwami). Bora jest następstwem stosunków klimatycznych, panujących w wymienionych krainach. Pasma górskie, dość wysokie, skutecznie chronią osady nadbrzeżne przed ciągłymi, zimnymi wichrami z półn.-wschodu, ale jeśli masa zimnego powietrza, gromadząca się po drugiej stronie gór, znajdzie się na wysokości wzniesień, jednym susem je przeskakuje i wpada na zaciszne osady, jak sęp na upatrzone ofiary.

Bliskim kuzynem bory jest mistral, wiatr wiejący na przestrzeni od zatoki genueńskiej aż po ujście rzeki Ebro, początkowo łagodny i przyjemny, ale rychło urastający do rozmiarów huraganu, co przewraca pociągi, wyrzuca krzewy i drzewa, obala domy. Gdy zaczyna wiać, niebo jest lazurowo czyste, ale błyskawicznie zaciąga się chmurami szaremi i tak gęstymi, że mrok ogarnia ziemię.



Ale nie dość tego! Kraje śródziemnomorskie znają jeszcze jeden wiatr — scirocco. Występuje on zarówno we wschodniej części morza Śródziemnego (szczególnie Adrjatyk), jak i w zachodniej, ale pod odmiennymi postaciami. Na Adrjatyku jest to wiatr wilgotny, ciepły, niestłuchanie gwałtowny. Nie ma wyznaczonego okresu na występy, których nie można nazwać gościnnymi. Powstaje wówczas, gdy nad półn.-zachodnią Europą panuje silna depresja, a na półw. Bałkańskim lub Małą Azją wyż. Najczęściej pojawia się wiosną na północnym Adrjatyku, jesienią i zimą na południowym. Łatwo go przewidzieć, bo zwiastunami jego są niebywały skwar, duszność i cisza powietrzna, a nadto znamienne dla tego wichru chmury, z niewinnych obłoczków przemieniające się w nieprzebitą kotarę ciemności, wreszcie powolny, ale stały spadek barometru. A gdy raz dać zacznie, może — zwłaszcza w zimie — szaleć nawet kilka tygodni bez przerwy.

Scirocco na północnych wybrzeżach Afryki — to wiatr suchy i gorący: wieje w różnych porach roku, od południa, a zawdzięcza swe powstanie wysokiemu ciśnieniu powietrza nad Saharą. Stamtąd mknie poprzez Atlas. Prawie nagle „robi” się gorąco, nieznosnie duszno, coraz goręcej (40 nawet 50° C), a równocześnie z dzikim poświstem przelatuje wicher. Świat cały zasnuwa się żółtoczerwoną mgłą, z poza której przeziiera błąda, bezpro-



mienna tarcza słońca. Często wicher ten, przez Arabów gibli albo samum zwany, gdy nabierze mocy huraganu, wyrzuca z pustyni olbrzymie masy piasku, skręca je w kolumny, i znów ciska o ziemię lub wyrzuca w powietrze i unosi daleko, daleko, na północ, strącając ciężar nieraz dopiero w Europie środkowej, a nawet północnej (Danja). Z tym to „z afrykańskich pierwszych wichrzycieli” walczył zwycięsko nieustraszony Farys mickiewiczowski, kiedy ten „ryknął i naksztalt piramidy ciągnął”. W życiu jednak

nieszczęsny jest los zbłąkanego lub nieostrożnego jeźdźcy, który czytać nie umie na niebie i wyruszy na pustynię w złą godzinę przedsamumową. Daremnie zbieżne jego wargi szeptać będą imię Allaha...

Jakby daiszym ciągiem scirocco'a jest tzw. leveche, wiatr nawiedzający południowo-wschodnie wybrzeże Hiszpanji, tem znamienny, że zabija swym ognistym oddechem liście i kwiaty drzew i krzewów. Jest to zakątek, po którym hulają przeróżne wichry, zwłaszcza nieco niżej, w cieśninie Gibraltarskiej. Cieśnina ta leży w zimie między dwoma wyżami (w Hiszpanji i w Afryce), na których miejsce latem występują nize. Z tego powodu istnieje tu stała „rywalizacja”, której wynikiem wichry, wiejące ze wszystkich stron świata przez cały rok boży (levante, poniente, tramontana i libeccio).

Sahara jest również kolebką harmattan'u, wiatru na zachodnich wybrzeżach Afryki, który wprowadzie nie dorównywa siłą wymienionym poprzednio, ale tem jest ciekawy, że porywa jeszcze większe masy pyłu piaszczystego, niż samum, a następnie roznosi je daleko na Atlantyk, „przeładowuje” na passaty i „wysyła” do Nowego Świata.

Pomińmy mało interesujące wiatry stepów patagońskich — pampero, jawiące się wśród blasku błyskawic i huku grzmotów; pomińmy gwałtowne wichry, wiejące w zatoce Meksykańskiej, w zachodnim Meksyku, w Peru, Chile, a nawet w północnej części morza Arabskiego, niebezpieczne i zdradliwe nordery.

Natomiast dajmy się nieść wichrom, co są jeszcze szkwałami (tak żeglarz nazywa każdy silny dmący wiatr), ale równocześnie pozwalają domyślać się, co to są orkany czyli wiatry wirujące. Same nazwy — tornado (wicher kręcący się) i trąby powietrzne — [dowodzą] tego wyraźnie.

Tornado wieją na zachodnich wybrzeżach Afryki (szczególnie między równikiem i 10° szerokości północnej) oraz w Stanach Zjedn. A. P. Tornado w Afryce pozna każdy: na horyzoncie, z kierunku, z którego ma przyjść wicher, ukazuje się znamienna ławica chmur, żółtawa, nieco zgięta w formie łuku. Ławica ta zwolna wspina się ku górze, coraz szersza, coraz groźniejsza. Wreszcie zamienia się jakby w olbrzymie cielsko pterodaktylusa, co ostrym dziobem mierzy prosto w niebiosy, wlatując coraz szybciej i szybciej aż do zenitu. Wówczas błyskawice przeryniają powietrze, trzeszczą pioruny, syczy grad lub deszcz, a wicher jak wściekły rumak, co zerwał wędzidła, rzuca się na wsze strony, trącając i niszcząc wszystko. Mija pół godziny i oto znów niebo przeczyste rozwiesza się ponad spokojnymi odętami wód.

Tornado w półn. Ameryce są ściglejsze niemal, niż myśl. Wystarczy im jedna minuta, aby poczynić takie spustoszenia, jakich często nawet najgwałtowniejszy orkan nie wyrządza. Patrz! Na widnokręgu pojawiła się chmura w kształcie kuli o średnicy 200-400 m. Pędzi jakby po ziemi z przerażającą szybkością 15-20 m na sekundę; ale zanim człowiek zdoła coś przedsięwziąć, już ogarnia go burza, zmiatająca wszystko po drodze w sposób wprost potworny. Jest to jakby nagły wybuch, po którym na przestrzeni, pół mili morskiej szerokiej, 4-100 długiej, pozostaje jedynie cmentarzysko. Wicher ten ma tak potworną moc, że nietylko drzewa i dachy, ale nawet całe domy unosi w powietrze, rzucając je o kilka mil dalej, jak domki z kari. Przyczyną tego jest straszliwa siła ssąca, czająca się w samym środku krążka wirowego.

Z tego właśnie względu podobne do tornado są trąby powietrzne. Są to jakby pompy ssące, które wciągają potężnym oddechem wszystko, co napotkają, a przedewszystkiem piasek i wodę, tworząc niebosiężne kolumny. Powstają zazwyczaj w przestrzeni powietrznej, jako małe ale niesłychanie gwałtowne wiry, które często przedłużają się ku dołowi, aż do ziemi, i wówczas rozpoczynają swoje dzieło zniszczenia. Nic im się oprzeć nie zdoła.

Jednakże tornado i trąby powietrzne — to zaledwie miniaturki orkanów, prawdziwych wicherów wirujących, hasających na ogromnej przestrzeni całej strefy gorącej i wyżej, aż poza zwrotniki. Zależnie od tego, gdzie wystę-



pują, noszą różne nazwy: orkanów na północno-amerykańskich wybrzeżach Atlantyku i Pacyfiku w południowej części oceanu Indyjskiego, tudzież na morzach południowych od wysp Towarzyskich do brzegów Australji; orkanów zachodnio-indyjskich albo huraganów w okolicy wysp Antylskich; cyklonów na morzu Arabskiem i w zatoce Bengalskiej; tajfunów na wschodnich wybrzeżach Azji i wyspach okolicznych. Tworzą się głównie w lipcu, sierpniu i wrześniu w szerokości północnej, zaś w styczniu, lutym i marcu w szerokości południowej.

Czemże jest orkan? — Ażeby to zrozumieć, wyobraźmy sobie, że wzbiliśmy się wysoko w powietrze i spoglądamy stamtąd na atmosferę jako na kompleks prądów powietrznych (gdyby one mogły być widoczne). Nagle „widzimy”: wprost pod nami powstaje, oczywiście wskutek różnicy ciśnienia, duży płaski wir powietrzny kształtu elipsy. W samym środku jego znajduje się oko orkanu, o średnicy 1-2 mil morskich. Panuje tam bezwietrzna cisza, podczas gdy ze wszystkich stron wieją ku środkowi nieopisanie silne wiatry. Po pewnym czasie „oko” zaczyna żyć: rozciągać się, wydłużać i dojść może do 20-40 mil morskich średnicy. Wir ten nie

stoi w miejscu, lecz najpierw obniża się, a potem wiruje szybko, w osłonie ciemnokrwistych chmur, z których raz po raz wylatują ogniste pociski piorunów i leją się strugi wody.

Nie trzeba się wysilać na opisywanie siły niszczycielskiej orkanu. Wystarczy powołać się na takich jego piewców, jak Conrad i London. Nie trzeba też dodawać, że gdy okręt znajdzie się „oko w oko” z orkanem,



ciężkie przeżywa chwile i jeśli wczas ująć nie zdoła poza pole działania orkanu lub przynajmniej zdala od jego centrum, zginie niechybnie, rozerwany przez wichry na strzępy lub zalany przez wody.

Szczęściem umysł ludzki nie próżnuje i od wieków wydiera przyrodzie tajemnice, któremi się posługuje w zwalczaniu wrogich sił. To też dziś żeglarz może przeważnie rozpoznać zbliżanie się orkanu, jego kierunek, rozpiętość, siłę i dość wcześnie ująć w bok. Przeważnie, ale nie zawsze, co jest nawet potrzebne, by człowiek nie wyobrażał sobie, że jest czemś więcej, niż... człowiekiem.

Ktoby zaś zatracił to poczucie rzeczywistości, niechby choć raz przeżył buran czyli nawałnicę śnieżną na rozległych, bezkresnych przestrzeniach Syberji. Nic strasniejszego, nic bardziej beznadziejnego. Białym mrok otula się dookoła samotnego wędrowca, jak całun grobowy. Nie widać w nim nieba ani ziemi. Nie odczuwa się chęci oporu ani celu walki. Rezygnacja opada duszę. Chciałoby się spocząć na puszystej pościeli i dać się przytłoczyć puszystym górą śniegu, aby bodaj w ostatnich chwilach zapomnieć o wszystkim, co ziemskie, co ludzkie, co małe i zamyślić się o tem, co nieziemskie, nadludzkie, potężne, i szeptać drżącymi wargami za Poetą:

„...Kto Ciebie nie czuł w natury przestרחu...”

POCHWAŁA MIAST PRUSKICH

(Wiersz popularny na Pomorzu w XVIII wieku)

W Gdańsku księżęta,
W Toruniu panięta,
W Elblągu Lemani,
W Brodnicy furmani,
W Golubiu szyprowie,
W Łaszynie osłowie,
W Grudziądzu kupczycy,
W Świeciu prawnicy,
W Chełmnie prawodawcy,
W Chełmży marnotrawcy,
W Lubawie piwowarzy,
W Malborku pełno kramarzy,
W Nitichu świniarzy,
W Tucholi nędznicy,
W Chojnicach rolnicy,
W Pucku rybacy,
W Lemborgu dziwacy,
W Kościerzynie żebracy,
W Szluchowie mizeracy,
W Skarszewach smolnicy,
W Bytowie pijanicy,
W Starogardzie bartnicy,
W Gniewie łgarze,
W Nowem chmielarze,
W Kowalewie prostacy,
W Wąbrzeźnie również tacy,
W Sztumie bałamuci,
Gdzie weźmie, tam porzuci.

Podarek gwiazdkowy

(Obrazek z natury).

Do marki¹⁾ załadowany szkuner²⁾ ciężko wznosi się i opada, ryjąc dziób³⁾ w fali i maczając kliwry⁴⁾. Mokry wichur zachodni już od tygodnia prawie pędzi go do kanału⁵⁾. Wiatr wzmacnia się cząsem bardzo: czarne chmury nieprzejrzana czeredą biegną po niebie szybko, szybko; morze burzy się i pieni. „Suche“⁶⁾ maszty, sterczące jak tyki, zataczają ogromne luki, kreśląc na niebie zagmatwane hieroglify.

Olbrzymia fala wlewa się niekiedy na rufę⁷⁾ i za każdym razem sternik dostaje rzetelną zimną kąpiel. Deszcz drobny, zjadliwy, przenikający do kości, prawie nie ustaje. Nie pomaga płaszcz nieprzemakalny, nie pomagają buty gumowe. Z zuid - westki⁸⁾ ciurkiem za kołnierz zimna woda się leje przy każdym poruszeniu... Brrr! Pogoda!

I do tego co i raz wyciągają do pomocy na pokład odpoczywającą wachę⁹⁾: mocują się chłopcy z wiatrem i rady sobie dać nie mogą w kilku. Drewniane stare pudło cieknie porządnie, aż ręce od pompowania bolą...

Rozkleili się ludziska zupełnie.

Kapitan klunie wszystkich i wszystko, że słońca od tygodnia nie widać. W nocie czarne jak atrament, kapitan nie śpi wcale, bo rachunek¹⁰⁾ zawieść może snadnie i na bliskie już skały wyrzuci — ani się obejrzy. Wiele dni minęło od ostatniej obserwacji astronomicznej¹¹⁾, bo jak tylko zaczął się ten przeklęty sztorm¹²⁾, zakryły chmury niebo czarną swą płachtą „na amen“ i gwiazdki najmniejsze nawet pochowały.

Wiedzą o tem wszyscy, że niebezpieczeństwo zagraża, jeśli pogoda się nie zmieni — to też humory mają złe bardzo.

Porucznik odbija swą złość na załodze, załoga na koku¹³⁾, że wędzonką spleśniałą oddawna karmi, zrzadka coś gorącego gotując, a kok — na chłopcu kuchennym, aż odgłosy policzków z kambuzu¹⁴⁾ na rufę dochodzą.

¹⁾ Marka — znak na burcie statku, powyżej którego statek nie może być zanurzony.

²⁾ Szkuner — statek żaglowy z żaglami ukośnami.

³⁾ Dziób — przód okrętu.

⁴⁾ Kliwry — ukośne żagle trójkątne na dziobie statku.

⁵⁾ Kanał — cieśnina La Manche, zwana przez marynarzy kanałem angielskim, lub najczęściej w skróceniu poprostu kanałem.

⁶⁾ „Suche“ maszty — maszty bez rej.

⁷⁾ Rufa — tył statku.

⁸⁾ Zuid - westka — nieprzemakalny kapelusz marynarski, biorący swą nazwę od wiatru południowo - zachodniego, przynoszącego zwykle największe śloty.

⁹⁾ Wachta — połowa załogi, która podczas żeglugi znajduje się na zmianę zawsze na pokładzie.

¹⁰⁾ Rachunek — rachunek nawigacyjny, wyliczenie prawdopodobnego miejsca okrętu, bez sprawdzenia przez obserwację astronomiczną.

¹¹⁾ Obserwacja astronomiczna — określenie miejsca okrętu przy pomocy pomiaru wysokości ciał niebieskich.

¹²⁾ Sztorm — burza.

¹³⁾ Kok — kucharz okrętowy.

¹⁴⁾ Kambuz — kuchnia okrętowa.



Wieczera wigilijna na O. R. P. „Bałtyk”.

— Trzymaj, zgnilku przeklęty! — ryczy.

— Mówilem ci nie odchodź od kotła! Przez ciebie mam od każdego wymyślania wysłuchiwać?! — — — A masz, suczy synu, masz znajdo! — wykrzykuje zezowaty kok, czerwony z gniewu, uwiązując się w podskokach naokoło chłopaka po ciasnym kambuzie, jak djabeł naokoło duszy potępionej po piekle.

Tumany pary unoszą się z przewróconego na kuchnię kotła i rozlanej po pokładzie grochówki. Czerwone płomienie, sycząc i dyjąc, podnoszą się wysoko z niezakrytej fajerki i liżą niski, czarny od sadzy sufit... — prawdziwe piekło.

W malutkie iluminatory¹⁵⁾ zaglądają mokre, zakapturzone twarze złośliwie rechocąc z zadowolenia:

— Oj kok, oj zuch! Daj mu, jeszcze go raz, mocniej! W oko go — niech też krzywo patrzy!

Kucharz w najwyższej pasji odsadza się od malca, żeby znów rzucić się całym ciężarem ciała na swą ofiarę. Od silnego, raptownego pochylenia statku zatacza się, zawadza przytem łokciem o wielki imbryk z wodą i wywraca go na rozpaloną, żelazną płytę kuchni. Obłoki pary sycząc piekielnie zakrywają mu wszystko z przed oczu. Z wściekłością rzuca się w mglistą przestrzeń i... napotkawszy próżnię, rozciąga się jak długi na śliskim pokładzie kuchni, uderzając głową o drewnianą ścianę.

Chłopak skorzystał z wypadku z imbrykiem: śpiesznie wypadł z kambuzu na pokład, wprost na zabawiającą się widowiskiem załogę i... trafił z deszczu pod rynnę.

¹⁵⁾ Iluminatory — okrągłe okienka.

Jeden pchnął go pięścią, inny kopnął leżącego już na pokładzie. Podniósł się nieszczęsny kuchcik i uciekał w stronę rufy. Ból i wstyd publicznej poniewierki wykrzywiały mu posiniaczoną twarz spazmem krzywdy; w młodej duszy, zdeprawowanej ciąglem katowaniem, kielkowała nienawiść i złość utajona...

Od jungi¹⁶ do kapitana — wszyscy na szkunerze zbłąkanym wśród bezmiarów spienionych fal oceanu, w ten wieczór wigilijny mieli zatraczone humory.

Bo też i pogoda się udała!

Na dziobie młody majtek straż czujnie dzierży, wzrok w dal czarną utkwiony wyteżając. Za kabestan¹⁷) oburącz się trzyma, żeby go fala za burłę nie splukała. Mokry od stóp do głów: w butach woda chlupie, mokra koszula do ciała przylega. Zimny wiatr przeszywa go na wylot — szpik w kościach na lód chce zamrozić.

Już zima głęboka przecież... W kraju dawno sanna zapewne — — —

Dzwoneczkami koniki dzwonią, śnieg pod płozami skrzypi, mróz za policzki chwyta...

Na ulicach latarnie się palą; rzeźbiście oświetlone okna wystaw błyski brylantowe po śniegu rozsypują.

Śpieszą ludzie do ciepłych mieszkań, do oczekujących ich z wielką nadzieją i niecierpliwością dzieci. Każdy coś niesie dla swych małych, każdemu się oczy śmieją i humor dopisuje, jak nigdy...

A tu, ot — pożał się Boże! — i mokro i chłodno i do domu daleko...

Wigilja przecież, gwiazdka! Niedługo już się ściemni zupełnie — do stołu wigilijnego czas siadać, na sianie — — —

— Boocman!¹⁸) „Wszystkie ręce na pokład!“ Żagle ryfować!¹⁹) — krzyczy w lukę²⁰) kubryku²¹) starszy majtek.

— Prędej, piorunem tam! — nagli szturman z rufy, nie omieszkuje dodać, zawsze niezbędnych według niego dla ludzi kapitańskiej wachy, epitetów.

— No, ulubieńcy, wylazcie tam szczury wymokłe! — ryczy już przy akompaniamencie gwizdów przeciągłych szalejącego wichru, co melodję djabelską gra w olinowaniu.

Z tupotem ciężko obutych nóg i chrzęstem naoliwionych płaszczów windują się do góry zaspani chłopcy. Deszcz silnie siecze ich nabrzmiałe, popuchnięte twarze i orzeźwia znakomicie.

Zjeżdżają gafy²²) na dół z chrobotem bloków i skrzypieniem drewna o maszty. Hurmem rzucają się ludzie na oporne, mokre i sztywne płótnisko żagli. Zadzierając paznokcie do krwi, trzymając wyrwające się płachty rękami, pomagają sobie zębami, wiążąc i ściągając węzły...

¹⁶) Junga — chłopiec okrętowy.

¹⁷) Kabestan — kołowrót ręczny do naciągania lin.

¹⁸) Bocman — starszy nad załogą.

¹⁹) Ryfować — zmniejszać pole żagli.

²⁰) Luka — czworokątny otwór, prowadzący pod pokład.

²¹) Kubryk — pomieszczenie dla załogi.

²²) Gafy — drewna, do których przywiązane są górne krawędzie ukosnych czworokątnych żagli szkunera. Przy rozwijaniu tych żagli gafy, ślizgające się jednym końcem wzdłuż masztu, podnosi się do góry; przy zwijaniu, lub ryfowaniu — opuszcza się na dół.

Skończone. Szkuner ze zmniejszonymi żaglami nie zarywa już tak głęboko podwietrznej²³) burty w wodę i nie tak gwałtownie skacze po fali.

Chwila odpoczynku, by zebrać siły do dalszej walki, do dalszego zmagania się z wrogiem oceanem.

Noc zapada — wigilijna noc — co nie różni się niczem od innych: tak samo burzliwa, tak samo ciemna, z nieustannym deszczem i chmurnem, złem niebem.

Wodzą ludzie wzrokiem beznadziejnym po niebie, — zmiłowania wśród chmur złowrogo - czarnych szukają. Wszyscy są na pokładzie: nawet zluźwana wacha nie śpieszy się jakoś na odpoczynek, choć sforsowana bardzo. Kapitan, co już od tygodnia prawie oka nie zmrużył, wygramolił się z kabiny na rufę, w ciężkie buty i płaszcz odziany. Bada szczegółowo ciemniejące niebo, pilnie wpatruje się w chmury...

Silny wichur nie dmie już tak gwałtownie, deszcz jakby przestawał — — —

Wtem poszarzało coś w jednym miejscu na niebie: jaśniejsza plama wyrysowała się wkrótce — to księżyc!

Poblady nieco ciemne chmury, coraz bardziej się strzępią, coraz wyraźniej się dzielą ledwie znacznymi niebieskawymi przerwami. W zenicie prawie błysnęła wstydliwie gwiazdka maleńka, to migając zalotnie, to chowając się w chmurach. Za nią już śmieiej mignęła druga, potem trzecia...

Radosny gwar głosów zmieszanych rozchodzi się po pokładzie. Porucznik zdążył już rzucić tłoczącej się przed rufą załogę jakiś dowcip wesół. Odpowiadają mu śmiechem radosnym, szczerym i dobrym.

Z wielkiem zadowoleniem, rozlanem na szerokiej twarzy, wyniósł kapitan sekstans²⁴) na rufę „złapać“²⁵) kilka gwiazd i wkrótce oznaczył na mapie bezpieczne miejsce okrętu.

Zniknęły złe humory, zniknęły klątwy i narzekania.

Rozpogodzone niebo iskrzyło się rojem gwiazd, księżyc siał ułudne, chwiejne cienie po pokładzie. Równy wiatr szybko unosił okręt do portu rodzinnego, a zamierająca fala łagodnie muskała burty...

Po burzy i słoce wśród znoju i zmagania, tak zwykłych dla tych wiecznych tułaczy - marynarzy — najlepszym podarkiem gwiazdkowym była pogodna, księżycowa Noc Wigilijna.

²³) Podwietrzna burta — przeciwna tej, w którą wiatr dmie.

²⁴) Sekstans — przyrząd do mierzenia wysokości ciał niebieskich.

²⁵) „Złapać“ — gwiazdy, słońce i t. p., znaczy w gwarze marynarskiej — mierzyć wysokość tych ciał niebieskich nad widnokręgiem.



W brussie afrykańskiej



Piękna zdobycz myśliwska.



Rzadkie zdjęcie wspaniałego okazu antylopy.

Emigracja z Polski w 1931 r.

Wszechświatowy kryzys gospodarczy, który tak dotkliwie odbił się na poszczególnych rynkach pracy, sprawił również, że ruch emigracyjny z Polski mógł się wyrazić w znacznie niższych liczbach, niż w latach poprzednich.

Kraje imigracyjne — z chwilą stwierdzenia u siebie pierwszych objawów kryzysu — jako jeden z najgłośniejszych środków zapobiegawczych dla ochrony własnego rynku pracy — zaaplikowały zamknięcie granic dla poszukujących pracy zagranicą obcych przybyszów. Poza tem przedsięwzięto, w drodze rozporządzeń i restrykcji administracyjnych, akcję pozbywania się elementu cudzoziemskiego, już od pewnego czasu zamieszkałego w kraju imigracyjnym. Sytuacja ta musiała wpłynąć na polski ruch emigracyjny.

Co się tyczy roku 1931, osłabienie ruchu emigracyjnego ilustrują następujące cyfry w zestawieniu z cyframi ruchu emigracyjnego 1930 r.:

	1930	1931
Emigracja do krajów zamorskich	46.534	11.770
Emigracja do krajów Europy	171.853	64.235
Ogółem	218.387	76.005

Jak z przytoczonego zestawienia wynika, emigracja z Polski w ogólnych cyfrach spadła w porównaniu z 1930 r. o 65%, przyczem do krajów europejskich spadek wynosił 75%, do krajów zamorskich 63%.

Na specjalną uwagę zasługują cyfry, dotyczące emigracji sezonowej do Niemiec, jako emigracji nie mającej wpływu na bilansowanie liczebne ruchu emigracyjnego, gdyż po skończonych pracach robotnicy wrócili do kraju. Dane cyfrowe tej emigracji za ostatnie trzy lata są następujące:

	1929	1930	1931
	85.883	74.992	32.563

Jak wiadomo, w 1932 r. emigracja sezonowa do Niemiec została wstrzymana całkowicie.

Ciekawe dane przedstawiają cyfry, dotyczące natężenia emigracyjnego w poszczególnych województwach; (danych cyfrowych z poszczególnych powiatów niema, za wyjątkiem emigracji sezonowej). Dane te ilustruje poniższa tabelka:

Województwo	Emigracja do krajów Europy	Emigracja zamorska	Ogółem
m. st. Warszawa	741	1.076	1.817
woj. Warszawskie	1.842	553	2.395
woj. Łódzkie	24.854	499	25.353
woj. Kieleckie	10.090	573	10.663
woj. Lubelskie	1.626	862	2.488
woj. Białostockie	813	1.289	2.102
woj. Wileńskie	2.020	602	2.622
woj. Nowogródzkie	91	475	566
woj. Poleskie	35	979	1.014
woj. Wołyńskie	118	1.090	1.208
woj. Poznańskie	5.612	89	5.701
woj. Pomorskie	715	83	798

woj. Krakowskie	4.921	401	5.322
woj. Lwowskie	7.661	1.261	8.921
woj. Stanisławowskie	974	496	1.470
woj. Tarnopolskie	1.632	1.401	3.033
woj. Śląskie	231	19	250
Niewiadome	259	32	281

Jak z przytoczonego zestawienia wynika, największe natężenie emigracyjne w 1931 r. cechowało województwa Łódzkie i Kieleckie. Należy jednak zaznaczyć, że oba wspomniane województwa dostarczyły w głównej mierze robotnika sezonowego do Niemiec, mianowicie 25.125 ludzi na ogólną liczbę 36.016, przyczem z województwa Łódzkiego pow. Wieluński dostarczył 8.216 robotników sezonowych do Niemiec, z województwa Kieleckiego pow. Częstochowski — 3.688. Oba wspomniane powiaty dostarczały zawsze największą liczbę robotników sezonowych do Niemiec.

Oczywiste jest, że z chwilą całkowitego zamknięcia emigracji do Niemiec, powiaty Wieluński i Częstochowski najdotkliwiej to odczuły.

Trzecim pod względem natężenia emigracyjnego był w 1931 r. obszar województwa Lwowskiego, skąd wyemigrowało do Francji 5.815 ludzi, do Niemiec (roboty sezonowe) 1.714, do Kanady 204, do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej 165, do Argentyny 495, do Urugwaju 200 i t. d.

Następnymi terenami co do natężenia emigracyjnego były województwa Poznańskie i Krakowskie. Oba te województwa dostarczyły w głównej mierze emigrantów do Francji i do Niemiec (roboty sezonowe). Z województwa Poznańskiego wyjechało do Francji 2.087 ludzi, do Niemiec 3.341; z województwa Krakowskiego — do Francji 3.204, do Niemiec 1.537 ludzi.

Przytoczone dane cyfrowe dają ogólny rzut oka na liczebne kształtowanie się ruchu emigracyjnego w 1931 r. Nie są one wyrazem dynamiki, jaką dla ruchów emigracyjnych przedstawiają nasze poszczególne tereny, gdyż rok 1931 był jednym z przełomowych dla stosunków emigracyjnych; emigracja w tym okresie czasu dostosowywała się do możliwości z zewnątrz, tych możliwości, które w 1932 r. doszły już niemal do zera.

Jak się potoczą w dalszym ciągu stosunki emigracyjne w Polsce, przyszłość tylko pokaże.

H. S.

„Francja europejska jest 23 częścią całego państwa jakie posiadamy. Nasze kolonie, związane z metropolią, będąc naszymi głównymi odbiorcami, skąd płynie do nas ich bogactwo, dały nam potężną siłę. Bez naszych kolonii nie zdołalibyśmy opanować kryzysu gospodarczego. Bez nich mielibyśmy miliony bezrobotnych. To winni sobie dobrze zapamiętać ci ludzie, którzy mówią nieprzychylnie o naszej polityce kolonialnej” (Z przemówienia ministra kolonii Paul Reynaud, przy otwarciu Wystawy Kolonialnej w 1931 r.

Franciszek Lyp

Zwiążmy wychodźstwo z Macierzą!

Temat nie jest nowy. Zastanawiali się nad nim i zastanawiają się narody, z pośród których konieczność dziejowa i życiowa, prawa ewolucji i nieubłagany przymus zajmowania wolnych miejsc na ziemi, potężną falą przenoszą całe rzesze na inne kontynenty. Tam je osadzają. Powstaje zlepek ras i narodów o różnym stopniu cywilizacji i kultury, a częstokroć o sprzecznych interesach rasowych i narodowych. Tworzą się nowe zbiorowiska ludzi, wśród odmiennych warunków przyrodzonych i o odmiennym sposobie bytowania.

W nowych warunkach, wskutek wiekowego, wzajemnego, codziennego i bezustannego oddziaływania na siebie różnych narodowości, splecionych w jeden węzeł i spólnych spraw, wytwarza się u nich nowy sposób myślenia — nowa psychika.

Zbiorowisko to powoli konsoliduje się — krystalizuje się niejako — samostwarza sobie w ciągu wieków tradycję oraz własną cywilizację i kulturę. Tworzy się nowy naród.

Taki stan rzeczy zastaje przychodźca w nowym kraju, gdzie napotyka zazwyczaj na trudne i ciężkie warunki bytowania. Troska o własny byt i o rodzinę t. j. czynnik materialny, oraz sentyment narodowy z nieodłączną dotychczasową dążnością kulturalną w pewnym kierunku, t. j. czynnik moralny, dodają mu bodźca, wzmacniają i potęgują jego energję.

Musi dać chleb rodzinie, a potomstwu taki szeroki światopogląd, aby złożyć w wiedzę i poczucie własnych sił, kroczyło równym krokiem wraz z otoczeniem i nie pozostało w tyle.

Część materialną przychodźca realizuje sam, a w miarę uzskeiwania dobrobytu ma możność kształcenia potomstwa.

Ale pewną część strony moralnej, wyrażającej się w sentymencie narodowym i w tęsknocie za krajem ojczystym, trudniej samemu zaspokoić. Pomimo łączenia się w narodowe organizacje społeczne, pomimo utrzymywania łączności ze starym krajem przy pomocy pism i książek, brak jednak rodzimego nastroju w życiu codziennym, brak uzupełnień rodzimego życia publicznego, brak serdecznych spraw jego ziomków i spraw rodzimej państwowości. Nadomiar, nowe ustawodawstwo, nowy ustrój społeczny, nowi wreszcie ludzie obcej narodowości, wytrącają go z dotychczasowej równowagi.

Nowe koło spraw, odmiennym kierunkiem i siłą pędzone, coraz silniej pociąga przybysza, wplata go w tryby i ukazuje mu życie z innej strony, dotychczas mu nieznaną. Zmusza go do współżycia z innymi narodowościami, do wnikanania w ich sposób myślenia, a częstokroć do przeżywania uczuć, obcych dotąd dla niego. Nieznane mu dotychczas nowe środowisko poznaje powoli, zaczyna w nie wnikać, oswaja się z nim tak, że środowisko to skłania go wreszcie w swą całość. O ile nie powróci do swej ojczyzny, nie nie pomoże przeciwstawianie się, nie nie pomoże walka, jaką każdy przybysz stawia najpierw z otoczeniem, a później — wewnątrz — z samym sobą. Konieczność życiowa i nowe warunki zwyciężają w końcu, — środowisko bierze go wtedy, niejako organicznie, w swe posiadanie.

Wkuty już jest, jako małe ogniwko, w łańcuch spraw nowego kraju. Ale sentyment narodowy i kierunek kulturalny, które

w jego pojęciu łączą się w nierozdzielną całość dotychczasowej przynależności narodowej, stara się zachować w całości i nienaruszone dla swych dzieci.

Przedewszystkiem stara się przełać swe uczucie patriotyzmu w dusze swego potomstwa i wszelkimi siłami stara się zachować je dla swej narodowości. Ale im więcej wysiłków w tym kierunku czyni, tem jaśniej widzi, że nowe pokolenie tylko półuchem słucha jego spraw serdecznych. Wprawdzie śpiewa ono pieśni patriotyczne, mówi językiem ojców swoich, nawet i historję ojczystą zna, ale myśli jego idą już nowymi torami, bowiem, zrodzone w nowych warunkach, ma już nową orientację. Sprawy starego kraju odzywają się dla niego zaledwie echem. Nigdy tego kraju nie widział, poza sferą wyobraźni podczas opowiadania rodziców, krewnych, lub nauczyciela w szkole. Kraj stary — to zaledwie dziedzina wyobraźni, a wokół rzeczywistość — nowy kraj, nowe życie, tak znane i tak swojskie.

Pisma i książki ze starego kraju, zawierające częstokroć wiele niezranych pojęć, nie przemawiają już tak dobrze i w taki sposób do przekonania młodego pokolenia, jak do duszy jego ojców. Tworzy się nowy typ człowieka, którego pociąga bujne wokół życie, miesza go ze zbiorowiskiem ludzi i spraw odmiennych nie dla niego, ale dla jego rodziców — przybysów. Czasem trudności językowe trzymają go w pewnej odległości od nowego narodu i wzmacniają w nim patriotyzm, wszczepiony przez ojca, który (czasem) zdołał tak silnie nacią swego sentymentu owinać duszę dziecka, że gotowe jest ono nawet stanąć na zew dalekiej i nieznanej ojczyzny swego rodzica i spłacić wobec niej dług... może ojca?

Ta ostatnia miara może być stosowana tylko do maleńkiej części dzieci emigrantów, zrodzonych i wychowanych na obcej ziemi. Większość najczęściej zachowuje tylko pewne poczucie odrębności narodowej, ale bez silnego uczucia narodowego t. zw. patriotyzmu. Obowiązki obywatela kraju, w którym urodził się syn emigranta, nakazują temu synowi lojalność wobec spraw swej nowej ojczyzny, współdziałanie w jej rozwoju w imię własnych i zbiorowych interesów.

Pod tem wrażeniem i przekonaniem wychowuje swe dzieci syn przybysza, niezdolny już przelewać drugiemu pokoleniu nawet tej części patriotyzmu, jaką mu przekazał jego ojciec. Drugie więc pokolenie zrodzone i wychowane na obcej ziemi, ma już mgliste pojęcie o ojczyźnie swego dziada. O ile otrzymało jakie takie wiadomości o swej utraconej i dalekiej ojczyźnie, zachowuje dla niej najczęściej głęboką sympatję. Jeśli jednak nie otrzymało tych wiadomości w dostatecznym stopniu i nie posiada dokładnej znajomości ojczystego języka, a musi w swych warunkach bytowania posługiwać się codziennie językiem krajowym i przestawać stale z członkami swego narodu, wówczas znajduje się już poza przełomem, — pochłania go nowa narodowość.

Tak utworzyły się narodowości republik amerykańskich i innych nowych krajów. Jeśli narodowości te nie rozbłyskują swą jasnością narodową, świadczy to tylko o powolności odbywania się procesu konsolidacji i krystalizacji narodowej.

Czy tak musi być bezwzględnie? Czy nie ma możliwości wpływania na podtrzymanie będącej na obczyźnie danej narodowości i nastawienia jej patriotycznie do dawnej ojczyzny?



Polacy w Brazylii. Konny oddział „Junaka” z Rio Claro i Nera Guarany, wystawiony na przyjęcie Posła R. P. w Brazylii, dr. T. Grabowskiego.

Są. Trzeba tylko rozumnie po nie sięgnąć.

Nawiązanie z wychodźstwem stosunków handlowych, podtrzymanie ich i stałe rozwijanie ma pierwszorzędne znaczenie. Towar ze starego kraju budzi zawsze żywe zainteresowanie wychodźstwa i z konieczności zwraca jego uwagę na dawną ojczyznę, — budzi wspomnienia i uczucia.

Osadnik, produkujący surowce dla swej dalekiej ojczyzny, jest jej pionierem na obczyźnie. Wiąże go to silnie uczuciem sentymentu, dając mu przeświadczenie, iż pracuje dla wielkości starego kraju, gdzie bytuje pozostała jego rodzina.

Ostoją przekonań narodowych są organizacje społeczne i szkolnictwo narodowe. Na te instytucje należy zwrócić baczną uwagę i podążać im z pomocą moralną, a nawet materialną, w formie pism, książek, pomocy naukowych, filmów krajoznawczych, instruktorów szkolnych, rolniczych, spółdzielczych i t. p., dokształcania synów emigrantów w starym kraju, urządzania wycieczek do starego kraju i t. p.

Warunkiem jednak zasadniczym dla przeprowadzenia tego wszystkiego jest gruntowna znajomość spraw wychodźstwa i jego psychiki.

Umiejętne, przemyślane i na głębokiej znajomości psychiki wychodźstwa oparte, działanie, napewno przyniesie pomyślnie rozwiązanie sprawy w myśl interesów ojczyzny i wychodźstwa. Działanie to winno jak promień ożywczy przenikać na emigrację. Atmosfera rozumu i serdeczności powinna wyciskać swe piętno na polskich placówkach tak, aby każdą z nich i każdego Polaka na obczyźnie wiązała swojskością. Bezmyślność i mechaniczność, biurokratyzm, jałowość myśli i oschłość powinny z nich być wykluczone. Skrupulatny dobór ludzi, myśl światła i szeroka powinny cechować całą akcję.

Jeśli akcja będzie prowadzona roztropnie w ścisłym porozumieniu macierzy z wychodźstwem, to wtedy dopiero będą zrealizowane obopólne i wzajemne życzenia:

macierzy, która pragnie w swem wychodźstwie widzieć swą kulturę, swe ideały, swą placówkę dla naturalnej ekspansji swej mocy i znaczenia — i chociażby myśli tego wychodźstwa biegły innemi tory, to jednak, aby wykazał niespożytość żywiołu polskiego, hart ducha i moc, aby zawsze była możliwa wymiana myśli, z której zrodziłaby się celowa współpraca dla korzyści obopólnych;

wychodźstwa, które pragnie w macierzy swej widzieć swą ostoję, opiekunkę, podporę i chlubę, skąd mają płynąć na wychodźstwo ożywcze prądy rodzimej kultury, zdobyczy wiedzy, techniki, postępu i wogóle czynów wzniosłych, któremi wychodźstwo mogłoby się chlubić wobec innych narodów, iż jest potomstwem narodu wielkiego nie tylko obecnie, ale i w jego świetnej i bohaterskiej przeszłości, — gdzie wychodźstwo mogłoby zawsze czerpać całą pełnię otuchy i zachętę do wytrwania w polskości i gdzie mogłoby widzieć zdrowe owoce wzajemnych wysiłków.

Realizując obopólne, słuszne życzenia, osiągniemy cel: zachowanie na obczyźnie Polaków dla Polski.

Polacy w Stanach Zjednoczonych

Polacy amerykańscy stanowią znaczną siłę, tak pod względem swej liczebności, jak i dorobku organizacyjno - społecznego i materialnego. Siła ta narastała stopniowo, powoli, a choć amerykanizacja odrywa od polskości liczne jednostki, zwłaszcza wśród młodego pokolenia, urodzonego i ukształtowanego w Ameryce, choć katastrofalny kryzys gospodarczy poważnie nadszarpnął dorobek materialny Polonji amerykańskiej, jest to obecnie siła, z którą liczyć się muszą wszyscy. Emigracja polska za ocean rozpoczęła się właściwie po upadku Rzeczypospolitej. W trzech pierwszych stuleciach po odkryciu Ameryki nie było jeszcze wogóle potrzeby masowego wyjazdu z Europy dla szukania chleba. Tereny Europy nie były jeszcze przełudnione i wyeksploatowane. Emigrowali bądź poszukiwacze złota, bądź ofiary religijnych i politycznych prześladowań.

W Polsce niepodległej wobec wysokiej tolerancji religijnej i politycznej, żywszej emigracji politycznej nie było. Przejawia się ona dopiero po rozbiorach i wzrasta się po każdym powstaniu. Wychodźstwo polityczne do Ameryki, zapoczątkowane przez bohaterów obu kontynentów — Kościuszkę i Pułaskiego, nie przekroczyło 2.000 osób. W stosunku do późniejszych milionowych mas wychodźstwa zarobkowego była to nikła grupa, miała ona jednak duży wpływ na powstanie polskiego życia społeczno - organizacyjnego w Ameryce, na kształtowanie się poczucia narodowego rzesz ludu wychodźczego, obejmowała bowiem element wysoce ideowy i kulturalny.

Emigracja we właściwym słowa tego znaczeniu, czyli emigracja zarobkowa, inaczej ludową zwaną, rozpoczęła się na ziemiach polskich dopiero w połowie ubiegłego stulecia. Objęła najpierw zabór pruski, następnie Kongresówkę i Małopolskę.

W różnych okresach wzrastała się i opadała, obejmując do wojny światowej ogółem 2 miliony 200 tysięcy ludzi, niemal wyłącznie ludność wieśniaczej. (Zabór pruski 600.000, zabór rosyjski 900.000, zabór austriacki 700.000).

Pierwsi emigranci ze Śląska Górnego osiedlali się na roli w stanie Texas, gdzie do dziś dnia istnieją polskie osady z pięćdziesiątych lat ub. stulecia. Później jednak większość wychodźstwa polskiego grupuje się w północno - wschodnim okręgu przemysłowym, w t. zw. Krainie 5-ciu wielkich jezior (Michigan, Erio, Ontario, Huron, Superior), następnie Polacy osiedlają się we wschodnich stanach górniczych (Pensylwanja i Ohio), oraz w okręgu przemysłu tkackiego w pobliżu Nowego Jorku.

Mimo wieśniaczego przeważnie elementu, jaki emigrował z Polski do Stanów Zjednoczonych, stosunkowo niewielka ilość Polaków osiadła na roli. Mniej więcej 10 — 12% ogółu wychodźstwa polskiego w Stanach Zjednoczonych posiada farmy, lub na nich pracuje.

Emigracja nasza do Stanów Zjednoczonych miała charakter naogół zarobkowy, a nie osadniczy. Chłop polski jechał do „Ameryki“ (Stanów Zjednoczonych) z zamiarem dorobienia się, aby później wrócić do kraju i za uciulane pieniądze nabyć ziemię w Polsce. Z czasem dopiero rozwój życia narodowego naszego wychodźstwa poszedł w kierunku ustabilizowania się w Stanach Zjednoczonych.

Większość wychodźstwa skupiła się w miastach, w których tworzy odrębne, zwarte dzielnice.

W stanach północno - wschodnich znajdują się nawet miejskie skupienia polskie, dochodzące liczebnością i przestrzenią do rozmiarów dużego miasta. Tak więc w Chicago zamieszkuje około 500.000 Polaków, w Detroit około 200.000, w Buffalo przeszło 200.000. Dalej około 100.000 liczą miasta Milwaukee, Cleveland, Filadelfia, po kilkadziesiąt tysięcy miasta Pittsburg, Toledo, Baltimore. W Nowym Jorku jest około 100.000 Polaków, przyczem nie tworzą oni zwartej dzielnicy polskiej, lecz są rozproszeni po całym obszarze tego wielkiego miasta.

Jest jeszcze dużo miast z poważnym odsetkiem Polaków, są nawet małe kilku- lub kilkunastotysięczne miasta amerykańskie, prawie wyłącznie zamieszkałe przez Polaków, z polską administracją miejską. Takie polskie miasta spotykamy w Pensylwanii, w stanie Michigan oraz w stanie Wisconsin, między osiedlami farmerów - Polaków. Ciekawem i znamienem jest, że niektóre z miasteczek noszą nazwy miast polskich, tak np. jest w stanie Wisconsin miasto „Lublin“ i miasto „Warszawa“; jeszcze jedna „Warszawa“ znajduje się w stanie North Dakota, dalej w stanie Illinois są miasta Poznań i Radom. (Powstało to stąd, że poznańscy osiedlający się na danym terytorjum, nowotworzące się miasto nazywali Poznaniem, warszawiacy — Warszawą i t. d.). W stanie Wisconsin są jeszcze miasta o nazwach Pułaski i Polonja.

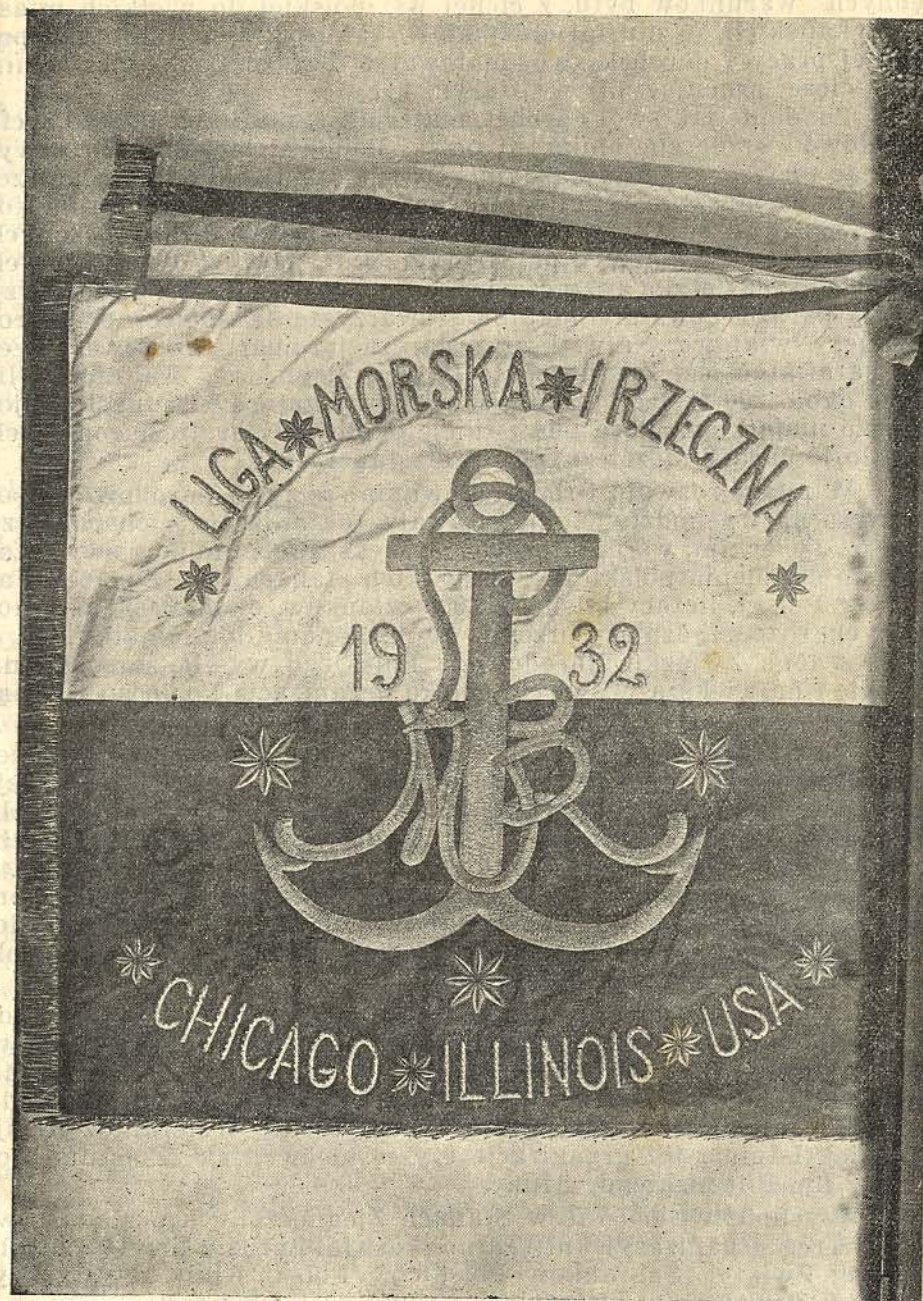
Jak wspomnieliśmy na wstępie, wychodźstwo nasze w Stanach Zjednoczonych zdobyło pokaźny dorobek materialny. Według statystyki, podanej przez posła M. Szawleskiego w dziele jego „Wychodźstwo polskie w Stanach Zjednoczonych“, dorobek ten przedstawia się, a właściwie przedstawiał się przed kryzysem, jak następuje:

1. Wartość farm polskich — 300 milionów dol.
 2. Wartość sklepów, domów, placów, przedsiębiorstw — 2.800 milj. dol.
 3. Majątek publiczny (kościóły, szkoły, gmachy organizacji i pism polskich, domy nar. i t. d.) — 250 milj. dol.
 4. Oszczędności w bankach i kasach pożyczkowych 500 m. dol.
 5. Oszczędności w papierach procentowych, wierzytelnościach, na hipotekach i t. p. 150 milj. dol.
 6. Kapitał asekuracyjny w polsko - amerykańskich instytucjach — 100 milj. dol.
 7. Dto w instytucjach czysto amerykańskich — 100 milj. dol.
- Razem 4.200 milj. dol.

Obliczywszy oszczędności przechowywane w domu, widzimy że ogólny majątek narodowy Polaków w Stanach Zjedn. dochodził blisko 4 i pół miljarda dol. Przeciętnie zatem przed kryzysem i krachami banków amerykańskich, w których również Polacy potracili swoje oszczędności, na głowę wypadało przeszło 1.000 dol., podczas gdy przeciętny majątek obywatela Stanów Zjednoczonych wynosił około 3.000 dolarów.

Wychodźstwo polskie, aczkolwiek mniej zamożne od innych grup narodowych tego bogatego kraju, reprezentowało w każdym bądź razie ogromny miliardowy kapitał.

Zaznaczyć należy, że wychodźca polski, biedny, niewykwalifikowany robotnik, nie posiadający niezbędnej wtamtejszych sto-



Bandera oddziału Ligi Morskiej i Kolonjalnej w Chicago.

sunkach znajomości języka angielskiego, przeniesiony do tak odrębnych warunków bytu, z cichej wsi polskiej do wielkich miast amerykańskich, — musiał chwycić się jaknajcięższej, najmniej popłatnej pracy i dorobek swój budował w bardzo trudnych warunkach, ciężiej pracując, niż w „starym kraju“.

Podobnie jak swój dorobek materialny, tak i swe bogate życie narodowo - społeczne emigrant polski budował mozolnie, przezwyciężając piętrzące się na każdym kroku trudności. Pierwszą potrzebą duchową naszego religijnego wychodźstwa było zbudowanie kościoła, sprowadzenie księdza Polaka. Dziś w Stanach Zjednoczonych istnieje około 800 polskich parafii rzymsko - katolickich, w których opiekę duszpasterską rozciąga przeszło 1.000 księży Polaków. Przy każdej parafii powstały lokalne stowarzyszenia społeczne, dobroczynne, oświatowe. Największą organizacją, opartą o stowarzyszenia parafjalne jest Zjednoczenie Polskie Rzymsko - Katolickie, liczące około 200 tysięcy członków, rozporządzające kilkunastomilionowym majątkiem. Poza tem istnieje około 120 parafii narodowych i około 40 parafii niezależnych i protestanckich.

W miarę rozwoju i różniczkowania się życia narodowo - społecznego na wychodźstwie, powstawały organizacje o charakterze czysto - świeckim, wśród których największą, obejmującą swym zasięgiem skupienia polskie we wszystkich stanach, jest Związek Narodowy Polski, liczący blisko 300.000 członków, około 3.000 grup lokalnych, rozporządzający przeszło 20 milionami dol. majątku.

Z łona Związku Narodowego Polskiego wyszła samodzielna obecnie i największa w świecie polska organizacja kobieca — Związek Polek w Ameryce, liczący kilkadziesiąt tysięcy członkiń.

Obok tych największych i zasłużonych dla sprawy polskiej organizacji, opierających swoją działalność i byt na asekuracji członków, istnieje w Stanach Zjednoczonych blisko 40 mniejszych, lecz także silnych organizacji samopomocowo - asekuracyjnych, wzorowanych na Związku Nar. - Pol., lub Zjednoczeniu Pol. Rz. - Kat., jak: Unja Polska w Wilkes Barre, obejmująca przeważnie górników polskich w stanie Pensylwanja, Unja św. Józefa w Buffalo, Federacja Polaków w Milwaukee, Macierz Polska w Chicago, Polsko - Narodowa Spójnia w Seranton.

Prócz tych stowarzyszeń asekuracyjnych, prowadzących jednocześnie akcję narodowo - kulturalną i oświatową, dużą i zaszczytną rolę na wychodźstwie odegrały innego typu stowarzyszenia, jak Związek Sokolów Polskich, który dał najwięcej ochotników do armii polskiej we Francji, jak Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej. Istnieją też organizacje czysto ideowe, jak „Złączone Komitety im. Piłsudskiego“ i inne.

Wychodźstwo polskie w Stanach Zjednoczonych posiada również szereg organizacji kulturalno - oświatowych i artystycznych, a więc: Związek Śpiewaków Polskich, Polski Klub Artystyczny, Związek Towarzystw Literacko - Dramatycznych i t. d.

Organizuje się młoda, wychowana w Ameryce inteligencja zawodowa, istnieją więc: Stowarzyszenie Inżynierów Polskich w Ameryce, Stowarzyszenie Adwokatów, Syndykat Dziennikarzy Polskich, Stowarzyszenie Polsko - Amerykańskich Kupców i Przemysłowców, Stowarzyszenie Lekarzy i Dentystów.

Wydatną działalność wykazują organizacje regionalne, jak kluby małopolskie, Związek Podhalan i t. p.

Organizuje się wreszcie ostatnio młodzież polsko - amerykańska, urodzona i wychowana w Ameryce. Jest to objaw wymagający specjalnego podkreślenia, wobec zachodzących objawów szybkiej amerykanizacji młodego pokolenia, które posługuje się przeważnie językiem angielskim i przebywając stale w obcym otoczeniu zatracą stopniowo swą polskość, czemu stara się przeciwdziałać zarówno starsze pokolenie wychodźstwa, jak i poważniej myśląca część młodzieży. Ostatnio rozszerza się w Stanach wspaniałe Liga Morska i Kolonjalna, nosząca tam nazwę „Sea and River League“. Posiada cztery okręgi: w New Yorku, w Seranton, w Chicago i Buffalo. Jeden z chicagoskich oddziałów liczy około 300 członków. Występują oni nazewnątrz w mundurach i ze sztandarem. Pięknie rozwija się Harcerstwo polskie pod egidą Związku Narodowego.

Przy wielkich organizacjach wychodźstwa tworzą się różne kluby sportowe, kółka dramatyczne, śpiewacze i t. p. Niezależnie od tego powstają odrębne organizacje młodzieży studenckiej. Ogółem do różnego typu organizacji polskich należy przeszło 700 tysięcy Polaków amerykańskich.

Silnie rozwinięta jest też prasa polska w Stanach Zjednoczonych. Istnieje tam 15 dzienników polskich i około 80 tygodników, oraz kilka miesięczników. Nakłady niektórych dzienników nawet jeszcze obecnie, mimo kryzysu, dochodzą do 30.000, a parę tygodników posiada jeszcze większą ilość czytelników.

Przyszłość narodowa wychodźstwa polskiego w Stanach Zjednoczonych zależy oczywiście od przyszłego oblicza duchowego młodej generacji tego wychodźstwa, od tego, w jakim stopniu pokolenia, urodzone i wychowane w Ameryce, zachowają język i pierwiastki narodowe kultury polskiej.

Najważniejszym bodaj czynnikiem w kształtowaniu serc i umysłów młodego pokolenia jest szkoła. To też szkolnictwu wychodźstwa polskie w Stanach Zjednoczonych poświęca specjalną uwagę.

Istnieje przeszło 600 szkół polskich parafjalnych w parafjach rzym. - kat. i narodowych, do których uczęszcza blisko połowa dzieci polskiego wychodźstwa, reszta, nieco ponad 300.000 dzieci, kształci się w szybko asymilujących szkołach amerykańskich.

W trosce o polskość dzieci, uczęszczających do amerykańskich szkół publicznych, wychodźstwo nasze poczęło organizować wieczorowe i sobotnie polskie szkoły dokształcające. Ruch ten w ostatnich latach rozwija się bardzo silnie i obecnie istnieją 184 szkoły dokształcające z blisko 615.000 dziatwy.

Oto w skrócie obraz dorobku narodowo - społecznego Polaków w Stanach Zjednoczonych. Jak widzimy, Polonja amerykańska — to całe odrębne społeczeństwo, posiadające własną historję, znaczny dorobek organizacyjny - społeczny, kulturalny i ekonomiczny, a jednocześnie część wielkiej rodziny polskiej, najpotężniejsza gałąź, wyrosła z jednego pnia macierzystego — Polski, dla której oswobodzenia i odbudowy nasi bracia z za oceanu ponieśli wielkie, niezapomniane ofiary.

Pan Szymon z boru

Upalny dzień letni miał się ku schyłkowi. Ścichł już gwar cykad i wrzaski ptactwa, płoszonego po drodze. Miast żaru, który dzień cały lał się z niebios, począł „padać” typowy chłód brazylijski. „Soreno¹⁾ idzie” — mruczał jeden z moich towarzyszy.

Za wzgórzami falistymi w stronę Guarapuawy zachodziło już słońce. W miarę tego, jak bryka naszą wspiniała się na szczyty wzgórz, lub z brzękiem staczała się w dół, migało jeszcze w konarach stuletnich olbrzymów, to ginęło już zupełnie za gęstwą boru.

Konie zmęczone długą podróżą, jechaliśmy bowiem od samej Guarapuawy blisko 50 kilometrów, niemal bez przerwy — z trudem wdzierały się po krętej drodze pod górę. Słońce zaśnięło raz jeszcze i drugi i zapadło w fale wzgórz. Mrok począł szybko gęstnieć. W tej szerokości geograficznej w pół godziny po zachodzie słońca rozciąga się już zupełny całun nocy. To też wasyt woźnica, a zarazem zamozny kolonista — fazender, p. Szymon K., do którego posiadłości na San Pedro zdążaliśmy, ściągnął ostre lejce i począł przynaglać kassztanki do pośpiechu, a przytem odwracając się ku nam, narzekał:

— Ach, te brazylijskie porządki! Drogi nie koncertowane²⁾ od Bóg wie kiedy, to też konie sofrują³⁾, że strach.

Tymczasem wdarliśmy się na szczyt. Przed nami roztaczał się szeroki widok. W cieniu zapadającej nocy rysowały się zwały falistych wzgórz, sinym pokrytych borem, z ponad którego na horyzoncie majaczyły tajemnicze parasole potężnych pinjorów, wznoszących, jak żydowskie świeczniki, rozłożone konary ku niebiosom.

Ciszę odludzia przerywał jedynie brzęk i stukot bryki i monotonne kołatanie dzwonków koni. Milczeliśmy, rozkoszując się po upalnym dniu i dokuczliwej kurzawie, która nas całą trapiła drogę, miłym chłodem, co w swe ożywcze brał nas ramiona. Gdzieś z dali doleciał ponury, przejmujący ryk wyjca, jakby jaki kmiotek pracowity żarna po kilkakroć obrócił. Zresztą było cicho.

Przystanęliśmy na chwilę.

Pan Szymon uniósł się na siedzeniu i, zataczając batem tak szeroki łuk, jak ręką można było objąć, począł mówić swym potężnym basem:

— To wszystko moje. Tak, panie, wszystko, jak to widać przed nami z tego wzgórza. Jest ci tego dobre tysiąc alkrów⁴⁾. Szmata boru, że w kraju i czterech dziedziców w Płockiem tego nie ma razem. A tam w naszej Woli był człek jeno parobkiem dworskim i w czworakach zmarniałby, jak tyła innych. A teraz to wszystko moje. Narharował się człek, napracował, aż strach dziś wspomnieć. Toż kiedy się tu do Brazylii przed trzydziestu laty przybyło przez te morza ogromne, to jużem myślał, że mi przyjdzie na zatracenie. Za 300 rejsów dziennie robił człek w skwarze, że już się zdało — potu nie stanie. Ale jakoś Bóg dał siły i przetrwało się, a teraz siedzi se człek w tym boru, jak pan.

¹⁾ „Soreno” — mgła wieczorna, rosa, na którą Brazylijanie nie wyjdzie z odkrytą głową.

²⁾ Naprawione, z portugalska.

³⁾ Cierpia, z portugalska.

⁴⁾ Alkier — 5 mórg polskich.

Wraz z ciszą, w jaką ukołysała się już przyroda, zaduma owionęła nas wszystkich. Zaiste własnymi pazurami wydarte losowi marzenie, bór, jakiego i sam dziedzic z Woli nie miał. I to 5 tysięcy mórg polskich tego!

Zadumę znowu przerwał głos pana Szymona:

— No, ale czas pośpieszać. I tak zajdziemy po nocy. Chociaż już blisko. Tylko z góry i jesteśmy w domu.

Jakoż ruszyliśmy żwawo w dół. Konie, czując kres podróży, rwały ostro tak, że pan Szymon musiał się nielada uwijać przy hamulcu, kręcąc nim, jak korbą katarynki. Las rzedł. Pobok drogi, która rozszerzała się, od ściany boru odcinała się linja „portery”⁵⁾. Z turkotem przejechaliśmy mostek na strumieniu, szemrzącym po skałach, aż przed oczyma naszymi w ciemnościach zarysowały się kontury domostwa.

Przed domem z łuczywami w rękę stała gromadka ludzi, a więc żona gospodarza, czterech jego synów i kilku sąsiadów. Synowie, jak owi Kiemlicze rozrośnięci i po kiemliczowsku w tych dzikich okolicach sobie poczynający. Jeden z nich niedawno z Polski, z hallerowskiej powrócił armji, gdzie sobie srodze w „maszynkach” upodobał, drugi tylko co z Castro z brazylijskiej został zwolniony kawalerji. Każdy zaś z nich silny był i krzepki, jak ojciec, do dębu polskiego podobny, a wyrosły, jak młody pinjor. Koń im też najwierniejszym był towarzyszem, a Wonchester najmilejszą zabawką, tak że i najodważniejsze „Walentony”⁶⁾ tych stron, ba, nawet sam najwaleczniejszy Joao da Silva wolał im z drogi ustępować.

Sąsiedzi, na wieść, że przyjeżdżają goście ze „starego kraju”, ściągnęli z borów okolicznych, a siedzieli jeden od drugiego światami. Najbliższy, p. Rybka, o 7 kilometrów tkwił od p. Szymona. Przybyli, by wieści z Polski posłuchać, pogwarzyć o tem i o owem, ducha polskiego znowu na życie w tych ostępach zacerpnąć.

Powitanie serdeczne było, ale krótkie, gospodyni bowiem nalegała na pośpiech, prosząc do wieczery. Gderała też na męża, że tak późno do domu nadciągnął. Ruszyliśmy tedy corychlej pod studnię dziesięć pokładów czerwonego kurzu ze skór swych zmywać, a kiedyśmy tego dokonali, zabraliśmy się żywo do obfitej wieczery. Pięćdziesiąt kilometrów bryką po leśnych drogach działa na apetyt tak wydajnie, że o naszej przewodzie przy stole nie potrzeba dużo pisać. Rosół co z najtłustszej kury oraz tęgą kawą wieprzowiny z ryżem i fizonowe „rewirado” zniknęły po kolei w naszych nienasyconych żołądkach.

A po wieczery przed domostwem na ławach zasiedliśmy i, kręcąc papierosy w liściach kukurydzanki, zaczęliśmy pogwarke. Powiadaliśmy im o tej Polsce nowej, co z oparów krwawych, z pożogi światowej do życia powstała i o jej wielkim budowniczym — Komendancie, a oni przepytывali nienasyceni, ciągle głodni wieści wszelakich. A potem oni opowiadać poczęli. Pana Szymona głos pierwszy się odezwał:

— Z pod Płocka wychodzę. Było się fornałem we dworze. Ojciec i dziad i pradziad też byli fornałami i, jak pamiętamy, na dwor-

⁵⁾ Portera — zagroda dla bydła.

⁶⁾ „Walenton” z portugalskiego „valentao”, zuch — zawadjaka.

skiem we Woli siedzieliśmy. Swego gruntu człek nie miał i płachetka. To też cknęło się do niego. Hej, żeby tam boru choć kawał... Ale cóż? Bór był ino pański.

I batem w drżącej z zadowolenia dłoni toczył w półkole po horyzoncie i dumą nabrzmiałym głosem mruczał:

— Tysiąc alkrów, panie. Kawał boru nielada. I to wszystko moje.

Aż ci tu poczęły chodzić po wsi słuchy, że hen, gdzieś za morzami, za wodami i górami jest taka ziemia wielgachna, Brazyleja — mówili — wiadomo Brazylja, co to w niej chleb na drzewie rośnie, bór dla wszystkich jest po równi, a złota i djamentów w każdej strudze najmniejszej tyle najdzie, że każdy może nabrać do syta. I zaczęli powiadać ludzie, że to Ojciec święty wygrał tę ziemię od cesarza brazylijskiego w karty i Matce Przenajświętszej, Królowej Polskiej, dla narodu naszego ofiarował, żeby biedny lud, co w Polsce i zagonka dostać nie może, tam cały szmat boru mógł se wybrać. I tak wieść szła po wsiach, aż w ludziach wielka ochota poczęła się rodzić, by do onej Brazylji się wydostać. Zaczął się naród zbierać i po karczmach radzić, jak to i kędy do tej ziemi obiecaney droga. Ale że to biednemu narodowi wiatr zawsze w oczy, tedy i księża zaczęli tych, co namawiali naród za morza, wyklinać i panowie ze dworów stawali naprzeciw, no i urzędniki też się jęły na naród ciskać. Ale naród nic. Jak se postanowił, to już nie było sposobu. Albo tu zmarnieć, albo w świecie. To też nie poradził ni ksiądz, ni pan, ni „bury“. Ostatni grosz wysupływali ludziska i jęli się całemi gromadami przez „zieloną granicę“ przebierać do Prus i dalej do portów. Płynęło tych kup co niemiara.

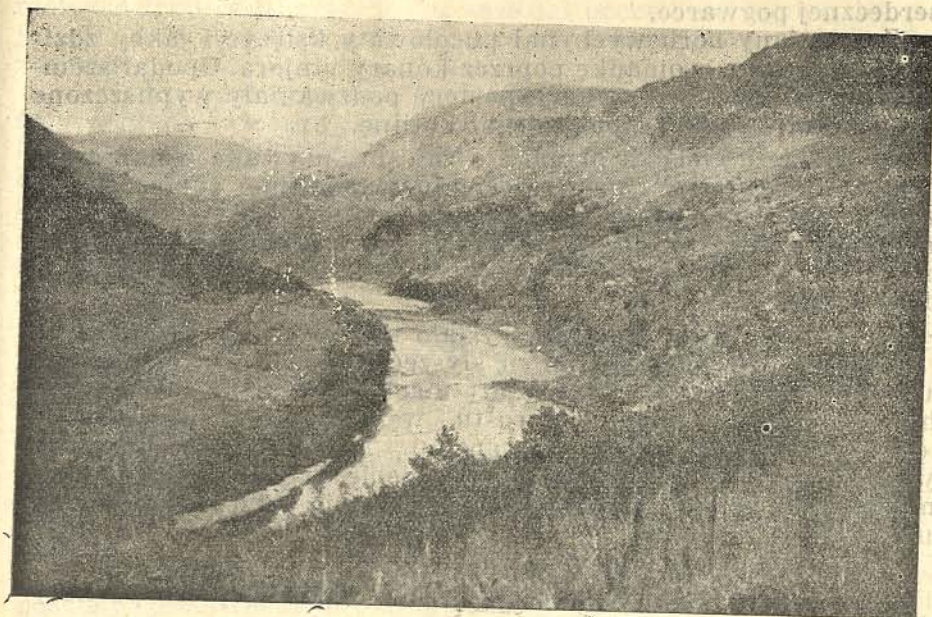
Poszliśmy i my. Ja z ojcami.

Panie, cośma w tych Niemcach przecierpieli, co zaś na tym okręcie. Ale nic. Naród się krzepił, że to aby jeno do tej Brazylji, a tam już będzie wszystko dobrze. Ale jak my do onej krainy zajęchali i w tym Ryju⁷⁾ wysiedli, to się dopiero okazało, jak nas oszukali one gadacze. Ziemia niby była, ale gdzieś daleko, a i szakry nie były pomierzone, jak też porządku w tym brazylijskim rządzie nie widziałeś nijakiego. Luda zwało się huk, a nic nie było przysposobione na to. Te czarne niedbaluchy trzymały ci naród całemi kupami w żarze i smrodach, po marnych barakach. Febra i inne chorobiska trzebiły go, kiej ogień, co przez bór idzie, dzieciśka zaśię, że to słabe i mdłe, marły jak muchy. Naród na duchu padał i myślał, aby jeno do boru, na grunt. Ale gruntu nie dawali i nie dawali. Chcielim do Parany, skąd wieść szła, że swojaków już jest gromada, ale do onej Parany puszczać nie chcieli, bo nie było ziemi pomierzonej. Tak rozlaził się naród po innych krajach, a to do „Ducha Świętego“ (Espirito Santo), a Pawła Św. (Sao Paulo), a „Św. Katarzyny“ (Santa Catharina), zaśię inni jeszcze do „Gęstego Boru“ (Matto Grosso) próbowali. Rozpierzchali się ludziska i marnieli po tych dalekich krajach.

Nakoniec nas też do Parany wysłali. Pod Ponta Grossa na kolonji Moema dali nam kawał boru. Pożal się Boże, co to był za „szakier“⁸⁾. Ale już odetchnęlim, że jest o co ręce zaczepić. No i jęli my

⁷⁾ Rio de Janeiro w chłopskiej gwarze.

⁸⁾ Nadział gruntu na kolonji, z portugalskiego.



Pierwsze osiedla Polaków w Rio Grande do Sul (Brazylja). Widok rzeki „das Antas“, nad którą przed 40 laty mieszkali setki rodzin polskich; [dziś] pozostało ich już niewiele.

się pracy. A że potrzeba było gotowego grosza dorobić, bo co było, to po onych barakach się wydało, to starzy ostali na szakrze, a jam poszedł do Fonta Grossa do pomocy cieślom, jako, że przy siekierze się nieco we dworze wyuczyłem. I robiłem w skwarze, na słońcu, za 300 rejsów na dzień.

No, ale się człek nie dawał. Rok za rokiem szedł w tej orce i trudzie. Męczył się naród, niejaki marniał, ale kto przetrzymał, ten się zwolna dzwigał. A że ludu z Polski i z innych krajów szło coraz więcej, to i ruch powoli się robił w tych zapadłych stronach. Po 15 latach sprzedałem szakier za jaki taki grosz i wyszlim w lasy. I tak powoli zabrnąłem aż tutaj, za Guarapuawę. Kiedym w te bory zawitał, swegom tu nie widział. Same jeno „dziki“⁹⁾ tu siedziały. Zaczął też człek od 50 alkrów i zwolna się przykupywało. Ma się boru szmat nielada i pan se jestem całą gębą.

Co się jednak przeszło, to się przeszło.

Na ciemnym firmamencie mrugały jeno gwiazdy, jakby przytakując, gdzieś zakwilił ptaszek „Wola krwią“ zwań i lekko zaszmiał potężny pinjor u domostwa.

Potem i oni opowiadali jeszcze swe dzieje, a wszystko, co mówili, świadectwo dawało prawdzie starej, jako nasz chłop ziemi głodny jest jak wilk; a na bór szczególnie lasy, jako do wszelakich ofiar jest skłonny, by go dostać, jako wreszcie twardy jest i nieustępliwy, gdy do tego celu idzie. I ponieważ, i klimat mokry, i bór srogi, i porządki liche przetrzyma, a ziemi zagarnia coraz więcej.

⁹⁾ „Dzikami“ zwa nasi kabokli, leśnych Brazylijan.

I tak szły te opowieści w ciszy nocnej. Chwile mijały szybko na serdecznej pogwarce.

Z za ściany boru wychynał puciołowaty księżyc i jakby zdziwiony zerkał na tę gromadkę poprzez konary pinjora. Opodal szmeriał strumień, gdzieś w krzakach portery podzwaniały wypuszczone na paszę konie. Spokój błogi zalegał kotlinę.

Nagle ciszę głęboką przerwało żałosne, urywane wołanie. Za domem w mangueirze¹⁰⁾ na wzniesieniu stał jeden z synów gospodarza. W świetle księżyca smukła jego postać niesamowita jakąś znaczyła się sylwetą. Z dłoni, złożonych u ust, jakby róg myśliwski zrobił i jęklliwe wydobywał okrzyki. A bór cały echem donośnem rozbrzmiewał.

W kotlinie całej zawrzało. Zdało się, że każdy kierz, przed chwilą senny, ożył. Zewsząd dał się słyszeć rechot i kwik i ku domostwu przebiegać poczęły cienie. Stare maciory poważne i podświnki ruchliwe i młodzież miary i wzrostu wszelakiego — wszystko to w podskokach rwało się ku wołającemu. A on od czasu do czasu odrywał od ust dłonie i rzucał przed siebie kaczany kukurydzy. W mangueirze zgłębki zapanował. Gryząca się i kłębiąca czereda zgłuszyła naszą rozmowę.

Pan Szymon warknął pod wąsem:

— Nie mógł też tego prędzej zrobić? Teraz dopiero po nocy zwołuje świnię!

— A nie mógł — tłumaczyła matka — bo pod wieczór dopiero wrócił z za wody, a potem chciał też trochę z gośćmi posiedzieć.

— Bo to widzi pan — pod moim już mówił pan Szymon adresem — u nas to świnię luzem chodzą. Ktoby tam nastarczył dla nich grodzień. Po boru to hula, na owocach leśnych się wypasa, a przede wszystkim pinjorowemi się tuczy orzechami. I tak się mnoży i żyje w dzikości. Raz tylko na dobę wieczorem do kukurydzy się zwołuje, aby się całkiem od ludzi nie odzwyczaili. Przeważna ich część co wieczór pod dom ściąga i na wołanie staje do jadła, ale są i takie, co ich cały rok nie widać i psami je wyłapujem po boru. Kiedy kukurydza na „rosach“¹¹⁾ to się całe stado przebiera i te, co mogą już iść na wypas, wpędza się w rosę. Na alkier idzie tego pewna liczba, my ta już mamy swoje rozliczenie. Jak stado rosę zje, to i gotowe. Przyjedzie zgoniec z Ponta Grossy, czy tam skądinąd, kupi wszystko i gna potem nocami do kolei. Tylko tak możemy tu z tych bezdroży naszą kukurydżę w świat odstawić. Świnię ją jedne na krzyżu wyniosą. Ot, taka kaboklerska ta nasza gospodarka, ale inaczej nie poradzi.

Ale ja tego wywodu jednym jeno słuchałem uchem, a patrząc na podwórko, o dawnych, piastowskich zamyśliłem się czasach. Zdało mi się, że gdzieś, w czasy „Starej Baśni“ przeniesiony. Na rozległej wśród lasów polanie osiadł kmieć i boru szmat wziął w swe dziedzictwo. Trzebi go zwołna, kulturze oddając, i dobytku wszelakiego przymnaża i dalej pustkowiem zagarnia, a ławą idąc, głód swój nienasycony ziemi zaspakaja. Dziś to za Oceanem, jak tysiące lat temu nad Warty brzegami. A zawsze równie zaborczy i mocny.

¹⁰⁾ Mangueira — zagroda dla świń.

¹¹⁾ „Rosa“, z portugalskiego — wypalony i zasadzony zbożem las.

Noc była już głęboka. Jutro czekała nas dalsza włóczęga, a domowych trud codzienny, to też sąsiedzi poczęli się żegnać, by, póki jeszcze jest księżyc, do domu zdążyć. Aż i pan Szymon dzwignął się z ławy:

— No, pora spocząć. Pogwarzyliśmy se godnie. Zaczepnaliśmy w płuca świeżego powietrza z Ojczyzny, z Polski kochanej. Dąleka ona, ale sercu zawsze droga. Czem nas stać, tem jej z pomocą iść zawsześmy gotowi. I synów posłałem garść pod jej sztandary i grosza przyrzucilim co nieco. A tu z dnia na dzień buduję też Polski kawał. Ziemi tu przymnażamy i „dzików“ przeganiamy coraz dalej, a swoich ściągamy do gromady.

— Moc nasza z ziemi idzie. Duch nasz z Polski jest.

— Niech żyje Polska!

Ciszę boru przerwał gromki okrzyk wszystkich obecnych. „Niech żyje!“ echem stukrotnie powtórzyły wzgórza. „Niech żyje!“ odbiła ściana boru.

„Niech żyje!“

Jako, że żyła zawsze i żyje i żyć będzie Polska w tych sercach prostych, a zacnych, co wyrwane han z ojczyznościami, tu za morzami, nad nurtami Uguassu, czy S. Francisco, Polskę, jak umieją, budują.

Wszystko już spało dokoła, a ja się jeszcze na sutej, kmiecej pościeli przewracałem, długo nie mogąc skleić powiek. Spokój wszechwładnie zapanował już w kotlinie. Gdzieś za ścianą warczał pies, wietrząc jakowegoś zwierza, to znowu o węgiel domu drapały się świnię, postępując.

A do mnie z uporem powracała wciąż ta sama myśl:

Nie wie zaprawdę Polska, co to za siłę ma w swym ludzie, jaka moc w tych zawziętych tkwi chłopach, ile to możnaby z nimi dokażać, jakie to kraje i ziemie przestronne po lądach dalekich zwojować, bo ci takie Szymony i Bartki ni skwaru się nie boją, ni boru dzikiego, ni przyrody wrogiej, ni ludzi obcych.

A gdy zasypiał już, jeszcze mi majaczyła krępa postać pana Szymona, stojącego na wozie z batem w rękę i brzmiały mi w uszach jego słowa:

„A to wszystko moje! Wszystko moje!“

Kurytyba, w lipcu 1925.





Statek szkolny „Lwów” w porcie Paranagua (Brazylja) w roku 1922. Przyjęcie na pokładzie miejscowej kolonii polskiej z ówczesnym konsulem R. P. w Kurytybie p. Kazimierzem Głuchowskim na czele (stoi pierwszy od lewej).



Na pokładzie żaglowca szkolnego Marynarki Wojennej O. R. P. „Iskra” na Atlantyku w czasie powrotu z podróży do Nowego Jorku (rok 1930).

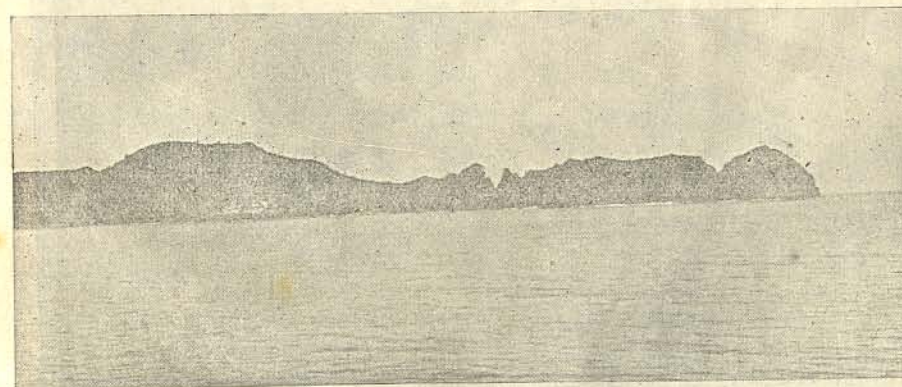
Emigracja a rozgrywki polityczne w Ameryce Południowej

Chwilowe ograniczenia imigracyjne, wprowadzone od niedawna w większości republik południowo - amerykańskich, nie mogą być długo utrzymane w mocy. Skoro tylko zmniejszy się bezrobocie, rządy republik amerykańskich uchylą obecne ograniczenia i w dalszym ciągu dążyć będą do popierania ruchu imigracyjnego.

W większości państw południowo - amerykańskich istnieją specjalne polityczne przyczyny, dla których każdy przyjezdny Europejczyk jest pożądanym.

Prawie wszystkie państwa południowo - amerykańskie mają dotychczas nieuregulowane granice. Większość dotychczasowych wojen i sporów na terenie Ameryki powstaje prawie wyłącznie z tego powodu. Spory graniczne między państwami amerykańskimi trwają od czasu ogłoszenia ich niepodległości. Stare mapy hiszpańskie, według których podzielono kolonie między nowopowstałe państwa, są niedokładne. Chile, Peru, Boliwia, Urugway, Guatemala i t. d. prawie wszystkie toczą od przeszło stu lat spory graniczne. Mniej więcej 25% granic jest tylko „chwilowo” uregulowanych. Często nawet do spornych terytoriów roszczą sobie pretensje naraz trzy państwa, jak na przykład w sporze o prowincję „Tacna - Arica”, którą niepodobna było podzielić między Chile, Peru i Boliwię. Trudność uregulowania granic zwiększa i ta okoliczność, że sporne terytoria są bardzo słabo zaludnione. W tych warunkach zrozumiałą jest rzecz, iż emigranci, jako najbardziej ruchliwy element, najlepiej się nadają do skolonizowania spornych granic. Emigranci są więc potrzebni, nie tylko dlatego, by gęste puszcze zamieniać w pola urodzajne, ale również dlatego, by wzmocnić niczem nie chronione granice.

Obecny spór między Boliwią a Paragwajem dobitnie wykazał politykom tamtejszym, że same fortece nie wystarczą, aby utrzymać dotychczasowy stan posiadania. Republiki południowo - amerykańskie żyją w ciągłej obawie o nieutrącenie odległych prowincji, z któ-



Wyspa Fernando Noronha na Atlantyku, należąca do Brazylji, miejsce zesłania przestępców.

remi wobec braku komunikacji tracą łączność ekonomiczną. Nie trzeba się więc zbyt dziwić, iż są w Ameryce Południowej tereny, które rządy oddają za bezcen, mając w pierwszym rzędzie na myśli unikanie wojen i sporów granicznych, które jeszcze wiele lat trwać będą. Przed kilkudziesięciu laty toczył się spór między Argentyną a Chile o posiadanie całej Patagonji, spór został zakończony i natychmiast rozpoczęto kolonizację, aby utrwalić stan posiadania. — Oba państwa chcą się wzajemnie prześcignąć w utrwalaniu granic.

Emigracja europejska ma jeszcze inne znaczenie polityczne dla niektórych państw Ameryki Południowej. Znaczenie to, bardziej utajone, nie mniej jednak ważne, niejednokrotnie będzie jeszcze powodem, dla którego emigracja europejska uważana będzie za czynnik pożądaný dla wewnętrzno - politycznych stosunków.

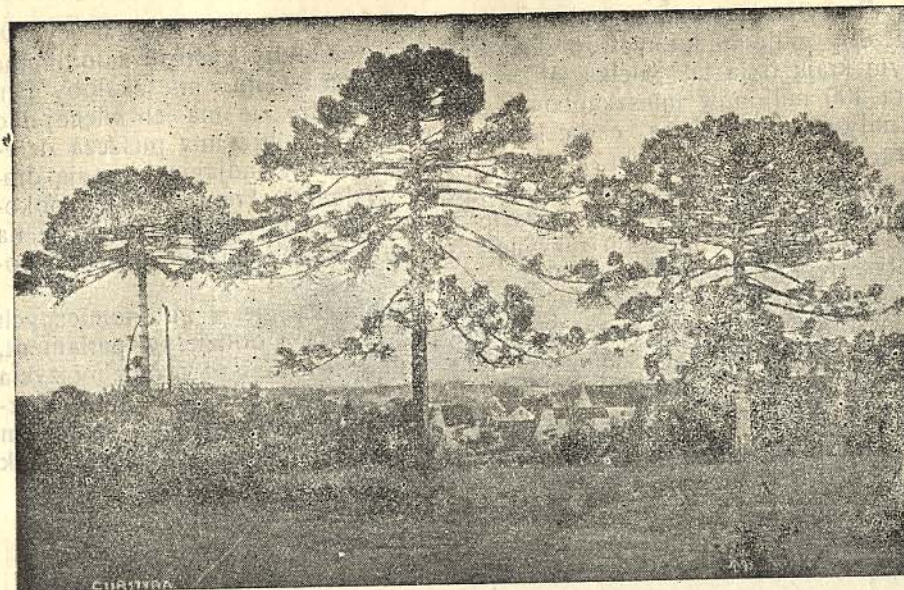
Partje polityczne niektórych państw południowo - amerykańskich uważają za punkt honoru zwiększenie liczby swych członków. Oczywiście więc jest rzeczą, iż agitacje polityczne szerzą się i między nowoprzybyłymi. Niektóre partje polityczne, zyskują sobie zwolenników wprost wśród przybywających z okrętów. Nowoprzybyły emigrant otrzymuje dowód przynależności partyjnej, poczem następuje zupełna asymilacja przez nabycie obywatelstwa, o które już dana partja się dla niego stara. Liberalna partja „Batlistów“ w Urugwaju miała dokładne spisy przybywających imigrantów, informacje otrzymywała z Europy, a dane osobiste, dotyczące każdego przyjeźdnego ułatwiły w ciągu kilku lat tej partji zjednanie sobie wszystkich nowoprzybyłych. Przeciwnicy jednak, widząc, iż w przyszłości ta polityka doprowadzi do ich upadku, większością głosów uchwalili ograniczenie imigracji na przeciąg roku. Przyczyną tego ograniczenia nie jest ani bezrobocie, ani obecny kryzys, ale w pierwszym rzędzie obawa przed przeciwnikami politycznymi.

Tak więc jak długo trwać będą spory graniczne i walki polityczne, tak długo trwać będzie imigracja europejska do Ameryki Południowej.

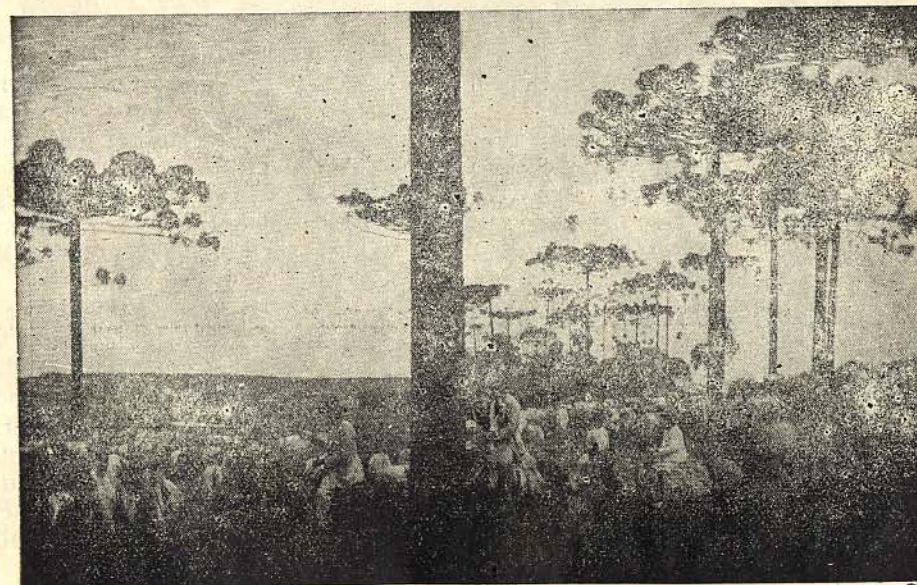


„Dziewiąta“ fala na Atlantyku.

Z krajobrazów Parany



Pinjory.



Na stepach parańskich.

Brazylja i wychództwo polskie

Brazylja jest krajem prawie tak wielkim jak Europa. Obszar jej wynosi 8 1/2 miliona kilometrów kwadratowych. Gdyby gęstość zaludnienia w tym kraju była tak wielka jak w naszej części świata, mieszkałoby tam zgórą 400 milionów mieszkańców. Jednak Brazylja nie ma ich więcej nad 40 milionów. Większa część kraju pokryta jest olbrzymią puszcza dziewiczą, po której w wielu miejscach koczują dżicy Indianie i hasają drapieżne zwierzęta. Tylko na południowym-wschodzie kraju człowiek pokonał większe niż gdzieindziej połacie lasów pierwotnych i zamienił je na pola uprawne. Tylko tam rozwinęła się kultura podobna do naszej i powstały większe skupienia ludzkie.

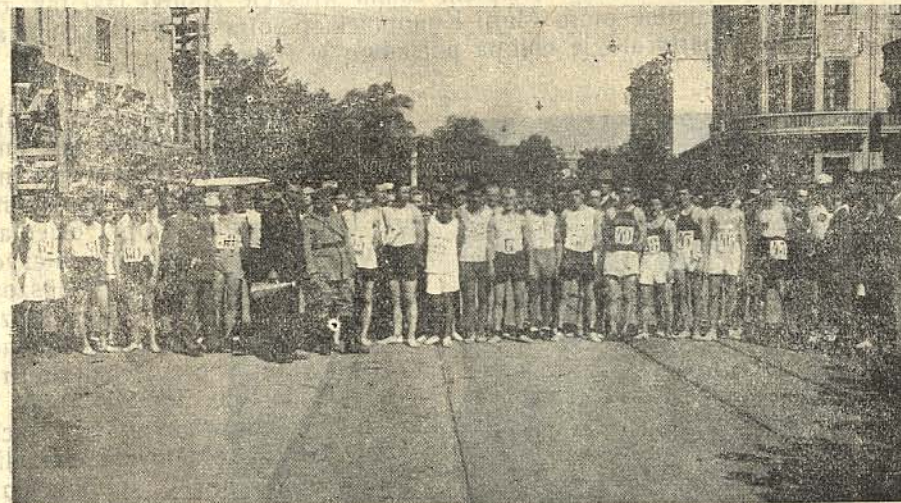
Brazylja jest republiką związkową, składającą się z autonomicznych stanów. Każdy stan ma oddzielnego prezydenta i oddzielny parlament, decydujący o sprawach miejscowych. Jednak ważniejsze dziedziny życia państwowego, jak: sprawy zagraniczne, wojsko, cła należą do rządu związkowego. Pomimo to samorząd stanów jest bardzo rozległy, — wolno im np. utrzymywać własną milicję, dobrze uzbrojoną i nieźle opłacaną. Tak więc obok wojsk związkowych istnieją również i wojska stanowe.



Drużyna polskich harcerzy z Sao Paulo (Brazylja)

Brazylijanie mówią po portugalsku i wyznają religię katolicką. Pod względem rasowym stanowią mieszaninę przeróżnych ras i narodów. Potomkowie niewolników murzyńskich stanowią dosyć duży odsetek ludności.

Obok „rdzennych” Brazylijan stanowiących mieszaninę Portugalczyków z murzynami i indjanami, mieszka w Brazylji bardzo wielu imigrantów z Europy i ich potomków. Są to głównie Włosi, Niemcy, Polacy, Rusini, Syryjczycy i Żydzi. Grupują się oni głównie na południowym-wschodzie Brazylji i im to przedewszystkiem ta część kraju zawdzięcza swój rozwój gospodarczy.



Dzień „Junaba” 23 sierpnia 1931 r. w Kurytybie. Start do biegu ulicznego.

W tej właśnie połaci Brazylji, a właściwie tylko w trzech skrajnie południowych stanach: Paranie, Santa Catharinie i Rio Grande do Sul, mieszka 270.000 Polaków, zajmujących się niemal wyłącznie rolnictwem na polskich kolonjach rolniczych, tworzących w wielu miejscach zwarte i jednolite pod względem narodowym bloki polskie.

Pierwsze kolonie polskie w Brazylji, w stanie Parana, założyli Słazacy w latach siedemdziesiątych. Rozłożyły się one w pobliżu stolicy stanu — **Kurytyby** i znajdują się dzisiaj w kwitnącem położeniu materialnem.

Następna wielka fala imigrantów polskich napłynęła do Brazylji w latach 1890—1891. Rząd brazylijski zniósł w 1888 roku niewolę murzynów i chciał czarną siłę roboczą na plantacjach kawowych w San Paulo zastąpić chłopami z Polski. Po całej Polsce rozbiegli się dobrze płatni naganicze emigracyjni rządu brazylijskiego i wywołali u nas t. zw. **Wielką Gorączkę Brazylijską**. Opowiadali oni niesłychane rzeczy naszym chłopom. Mówili im, że w Brazylji czeka na nich pięknie odmierzona i wykarczowana ziemia, z ładnymi zabudowaniami, pełnymi narzędzi rolniczych i inwentarza. Bardziej naiwnym opowiadano o złotym piasku i zegarkach, rosnących na drzewach...

Pod wpływem tej niesumiennej agitacji zgonili agitatorzy do Brazylji aż 30.000 naszych imigrantów. Zamiast przewozić ich obiecane luksusowymi statkami, stoczyli ich w potwornych międzypokładach, gdzie

w brudzie i zaduchu marli masowo od przeróżnych chorób. W Brazylii nie czekały ich piękne, wyrobione pola, lecz wysyłano ich na fazendy kawowe, gdzie kazano im być parobkami u panów, przywykłych do służby niwelniczej. Wielu naszych emigrantów zmarnowało się zupełnie, wielu utonęło w morzu obcem, wielu wymarło na żółtą febrę jeszcze w barakach dla emigrantów na Wyspie Kwiatów (Hbadas Flores) w Rio de Janeiro, duża jednak część, niezłamana przeciwnościami losu, powędrowała do Parany, gdzie istniały już kwitnące kolonie Górnoślązaków. Rząd dał tam każdej rodzinie po 10 akrów (25 ha) lasu siekierę, barak i żywił ją nędznie przez pewien czas. Pozbawiony wszelkich zarobków chłop, przeszedł prawdziwą gehennę wszelakiego rodzaju cierpień, zanim wreszcie zdobył jaki taki dobrobyt. Tylko genialne pióro Marji Konopnickiej potrafiło w „Panu Balcerze” oddać martyrologię chłop polskiego w Paranie.



Banany, podstawa pożywienia Brazylijan.

morza. Wyżyna ta w wielu miejscach opada znacznie niżej, ale niema to znaczenia, ponieważ wzniesienia mniej więcej ponad 700 m., posiadają ogólne cechy klimatyczne te same i dopiero w niżej położonych miejscach zaznaczają się poważne różnice. Wyżyna w S-ta Catharinie, oraz opadająca ku południowi wyżyna w Rio Grande do Sul mają te same charakterystyczne cechy klimatyczne, jakie posiada wyżyna w Paranie.

1). Por. Fr. Łyp — Brazylija — nakładem Nauk. Inst. Em. — Warszawa 1930.

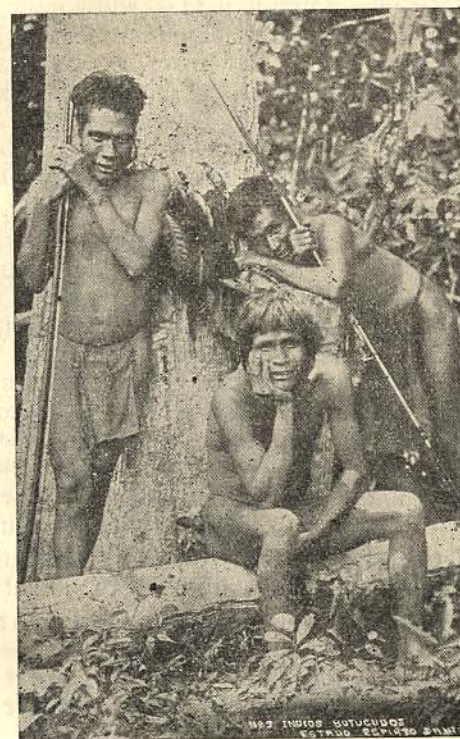
W latach 1910—1912 popłynęła do Brazylii trzecia fala emigracji polskiej. W czasie wojny imigracja ustała zupełnie, po wojnie już tylko drobne grupki osiedlały się na polskich kolonjach rolniczych na południu Brazylii. Większość powojennej imigracji — to ludzie niewpuszczeni do Stanów Zjednoczonych, którzy przyjechali do Brazylii nie na rolę, lecz do robót w przemyśle budowlanym i fabrykach. Słaby rozwój przemysłu brazylijskiego spowodował, iż położenie tych powojennych imigrantów było niewesołe i dzisiaj — z powodu kryzysu przeżywanego przez Brazylię — część z nich wróciła do Polski, część zaś, większa, osiedliła się na południu Brazylii w charakterze drobnych rzemieślników w miastach lub też przymknęła do starych kolonistów polskich.

W chwili obecnej w stanie Parana mieszka 165 tysięcy Polaków i 60 tysięcy Ukraińców.

Parana¹⁾ stanowi wyżynę, której główny trzon wzniesiony jest na 800—1000 metrów nad poziom

Klimat wyżyny jest umiarkowanie ciepły i łagodny. Lato znacznie cieplejsze niż w Polsce, noce chłodne, wiosna i jesień bez gwałtownych przejść, a zima jest raczej przewlekłą jesienią, gdyż liście nie opadają z drzew (z wyjątkiem niektórych, importowanych z Europy), słońce w południe grzeje nieraz również dokuczliwie jak w lecie, tylko przymrozki, oraz przejmujący zimny wiatr, zwany na południu i w Argentynie pampiro, przypominają, że jednak odbywa się tu doroczna zmiana w przygodzie.

Maj przypada w jesieni i jest również tak piękny, jak w Polsce. Promienie słoneczne mają prawie tę samą siłę i ciepło, noce stają się jednak coraz chłodniejsze, a czasem nawet już w początku maja pojawia się kilka przymrózków z temperaturą — 1°C. W zimie spadają co jakiś czas ulewne deszcze, następnie nieco wypogadza się nagle i nagle pojawia się mróz, który w okolicach położonych wyżej 1000 m. dochodzi do 8°C.



Indianie brazylijscy.

Zmiany temperatury są dość gwałtowne. Np. zrana zimno dochodzi nieraz do — 8°C., a w południe do +26°C. Europejczyk dotkliwie to odczuwa. Z czasem jednak przyzwyczajają się, jakkolwiek nie w takim stopniu, jak murzyni i tubylcy, których organizmy, prawem dziedzictwa, przystosowały się znakomicie do tego rodzaju gwałtownych zmian.

W Paranie śnieg pojawił się na krótko w latach 1887, 1892, 1924 i 1928, poza tem nie padał wcale. Natomiast w Rio Grande do

Sul pojawia się częściej, ale szybko znika. Koloniści zwą zimę ze śniegiem — zimą polską.

W ogólnym ujęciu przeciętna temperatura całego roku na wyżynie wynosi $+16^{\circ}\text{C}$. (latem $+20^{\circ}\text{C}$., zimą $+12^{\circ}\text{C}$.) Maximum dochodzi w styczniu i lutym do $+32$ (w cieniu), a minimum (czerwiec — lipiec) do -6°C ., z czasem nawet do -8°C .

Umyślnie zatrzymałem się dłużej nad klimatem wyżu parańskiego aby uczynić bardziej zrozumiałą okoliczność dla czego właśnie do Parany skierował się główny strumień kolonizacji polskiej w Ameryce Południowej. Zaś wyjątkiem podobnych pod względem klimatycznym trzech stanów południowych (Parana, Santa Catharina i Rio Grande do Sul), reszta Brazylii ma klimat gorący, do którego ludzie naszej rasy nie mogą się przyzwyczaić, jeśli zaś nawet jakaś grupa naszych rodaków zdoła się tam zaaklimatyzować, to następne pokolenia degenerują się pod względem fizycznym i giną w morzu mieszanców.

Wychodźstwo polskie w Brazylii nosi charakter osadniczy. Znakomita większość naszych rodaków zajmuje się tam, podobnie jak w Polsce, rolnictwem. Polacy w Brazylii potrafili jednak wytworzyć, niemal pełne społeczeństwo, w którym nie brak ani jednej warstwy. Posiadają oni sferę inteligencji, kupiecką i rolniczą. Za miarę rozwoju życia polskiego na południu Brazylii, służyć może fakt, że istnieje tam kilkaset towarzystw polskich, skupionych w Centralnym Związku Polaków w Brazylii organizacji skupiającej w swoim łonie zarówno żywioły klerykalne jak i wolnomyślne. Centralny Związek należy do Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy.

Szkolnictwo polskie w Brazylii, utrzymywane przeważnie z datków i opłat samego wychodźstwa, rozwija się w sposób naprawdę imponujący. W roku ubiegłym było 229 szkół polskich z 275 nauczycielami i 9,405 uczniami. Ilość dzieci polskich, mieszkających w okolicach, gdzie istnieją obiektywne możliwości uczęszczania ich do szkół polskich, wynosi około 15,000. Tak więc przeszło 60 proc. dzieci polskich w wieku szkolnym uczęszcza do szkół narodowych. Należy zaznaczyć, że procent ten wymownie świadczy o zamiłowaniu do wiedzy wśród naszego wychodźstwa, gdyż w całej Brazylii tylko 25 proc. dzieci w wieku szkolnym chodzi do szkół. Dla pomieszczenia wszystkich dzieci w szkołach polskich trzeba założyć jeszcze 121 szkół i przyjąć 95 nauczycieli.

Oprócz szkół, istnieją w Brazylii również i ochronki polskie. Jest ich 7, wychowują one 200 dzieci polskiej w wieku od lat 3 do 6-ciu.

Położenie materialne kolonistów naszych w Brazylii jest zupełnie dobre. Pomimo kryzysu, rodacy nasi mają się wcale nieźle. Podatki niskie, żywności dużo, pieniędzy wprawdzie mało, ale niezbyt są one potrzebne, gdyż gospodarka rolników parańskich jest w dużej części samowystarczalna.

Jeden z kolonistów polskich z dorzecza rzeki Ivachy, tak scharakteryzował położenie swoje w Paranie.

„Przed 19 laty byłem parobkiem we dworze, w okolicach Zamościa. Żyłem nadzwyczaj nędznie. Rano żur z kartoflami, w południe żur i wieczorem żur. Mięso widziałem tylko raz na rok, na Wielkanoc. Dzieci chowały się jak zwierzęta bez nauki. Na stare lata czekała mnie torba żebracza.

Na dwa lata przed wojną jeden ze znajomych rzekł do mnie:

— Jedźcie z nami do Brazylii, Grzegorzu. Rzućcie tę biedę do chłery. Może wykierujecie się wreszcie na gospodarza.

Pojechałem. Biedy nazyłem się wiele, ale dla mnie to nie nowina. Nic nie mogło pogorszyć mojej nędzy. Ale teraz — panie kochany — ho, ho!

Mam 25 hektarów ziemi, przeważnie pod uprawą, setkę świń, kilkaset uli, własny tytoń i cukier z trzciny cukrowej, którą wyciskam w kieracie. Nie brakuje też krów i koni.

Dawniej rznąłem swinię raz na rok, teraz daję jej w łeb co miesiąc. A kurę to rzną prawie codziennie. Mam tyle tego talałajstwa, że nie mogę zliczyć. Skończyłem z żurem... Jem dużo i tłusto.

A wódki pan myśli, że mi brak. Mam w komorze ze sto butelek cachas'u (cachas — fuzłowata wódka z trzciny cukrowej). Żyć nie umierać.

Dzieci to nie żyją jak zwierzęta, lecz chodzą do szkoły.

Tak jak żyje wymieniony kolonista, — żyje większa część naszych rodaków w Paranie.

Pielęgnują oni troskliwie swój język i swoje obyczaje narodowe. Przejechałem raz, w dorzeczu rzeki Ivachy, przestrzeń 200 km. Wszędzie ludzie mówili po polsku lub rusku i wszędzie w tych językach odpowiadali na moje pozdrowienia.

Dla zobrazowania potęgi żywiołu polskiego w Paranie muszę zaznaczyć, iż są oni w posiadaniu miliona hektarów ziemi i bezustannie pomnażają swój stan posiadania. Zazwyczaj tylko jeden syn licznej rodziny kolonisty polskiego obejmuje ojcowiznę, reszta idzie w lasy i wyrębuje sobie nowe warsztaty pracy rolnej; w ten sposób żywioł polski coraz głębiej wdziera się w głąb brazylijskiej puszczy dziewiczej i staje się władcą coraz to większych obszarów ziemi.

W rolnictwie Parany Polacy odgrywają rolę decydującą. Nie dawno odbyła się w stolicy tego stanu — Kurytybie — Wystawa Rolnicza, w której na 39 przyznanych wystawcom nagród, aż 34 wzięli rolnicy polscy. Tutejsza ludność — nawpół dzicy caboele — coraz bardziej ustępują przed żywiołowym parciem chłopów polskiego.

W stanie Rio Grande do Sul mieszka 80.000 Polaków zamożnych i świetnie zorganizowanych. Największa kolonia polska, San Feliciano, liczy 9.000 naszych rodaków. Nawet murzyni, mieszkający na tej kolonii, mówią niekiedy po polsku. W swoim czasie zdarzył się w Rio Grande zabawny wypadek. W czasie jakiejś uroczystości w szkole polskiej dziecko murzyńskie, uczęszczające do tej szkoły, deklamowało:

„Kto ty jesteś? Polak mały...

Jaki herb twój? Orzeł biały...

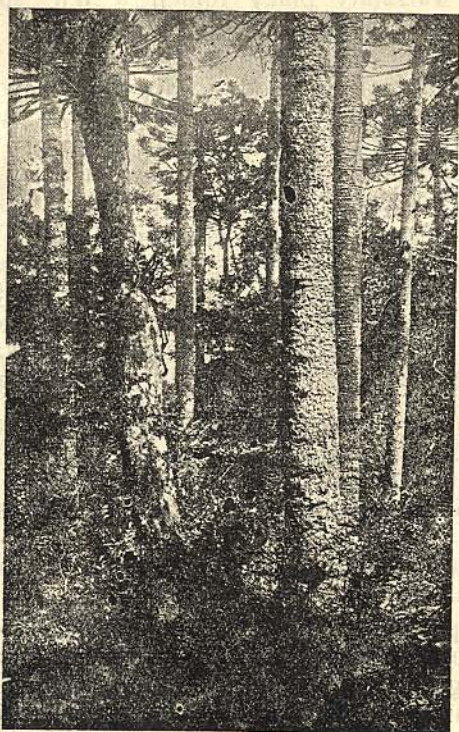
Ryk śmiechu i radości nagroził ten zabawny występ czarnego patrioty polskiego.

W stanie Santa Catharina mieszka 25.000 Polaków. W innych stanach brazylijskich niema ich więcej nad 5.000.

Oddzielną grupę, bardzo nieliczną, bo liczącą zaledwie około 1000 głów, stanowią koloniści polscy w zwrotnikowym stanie Espirito Santo czyli Ducha Świętego. Pobożni koloniści polscy, myślący, że ziemia o tak pięknej nazwie musi być dobra, osiedlili się tu w liczbie 60 rodzin, koło roku 1870. Liczba ta nie wzrosła prawie wcale i koloniści nasi chociaż nie wymarli osłabli jednak pod względem fizycznym i mocno zdzicześli.

Nowa próba kolonizacji polskiej na terenach Polskiego T-wa Kolonizacyjnego nad Rio Doce w latach 1929—1931 nie powiodła się. Kolonję założono bardzo głęboko w puszczy, nie połączono jej drogą z miasteczkiem i skazano w ten sposób na nędzną roślinność. Część uciekła z kolonji, część pozostała na niej i chociaż nie cierpi głodu, niema jednak szans dorobienia się, chyba, że zbudują kiedyś upragnioną drogę i skończy się kryzys kawowy.

Wychodźstwo polskie w Brazylii stanowi dla naszego narodu czynnik wysoce aktywny. Żelazną wytrzymałością swoją i pracowitością chłop polski pokonał ogromne połacie puszczy brazylijskiej i zwyciężskim trudem przekształcił się z lekceważonego parobka—najmity u pioniera—w zdobywcę. Dzisiaj już wrósł mocno w glebę podzwrotnikową i żadna siła go już stamtąd nie ruszy. Żywi on głęboką wdzięczność i przywiązanie do słonecznej Brazylii, w której znalazł dobrobyt, a przede wszystkim tak upragnioną przez siebie ziemię, nie zapomina jednak o Polsce, języku ojczystym i tradycjach narodowych i daje wciąż wzruszające dowody tej pamięci. Pracą swoją, energią i zaletami moralnymi udowodnił Brazylijanom, że jest pierwszorzędnym materiałem pielnierskim i, że tylko okoliczności od niego niezależne uniemożliwiły mu słoneczną w jednym szeregu z Anglikami, Hiszpanami, Portugalczykami i Francuzami — wielkimi kolonizatorami i zdobywcami ziem dziewiczych



Tadeusz Milan

MARSZ DRUŻYN PARAŃSKICH

Po nowe życie, nowy świat,
Świeży laur wieńczy nowy ład,
Zapach młodzieńczych gra nam lat.
Bacność drużyno, formuj front!

Ocean lśni się modrych wód.
Ach, jakąż przyszłość nam się nie śni!
Zaklęty życia wzbudzić cud
Przez wielkie czyny, śmiałe pieśni.

Od skrzydeł Orła i Pogoni
Z za mórz sdań wionął górny wiatr;
Muzyka puszczy i morskich toni
Zlewa się w akord z echem Tatr.

Hej, bacność wiara, równaj krok!
Pod nowe życie ściślem zgrab.
Wschodzące jutrznie biją w mrok
I nadpowietrznych echa trąb.

Po nowe życie, nowy świat,
Świeży laur wieńczy nowy ład,
Zapał młodzieńczych gra nam lat.
Bacność drużyno, równaj front!



W Gran Chaco

Boliwia i Paragwaj, dwie spokojne do niedawna republiki, położone daleko od szlaków komunikacyjnych, znalazły się od pewnego czasu na szpaltach prasy całego świata. Sławy tej przysporzył im krwawy zatarg, wynikły między nimi o przynależność obszernego kraju, zwanego popularnie Gran Chaco. Nazwa ta nie oznacza terytorjów ściśle objętych granicami sztucznymi, czy też naturalnymi. Rozumie się pod nią rozległe lasy oraz niezmierzone stepy, porośnięte gajami palm i wstęgami lasów galerijowych, położone na pograniczu Argentyny, Boliwii i Paragwaju. Wspólną cechą tego kraju o nieustalonej przynależności państwowej jest brak dróg, ludności białej i wogóle wszelkiej cywilizacji. Zarówno Chaco argentyńskie*), jak boliwijskie i paragwajskie jest dotychczas far westem, dzikim zachodem, gdzie wędrowca mogą spotkać przygody, przypominające Karola Maya. Granice tego kraju gubią się w niezmiernych obszarach ziem do niego przyległych, również mało znanych i również dalekich od cywilizacji.

Niewiele jest krajów na świecie, które mogłyby skutecznie rywalizować z Gran Chaco malowniczością i pięknnością widoków. Najznacniejsza jego część przedstawia się jako wiecznie zielony step z bezładnie porożniętymi grupami przeróżnych gatunków palm. Niebrak też w nim puszczy dziewiczych. W wielu miejscach przecinają go rzeki, których brzegi obramiają cieniste lasy. Wysokie trawy, sięgające koniowi do brzucha i wyżej są poprzetykane kwieciami i krzewami. Łagodny klimat pozwala roślinności zielenić się przez cały rok, a różnym gatunkom pączkować, kwitnąć i owocować w najprzeróżniejszych porach. Niema takiego miesiąca w roku, w którym Gran Chaco byłoby pozbawione wdzięku wiosny, lata i jesieni jednocześnie. Znakomitą większość kraju stanowią równiny, poprzecinane gdzieś niedługo niewysokimi pasemkami wzgórz, nie przekraczającymi wysokości kilkuset metrów. Stanowią one działy wód dla niezliczonych rzek, z których jedne stapiają się z wodami Paragwaju, inne zaś, płynące przez bezwodne tereny stepowe, nie są w stanie przedrzeć się do nich i bądź zmieniają się w coraz węższe strumyki aby wreszcie zniknąć, bądź też kończą swój żywot pod postacią szerokich rozlewisk i błot.

W tym to właśnie kraju znalazłem się w czasie jednej ze swoich podróży. Najpierw przybyłem do małego miasteczka, liczącego półtora tysiąca mieszkańców, nazywającego się Villa Hayes i będącego stolicą strefy paragwajskiej. Stamtąd umyśliłem odbyć podróż w głąb lądu, w kierunku odległych o tysiąc kilometrów Kordyljerów.

Nie miałem zamiaru odbywać jakichś rekordowych rejdów, ani też „puszczać się” na odkrywanie nieznanych ziem i strumieni, lecz wprost chciało mi się znaleźć w stronach, które nic się nie zmieniły od czasów, gdy nawiedzili je pierwsi zdobywcy hiszpańscy. Ziem znajdujących się między rzeką Paragwajem i boliwijską granicą, nikt nie bada, ani zwiedza. Jest to niepodzielne dziedzictwo czerwonoskórych, pierwotnych władców Ameryki — Indian. Nie przeszkadza to jednak rządowi paragwajskiemu sprzedawać całych połaci kraju po śmiesznie niskich cenach wielkim przed-

*) Chaco argentyńskie posiada granice uznane zarówno przez Boliwię, jak i Paragwaj, a więc bezsporne. Podlegają dyskusji tylko granice między temi ostatnimi republikami.

siębiorstwom, które licząc na to, że przecież wcześniej czy później muszą tam powstać koleje, drogi i miasta, ziemie te chętnie nabywają. Z chwilą ucywilizowania brzegów Pilcomayo i Parapiti, grunta, które dzisiaj kosztują grosze, będą posiadały wartość setek tysięcy. Sprzedaże odbywają się w ten sposób, że nabywca nawet nie widzi nabywanych obszarów, a koczujący na nich Indianie nie mają pojęcia o tem, że ich tereny łowów dostały nowego właściciela.

Podróż po Gran Chaco należy do przedsięwzięć ryzykownych i niezbyt bezpiecznych. Najpoważniejszą przeszkodą w podróży jest brak wody



Kpt. Lepecki w odwiedzinach u Indian w Chaco.

słodkiej, której na całym tym olbrzymim obszarze, obejmującym około pół miliona kilometrów kwadratowych, znajduje się stosunkowo mało. Wiele rzek, jezior i jeziorek posiada wody słone lub słonawe. Gdy spadną deszcze, wody stają się słodsze i możliwe do picia, ale gdy gorące słońce przemieni strumienne i strumyki w wąskie nitki, sączące się leniwie, wówczas woda ich wogóle nie jest do użycia. Nie wszystkie jednak rzeki są słone. Niektóre tęczą przez cały rok wody słodkie. Do takich należy przede wszystkim Pilcomayo, a z innych, większych, które spotkałem na swojej drodze — Confuso, dopływ Paragwaju. Wzdłuż właśnie tej rzeki Confuso, w kierunku jej źródeł, postanowiłem wyruszyć. Miała mnie ona zabezpieczyć przed zbłądzeniem i przed utrapieniem pragnienia.

Jednak nietylko brak wód słodkich czyni Gran Chaco niebezpiecznym dla podróżnika. Nieznośne upały, dzicy ludzie i dzikie zwierzęta są niemiernie groźnymi jego nieprzyjaciółmi. Przemierzając stepy i lasy palmowe między rzeką Paragwajem i Pilcomayo, nie można liczyć na pomoc niczyją oprócz własnej.

Początkowo chciałem ruszyć na wyprawę konno, lecz znajomi odradzili mi, mówiąc, że byłoby to nader kłopotliwe. Przyznałem im słuszność,

gdyż koń, stanowiący na stepie i nawet w palmarach nieocenionego towarzysza, byłby w lasach galerjowych, pokrywających brzegi rzeki Confuso, tylko zawadą. Zdecydowałem się tedy ruszyć w drogę pieszo.

Ubrany w lekką, flanelową koszulkę, w spodnie krótkie, w trzewiki skórzane i także sztylpy, przywdziałem na głowę kapelusz z szerokimi kresami, uczepiwszy u pasa rewolwer, a przez ramię przewiesiwszy karabinek — wyruszyłem w drogę. Towarzyszył mi Ikpong, Indianin z plemienia Lengua, którego użyczył mi uprzejmie na czas pobytu w głębi Chaca, mój przyjaciel, kacyk Akaczara.

Był wczesny ranek. Szedłem szparkim krokiem przez zielony step i pełną piersią wdychałem czyste, przesycone zapachem traw powietrze. Ikpong, obciążony sakwą z przyborami niezbędnymi w podróży, łukiem, strzałami i potężnym rewolwerem kurkowym, stanowiącym jego niepomierną dumę — podążał wielkimi krokami o kilka metrów przede mną i wypatrywał wygodniejszych przejść. Wkrótce weszliśmy na ścieżkę, prowadzącą z Villa Hayes w kierunku rzeki Azuaray-Guassú, ale po kilkugodzinnym marszu porzuciliśmy ją i, miszerując na przelaj, dotarliśmy przed samym wieczorem nad rzekę Confuso. Jest ona niezbyt szeroka, lecz głęboka i obfita w wodę, co sprawia, że wysycha tylko podczas szczególnie długotrwałych posuch. W końcowym swoim biegu posiada około 50 metrów szerokości i dzięki brakowi wszelkich bystrzyn oraz wodospadów jest na dużej przestrzeni spławna. Na jej brzegach niema miasteczek, ani wsi. Mijają nieraz lata, a brzegi rzeki Confuso nie widzą ani jednego człowieka mniej więcej cywilizowanego. Nawet krzyk wojownika czerwonoskórego rzadko odbija się o gładkie tonie jej wód. Tylko głosy dzikich zwierząt: jaguara, i wilka-aguará — rozlegają się tam każdej nocy, budząc trwogę w sercach pomniejszych mieszkańców dżungli.

Droga wypadała teraz przez las. Początkowo szliśmy wygodnie, gdyż podszycie wydeptały stada zdziczałego bydła rogatego, lubiącego chronić się przed południowymi upałami w cieniste lasy nadbrzeżne. Jednak już po kilkunastu minutach marszu, las zaczął gęstnieć, a wreszcie zmienił się w zwykłą, spletaną i ciemną gęstwinę. Ze wszystkich stron wyrastały potężne kolosy timbów i guadjakanów, a z nich, niczem festony i misterne szale, zwieszały się węzowe skręty ljan. Cienkie jak druty telegraficzne i grube jak liny okrętowe; długie na kilkanaście metrów i krótkie, jakby połamane; giętkie jak gady i sztywne jak łodygi kukurydzy — wyrastały ljanya z każdego konara i z każdego pnia drzewa, czepiały się najmniejszego sęka, oplatały każdy krzak, przygłuszały życie całego świata roślinnego i panowały nad nim niepodzielnie. Niczem nieprzebyty mur, stawały nam na drodze i wzbraniały przejścia w głąb dżungli.

Patrząc na tę wspaniałą, wolną naturę, nieujarzmioną władczą ręką człowieka, przysłuchując się dziwnym głosom lasu i niesamowitym pokrzykom zwierząt — zdawało mi się, że duszę moją rozsądzi zadowolenie i szczęście z tego, że mogłem znaleźć się w stronach tak dalekich, wśród tych niezwykłych „dekoracji“, tak różnych od szarżyny i pospolitości codziennego dnia polskiego. Przecież szedłem po ziemi, na której widniały ślady jaguarów i pum, przecież spoglądałem na te same drzewa, na których spoczywał wzrok dzikich autochtonów tego ładu... Jakże nie miałem być szczęśliwy z tego, że wszystkie marzenia lat dziecińczych udało mi się przyoblec w rzeczywistość!

I tak wędrowałem po stepach i lasach Gran Chaca, na których dzisiaj rozlegają się ostre głosy komendy i wrzawa wojenna. Lecz wówczas nie śniło się nawet nikomu o wojnie. Na wolnych ziemiach koczowały wolne plemiona indyjskie, żyjąc według obyczajów, przekazanych im przez przodków. Mijały dni, tygodnie i miesiące. Wolno, mozolnie posuwałem się w głąb krain nieznanych, żyjąc z polowania i rybołówstwa, a odpoczywając w szałasach koczowisk indyjskich, bądź też pod gołym niebem. Minawszy



Indianie z Gran Chaco.

Fot. kpt. Lepecki

olbrzymie jezioro Patino, którego brzegi tworzą niezgłębione bagna, wykreśliłem na północ i opisawszy wielki łuk, skierowałem się znowu ku stronom zaludnionym przez ludzi białych. Gdy wreszcie pewnego dnia dotarłem do brzegów rzeki Paragwaju i gdy musiałem porzucić Chaco i miłego towarzysza Ikponga, uczułem w duszy ogromny żal za tem życiem wolnym, beztroskiem, które pozostawało już poza mną. Przez czas podróży zbliżyłem się do mego dzikiego przewodnika, w którym nie było ani za szeląg fałszu lub podłości. Przemknęła mi wówczas myśl, by wziąć go z sobą do Europy, ale pomysł ten odrzuciłem natychmiast, bo czyżby ten syn natury, przwykły do wystawiania swego nagiego ciała na wiatry, deszcze i słońce, czuł się szczęśliwy w dziwacznym ubraniu Europejczyka, w ciasnych trzewikach i dusznym pokoju?

Wsiadając do motorówki, która miała mnie unieść do Asuncion, tęsknie spoglądałem na wiecznie zielone palmary groźnego El Gran Chaco i żalownie myślałem o tem, że zapewne już nigdy w życiu nie spędzę w ich cieniu takich rozkosznych chwil, jakie pędziłem w ciągu ostatnich miesięcy.

A prześliczne urudai, koko i guadjakany szumiały pod tchnieniem wschodniego, gorącego wiatru, jakgdyby zapraszając mnie znowu do uroczych krain, zamieszkaných i władanych przez ludzi pierwotnych.

Polskie zagadnienia kolonialne i kolonizacyjne

Ileż to razy spotykamy się z niedowierzaniem, gdy poruszamy zagadnienia kolonialne i kolonizacyjne, które nas tak żywo interesują. Ignorancja ogółu w tych sprawach jest częstokroć tak wielką, że najżywońsze interesy gospodarcze i populacyjne tylko z trudem trafiają do jego świadomości.

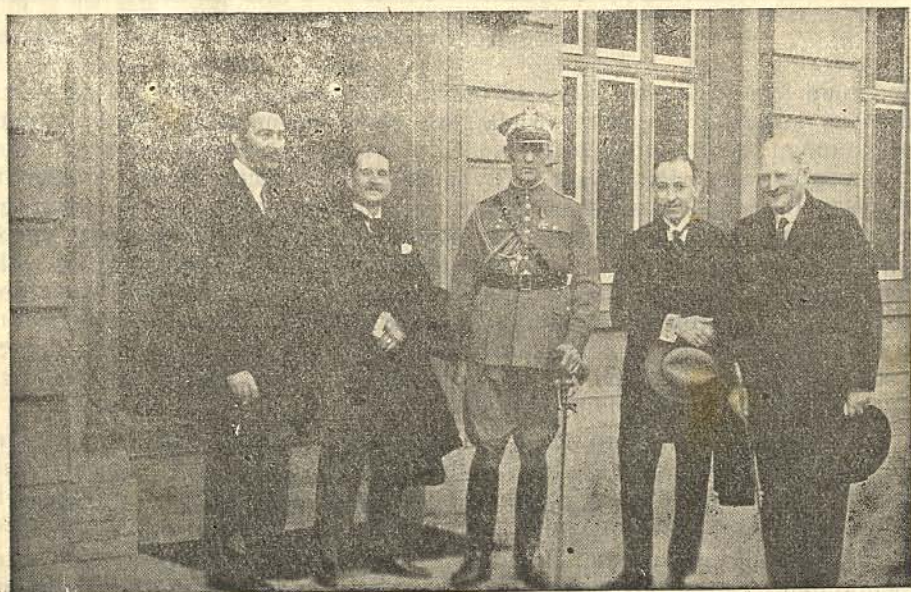
Wystarczy jednak zastanowić się, że Polska posiada 500 tysięcy rocznie przyrostu naturalnego i olbrzymią w latach ubiegłych emigrację — bo licząc około ćwierć miliona ludzi, — oraz, że kraj nasz importuje towarów i surowców kolonialnych na sumę około miljarда złotych (rok 1928), podczas gdy nasz eksport do krajów pozaeuropejskich wynosi zaledwie 5 procent całego eksportu — wówczas zrozumiemy, że zagadnienia kolonialne i kolonizacyjne powinny i muszą nas żywo interesować i zająć w naszym życiu ekonomicznym znacznie większą niż dotychczas rolę.

Sprawa naszego wychodźstwa nie została dotąd uregulowana. Mimo ciągłych nawoływania Ligi Morskiej i Kolonialnej o koncentrację wychodźstwa, oraz o kierowanie go przede wszystkim na tereny osadnicze za oceanem, — nie zdołaliśmy niestety jeszcze wytworzyć takich warunków dla naszej emigracji, aby zabezpieczyć jej przedewszystkiem własne, niezależne warsztaty pracy na obczyźnie.

I chociaż świat jest dzisiaj politycznie już podzielony, tem nie mniej miejsca na nim jest jeszcze dużo.

Ameryka Południowa naprzykład w stosunku do Europy przedstawia się pod względem zaludnienia jak: 4 do 50. To znaczy, że gdy w Europie na 1 kilometr kwadratowy zamieszkuje przeciętnie 50 mieszkańców, to w Ameryce Południowej na 1 km² przypada ich tylko 4.

Jasny stąd wniosek, że na terenie Ameryki Południowej, gdzie mamy już doświadczenia kolonizacyjne (Parana, Misiones, Paragwaj) posiadamy nadal duże kolonizacyjne możliwości.



Prezes Zarządu Głównego Ligi Morskiej i Kolonialnej, p. gen. G. Orlicz - Dreszer w Montrealu (Kanada), w czasie swego objazdu w roku 1931 środowisk wychodźstwa polskiego w Ameryce Południowej.

Jeżeli zważymy, że nasz element emigracyjny stanowią w przeważającej części wieśniacy, ponieważ wieś jest głównie przeludniona — łatwo zrozumieć, iż dysponujemy pierwszorzędnym materiałem pionierskim dla terenów kolonizacyjnych za oceanem.

Dla emigracji zarobkowej mamy dzisiaj drzwi pozamykane wszędzie.

Jedyna otwarta droga pozostała jeszcze dla osadnictwa. Kraje zaoceaniczne chętnie widzą na swoich terenach pioniera — rolnika, który dzięki obszarom ziemi na ziemie użytkowne, przynoszące dochód jemu i wzbogacające całokształt gospodarstw narodowego nowego kraju.

Rozumie się, że jest lepiej, iż nasz bezrolny, czy małorolny uda się na własny warsztat pracy na roli za oceanem, zamiast w Polsce cierpieć głód i nędzę. Pozostając na obczyźnie, mimo tego może trwać nadal w tradycji i wierze ojców swoich, oraz zachować sam sobie i swoim dzieciom mowę macierzystą. Tego rodzaju przykłady mamy zresztą w krajach Ameryki, gdzie język i wiara naszych wychodźców zachowały się — mimo obcego otoczenia i obcych wpływów, jakie starają się do nich przeniknąć.

Widać z tego, że emigracja osadnicza szkody żywiołowi polskiemu na obczyźnie nie przynosi. Należy tylko dbać o to, aby osadników naszych za oceanem koncentrować. Niech żyją w gromadzie, gdyż skupisko przedewszystkiem broni ich przed wynarodowieniem. W pojedynkę łatwo wychodźca się asymiluje.

Oto główne monety, jakie decydują poniekąd o należyłości ekonomicznej wychodźcy z jednej strony, oraz o zachowaniu jego narodowości z drugiej.

Pozatem wychodźstwo tak pojęte może stanowić dużą korzyść dla macierzy. Albowiem odpowiednio uświadomiony wychodźca może być dla „starego kraju” wysoce użyteczny.



Rodzina polskiego wychodźcy w Brazylii.

ny jeżeli chodzi o jego łączność gospodarczą z krajem, tembardziej że użyteczność ta może być obopólna. Wychodźca może bowiem zaopatrzyć się w potrzebne mu towary produkcji polskiej, a Polska odbierać produkty swego kolonisty, jak: kawę, wełnę bawełną.

Z kolei należy rzucić okiem na drugie zagadnienie interesów zamorskich, mianowicie na zagadnienie kolonjalne.

Należy tutaj wyraźnie oddzielić pojęcie kolonjalne od kolonizacyjnego. To drugie pojęcie dotyczy wyłącznie osadnictwa włościańskiego za oceanem (Ameryka Południowa przede wszystkim, podczas gdy pojęcie kolonjalne należy rozumieć, jako przedsiębiorstwo kolonjalne, wymagające większego kapitału inwestycyjnego.

Pojęcia kolonjalne i kolonizacyjne należy zatem zawsze ściśle od siebie odgraniczać, aby uniknąć nieporozumień.

Z kontyngentów pozaoceanicznych — Ameryka Południowa jest terenem kolonizacyjnym, terenem, na którym my, Polacy, mamy już doświadczenie. Terenem kolonizacyjnej ekspansji jest natomiast m. in. Afryka.

Afrykę trudno jest dzisiaj kolonizować naszymi masami włościańskimi, przede wszystkim dlatego, że jest to teren dlatego rodzaju akcji niewypróbowany, a powtóre, że w Afryce białą nie zajmuje się dotąd pracą fizyczną, którą wykonuje miejscowy element murzyński.

Te więc wszystkie okoliczności sprawiają, że Afryka dzisiejsza jest jedynie terenem ekspansji gospodarczej większego kapitału, który eksploatuje bogactwa tego kraju pod kątem interesów własnych i swej metropolii.

Jednakowoż Afryka również jest podzielona pod względem politycznym. I tam więc nie ma wolnych obszarów, któreby mogły być zajęte np. przez Polskę. Pomimo tego jednak w koloniach afrykańskich jest dużo jeszcze miejsca dla ekspansji ekonomicznej i tych krajów europejskich, które kolonji w znaczeniu politycznym nie posiadają.

Wystarczy zaznaczyć dla przykładu, że Polska posiada na zasadzie traktatu wersalskiego równe prawa z innymi państwami na terenie kolonji niemieckich.

Możliwości więc dla naszej ekspansji w Afryce istnieją. Przeszkód dla naszych poczynań gospodarczych na terenie afrykańskim także spodziewać się nie należy, gdyż w interesie dunej kolonji leży, aby ściągnąć do siebie jak najwięcej ludzi z kapitałem i z inicjatywą gospodarczą, ponieważ to podnosi stan ekonomiczny kolonji.

Korzyści z prowadzenia czynnej akcji kolonjalnej przez naszą przedsiębiorczość są jasne i wyraźne. Przedsiębiorstwa kolonjalne własne dałyby nam bowiem te plusy, że uzyskalibyśmy bezpośrednie źródła przy zapatrywaniu się w szereg surowców i artykułów kolonjalnych, jak: kawa, ryż, wełna, bawełna, skóry, kauczuk, tytoń etc.

Przykłady innych narodów, prowadzących gospodarczą politykę kolonjalną, jak: Francja, Anglja, Holandia, Belgja, Portugalia i Niemcy (choć Niemcy kolonji w znaczeniu politycznym nie posiadają) powinny być dla nas przekonywujące, ponieważ kraje te czerpią ze swej przedsiębiorczości kolonjalnej korzyści olbrzymie.

Jeszcze jedno zagadnienie należy poruszyć, mianowicie sprawę naszej wymiany handlowej z krajami pozao europejskimi. Dotychczas sytuacja tak się dla nas układa, że przywozimy (w latach normalnej koniunktury gospodarczej) za około jeden miliard złotych towarów i surowców kolonjalnych, a wywozimy do tych krajów zaledwie około 5 proc. całego naszego eksportu.

Jest to sytuacja wysoce anormalna, którą we własnym interesie powinniśmy zmienić na swoją korzyść.

Rozwój sieci naszych linii okrętowych i uzyskanie przez to bezpośrednich połączeń z ważniejszymi portami innych kontynentów — zdecydowanie popchnie naszą ekspansję handlową na szeroki świat.

Jednocześnie zorganizowanie naszego kupiectwa pod kątem ekspansji handlowej na rynki pozao europejskie i poparcie go kredytowo radykalnie wpłynie na zmianę tego tak dla nas niekorzystnego stosunku w wymianie handlowej, czy to z krajami Ameryki Południowej, Północnej, Afryki, Azji, czy nawet Australji.

Wyzyskanie partjotyzmu gospodarczego Polaków rozsianych po wszystkich częściach świata — mieć może również, i to bardzo poważne, znaczenie dla wzmożenia się naszej ekspansji handlowej na te rynki, na których jesteśmy dotychczas nieznani. Absurdem ekonomicznym jest bowiem tego rodzaju sytuacja, żebyśmy sprowadzali towarów za 1.370 tysięcy złotych, a wywozili do tego samego kraju za... 5 tys. zł. (patrz dane Gł. Urz. Stat. za wrzesień 1932 w handlu Polski z Brazylią w tym miesiącu).

Oto garść wiadomości o sprawach żywotnie nas obchodzących, które ujmujemy tutaj jako zagadnienia kolonjalne i kolonizacyjne Polski.

Mając 8 milionów Polaków poza granicami państwa, mając roczny przyrost naturalny liczący pół miliona głów, oraz corocznie ćwierć milionową emigrację i sprowadzając rocznie towarów i surowców kolonjalnych za miliard złotych, a eksportując do tych krajów w zamian prawie nic musimy zagadnienia kolonjalne i kolonizacyjne postawić na czele najbardziej aktualnych problemów współczesnych.

Zagadnienia kolonjalne i kolonizacyjne mają bowiem dla naszej przyszłości gospodarczej i populacyjnej znaczenie pierwszorzędne i od nich zależeć będzie nasz rozwój gospodarczy i nasza przyszłość, jako dużego i silnego państwa.



Polowanie na wieloryby. Strzał harpunem do wieloryba.

Pierwsza polska wyprawa naukowa do Afryki Stefana Rogozińskiego

W przemierzaniu dalekich mórz, badaniu nieznanych lądów, nie byliśmy ostatni. I my mieliśmy swoich podróżników, badaczy i odkrywców, ale zdobycze ich naukowe ginęły dla państwa polskiego, aczkolwiek do ogólnego dorobku cywilizacyjnego wносиły ważne przyczynki. Sami niestety mało wiemy o takich jak: Benedykt z Krakowa, który już w XIII wieku do chana dalekiej Mongolji podróżował i zwiedzone kraje opisał, o Janie z Kolna, który na kilkadziesiąt lat przed Kolumbem północną Amerykę zwiedzał, o Arciszewskim, który w XVI wieku dla Holendrów Brazylię podbił. Badali Azję, od Uralu po Sachalin, od oceanu Indyjskiego po morze Łodowate, Bodanowicz Karol, Czekanowski Aleksander, Czerski Jan, Chodźko Józef, Czaplicka Marja, Dybaowski Benedykt, Grabczewski Bronisław, Godlewski Witold, Hryniewiecki Bolesław, Ks. Krusiński, Kowalewski Józef, Massalski Władysław, ks. Męciński Wojciech, Morozowicz Józef, Piłsudski Bronisław, Potocki Jan, Sawicki Ludomir, Sieroszewski Wacław, Żagiell Ignacy i wielu innych, — Afrykę Dybowski Jan, Czekanowski Jan, Gorczyński Władysław, Jakubski Antoni, Motyliński Kłarasanty, Palczowski Paweł, — Amerykę, Chrostowski Tadeusz, Domeyko Ignacy, Dunikowski Emil, Fularski Mieczysław, Grzybowski Józef, Treyd Aleksander, Jelski Konstanty, Kluger Władysław, Lepecki Mieczysław, Sztolerman Jan, Szyszło Witold, Siemiradzki Józef, Warszawicz Józef, Zapałowicz Hugo, Zarychta Apolonjusz — Australję i Oceanję Grabowski Józef, Korzeliński Seweryn, Kębary Jan, Raciborski Marjan, Siedlecki Michał, Syński Szymon, Wiśniowski Sygurt, Strzelecki Edmund, Zwierzycki Julian, — bieguny Arctowski Henryk, Dobrowolski Bolesław — i setki innych podróżników i badaczy naukowych. Nie tu miejsce na wymienianie ich i rejestrowanie ich dorobku naukowego.

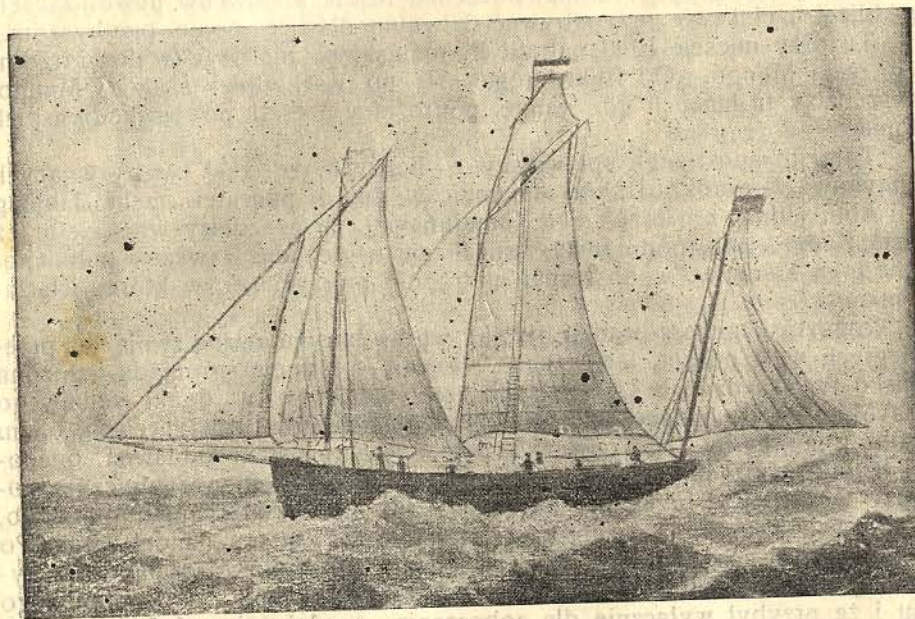
Podróże te i eksploracje były przeważnie czynami indywidualnymi do podniesienia potęgi mocarstwowej państwa nie przyczyniały się: za czasów wolnej Rzeczypospolitej morzem i kolonjami ani rząd ani społeczeństwo nie interesowały się w czasie upadku państwa naród zajęty był dążeniem do odzyskania utraconej niepodległości a dopiero po wskrzeszeniu Polski niepodległej z podróżnictwem naukowym polskim spleta się myśl kolonialna.

A jednak w czasie niewoli, a więc w okresie najmniej korzystnym, odbyła się wyprawa naukowa o wyraźnym podłożu państwowym, ekspedycja naukowa, zorganizowana z myślą stworzenia niezawisłej kolonii polskiej.

Była to „Pierwsza polska wyprawa naukowa do Afryki, Stefana Rogozińskiego“.

Młody oficer marynarki, Stefan Scholz Rogoziński zaprojektował, zorganizował ją przy tak małym tylko poparciu materialnym społeczeństwa, iż śmiało powiedzieć można, że Rogoziński własnym prawie sumptem wyposażył ekspedycję, która 13 grudnia 1882 r. z Hawru wyruszyła, by zbadać nieznane góry Kameru w środkowo-zachodniej Afryce. Towarzyszami Rogozińskiego, którzy do końca wytrwali w przedsięwzięciu (obok dwóch, którzy niebawem zesłali z posterunku) Klemens Tomczek, inżynier górniczy, zmarły na chorobę tropikalną w 1884 w Kamerunie i Leopold Janikowski, który szczęśliwie dożył pięćdziesięciolecia wyprawy.

— Rozpoczęli nasi podróżnicy badania wpraw krajów bakundyjskich i odbyli trzy podróże, przedsięwzięte w różnych kierunkach. Pierwsza z nich odbyła się po zwiedzanej już (przez Combera w r. 1877-ym), drodze, dla przekonania się o charakterze odkrytego przez owego misjonarza jeziora Balombi-ba-Kotta i poznania stolicy kraju Bakundu-ba-Musaku. W podróży tej udało się Rogozińskiemu i Tomczekowi oznaczyć środkowy bieg głównego przypiływu rzeki Mungo, ramiona, które Rogoziński nazwał i oznaczył na mapie przesłanej Akademji Umiejętności jako: Mały Mungo. Rzeka ta, tworzy o 12 mil, za Bakundu-ba-Nambelah około miasta Bobei, wspaniały wodospad. Co do jeziora Balombi-ba-Kotta, stwierdzili nasi podróżnicy, iż jest to zapadły wulkan, kiedyś może ostatni z szczytów gór kameruńskich.



Statek wyprawy Rogozińskiego do Kamerunu, żaglowiec „Lucja Małgorzata”, według współczesnego obrazu.

Ziejący dawniej krater tworzy dziś basen jeziora, a nowe siły wulkaniczne podniosły w nim niewielką wysepkę, na której leży miasto Balombi-ba-Kotta, liczące około 2.000 mieszkańców. Jezioro ma mniej więcej 2 mile średnicy. Strone jego brzegi pokryte są plantacjami murzyńskimi: yamsu koki i plantanów. Mieszkańcy mieszkają wyłącznie na wyspie, z obawy przed słońcami, których pełno w tych lasach. Jezioro obfituje w ryby i wielkie nader smaczne żółwie. Król N. Dongo przyjął Rogozińskiego bardzo przyjaźnie i następnego dnia ruszono do zachodniej stolicy Bakundu-ba-Musaka. Kraj ten nie jest już bakundyjskim; pierwotni mieszkańcy jak i same miasto nazywali się Baczi, lecz po dawnych wojnach domowych, o których mówi podanie, część bakundyjczyków wyruszyła z Bakundu-Ba-Nambelah i wzniosła miasto, nazwane podług kacyka Musaki: Bakundu-Ba-Musaka.

Na powrotnej drodze Rogoziński i Tomczek odkryli dwa nieznane Comberowi miasta Akuka i Musambe, przy pierwszym zaś z nich wyschły kocioł dawnego jeziora, przedstawiający wklęsnięcie, porośnięte wysoką na 10 stóp trawą oraz rzadka wysokimi palmami.

Druga podróż wprowadzała naszych badaczy w zupełnie nowe kraje. Tym razem szło o zbadanie nowego Mungo i o ile możliwości dotarcie do jego katarakt. Po przejściu miasta E-kumbe-ba Berange, napotkali w odległości 18 kilometrów na północno-wschód miasto Eliki, którego mieszkańcy na widok nieznaną białych istot ludzkich w wielkim popłochu pierzchnęli... Łagodne obejście, kilka podarków wreszcie, oswoiły kacyka, tak iż przyjął podróżników do swojego domu, poczem i reszta krajowców powoli zaczęła się zbliżać i ciekawie przypatrywać dziwnym dla ich pojęć przybyszom...

Tu przy mieście Eliki natrafił Rogoziński na pierwsze (w ilości trzech) progi rzeki Mungo. Od Eliki droga szła po wschodniej stronie Mungo. Przeszedłszy tu łańcuch gór Kange, podróżnicy zeszli po wschodnim ich skłonie.

Tutaj to spostrzegli spływający z licznych, ze skał wytryskających strumyków... potok. Był to tajemniczy dotąd początek rzeki Jabjang czyli Abo, jednej z gałęzi rzeki Kameruńskiej. Przeszedłszy wreszcie przez miasta Kange, Bao, podróżnicy znaleźli się nagle, idąc zawsze w północno-wschodnim kierunku, w obszernej metropolii murzyńskiej, w której ich zatrzymano.

Rogoziński przeprowadził był już wprawdzie karawanę swoją do przeciwnych wrót miasta, lecz rzuciła się nań szturmem gromada, złożona z blisko tysiąca dzikich i zmusiła do zatrzymania się w domu sędziego króla Mdaibe. Tu badano podróżników, w jakich przybywają celach. Sam Mdaibe nie byłby się odważył na to, lecz miastem oddawna opanowali balongczycy, chciwy szczerp zajmujący się handlem pośredniczym pomiędzy wnętrzem a brzegiem, naczelnicy zaś balońscy, Akama i Massango, podejrzewali białych, iż przybywają, aby wydrzeć im ten handel z rąk. Po długich rozprawach udało się Rogozińskiemu przekonać Massango, iż bynajmniej nie żąda ani słoniowej kości, ani niewolników, ani palmowego oleju i że przybył wyłącznie dla zobaczenia „spadającej wody” (katarakty) która ma leżeć około miasta Mambandy. Odbyto więc zwykłą ceremonię zawarcia pokoju i przyjaźni, a po niej dnia następnego mogła wyruszyć karawana, otrzymawszy od Massanga 20 ludzi eksporty, na dalszą drogę do Mambandy.

Przybyli wreszcie nasi do Mambandy, strudzeni wielce i zmęczeni. Drogi były ohydne, częstokroć godzinami musieli brnąć po kolana w rozmokłej ziemi lub drapać się po drzewach gąszczu. Któż jednak opisze ich rozczarowanie i moralne przynębienie, gdy spostrzegli, iż krajowcy okłamali ich, aby zmylić drogę i że przy Mambandzie ani katarakt ani nawet rzeki Mungo niema, a znajdują się one w innych stronach, w Kumbaji. Rozgniewany Rogoziński postanowił ruszyć dalej do Kumbaji i wbrew naleganiom mieszkańców Mambandy, karawana po krótkim odpoczynku udała się w dalszą drogę. Pomimo intryg eskorty i przewodnika, dopięli podróżnicy swojego celu i w dniu 15-go września przed zachodem słońca stanęli w olbrzymim murzyńskim mieście Kumbaji.

Na widok białych ludzi wybuchnął tu szalony popłoch... Kobiety zatarasowały drzwi domów, mężczyźni uciekli w zarośla i tylko stary król pozostał przy drzwiach swego domu a jakkolwiek trząsł się ze strachu, schwycił jednak z podziwu godną siłą ducha podaną mu przyjaźnie rękę.....

Po chwili krajowcy nie tylko oswoili się z widokiem białych, lecz zaczęli szturmować do domu króla, by ich widzieć, gdy Rogoziński dowiedział się, iż katarakty rzeczywiście znajdują się niedaleko od miasta i ruszył na ich odszukanie, cała ta czarna armja rzuciła się za nimi, torując sobie długimi nożami drogę w gąszczu, przez który dolatywał coraz głośniejszy łoskot wodospadu...

Nagle przez zarośla ukazały się masy wód, oświecone promieniami zachodzącego słońca, spadające z siedmiu skalnych tarasów i tworzące wielką pochyłą przestrzeń szumiących wód wodospadu, pokrytych białą pianą. Katarakty Mungo były odkryte. Wspaniały widok i osiągnięcie upragnionego celu wynagrodziły za trudy i niebezpieczeństwa podróży.

Uradowani odkryciem podróżnicy postanowili nie ograniczać się na niem, lecz ruszyć dalej i spróbować dotrzeć do tajemniczego jeziora Mbu. Krajowcy i król kumbajski Aua odradzali im wprawdzie, twierdząc, iż o tej porze roku słoniowe jezioro tak jest obleżone przez olbrzymy, iż dojsie doń jest niemożliwe, podróżnicy wszakże nasi nie dali temu wiary... Następnego dnia 16-go września przeprawili się znów na zachodni brzeg Mungo, tuż przed kataraktą i opuścili Kumbaj, dążąc w podanym im kierunku jeziora.

Niestety przestrogi sędziego Auy okazały się słuszne: stada tysięcy dzikich słoni zatarasowały drogę naszym, tak, iż na ten raz zmuszeni byli zrezygnować z dotarcia do jeziora Słoniowego, które Tomczek odkrył w czasie jednej z następnych ekspedycji.

W tych eksploracjach wewnątrz kraju Leopold Janikowski zbudował na wyspie Moudoleh stację morską i kierował nią. Stacja ta przez cały czas trwania eksploracji była punktem oparcia dla wyprawy Rogozińskiego.

Po zbadaniu kraju na wschód od gór Kameruńskich rozpoczęli nasi podróżnicy badanie samych gór i tu zadzierzgnęli tak sympatyczne stosunki z górszami plemionami murzyńskimi że wielu Kacyków z własnego impulsu ofiarowało Rogozińskiemu władzę nad sobą.

W czasie, gdy nasza ekspedycja w Kamerunie czyniła pokojowe podboje zdobywając sobie sympatię i zaufanie murzynów, Niemcy również poczęli się sadowić na pobrzeżu Kameruńskim i podbijać wolne dotąd plemiona kameruńskie. Ponieważ do okolic kameruńskich rościły pretensje Anglicy, doszło do zatargu między Niemcami i Anglikami, którzy wreszcie, zawiązani w kłopoty wojenne w północnej Afryce, ustąpili Niemcom, zatrzymując tylko te ziemie, które przy współdziałaniu polskiej ekspedycji poddały się pod ich panowanie. Rząd niemiecki, nie mogąc darować Rogozińskiemu współdziałania z Anglikami, wydał rozkaz aresztowania Polaków, Janikowskiego nawet aresztowano, lecz na żądanie Anglików musieli go niebawem Niemcy wypuścić.

Wyprawa Rogozińskiego wypełniła zamierzone celu: zbadała spory szmat nieznaną krajów kameruńskich i zdobyła na drodze pokojowej, na krótki czas co prawda, pewien obszar niezajętej dotąd przez żadne państwo kolonialne ziem afrykańskiej. Zachłanność niemiecka nie pozwoliła utrwalić się Polakom na ziemi afrykańskiej i Kamerun dostał się pod panowanie Rzeszy Niemieckiej, a ironja losu chciała, że do utrwalenia panowania niemieckiego na tym samym szmacie ziemi, przez Polaków odkrytym i zbadanym, nasi właśnie rodacy, t. j. Polacy b. dzielnicy pruskiej, jako obywatele państwa niemieckiego, krwią jako żołnierze i mieniem jako podatnicy przyczyniać się musieli.

Kamerun w traktacie wersalskim odebrano Niemcom i mandat nad nim przydzielono Francji i Anglii. Dziś Niemcy znowu sięgają po ten kraj, którego znaczną część, jak wyżej powiedzieliśmy, odkryli i zbadali Polacy.

W dżungli kameruńskiej

(Z pamiętników Stefana Rogozińskiego)

Ośmieleni wczorajszym odkryciem katarakt, chcieliśmy zaraz złąć przedrzeć się do tajemniczego jeziora Mbu; stary Aua wprawdzie odradzał, twierdząc, że między jeziorem Mbu a Kumbą lasy w owej chwili poprostu zalane były słoniami, ale sędziliśmy, że to tylko strachy na lachy i poszliśmy naprzód. Niestety, słowa starego kacyka Kumby miały wkrótce okazać się aż nadto prawdziwymi. Na długo dzień ten pozostanie w naszej pamięci.

Droga prowadziła z początku przez liczne plantacje Kumby, po części zdziczałe; następnie weszliśmy w tak gęsty dziewiczy las, iż ciemność otoczyła nas w koło. Ludzi i osad nie było już ani znaku, a podług słów krajowców, las ten ciągnął się daleko w głąb, ślady też słoni stawały się coraz częstsze. Po godzinie marszu, napotkaliśmy nagle krajowców, donoszących z największym przestachem, że pędziła za nimi olbrzymia masa słoni, zalewająca po prostu swą liczbą całą okolicę, i że, idąc naprzód na pewno spotkamy się z nimi. I teraz nawet jeszcze nie wierzyliśmy w niebezpieczeństwo; zdawało mi się jednak pożytecznym, namówić jednego z tych krajowców, by towarzyszył nam jako przewodnik, i może jemu — to zawdzięczamy nasze ocalenie. Nazywał się on Muelle.

Nie minęło i pół godziny, kiedy zdało się, że las cały drzeć zaczął przed nadchodzącym stadem potworów, które zapowiadały swe przybycie rykiem, jakiego żadne pióro opisać nie potrafi. Tysiące trąb nie zdoła tak wstrząsnąć atmosferą. Ludzie struchleli. Stanęli wszyscy, wstrzymując oddech. Trzeba było wysledzić kierunek pochodzącego stad; podjął się tego Muelle. Przytłumionym świstem miał nas ostrzedz o niebezpieczeństwie. Jak żmija prześliznął się przez zarośla, podczas gdyśmy stali czekając, a każda minuta zdawała się godziną. Wreszcie usłyszeliśmy silny świst; opatrzone fuzje, za chwilę ukazała się w krzakach ciemna twarz powracającego Muelle; oczy jego błyszczały dziko, rozdęte nozdrza drgały konwulsyjnie, wpatrzył się w nas, jak gdyby chciał pytać, co robić — i szepnął wskazując trzy różne kierunki przed nami: „Nadzoku, Nadzoku, Nadzoku, gita Sango, gita“ (Słonie, słonie, słonie, wiele ich, panie, wiele). „Zginęliśmy“ zawołał Richard Aqua, blady i drżący. Pierwsze to było spotkanie tego rodzaju; sam nie wiedziałem, jak zaradzić najlepiej, lecz jeszcze w służbie marynarskiej uczono nie namyślać się długo, tylko postanawiać szybko w takich razach, a przytem nie można było dać poznać po sobie, że się namyślamy; po kilku więc słowach narady, wymienionych obojętnym głosem z Tomczkiem, kazałem nagle zarznąć kożę, otrzymaną od Auy, aby nas nie zdradzała swem beczeniem, następnie pospiesznie rozpakować kufer, w którym znajdowały się naboje zapasowe, a opatrzywszy powtórnie karabiny i rewolwery, spytałem się Muella: w którym kierunku znajdują się najbliższe mieszkanka ludzkie? — Murzyn wskazał na zachód i rzekł: „Ekumbe-ba Wandży“.

Wybraliśmy więc ten kierunek bo ostatecznie nie mieliśmy innego wyboru. Ku nam ciągnęła falanga leśnych tych olbrzymów, i jak się zdawało od krańca do krańca na całej linii przed nami; trzeba więc było w którymkolwiek punkcie przebić sobie przejście. gdyż, chociaż słonie rzadko kiedy napadają, lecz z drugiej strony nigdy się nie cofają, dążąc szybko, ufne w swą siłę i niszcząc wszystko przed sobą. Podążyliśmy więc naprzód prześlizgując się bez szelestu przez zarośla; nanowo zagrzmiwały dokoła trąby olbrzymów i znówu stanęli ludzie w niezmiernej trwodze. Chcieli koniecznie, byśmy nawrócili, lecz tego nie można było uczynić, w takim bowiem razie, zastraszeni raz na zawsze, nie poszliby już dalej w dniach następnych za nic w świecie. Wyperswadowałem im więc stanowczo, że koniecznie trzeba iść naprzód, gdyż to stawanie i oczekiwanie przedłuża tylko niepewność naszego położenia, nie przeciwdziałając mu bynajmniej.

Ruszyliśmy więc znów dalej, gdy nagle — zdawało się z początku, że to szare głązy lub skały — ukazało się przed nami pędzące długą linią stado wśród trzaskających dokoła gałęzi. Cała nasza karawana przerażona rzuciła się wstecz. Wraz z Tomczkiem i częścią naszych ludzi rozpoczęliśmy ogień jak najszybszy; Muelle zaś zaczął ryczeć, powtarzając swe okrzyki bojowe, którym cała reszta wtórowała. Wrzask, ciągłe strzały, dym, łoskot łamanych drzew i gałęzi sprawiły chaos piekielny; z początku słonie goniły za nami w nieprzerwanej linii, wreszcie jednakże przerwała się ona, utworzyła się luka i stado rozdzieliło się na dwie części, zapuszczając się w gęszcze, w których łoskot przez nie sprawiany, zaczął się stopniowo oddalać.

Na ten raz byliśmy ocaleni od stratowania; las dokoła wyglądał jakby pomietoszony. Po zebraniu rozproszonych ludzi, odetchnęliśmy na chwilę, a nabiwszy nanowo broń, nawróciliśmy znów i w dawnym kierunku posunęliśmy się ku Ekumbe-ba-Wandży.

Minęła godzina szybkiego marszu, odbytego w najgłębszym milczeniu, gdy ujrzeliśmy nagle z lewej strony nową falangę potworów. Rzuciliśmy się naprzód, by je wyminąć, lecz stado przybrało ten sam kierunek i znów rozpoczęła się ta sama wrzawa; część nas rozproszyła się w bok, a w dymie strzałów zostałem nagle rzuconym o złamane dzewo i uczułem silny ból na przodzie goleni, gdzie i tak już miałem rany, powstałe w marszu i jątrzące się od pewnego czasu. Niebezpieczeństwo jednakże dodaje sił nadzwyczajnych. Wiedząc, jaki rodzaj śmierci czeka nas pod stopami tych olbrzymów, wyprzedziliśmy stado, mimo ślizkiej po deszczu drogi, mimo pagórków i zejść spadzistych, nabijając i strzelając zarazem w biegu, dopóki ono zmęczone lub wstrzymane odłamaniem gałęzi i wywróconymi drzewami, nie znikło w ciemnym lesie.

Zrezygnowawszy na ten raz z ujrzenia jeziora słoniowego wróciła ekspedycja do Ekumbe-ba-Wandży, a drugą ekspedycję, tym razem już uwleńczono pomyślnym wynikiem odbył niebawem sam Tomczek.



Pan Sz., Polak, właściciel plantacji w Kamerunie
na swojej plantacji

Krzysztof Arciszewski

Urodzony w 1597 r. w Wielkopolsce, wyzuty z dziedzictwa przez niesumiennego opiekuna Kacpra Brzeźnickiego, Krzysztof Arciszewski, późniejszy sławny zdobywca na drugiej półkuli, wraz z bratem Eljaszem zaciągnął się do służby Krzysztofa Radziwiłła. Zdolność i dzielność osobista zjednały mu względy możnego księcia, przy którego boku jako hetmana polnego, wziął czynny udział we wszystkich epizodach wyprawy inflanckiej 1621-1623 roku. Trudy wojenne i podróże nie zatarły w duszy młodego szlachcica wspomnień dawnych i uraz doznanych od opiekuna, i stało się, że w kwietniu 1623 r. padł Brzeźnicki z ręki Krzysztofa Arciszewskiego.

Krzysztof Radziwiłł szczerze opiekował się swym imiennikiem, lecz wobec zapadłego przeciw Arciszewskiemu wyroku banicji wieczystej nie mógł trzymać u siebie skazanego i wysłał go wraz z bratem do Holandji, aby młodzieńcy, ucząc się sztuki wojennej u mistrzów, mogli przy nadarzającej się sposobności być pomocni.

Wyruszył tedy w 1625 Krzysztof Arciszewski do Holandji, aby się „inżynierstwa” wyuczyć mógł. Po raz pierwszy wziął udział w wyprawie wojennej, pośpieszwszy na pomoc oblężonej Bredzie, a wypadek chciał, że jednocześnie królewicz polski, późniejszy Władysław IV-ty, przyjmowany był przez wodza hiszpańskiego Spinolę, by naocznie mógł się przekonać o klęskach Holdendrom zadawanych. Po upadku Bredy, wyruszył Arciszewski w interesach Radziwiłła do Francji, gdzie wziął udział w oblężeniu Roszeli, która w roku 1628-ym poddała się, przyczem fortyfikacje zrównano z ziemią. I cudy i niebezpieczeństwa tej wyprawy opisał on później w elegji wierszowanej, gdy przypomniał sobie przeszłość, opiekę Boga nad sobą widział roztoczoną.

W r. 1629-ym przyjął Arciszewski uczynioną mu ze strony Holendrów propozycję objęcia dowództwa nad kompanją w wyprawie zamorskiej do Indji Zachodnich, gdzie niedawno kompanja handlowa zachodnio-indyjska pod wodzą admirała Piotra Heina, zmusiła do kapitulacji hiszpańską flotę, obładowaną srebrem i kolonialnymi towarami, i łup swój, oceniony na 12 milionów guldenów, szczęśliwie przywiozła do Holandji. Flota, do której Arciszewski należał, składała się z 70 okrętów i 7.000 żołnierzy, a celem jej i zadaniem był podbój kapitanji brazylijskiej, Pernambuko.

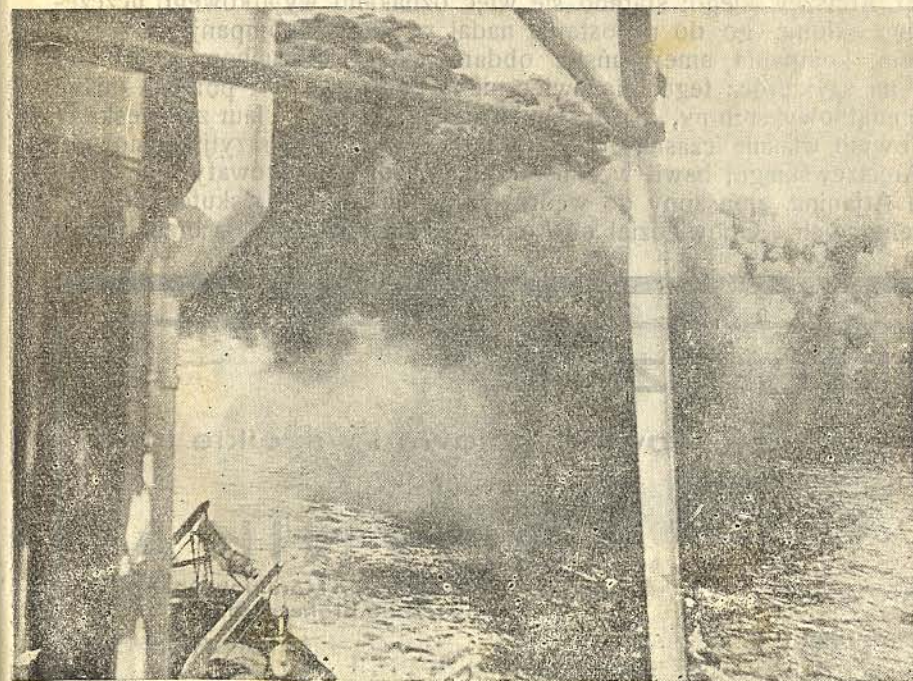
Dnia 13-go lutego 1630 roku dobiła flota holenderska do wybrzeży Pernambuko i skierowała swą załogę ku zdobyciu warownego miasta Olinde. Na skutek uchwały rady wojennej, do której przyzwano Arciszewskiego, wykonano niespodziany napad, zaprojektowany przez Arciszewskiego, i po regularnem oblężeniu, pomimo zaciętego oporu, zmuszono miasto do kapitulacji. Po nieszczęśliwej jednak bitwie morskiej, w której zniszczono holenderską flotę admirała Patera, w 1631-ym r., skutkiem porady Arciszewskiego, awansowanego już na majora, zrównano Olinde z ziemią i cofnięto się do Recifu.

W r. 1633-im naczelny wódz wyprawy Holendrów, Wardembruch, uczuwszy się obrażonym niesłuszną krytyką swej działalności, powrócił razem z Arciszewskim do Holandji, kompanja zaś zachodnio-indyjska, otrzymawszy dokładne sprawozdanie o stanie rzeczy w Brazylii, postanowiła powierzyć główne kierownictwo działań wojennych Arciszewskiemu, zamianowała go pułkownikiem i wyprawiła go z czterema należycie uzbrojonymi

okrętami do Brazylii. Arciszewski jakkolwiek sobie miał powierzone naczelne dowództwo, rzekł się go dobrowolnie na rzecz Zygmunta Zschkoppego i z nim razem rozpoczął trudną kampanię.

Podstąpiwszy pod twierdzę Arrayal, Arciszewski kierując osobiście szturmem, zmuszony był oddać szpadę portugalskiemu muszkietierowi, i gdy ten doprowadził go jako jeńca do bramy fortecznej, Arciszewski jednym uderzeniem buławy położył go trupem, a sam galopem pośpieszył do swego oddziału. Podczas jednej z wycieczek, Arciszewski znowu podsunął się zbyt blisko do wałów, i otrzymał pocisk granatu w ramię, a to go zmusiło do ustąpienia z placu. Lecz z łóżka jeszcze dowodził oblężeniem, a widząc, iż Portugalczycy cały nacisk skierowali przeciw jednemu z fortów, porwał się w koszuli z łóżka, siadł na koń i popędził na zagrożone miejsce. Już kapitan oddziału i lejtnant jego polegli, położenie stawało się coraz groźniejsze, gdy zjawienie się Arciszewskiego i jego nieustraszona odwaga podniosły słabnące siły żołnierzy i zmusiły Portugalczyków do ucieczki.

We wszystkich wyprawach na Nazaret i Porto Calvo, Arciszewski brał czynny udział, i jego osobistej dzielności, nieustraszonemu męstwu i stanowczości w krytycznych chwilach przypisują historycy holenderscy pierwsze walne zwycięstwo Holendrów i następny upadek warowni, gdzie się trzymała reszta obrońców niezawisłości portugalskich dzielnic w Brazylii. Oceniając też zasługi dzielnego żołnierza, wystawiono w Pernambuko pomnik kamienny na cześć Arciszewskiego, rodzaj obelisku, zdobnego w herby portugalskie.



Z manewrów polskiej floty na Bałtyku. Kontrtorpedowiec O. R. P. „Wicher” otacza się zasłoną dymową.

Porażki wojsk hiszpańskich i portugalskich w Brazylii obudziły narzecze czujność dworu madryckiego. Wysłano czempredzej posiłki i oddano dowództwo nad wojskiem posiłkowym Ludwikowi de Roxas y Borgia, księciu de Lerma, potomkowi znakomitego hiszpańskiego rodu. Nie obeznawszy się z miejscowością, ani z warunkami prowadzenia wojny Holendrów, postanowił Roxas ruszyć na nieprzyjaciela i stoczyć z nim walkę stanowczą. Pod wieczór d. 17-go stycznia 1636-go r., między Camarigibi i Porto Calvo, straż przednia Arciszewskiego zetknęła się z Hiszpanami. Następnego dnia wywiązała się uporczywa walka, w której Holendrzy zostali panami pola, a między trupami znajdował się nieszczęśliwy Roxas.

Wkrótce po tem zwycięstwie stany generalne Holandji przysłały do Brazylii nowego naczelnika wodza, Maurycyego hr. de Nassau-Siegen.

Arciszewski, pragnął w interesie kompanji władzy, ześrodkowanej w osobie jednego dowódcy, lecz poniósłszy tak wielkie ofiary w służbie tejże kompanji sądził, że władza ta, nie komu innemu, tylko jemu powierzona zostanie. Gdy go rachuby w tej mierze omyliły, nie mógł się powstrzymać od oznak niezadowolenia i częstemi uwagami krytycznemi nad sposobem rządzenia prowincją i wojskiem, ściągnął na siebie gniew Nassauczyka. W marcu r. 1637-go, na krótko przed opuszczeniem Brazylii, Arciszewski uznał za właściwe uwagi swoje i spostrzeżenia podać na piśmie hr. Maurycemu i jego przybożnej radzie.

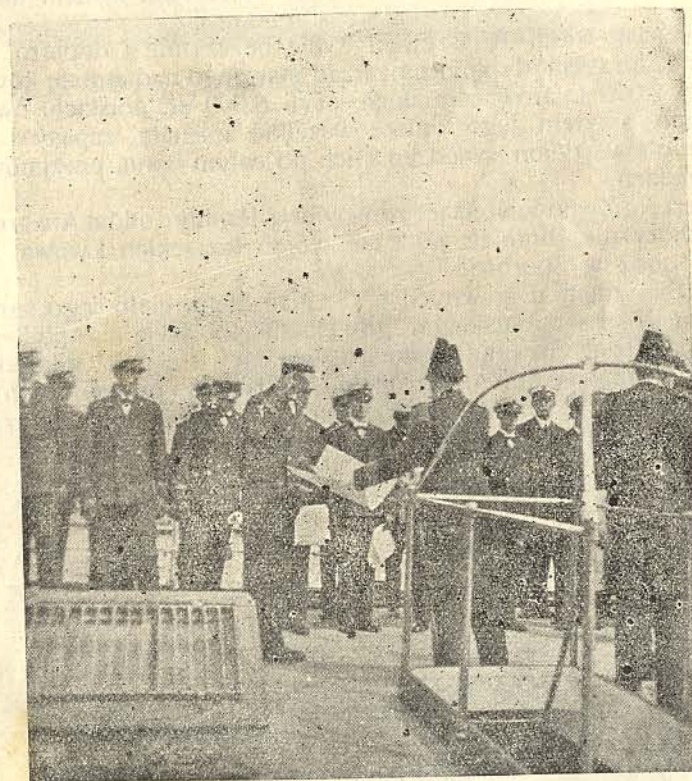
Wśród takich okoliczności, nie rokujących dla Arciszewskiego dalszej pomyślnej kariery, nadszedł od króla Władysława IV drugi list z najzaszczytniejszemi propozycjami. Nie zrywając ostatecznie z rządem brazylijskim i z planami możliwego ponownego powrotu z Europy do kraju, któremu poświęcił lat 15 mozolnej służby wojskowej, siadł Arciszewski na okręt i pożaglował do Amsterdamu.

W Holandji dowiedziano się o zamiarze powrotu do Polski, powziętym przez Arciszewskiego; starano się więc oznakami wyjątkowego uczczenia zasług skłonić go do pozostania nadal w służbie kompanji. Przedewszystkiem kompania amerykańska obdarowała go łańcuchem złotym do noszenia na szyi, prócz tego, dla uwiecznienia jego czynów, poleciła odbić medal pamiątkowy srebrny, z napisem łacińskim: „Odbierz laur zwycięski...“

W owym właśnie czasie, gdy sprawy ekonomiczne Brazylii zajmowały gorąco Arciszewskiego, bawił w Amsterdamie Andrzej Wiszowaty, bratanek słynnego Arjanina, zmuszony do wędrówki po obczyźnie, wskutek przesładowań religijnych. Opowiedział on Arciszewskiemu smutny los braci i szkół

aryańskich w Krakowie i Lublinie, a pod wpływem tych wiadomości, kierując się wrodzoną sobie stanowczością, wystosował Arciszewski w d. 1-m września 1637-go r. z Amsterdamu list otwarty do Władysława IV-go, charakterystyczny ze względu na wyznanie wiary politycznej i religijnej, jakie w nim po raz pierwszy wypowiedzieć miał sposobność publicznie.

Niespodziewanie otrzymał Arciszewski zaszczytną propozycję od Gastona Orleańskiego, aby przyjął dowództwo jednego z oddziałów wojska francuskiego, i gdy już chętnie się na to godził, nadeszły wieści o porażkach wojsk Maurycyego Nassauskiego w Brazylii. Oczy wszystkich zwróciły się wówczas na Arciszewskiego, a stany generalne holenderskie wnet uznały korzyści dla przyszłości Brazylii i powierzenia steru wojennych działań Arciszewskiemu i nawiązały z nim układy o ponowne wstąpienie do służby. Dnia 18-go sierpnia 1638-go r. z zalecenia Stadthoudera, zgromadzenie XIX-te zamianowało go generałem artylerji i admirałem sił morskich Holendrów w Brazylii.



Corocznie w dniu 15 sierpnia odbywa się na pokładzie O. R. P. „Bałtyk” w Gdyni uroczysta ceremonia promocji podchorążych Marynarki Wojennej na podporuczników. Na zdjęciu chwila wręczenia patentów oficerskich przez Komendanta Szkoły Podchorążych Mar. Woj., kmr. por. Korytowskiego, nowomianowanym podporucznikom.

UBEZPIECZENIA

transportowe, ogniowe i wszelkie inne
załatwia

„GDYNIKA“

Maklerzy Ubezpieczeń Morskich Sp. z o. o.
Insurance brokers Ltd.

GDYNIA

telefon 14-37

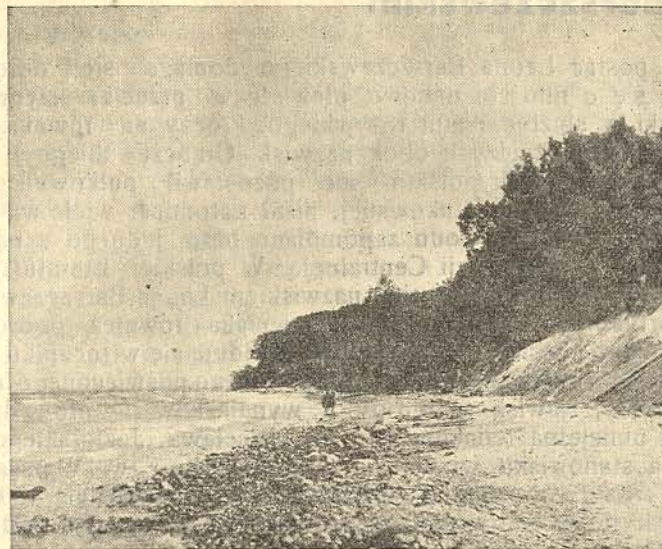
W miesiącu marcu 1639-go r. przybył Arciszewski do Recifu z ośmiu okrętami i załogą, ale wyraźna niechęć hr. Maurycego sparaliżowała pierwsze jego kroki. Zachował się dokument, w którym Arciszewski opisuje szereg rozczarowań, jakiego spotykały. Z listu tego wolno wnosić, że hrabia de Nassau podejrzewał Arciszewskiego o przyjęcie tajnej misji kontrolowania jego działalności i dla tego postanowił pozbyć się go bez żadnego skrupułu. Aresztowano Arciszewskiego i odesłano do Holandji a jednocześnie hr. de Nassau umyślnym okrętem pospieszył uprzedzić radę 19-tu Holandji o decyzji brazylijskiej, pragnąc tym sposobem uspokoić wzburzoną opinię publiczną.

Przybywszy 22-go lipca 1639-go r. do Amsterdamu daremnie domagał się Arciszewski audjencji u Stadhoudera. Odsyłano go od jednej władzy do drgiej, pragnąc przewlec załatwienie sprawy, i tem skłoniono Arciszewskiego do napisania szczegółowej apologji. Prócz tego, na prośbę pokrzywdzonego, zarówno książę Radziwiłł jak i hetman Koniecpolski, wystosowali do stanów generalnych pisma, domagające się rozpatrzenia sprawy Arciszewskiego. Nareszcie dnia 2-go kwietnia 1640 r. zwolniono go ze służby i udzielono mu paszportu co było zręcznem unieważnieniem sentencji rady Brazylijskiej i zadośćuczynieniem moralnem, danem ukrzywdzonemu.

Przez sześć lat wiódł Arciszewski życie beczynne i dopiero 28-go kwietnia 1646-go r. otrzymał dyplom na zarząd starszego nad armatą koronną, z pensją roczną 2.000 talarów cesarskich czyli 6.000 zł. polskich ówczesnych. Powierzono przytem jego opiece wszelkie arsenały, zapasy i amunicje wojenne, z obowiązkiem zwiedzania ich po całym kraju, przyjmowania inwentarzy i urzędzeń.

W charakterze głównodowodzącego artylerją Rzplitej oddał Arciszewski wielkie usługi ojczyźnie, broniąc podczas wojen kozackich Lwowa, umacniając Zbaraż i obóz w Zborowie.

Gdy w r. 1656 zmarł u krewnych pod Gdańskiem, ciało jego sprowadzono do zboru X. Leszczyńskiego, gdy nagle 28 kwietnia pod mury miasta, podstąpił oddział Grzymułtowskiego uwijający się po Wielkopolsce. Miasto zostało wydane na łup rozjuszonemu żołdactwu, organiety płomieniem zbór braci czeskich, spłonął do szczętu, a w nim zwłoki Krzysztofa Arciszewskiego w popiół się obróciły.



Wybrzeże zatoki Gdańskiej koło Orłowa.



Pod żaglami

O Leonie Barszczewskim

Podróżnicza postać Leona Barszczewskiego domaga się odrębnego opracowania, wie się o nim stosunkowo niewiele a przecież słynny ten podróżnik azjatycki w służbie rządu rosyjskiego, kroczy na równi co do zasług naukowych i podróżniczych obok nazwisk Grąbczewskiego i Prze-walskiego. Niestety w języku polskim nie pozostawił pułkownik Leon Barszczewski żadnej spuścizny drukowanej, pisał natomiast wiele w czasopiśmie rosyjskich i z tego powodu zapomniano tego jednego z największych współczesnych badaczy Azji Centralnej. W polskiej literaturze podróżniczej jedynie tylko spotykamy się z nazwiskiem Leona Barszczewskiego z okazji dwóch artykułów spisanych przez krewniaka również podróżnika-literata Stefana Barszczewskiego. Artykuły te znajdują się w roczniku pierwszym pisma Naokoło Świata, tygodnika ilustrowanego poświęconego opisom ziem, ludów, podróży, zjawisk przyrody i wynalazków a prowadzonego swego czasu pod umiejętną redakcją ś. p. dr. Wacława Jezierskiego geografą zmarłego na stanowisku wizytatora ministerjalnego w Warszawie w r. 1928. Oto w zeszycie I-szym i 2-gim tego rocznika z grudnia 1901 znajdujemy artykuł zatytułowany Sang-Tuda (to znaczy w języku tadżyckim „Tysiące kamieni”) jako legendę ze Wschodniej Buchary a nadto w zeszytach nr. 17 i następnych na stronach 257, 273, 294, 314, 333, 353, 369, 387 tegoż rocznika z roku 1902, artykuł pod tytułem: Uroczystości weselne w Bucharze Wschodniej. Przy obu artykułach zaznaczonym jest wyraźnie w podtytule „Z notatek i opowiadań Leona Barszczewskiego z wypraw do Azji Środkowej” a nadto artykuły powyższe są również zaopatrzone w liczne ilustracje, przy których wyraźnie jest zaznaczone, iż pochodzą one ze zbiorów Leona Barszczewskiego.

Z pierwszego artykułu dowiadujemy się o bytności Leona Barszczewskiego przy słynnym kurhanie Sang-Tuda w Bacharze, związanym legendą z pobytem tamże wojsk Timurchana, przyczem przytoczone jest opowiadanie Leona Barszczewskiego o okrucieństwie Timura, który jednego ze swych wodzów kazał tam żywcem zagrzebać za nieznalezienie na czas żywności dla przechodzącego wojska. Odtąd kurhan ten jest w wielkim poszanowaniu u tubylców a zabobon ludzi Wschodu umieścił w kurhanie siedzibę ciemnych i złych potęg. Tajemnicę powodu zabobonnego lęku tubylców przed kurhanem w nocy, zbadał Leon Barszczewski w czasie swego samotnego wejścia na szczyt tegoż. Legenda o Timurze oraz opis wyjaśnienia zabobonu kryjącego się dookoła kurhanu są tematem zajmującego opowiadania pułkownika Leona Barszczewskiego.

Natomiast w drugim artykule podany jest opis uroczystości weselnych we wsi Chotok w bekostwie Kilifskiem Buchary Wschodniej, w której jako zaproszony gość wziął udział pułkownik Barszczewski. Droga karawany Barszczewskiego do tej wsi prowadziła wspaniałym wąwozem, którego ściany w wielu miejscach podnosiły się do 1000 stóp, a drogę tę odbyto wraz z karawaną weselną, udającą się razem z panną młodą do domu swego przyszłego męża. To zaproszenie na wysele uzbeckie pozwoliło Barszczewskiemu porównać wiejskie obyczaje weselne z miejskimi, które już poprzedniego miał sposobność poznać. Z treści opowiadania dowiadujemy się, iż Barszczewski wziął udział w dwóch weselach w rodzinie bogatych i biednych Uzbeków, a to dla uzupełnienia swych nota-

tek o Wschodzie. Przy tej sposobności udało mu się zajrzeć do kobiecej połowy domu tylko dzięki bardzo umiejętnemu postępowaniu z tubylcami.

Widzimy z tego, iż Barszczewski umiał w swych podróżach bardzo taktownie postępować z ludnością i to pozwalało mu wglądać w wiele zwyczajów niedostępnych dla obcego.

To opowiadanie pułkownika Barszczewskiego o uroczystości weselnej przypomina pod pewnymi względami opowiadanie generała Grąbczewskiego z jego podróży po Tybecie. Nie wszystkim bowiem wiadomy jest fakt, jak mieszkańcy oazy Połu w Tybecie chcieli obwołać ówczesnego kapitana Grąbczewskiego swym władcą.

Jeżeli do tych faktów dodamy znowu inny, że mieszkańcy wyspy Behringa również chcieli obrać swym naczelnikiem powstańca Benedykta Dybowskiego, uważając go zresztą za nieziemskiego wysłannika, ukazuje się jak Polacy badacze dalekiego wschodu i Centralnej Azji czy to jako zesłańcy czy też w służbie rządu rosyjskiego umieli postępować z ludnością zyskując sobie jej uznanie i wdzięczność. Zupełnie inaczej postępowali n. p. podróżnicy rosyjscy, którzy częstokroć terrorem i z bronią w ręku uzyskiwali zdobycze naukowe w tych samych krainach, zapisując się smutną pamięcią wśród tubylców.

Natomiast Barszczewski studując w swych podróżach ciągle obyczaje tych napół dzikich ludów zyskiwał ich przychylność i dzięki temu mógł być świadkiem odwiecznych, patriarchalnych obrządków. Ta zażyłość z tubylcami doszła do tego, że nawet kobiety same odślaniały zasłony w obecności polskiego podróżnika, uważając go za swojego człowieka. Wiadome jest jednak z opowiadań pułkownika, iż obdarzał on zawsze hojnie tubylców, obcował na równi z bogatymi jak i biednymi, spieszył z pomocą a częstokroć i poradą lekarską. On też pierwszy z podróżników po dalekim muzułmańskim wschodzie interesuje się żywo losem kobiety skazanej na niewolę w domu władcy męża, starając się, o ile to było w jego możliwości, ulżyć tej doli umiejętnością swego śmiałego a takownego postępowania. Kto jednak mógł bliżej poznać tych kobiet, wydawanych za mąż wedle obyczaju już w dwunastym roku życia a ciężko i niewolniczo wysługujących się mężom, musiał odczuć litość nad przedwcześnie zmarowaną młodością. W takich bowiem warunkach niekorzystnych pędząc życie doszedłszy do lat dwudziestu pięciu szybko się starzeją i patrząc na te kobiety, mające około lat trzydziestu, każdy gotów pomyśleć że ma przed sobą 60—70 letnią kobietę.

Barszczewski w swych długoletnich podróżach wszechstronnie ujmował wszystkie zagadnienia. Poza obserwacją zjawisk geograficznych, etnograficznych, przyrodniczych, których rezultatem były przewiezione z podróży poważne zbiory, interesuje go n. p. muzyka Uzbeków w Bucharze, a melodyjny dźwięk „dumbry” (rodzaj gitary) i cichy, smutny śpiew ludowego lirnika przypominają mu rodzinne polskie strony. Za to przemile przypomnienie obdarza hojnie ubogiego lirnika otrzymując wzamian oprócz podziękowania słowa pełne prostoty, że szczęście nie polega na ubraniu, lecz leży ono w obcowaniu z ludźmi dobrymi.

W czasie swego pobytu na dalekim Wschodzie prowadzi również Barszczewski umiejętnie prowadzoną akcję, by nie pozwalać wykorzystywać biednego tamtejszego ludu przez zepsutych powodzeniem pieniężnym mułłów, pobierających wysokie opłaty za czynności obrzędowo-religijne. Przy tej sposobności poznaje wszystkie zabobony, gusła i przesady, któremi ludy tamtejsze były stale przez swych mułłów tumanione i wykorzystywane.

Z tych gusiel i zabobonów panujących pośród Uzbeków wyciąga Barszczewski wniosek, że wskazują one na to, iż ludność tych stron nie tak jeszcze dawno miała swoją odrębną religię nie muzułmańską. W niektórych bowiem zakątkach Buchary napotykał Barszczewski napół dzikich mieszkańców, którzy zachowali dawną wiarę; odznaczali się oni otwartością, prostotą, uczciwością, a choć modlili się do przedmiotów, które my nazywamy bałwanami, mimo to wznosili ręce do nieba, szukając tam prawdziwego Boga. Przebywszy zaś wiele lat wśród tych ludów doszedł do przekonania, że u wszystkich jeden Bóg, lecz tylko w pojęciach i tłumaczeniach istoty rzeczy ludy obrały różne kierunki. Znać, że i u tych plemion istniała wiara w jednego Boga.



Ekspedycja Barszczewskiego do Buchary. Leon Barszczewski siedzi pierwszy od prawej z szablą między kolanami.
Ze zbiorów p. Jadwigi z Barszczewskich Michałowskiej.

Barszczewski stara się wykorzenić wśród ludności te rozmaite gusła a nadto walczy z zakorzenionem u nich barbarzyństwem i okrutnością z jaką n. p. wieszano się w Bucharze w sposób urągławy w obecności tłumów biednego, głodnego, skazanego na taką śmierć za kradzież kilku placków pszennych. Podając scenę takiego stracenia dodaje od siebie Barszczewski, że ludzie postępując w ten sposób, nibyto dla odstraszenia drugich od kradzieży lub innych tym podobnych występków mylą się. Takie barbarzyńskie postępowanie rozjāttra tylko umysł. Te i tym podobne sceny wytworzą namiętności, które przylepią umysł i serce, spazają wolę, powiększają tym sposobem ilość tych występków.

Mocno jestem przekonany, mówił on, że wystawianie tego rodzaju przykładów dla odstraszenia ludzi nie wpływa na zmianę poziomu życia

duchowego wśród nich, lecz poniżej tylko ich godność, jako istot, stworzonych na obraz i podobieństwo Boga.

Swoje zaś opowiadania o uroczystościach weselnych w Bucharze Wschodniej kończy podróżnik następująco: Było już po północy. Tłum ludzi nie opuszczał mnie, wszyscy poszli za mną, oświecając drogę zapalonymi kagańcami i wydając okrzyki radości Dziwny to był pochód i pozostał mi do dziś dnia w pamięci tak dokładnie, jakgdynby działo się to wczoraj. Przybyłem wreszcie do mej chaty. Gromada opuściła mnie, żegnając i życząc szczęśliwej drogi i miłości u ludzi. Stałem we drzwiach oszołomiony dniem przybetym. W głowie przebiegały tysiączne myśli... Wszystko można pokonać na świecie dobrem słowem i serdeczną prostotą, nie zaś damą i pychą.

Do obu artykułów spisanych przez Witolda Barszczewskiego dołączone są następujące ilustracje, pochodzące ze zbiorów Leona Barszczewskiego, a to Kurhan Sang-Tuda, następnie mieszkańcy z nad rzeki Wachsz w Bucharze wschodniej, dalej wspaniałe zdjęcie z wyniosłą skałą przedstawiające resztki lasów pistacjowych w Bucharze. Urzędnicy Buchary, mieszkańcy z nad rzeki Juzbaszi, Taniec Bucharski i kobiety bucharskie. Zdjęcia te znane są czytelnikom Naokoło Świata z lat 1901-1902, natomiast w zbiorze pamiętek u rodziny a zwłaszcza u córki pułkownika Barszczewskiego, p. Jadwigi z Barszczewskich Michałowskiej znanej działaczki, obecnie wizytatorki Ministerstwa W. R. O. P. w Warszawie, znajduje się kilkanaście zdjęć formatu 13/18 przedstawiających krajobrazy i sceny życia dalekiego Wschodu. Zdjęcia te na kliszach miałem sposobność osobiście u córki podróżnika oglądać i już na podstawie tychże jako geograf wyrobiłem sobie pojęcie o ogromnym dorobku podróżniczo-naukowym zapomnianego podróżnika polskiego.

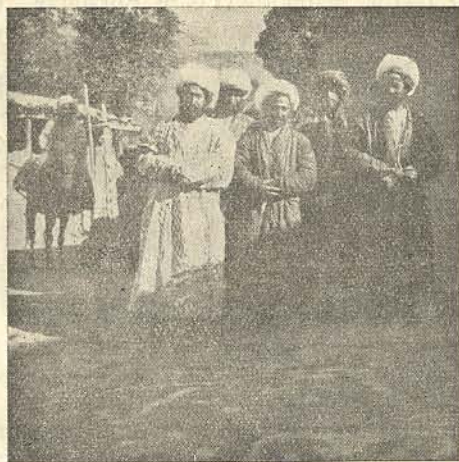
Panią Jadwigę Barszczewską Michałowską poznałem osobiście w r. 1928 w Warszawie, jeszcze jako dyrektorkę Państwowego Gimnazjum im. Konopnickiej przy ulicy św. Barbary w Warszawie. Natomiast rozmaitych szczegółów podróży pułkownika, dowiedziałem się jeszcze poprzednio od śp. dr. Wacława Jezierskiego, wizytatora ministerjalnego, wybitnego geografa, redaktora pisma Naokoło Świata, a pozatem twórcy Pracowni Geograficznej dla nauczycieli w lokalu gimnazjum, użyczonym przez p. Jadwigę Barszczewską Michałowską. Przy tej sposobności jako czasowy kierownik tejże pracowni zostałem przedstawiony przez ś. p. dr. W. Jezierskiego, córce wielkiego podróżnika i wówczas to uzyskałem pewne informacje o podróżach ojca. Pisałem wtedy rozprawkę pod tytułem: „Polscy odkrywcy i podróżnicy“, która ukazała się z końcem r. 1928 na łamach kalendarza I. K. C. na rok 1929 (str. 135—143).

Dzięki tedy wiadomościom od ś. p. dr. W. Jezierskiego oraz p. Jadwigi Barszczewskiej Michałowskiej pozwoliłem sobie na str. 142 umieścić Leona Barszczewskiego w rzędzie polskich podróżników, podając w skróceniu jego zasługi podróżniczo-naukowe; nadto dzięki uprzejmości p. Jadwigi Barszczewskiej Michałowskiej, która czasowo użyczyła mi fotografii swego ojca, umieszczono portret ś. p. Leona Barszczewskiego tuż obok Benedykta Dybowskiego, natomiast samo krótkie zestawienie działalności ponadto po zestawieniu generała Przewalskiego i Grabczewskiego, łącząc razem tę trójkę wybitnych podróżników i odkrywców tajemniczych krain nieznaney wówczas Azji Centralnej.

W ślad za tą moją próbą scharakteryzowania działalności polskich odkrywców i podróżników, których w wielu wypadkach należało dopiero

przypominać Polakom oraz rewindykować na rzecz polskości, ukazała się poważna praca niezmordowanego działacza na tem polu p., Stanisława Zielińskiego pod tytułem Słownik biograficzny podróżników i eksploratorów polskich, której druk rozpoczął się w październiku r. 1931 na łamach miesięcznika Ligi Morskiej i Kolonialnej „Morze”.

Natomiast już w styczniu r. 1932 ukazał się pierwszy zeszyt Małego Słownika Pionierów Polskich kolonialnych i morskich wydany własnym sumptem z całym zaparciem się przez autora i wydawcę p. Stanisława Zielińskiego, mego serdecznego znajomego. Otóż na str. 16 tego zeszyciku umieszczono ku mojej radości Leona Barszczewskiego, podając krótki życiorys oraz źródła, a to samo powtórzono już w formie znacznie obszerniejszej w zeszycie drugim (maj r. 1932) tegoż Słownika, wydawanego już począwszy od kwietnia tego roku w formie zmienionej, nakładem Instytutu Wydawniczego Ligi Morskiej i Kolonialnej na str. 19.



Grupa Sartów w Chiwie.
(Fotografia L. Barszczewskiego ze zbiorów p. Jadwigi Michałowskiej)

Charakteryzując pokrótce działalność podróżniczo-naukową Leona Barszczewskiego należy na zakończenie dodać następujące szczegóły życia i podróży. Leon Barszczewski urodził się w roku 1849 w Warszawie. Wstąpiwszy do wojska rosyjskiego odbył z ramienia tegoż szereg podróży spędzając na podróżach naukowych po Azji 21 lat życia, badając Pamir, Altaj, Turkiestan, Bucharę i tajemniczy wówczas Afganistan, jeszcze do dziś dnia samodzielny. Natomiast emiraty Chiwa i Bucharą były wówczas samodzielnymi państwami niezależnymi od Rosji carskiej i geograficznie nieznanymi.

Poprzednio omówiłem już wszechstronną działalność Barszczewskiego, obecnie pozwolę sobie podać jeszcze o nim szczegóły specjalnie mnie interesujące jako do pewnego stopnia fachowca geografa morfologa lodowcowego. Otóż uważam na podstawie danych, iż Barszczewski jest naogół pierwszym badaczem lodowców w Azji, a zarazem pierwszym polskim badaczem lodowców pozaeuropejskich. Wiadomem mi jest, iż Leon Barszczewski odkrył na Pamirze lodowiec, który już dzisiaj nie istnieje, widziałem bowiem jego fotografie, a stwierdzenie tego stanowi pierwszorzędny fakt

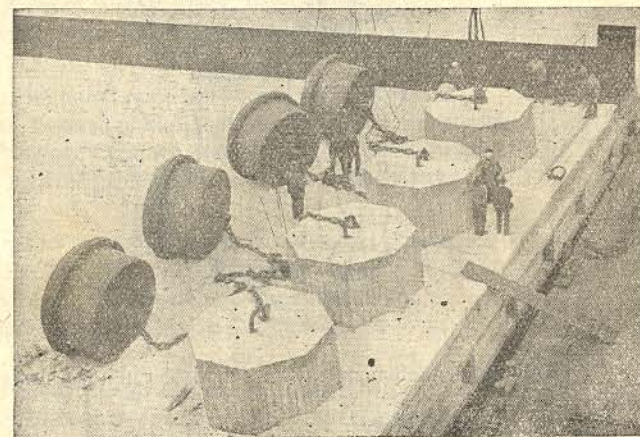
naukowy w dziedzinie badań zagadkowego świata lodowców. Azjatyckie bowiem lodowce w odróżnieniu od europejskich wykazują znaczną chyżość ruchu i w związku z tem ujawniają wielkie wahania, polegające na gwałtownych wypadach, albo na całkowitych niemal zanikaniach. Podobnego zjawiska gwałtownego się pomniejszania jezior pamirskich dowodzą porównane ze sobą obserwacje generała Grąbczewskiego w roku 1883 oraz p. Jadwigi Toeplitz Mrozowskiej w roku 1929 dotyczące jeziora Zor-kul.

Wszystkie te spostrzeżenia Barszczewskiego, Grąbczewskiego a ostatnio Mrozowskiej wysuwają na pierwszy plan polskie badania Pamiru w stosunku do badaczy zagranicznych (Sven Hedin, Yunghusband, Trinkler) natomiast Barszczewskiego jako badacza polskiego należy również wprowadzić w publikacje naukowe zagraniczne.

Dla uprzytomnienia ogółowi polskiemu, kim był Leon Barszczewski pozwolę sobie na zakończenie niniejszego artykułu, napisanego na prośbę p. Stanisława Zielińskiego, podać dosłowną treść autentycznej wizytówki drukowanej tegoż podróżnika ofiarowanej mi przez córkę p. Jadwigę Barszczewską Michałowską. Léo Barchtchevski. Membre Effectif de la Société Impériale Russe Géographique. Membre Correspondant de la Société Impériale de Moscou des Naturalistes. Membre de la Société Ichtiologique Impériale Russe d'Acclimatation Géologique et Botanique Colonel de bataillon au régiment 188 de Crasnostavsky.

Ś. p. Leon Barszczewski zmarł w roku 1910 w Częstochowie, pozostawiając materiały rękopiśmienne, itinerarja geograficzne oraz zdjęcia fotograficzne, które są w posiadaniu rodziny. Jest i było moim zamiarem, by o Leonie Barszczewskim napisać obszerną książkę, przedstawiającą cały dorobek jego ogromnie pracowitego żywota. Niech niniejszy artykuł będzie zapowiednią tejże.

Kraków, 8 października 1932.



W porcie gdyńskim pośrodku basenu Węglowego ustawiono 4 wielkie boje do wiązania statków. Na zdjęciu widoczne boje wraz z betonowymi kotwami, na których zostały unieruchomione.

W czasie wojny markiz Reading i późniejszy lord Balfour przebywają na okręcie wojennym. Kanał Angielski.

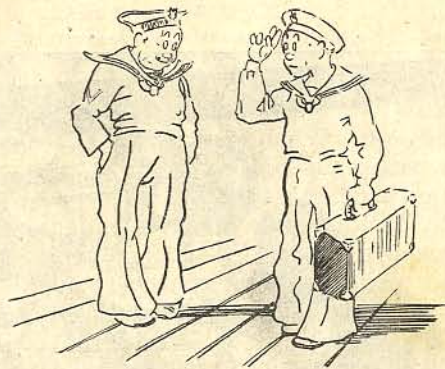
Z powodu burzy i kołysania okrętu lord Balfour cierpi bardzo na chorobę morską. W pewnej chwili współczujący mu markiz Reading zapytuje: „Czy mógłbym dla Pana coś uczynić?” „Tak” brzmiała odpowiedź, „wezwił Pan niemiecką łódź podwodną; niech nas zatopi!”

— Podczas ostatniej podróży widziałem fale wysokości 30 metrów.

— Co pan opowiada! Pływałem kilkadziesiąt lat i nigdy nie widziałem tak wysokich fal.

— W porządku, mój kochany. Za pańskich czasów fale były znacznie niższe niż obecnie.

Abecadło rekruta.



Koło raf i mielizn należy przechodzić czujnie i uważnie...

GAWĘDA

Nade drogą stała wierzba, babuleńka siwa
Przyszedł do niej w odwiedziny wiatr i cicho śpiewa.
Wiatr jej przyniósł jakieś dziwne nowiny od wioski,
Ze z jesienią w cudze kraje ruszy naród chłopski.

Pójdą chłopcy, parobczaki, baby i dziewczuchy,
Unoszący w swych sukmanach Ojczyzny okruchy:
Garstkę ziemi, święte ziele i tej ukochanej
Częstochowskiej Panny Marji obraz połączany.

— O, mójś ty wietrze polny, co się w świecie dzieje?
Żali ziemia już nie rodzi, słońeczko nie grzeje?...
Precz-że idzie chłopski naród, co za mus go niesie?...
Słyszysz, jakie szluchy płyną po zielonym lesie?

— O mojaś ty wierzbo siwa, naród żegna chaty,
W których matka go pacierza uczyła przed laty,
I mogiłki żegna ojców i kościółek stary
W cudzym kraju z nowem życiem weźmie się za bary.

Hen, daleko za górami i za morzem sinem
Jest ziemica, pług jej nie tknął, las wyrósł olbrzymem.
Pinjorzyska, kiejby, sosny, strzelają wysoko,
I pataty ziemia rodzi, kukurydę złotą.

Więc się naród ławą ruszył, na kraj idzie świata.
Nowe tworząc polskie łąny — dąb z pinjorem zbrata.
A Paniencie Częstochowskiej zbuduje schron święty
I w niedzielę śpiewać będzie: Święty Niepojęty.

O, mójś ty wietrze polny, co za smutki prawisz...
A ja sama tu zostanę, dolaż moja, dolaż!...
Żali nigdy nie ukręci Jasio z mej wierzby
Fujareczki śpiewającej o rodzimej ziemi?

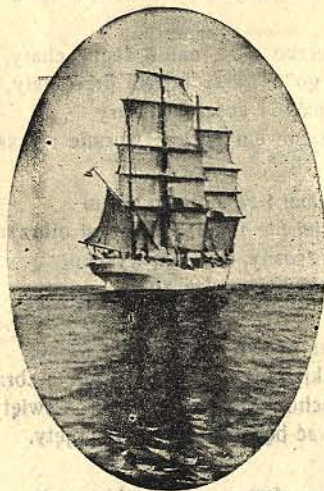
Żali nigdy płocha dziewczka nie siądzie w mem cieniu,
Słuchająca echa dzwonów w pobożnem skupieniu?
Lub wianuszki wijąc z polnych bławatków, rumianka
Żali nigdy tu nie spotka kochanego Janka?

Janek wróci, wierzbo siwa, babuleńko stara,
Chyba, że śmierć przyjdzie smutna i zła mara
Wówczas ziemia, którą zabrał, da mu szczęścia tyle,
Ze kraj stary mu się przyśni w dalekiej mogile!

A po latach, kiedy wróci pod rodzinną strzechę,
Będzie miała, wierzbo siwa, tę wielką pociechę,
Że zbuduje nową chatę i obsieje pole,
A czas zboża będzie dużo miał w swojej stodole.

Ja mu, wietrze, dam gałązkę zieloną z korony,
Gdy iść będzie z naszej wioski w zagraniczne strony.
A ja wcisnę tę gałązkę pod sukmanę siwą,
By cię zawsze miał na sercu, jak pamiątkę żywą.

Nade drogą rośnie wierzba a z nią cicho gwarzy
Polny wiatr, co z wioski przyszedł. Ot, jak zwykle starzy.



Dola polskich wychodźców w Niemczech

Przed kilku laty popełniono w Niemczech tak zwany mord sądowy, to znaczy skazano na śmierć i stracono człowieka, któremu winy nie udowodniono, rzeczywistych zaś winowajców od winy i kary uwolniono. Jakubowski padł ofiarą zacieklej niemieckiej w stosunku do Polaków, dla których sprawiedliwość w Niemczech nie istnieje.

Ponieważ atoli nawet w Niemczech nie brak jeszcze ludzi o wrażliwym na krzywdę ludzką sumieniu (jakkolwiek ilość ich jest znikomo mała), przeto sprawa Jakubowskiego stała się hasłem do walki o słuszny i uczciwy wymiar sprawiedliwości. Domagano się w prasie rewizji procesu i wykazywano wszystkie błędy, popełnione zarówno przez oskarżyciela publicznego, jak i przez sędziów przysięgłych, piętnowano ten niesłychany w dziejach sądownictwa niemieckiego wyrok jako prawdziwy skandal i niezaprzeczoną hańbę sądownictwa niemieckiego, ale wszystko napróżno: szowinizm narodowy ostatecznie zwyciężył i nawet po śmierci nie chciano rehabilitować niewinnie straconego człowieka, ponieważ był „tylko Polakiem”, albo, jak go niektórzy również nazywali „rosyjskim jeńcem wojennym”, pochodził bowiem z byłego zaboru rosyjskiego, a dostał się do Niemiec wraz z zawieruchą wojenną.

Przez kilka lat cała prasa niemiecka pomieszczała szereg nie tylko krótkich wzmianek, ale długich artykułów krytycznych i polemicznych w obronę Jakubowskiego i wszystko atoli bez skutku, bo sprawa została z niemieckiego narodowego punktu widzenia przesądzona i o słusznym wymiarze sprawiedliwości mowy być nie mogło.

Sprawa Jakubowskiego to najjaskrawszy przykład nieludzkiego stosunku, zajmowanego przez barbarzyństwo niemieckie wobec całej ludności polskiej zarówno posiadającej obywatelstwo niemieckie, jak i obywatelstwa tego nie posiadającej, a przebywającej w Niemczech bądź stale, bądź tylko przez czas krótki w charakterze tak zwanych obieżysasów, czyli robotników do prac na roli.

To też nawiązując do sprawy Jakubowskiego, pozwolę sobie przedstawić pokrótce całą martyrologję polskich robotników rolnych w Niemczech, wśród których Jakubowski był tylko najbardziej nieszczęśliwy i najokrutniej przez srogi los dotknięty.

Tylko bardziej jaskrawe wypadki barbarzyństwa niemieckiego wobec polskich robotników rolnych dochodzą do wiadomości czytającego pisma ogółu polskiego, jest ich bowiem tak wielka ilość, że trzeba by ustawicznie wiele miejsca w polskiej prasie codziennej opisać tych spraw poświęcać.

Nie od rzeczy wszakże będzie pokrótce przynajmniej i na najbardziej uderzających przykładach opierając się, przedstawić mało naogół znany los polskich robotników rolnych w Niemczech.

Tutaj mógłby mnie spotkać słuszny pozornie zarzut, że przecie istnieje układ polsko-niemiecki w sprawie polskich robotników rolnych, dający rękojmię sprawiedliwego i ludzkiego traktowania polskiego robotnika rolnego w Niemczech. Wszakże pamiętać nale-

ży, że ważniejsze od tego układy międzynarodowe są dla Niemców jedynie świstkiem papieru, z którego sobie w praktyce nic nie robią, że wreszcie istnieje przecie taka lub inna interpretacja danego paragrafu, dająca pole do uchylania się od przyjętych zobowiązań lub popelniania całego szeregu najzwyczajniejszych nadużyć, z którymi walka jest zaiste trudna.

Przedewszystkiem sprawa wynagrodzenia pieniężnego: jest ono na ogół niskie i tylko umiemy sobie wszystkiego odmawiać robotnik polski, może nawet z tej odrobiny zarobku nie tylko przeżyć, ale nawet jakie takie oszczędności odłożyć. Ale jakim kosztem, wiedzą dobrze ci, którzy sprawie się bliżej przyjrżeli. Polscy robotnicy rolni w Niemczech, wyzyskiwani przez pracodawców, tracą stopniowo zdrowie i siły i po szeregu lat ciężkiej pracy wracają do kraju jako inwalidzi, stając się ciężarem dla innych. Szczególniej przy pracach akordowych starają się pracodawcy niemieccy wycisnąć jak najwięcej wysiłku z robotnika polskiego, a zatargi na tem tle są bardzo częste, słuszość zaś zawsze lub prawie zawsze po stronie Polaka. A nie mówmy już o licznych karach, nakładanych za istotne czy urojone przewinienia, które i tak już mały zarobek jeszcze bardziej zmniejszają.

Cóż mamy powiedzieć o słynnych pomieszczeniach koszarowych, ochrzczonych mianem „Polenkasernen“, nie odpowiadających najprymitywniejszym wymaganiom ludzi nawet o tak skromnych potrzebach życiowych, jak polscy obieźsasi? Cóż mówić o izbach „mieszkalnych“, zajmowanych łącznie przez mężczyzn i kobiety: mężatki i dziewczęta; coż o moralnych następstwach tych niemoralnych warunków mieszkaniowych? Czyż mamy wspominać o tej wielkiej niestety ilości dzieci nieślubnych, zrodzonych z matek Polek — dziewcząt i ojców Niemców, którzy rzadko tylko poczuwają się do obowiązku już nie poślubienia matki swego dziecka, ale przynajmniej dania jej opieki i zaspokojenia jej potrzeb materialnych. Policyjne kroniki niemieckie podają co jakiś czas wiadomość o popełnionym przez robotnicę polską dziecięciobójstwie i spadłej na nią za to surowej karze.

Nadto pracodawca Niemiec jest zdania, że robotnik polski to zwierzę robocze i że nie ma, ba nawet mieć nie może, żadnych potrzeb kulturalnych, wskutek czego naprzykład nie wolno mu po pracy oddać się czytaniu pisma, czy książki, ponieważ w ten sposób wypala się za wiele elektryczności ze szkodą dla kieszeni „pana“, którego trzeba oszukiwać przez szczelne zasłanianie okien szmatami, aby światła nie widział, bo „czego oko nie widzi, tego sercu nie żal“.

Bicie nie tylko mężczyzn, ale nawet kobiet i dziewcząt zdarza się względnie dość często, a przecie w rzekomo kulturalnych Niemczech nie powinno się zdarzać nigdy; zwady i bijatyki w szynkowniach pomiędzy Polakami i Niemcami, wywołane zawsze przez ordynarnych i butnych Niemców, nie są rzadkością. Nie tylko po pijanemu, ale i na trzeźwo, wymyślanie na Polaków w najbardziej karczemny i ubliżający godności narodowej sposób, jest na porządku dziennym.

Na jeden jeszcze ważny moment należy tutaj zwrócić uwagę, a mianowicie na to, że biedny Polak znajduje się między młotem a kowadłem: pracodawca Niemiec potrzebuje go i jest na ogół z jego pracy zadowolony, inaczej bowiem nie domagałby się jego sprowadzania, robotnik zaś niemiecki uważa go za konkurenta, który nie tylko obniża skalę zarobków, ale wprost pracę odbiera, zyskując sobie niechęć niemieckiej klasy robotniczej, która wypisawszy na swym sztandarze piękne hasło: robotnicy całego świata łączcie się — w stosunku do robotników - Polaków nie uznaje solidarności klasowej, lecz przeciwnie występuje wobec nich wrogo i w sposób w najwyższym stopniu krzywdzący. Odnosi się to nie tylko do robotników wchodzących w skład chrześcijańskiej demokracji i odznaczających się szowinizmem, ale i do socjalistów. Jedynie komuniści udają prawdziwych i szczerych przyjaciół robotnika polskiego, lecz tylko w zamiarze zjednania go dla swych celów, z poprawą jego bytu żadnego nie mających związku. Łatwość, z jaką komunista niemiecki dociera do polskiego robotnika rolnego, stanowi wielkie niebezpieczeństwo z polskiego punktu widzenia i winna być brana przez nas pilnie w rachubę.

Dając gospodarstwu niemieckiemu swoje siły, swoje zdrowie i swą umiejętność pracy, polski robotnik rolny otrzymuje w zamian liche wynagrodzenie, niegodne człowieka pomieszczenie, staje się po szeregu lat inwalidą, wywozi nieznaczną ilość wymawianych mu zresztą oszczędności zupełnie tak, jak gdyby nie miał do nich prawa, znosi poniewierkę, i osobistą jako człowiek, i narodową jako Polak, ściągając na siebie niechęć niemieckiej klasy robotniczej, zarówno z pod białego, jak i z pod czerwonego znaku, a gospodarstwu polskiemu żadnej zgola nie przynosi korzyści, Polska bowiem z pracy tego liczego zastępu dzielnych sił roboczych żadnego nie odnosi zysku. Przeciwnie Jej własni synowie bogacą złego sąsiada, który tego bogactwa na naszą niekorzyść używa. Ludzie wskutek chodzenia na „saksy“ uczą się włóczęgostwa, odwykają od własnego kraju, demoralizują się i w ostatecznym obrachunku przynoszą wielkie zyski Niemcom, olbrzymie zaś szkody Polsce, tucząc własną krwią i własnym potem własnych wrogów.

Nie trudno przyjść do wniosku, że tak dalej być nie powinno, że wychodźstwo kontynentalne winno raz na zawsze ustać. Tego wymaga zarówno interes, jak i honor Polski!

Zapisujcie się

do Ligi Morskiej i Kolonialnej!

Peru

Pierwszym Europejczykiem, który stanął na terytorjum dzisiejszego Peru, był Pizaro, kondotjer hiszpański, który w poszukiwaniu legendarnej krainy Eldorado ze stu dwudziestu zwierzbowanymi przez siebie ludźmi przebył przesmyk Panamski, wybudował na nowo okręt na brzegu Oceanu Spokojnego i wylądował wreszcie w okolicy rzeki Tumbes. Kraina, którą odkrył Pizaro, zamieszkała była przez liczny lud, mówiący językiem Kechuna i podlegający absolutnej władzy dynastji Inków, której ostatnim przedstawicielem był wówczas Inka Atahualpa.

Kraina ta nie odpowiadała jeszcze pojęciom o Eldorado, zawierała jednak znaczne bogactwa w złocie i srebrze, które wzbudziły pożądanie awanturników. Postanowili oni kraj ten zdobyć i opanować. Hiszpanie posiadali broń palną i kilka koni, zwierzę naówczas zupełnie nieznane w Ameryce, budzące zabobonny strach niesłychanie uległej i niewolniczo usposobionej, mało wojowniczej ludności. To ośmieliło Hiszpanów, stoczyli oni parę krwawych utarczek z wojownikami Atahualpy, który zaproponował rozejm i sam udał się na pertraktacje do obozu Hiszpanów, polegając na ich słowie, że mu nic nie grozi. Hiszpanie słowa nie dotrzymali, uwięzili Inkę i pod grozą zamordowania wymusili na nim olbrzymi okup w postaci naczyń i przedmiotów ze złota i srebra, które dworzanie Inki, jak również i ludność, dostarczyła w przeciągu kilku tygodni. Nie uratowało to Inki, którego Hiszpanie udusili. Wojownicy peruwjańscy pozbawieni wodza rozpierzchli się i w ten sposób awanturnicy ujęli władzę nad krajem w swoje ręce.

Najeźdźcy zaczęli od rabunku nagromadzonych tu od stuleci skarbów, ogałając z nich pałace Inków i świątynie, przyczem zniszczyli wie le z tych zabytków cywilizacji miejscowej.

Ludność, uciekając od najeźdźców, porzuciła miasta i osiedla i wywędrowała w niedostępne góry. To też istnieje tu mnóstwo opuszczonych, zniszczonych miast i z pozostałych ruin można sobie wyrobić pojęcie o wysokości sztuki budowniczej i inżynieryjnej, jaka tu istniała. Obficie reprezentowana jest ceramika. W muzeach istnieją tu tysiące ciekawych, częstokroć artystycznie wyrobionych naczyń, o wysokim poziomie sztuki. Znajdowane od czasu do czasu dawne wyroby ze złota i srebra, wskazują na wysoką kulturę zniszczonego państwa.

Hiszpanja utworzyła z imperjum Inki jedną ze swoich prowincyj zaoceanicznych pod rządami wicekróla. Stan ten trwał do roku 1824, gdy po szeregu walk ogłoszono niepodległość Peru i ustanowiono rządy republikańskie.

Podczas stu lat życia niepodległego Peru przeszło przez szereg rewolucyj*) i jedną krwawą i kosztowną wojnę z Chile, która pozbawiła kraj znacznego terytorjum na południu. W stuletnim tym okresie Peru zmieniło 42 razy prezydentów. Peru kilkakrotnie przeżywało okresy wielkiej pomyślności, które ugruntowały pojęcie

o nim, jako o krainie złota. Nadmierna pomyślność prowadziła jednak do wielkiej korupcji i lekceważenia grosza, co wywoływało szereg katastrof finansowych i gospodarczych. Jeden z takich pomyślnych okresów przeżyło Peru po wojnie, w latach 1924 — 29, poczem nastąpił kryzys, trwający do dzisiaj.

Czasy lepszych konjunktur wykorzystało Peru, rozbudowując połączenia kolejowe, instalując ogromną sieć szos i górskich dróg gruntowych, rozwijając połączenia telegraficzne i telefoniczne, budując porty, montując szereg linii lotniczych, rozbudowując stolicę i okoliczne miejscowości nadmorskie, nadewszystko zaś rozwijając potężnie przemysł górniczy i cukrowniczy, jak również plantacje bawełny.

Peru leży na zachodzie Południowej Ameryki przy brzegu Oceanu Spokojnego między 1° 29' szerokości północnej do 19° 13' szerokości południowej. Z północy granicy z Ekwadorem i Kolumbią, ze wschodu z Brazylią, z południa z Boliwią i Chile; do Peru należy szereg drobnych wysepek na Oceanie Spokojnym, leżących w pobliżu brzegów, bardzo cennych z powodu wielkich pokładów guana, które się tam znajdują.

Powierzchnia Peru wynosi około 1.400.000 km², które zamieszkuje około 5.300.000 ludności, z czego około 600.000 białych, przeważnie pochodzenia hiszpańskiego. Reszta to właściwi autochtoni, górale, których jest około 4 milionów, wreszcie metysi, chińczycy, japończycy i leśni indjanie dorzecza Amazonki.

Geograficznie Peru dzieli się na trzy zupełnie odrębne terytoria: wąski pas ziemi nizinnej, ciągnącej się wzdłuż Oceanu Spokojnego, rozszerzający się na północy do szerokości blisko 130 kilometrów, po hiszpańsku nazwany Costa, płaskowyż Andów, leżący na wysokości 3.000 do 4.500 metrów nad poziomem morza, obejmujący prawie połowę terytorjum Peru, po hiszpańsku Sierra i wreszcie pas wschodni, lesisty, leżący na niższych zboczach wschodniego pasma Andów i w nizinie dorzecza Amazonki, zwany tu Montanja, obejmujący cztery dziesiąte powierzchni kraju.

Costa posiada klimat tropikalny, łagodzony zimnym prądem Humboldta, płynącym z południowego oceanu lodowatego i odznacza się zupełnym prawie brakiem deszczu. Poza dolinami nielicznych rzek, jest to pustynia pozbawiona zupełnie roślinności.

Stąd też flora jest tu słabo reprezentowana. To samo dotyczy wszelkich zwierząt dzikich, jedynie na północy w rzece Tumbes mnożą się krokodyle, a w przybrzeżnych wodach oceanu liczne lwy morskie. W przeciwieństwie do zwierząt mnoży się tu niesłychanie ptactwo wodne, które znajduje żer w zimnych wodach prądu Humboldta również niesłychanie rybnych. Olbrzymie mnóstwo ptaków było powodem powstania głębokich nieraz na dziesięć metrów pokładów pomiotu ptasiego, które pod nazwą guana do dzisiaj jeszcze jest produktem wywozu, jako pierwszorzędny nawóz dla rolnictwa.

52 większych strumieni i rzeczek toczy tu swe wody z gór, gdzie mają źródła, do Oceanu Spokojnego; wszystkie one posiadają wybitnie górski charakter, prócz rzeki Tumbes; żeglowną jest jedynie Chira. Strumienie te i rzeczki są wyzyskiwane w celu nawadniania okolicznych pól. Nawadnianie to wykonywane jest przeważnie przez państwo i regulowane specjalnymi ustawami. Dzięki nawadnianiu w dolinach rzek rozwinęło się tu znacznie rolnictwo, mia-

*) (1880 — 82).

nowicie plantacje trzciny cukrowej i bawełny. Poza tem hodują tu z korzyścią kukurydzę, ryż, trawy pastewne i wszelkie ogrodowi-
zny, na południu zaś wino i oliwki.

Costa posiada szereg dogodnych portów. Tu koncentruje się handel i przemysł poza hutnictwem, tutaj w prowincji Piura i Tumbes leżą bogate kopalnie nafty, tu znajdują się główne miasta i ośrodki kultury. Jest to gospodarczo i politycznie najważniejsza część kraju; zaludnienie tego pasa, najbardziej gęste, dochodzi do miliona.

Sierra posiada klimat umiarkowany, ziemie mało urodzajne, przeważnie nadające się na pastwiska. To też rozwinęła się tu hodowla bydła, owiec i lam; niemniej duże postępy robi tu rolnictwo, tak, że prawie połowa miejscowego zapotrzebowania pszenicy jest pokrywana z własnych plantacji. Poza pszenicą hodują tu owies, jęczmień, kartofle i t. p.

Zbocza zachodnie i cały płaskowyż pozbawione są całkowicie lasów. Jedynie na zboczach wschodnich na wysokości 3.000 metrów zaczynają się zarośla, które na wysokości 2.000 metrów przechodzą w lasy.

Płaskowyż odznacza się dość wilgotnym klimatem, w porze letniej padają tu często deszcze, pospolite są burze i grady. Na wyższych szczytach pada tu częstokroć śnieg; na wysokości 5.500 metrów leżą wieczne śniegi i lodowce. Terytorjum to posiada kilka większych rzek i dużo rzeczek i strumieni. Tu leżą źródła Amazonki, która do połączenia z wodami Ucayali nosi nazwę Manseriche.

Wypływa ona z jeziora Lauricocha; aż do Pongo de Manseriche ostatniej bystrzyny, licząc od źródeł, jest to typowa góraska rzeka, płynąca w Kanjonie; dopiero po przerwaniu ostatniej skalistej zapory, Marañon wylewa się na równinę, gdzie nabiera cech rzeki nizinnej. Poza tem z większych rzek biorą tu początek Huallaga, Mantaro, Apuimac i Urubamba. Szereg mniejszych rzek toczy swe wody w kierunku Oceanu Spokojnego; wypływają one przeważnie z jezior. Największym jeziorem jest Titicaca, które ma przeszło 200 kilometrów długości i 70 szerokości, głębokości przeszło 200 metrów. Titicaca posiada słoną wodę oraz szereg wysp, na których znajdują się ruiny pałaców i świątyn z okresu Inkasów, jak również jeszcze dawniejszej cywilizacji.

Drugim z rzędu dużym jeziorem jest Junin, które ma 40 km. długości i 16 szerokości. Jezioro to słynie z olbrzymich ilości kaczek. W okolicy jego gnieźdzą się w dużych ilościach kuropatwy. Inne jeziora są mniejsze, natomiast niektóre odznaczają się wielką głębokością.

Flora jest i tutaj słabo reprezentowaną, tak samo fauna. Najbardziej obficie przedstawia się tu również ptactwo wodne, trzymające się pobrzeża dużych jezior. Wiele jest kondorów, największych z ptaków drapieżnych. Ze zwierząt, poza lamą, która jest już oswojonem zwierzęciem, mamy tu alpaki, wikunje, kozice, jelenie, małe niedźwiedzie, pumy, lisy, wiskacze, szynszylle i t. d.

Na płaskowyżu koncentruje się kopalnictwo i hutnictwo. Istnieją tu bogate złoża miedzi, srebra, żelaza, cyny, ołowiu, antymonu, wanadiu, arsenu, soli, węgla, wreszcie złota. W okolicy jeziora Titicaca od niedawna dowiercono się nafty.

Za najwyższy szczyt Andów peruwjańskich uchodzi Hauscaran w departamencie Ancach, mający 6.500 metrów wysokości.

Prócz tego istnieje tu szereg nieczynnych obecnie wulkanów, z których niektóre dochodzą do wysokości 6 tysięcy i więcej metrów. W związku z tą ilością wulkanów pozostaje charakterystyczny dla Peru objaw trzęsienia ziemi, który powtarza się często, niejednokrotnie przybierając formę kataklizmów. Trzęsieniom ziemi podlega jednak prawie wyłącznie część nadmorska Peru, gdzie kilkakrotnie trzęsienie ziemi niszczyło szeregi osiedli.

Montanja posiada klimat tropikalny, łagodzony sąsiedztwem śnieżnych szczytów Andów, przewiewem wiatrów południowo-wschodnich oraz zimnymi prądami rzek, wypływających z wysokich gór. Temperatura w dzień waha się pomiędzy 24 i 35 stopniami Celsjusza, w nocy regularnie się obniża. W miesiącach zimowych, odpowiadających naszemu latu, temperatura w nocy spada do 15 stopni i nawet niżej.

Gleba jest urodzajna, produkuje wszelkie rośliny tropikalne i subtropikalne, jak to bawełnę, kawę, kakao, trzinę cukrową, ryż, kukurydzę, fasolę, wszelkie warzywa i owoce, jak banany, pomarańcze, cytryny, figi, goiaby, mangi, ananasy, papaje, kawony, melony, wreszcie anony, czirimoje, guanabany, palty, lukmy, sapoto, granadille, caimito. W lasach doskonałe chowa się chlewnia. Pastwisk naturalnych tu niema. Na wypalonych polanach z dobrym skutkiem rozwija się hodowla bydła.

Przemysł nie istnieje, nie licząc kilku drobnych gorzelni, cukrowni, tartaków i cegielni.

Dróg żadnych Montanja nie posiada. Istnieje jedyna tylko szosa, która prowadzi od stacji Oroya na płaskowyżu do rzeki Perené już na terytorjum Montanji. Komunikacja odbywa się przy pomocy parowców i łodzi, dzięki obfitości rzek i rzeczek i kanałów, przeważnie pozbawionych kamieni i bystrzyny bardzo dogodnych dla żeglugi.

W przeciwieństwie do dwóch pierwszych dzielnic, Montanja odznacza się niesłychanie bujną i urozmaiconą florą. Samych drzew liczą tu 360 gatunków, między nimi Hevea, dostarczający najlepszego kauczuku, ficus, castilloa elastica, dostarczające niższych jego gatunków, cedr, mahoń, palisander, orzech, guinilla etc., szereg użytecznych palm, dostarczających kości słoniowej roślinnej, oleju palmowego, wosku, włókien, owoców jadalnych lub używanych do wyrobu wina i t. p.

Fauna jest w Montanji również bardziej urozmaicona. Najliczniej reprezentowane jest tu ptactwo, szczególnie czaple, papugi wszelkiego gatunku. Ze zwierząt leśnych wymieniamy tapira, dwa gatunki dzików, kilkanaście gatunków małp, szereg gryzoni, jaguary, pumy, małe oceloty, sarny, mrówkojady. Istnieje tu kilkanaście gatunków węży i żmij, kilka gatunków żółwi, jaszczurek i pancerników. Rzeki są niezwykle rybne, niektóre ryby dochodzą do dwu metrów długości, najbardziej poszukiwane na miejscowym rynku, są paiche, corbina, ganutana, pakadorada, poza tem pospolite tu są delfiny, lamantyny (foki rzeczne), wreszcie krokodyle i kajmany. Bardzo obficie jest reprezentowany świat owadów, a więc motyle, ćmy, tęgoskrzydłe, słoniowce, pająki, komary i moskity.

Największą rzeką jest Amazonka, która jak to już powiedzieliśmy, do ujścia Ucayali nosi nazwę Marañónu. Długość części Amazonki tylko w granicach Peru wynosi 2.300 kilometrów, głębokość jej wynosi od 20 do 40 metrów. Bliżej granicy brazylijskiej głębokość dochodzi do 80 metrów, prócz tego są tu jakby studnie o jeszcze większej głębokości. Amazonka usiana jest wyspami, posiada szereg potężnych dopływów, z których największym jest Ucayali, zaczynające się od zlewu Tambo i Urubamby. Mierzy ona około 1.800 kilometrów, szerokość jej w górze, na 1.500 kilometrów od ujścia naprzeciwko Kolonii Polskiej w Cumazii, wynosi około kilometra; głębokość głównego koryta w najsuchszej porze roku wynosi tu jeszcze przeszło 4 metry; przy dużej wodzie głębokość wynosi od 12 do 14 metrów.

Do Amazonki wpadają z prawej strony, prócz Ucayali, Haullaga i Iavazy; z lewej — Napo, Tigre, Pastaza, Morona, Santiago. Z większych dopływów Ucayali wymienić należy Pachiteę, Tamayę, Aguaytę, z dopływów Tambo, Ené i Perené, z dopływów Urubamby, Sepoahnę i Mishaguę. Największym dopływem Huallagi jest rzeka Mayo.

Prócz tego duży basen tworzy tu rzeka Madre de Dios, wpadająca następnie do Beni, który jest dopływem Mamore i dalej Madeira. Głównymi dopływami Madre de Dios są Manu i Snambari.

Peru posiada przeszło 4.000 kilometrów linii kolejowych, prócz tego około 1.000 w budowie. Wobec bardzo trudnych warunków budowy kolei i olbrzymich kosztów, jakie one pociągały, państwo było zmuszone rozwinąć sieć dróg szosowych i górskich gruntowych, których tu istnieje 12.600 kilometrów, prócz tego około 9.000 klm. w budowie.

Peru jest republiką. Na czele rządu stoi prezydent, obierany na 5 lat. Parlament składa się z dwóch izb, sejmu i senatu. Państwo podzielone jest na 23 departamenty, które dzielą się na 110 prowincji i 850 dystryktów. Na czele departamentów stoją prefekci, na czele prowincji — subprefekci, na czele dystryktów — gubernatorzy. Panującym językiem jest hiszpański; jest to język oficjalny. Górale mówią językiem Kechua; również Indianie Montanji mówią własnymi narzeczami, których jest kilkanaście. Panującą religią jest katolicyzm.

Stolica Peru, Lima, posiada 300 tysięcy mieszkańców; leży ona w odległości 12 kilometrów od głównego portu Peru, Callao, z którym połączona jest koleją, tramwajami elektrycznymi i asfaltowaną szosą.

Najważniejsze miasta Peru są: Arequipa, Cuzco, Trujillo, Chiclayo, Piura, Cajamarca, Iquitos, Ica; najbardziej uczęszczane porty: Callao, Talara, Payta, Pimentel, Pacasmayo, Salarerry, Pisco, Mollendo, posiadające od 15 do 40 tysięcy mieszkańców.

Peru posiada wybitnie dodatni bilans handlowy. W roku 1929 Peru wywoziło 2.157.221 tonn towarów za sumę 33.508.146 funtów, co w przybliżeniu wyniosło wówczas około 132.000.000 dolarów, wwoziło zaś 604 tysiące ton za sumę 18.985.246 funtów, co wyniosło 75 milionów dolarów.

Głównymi produktami, które wywozi Peru są: cukier (rok 29) 13.500.000, bawełna 22 milj. dol., nafta 51 milj., miedź 26 milj.

Peru wwozi mąkę pszenną, tłuszcze, bydło, owoce, konserwy, ryż, materiały łokciowe, konfekcję, papier, maszyny i narzędzia, węgiel i drzewo od strony Oceanu Spokojnego, automobile, wyroby z porcelany i fajansu, żelazo w sztabach, farby i pokosty, artykuły piśmienne, broń i naboje, elektryczne przyrządy i maszyny, produkty aptekarskie, mleko kondensowane, sery i inne produkty żywnościowe.

Monetą państwową jest funt peruwjański, który dzieli się na 10 soli, sol na 100 centavos. Funt w monecie polskiej równa się obecnie około 30 złotym. Złota niema w obiegu, kursują pieniądze papierowe. Bilon, zaczynając od sola, bity jest z niklu.

Peru posiada 4 uniwersytety z fakultetami prawnym, medycznym, filozoficznym, teologicznym: w Limie (w 1571 roku), w Cuzco (1692), Arequipie (1835) i Trujillo (1824) z jednym fakultetem w każdym uniwersytecie. Prócz tego — szkoły inżynierów, farmaceutyczną i dentystyczną, Akademię Sztabu Generalnego, Sztuk Pięknych, Handlową i Rolniczą, Weterynaryjną, Wojskową, Morską, Instytut Pedagogiczny.

Średnich szkół posiada 40, licząc w tem szkoły handlowe i seminarja duchowne.

Szkół początkowych Peru posiada około 3.500. Nauka jest bezpłatna i obowiązkowa.

Polaków w Peru jest bardzo mało. Bardzo nieliczna grupka osiadła w stolicy, inni są rozproszeni po miastach pobrzeża i płaskowyżu, przy robotach drogowych i przedsiębiorstwach górniczych. Około 40 ludzi pracuje w charakterze wiertaczy na kopalni nafty w Lobitos, wreszcie taka sama ilość skupiła się na nowo założonej rolniczej kolonii Polskiej koło Cumarii nad Ucayali. Kilkunastu osiadło w Iquitos.

Peru jest krajem, gdzie imię polskie wpisane zostało niezatartymi głoskami w historii. Zawdzięczamy to pracy szeregu wybitnych inżynierów i przyrodników, którzy tu pracowali przed wojną. Profesor Habich był założycielem i długoletnim rektorem szkoły inżynierskiej. Inżynier Malinowski był projektodawcą i kierownikiem budowy najwyższej i jednej z najtrudniejszych kolei na świecie, z Limy do Oroya, kilku profesorów polskich pracowało tu przez szereg lat, — między innymi Wakulski i Folkierski.

Niepożyte zasługi w badaniu kraju położyli tu przyrodnicy Jelski i Sztolcman, inż. Tarnawiecki, Jelski odkrył w Lobitos źródła nafty. Pracowali tu wybitni inżynierowie, jak Sygietyński, Lipkowski.

Ostatnio poważną pracę w sensie zbadania i uznania za odpowiedzialną dla żywiołu europejskiego doliny Ucayali wykonała ekspedycja, wysłana z ramienia rządu polskiego i Banku Gospodarstwa Krajowego, w której brali udział: Lepecki, Zarychta, Freyd, Gadowski, Pankiewicz i Warchałowski.

W Peru wreszcie istnieje największa koncesja polska na świecie dla celów kolonizacyjnych nad Ucayali, ciągnąca się na przestrzeni przeszło trzystu kilometrów nad brzegiem tej rzeki.

Spór o kolonię pokrytą śniegiem

W dniu 10 lipca 1931 r. rząd norweski ogłosił okupację środkowej części wschodniej Grenlandji (od $71^{\circ} 30'$ do $75^{\circ} 40'$ szer. półn.). Oświadczenie norweskie wywołało zdecydowany protest ze strony Danji, która wystąpiła ze skargą do Trybunału Haskiego, przedstawiając okupację części Grenlandji przez Norwegię, jako pogwałcenie dotychczasowego status quo.

W dniu 18 lipca b. r. obydwie rządy złożyły skargę do Trybunału w Hadze: norweski — domagając się aprobaty okupacji, duński — utrzymania status quo ante.

Rząd norweski motywuje swoje stanowisko następującymi względami: Okupowana przez Norwegię część Grenlandji, stanowiła, jak zresztą i cała Grenlandja — „kraj niczyj”. Odkryta przez Norwegów około 982 r., stała się na zachodnich wybrzeżach terenem ich kolonizacji, uznając w 1261 r. suwerenność Norwegii.

Gdy w 1814 roku na mocy traktatu w Kiel, król państwa duńsko - norweskiego ustępuje Norwegię Szwecji z wyłączeniem z tej Unii norweskich kolonii — Norwegia przeciwko temu protestuje i dopiero w 1821 r. następuje porozumienie w tej sprawie pomiędzy rządami Danji i Norwegii, przyczem Norwegia godzi się uznać suwerenność Danji nad zachodnią Grenlandją, stanowiącą część dawnej kolonii norweskiej.

W 1905 roku Danja rozszerza swoją władzę na zachodnich wybrzeżach Grenlandji aż do $74^{\circ} 30'$ szer. północnej, a w jedenaście lat później zwraca się do mocarstw o uznanie jej suwerenności nad całą wyspą. Rząd norweski w zasadzie godził się na to, jednak w drodze zawarcia specjalnego porozumienia, na co Danja odpowiedziała ogłoszeniem (26. 6. 21.) zamknięcia dostępu do wybrzeży całej Grenlandji obcym okrętom.

Norwegia nie uznała tego oświadczenia, w wyniku czego po paroletnich rokovaniach został podpisany w 1924 r. pomiędzy obu rządami traktat (na przeciąg 20-tu lat), w którym obydwie rządy gwarantują sobie wzajemnie możliwość ekonomicznej działalności na terenie Grenlandji, przyczem w dodatkowych notach do traktatu Grenlandzkiego Norwegia stanęła na stanowisku, że wschodnia Grenlandja oprócz kolonii Angmagssalik stanowi ziemię niczyją — Danja natomiast zaznaczyła, że władza jej rozciąga się na całą Grenlandję.

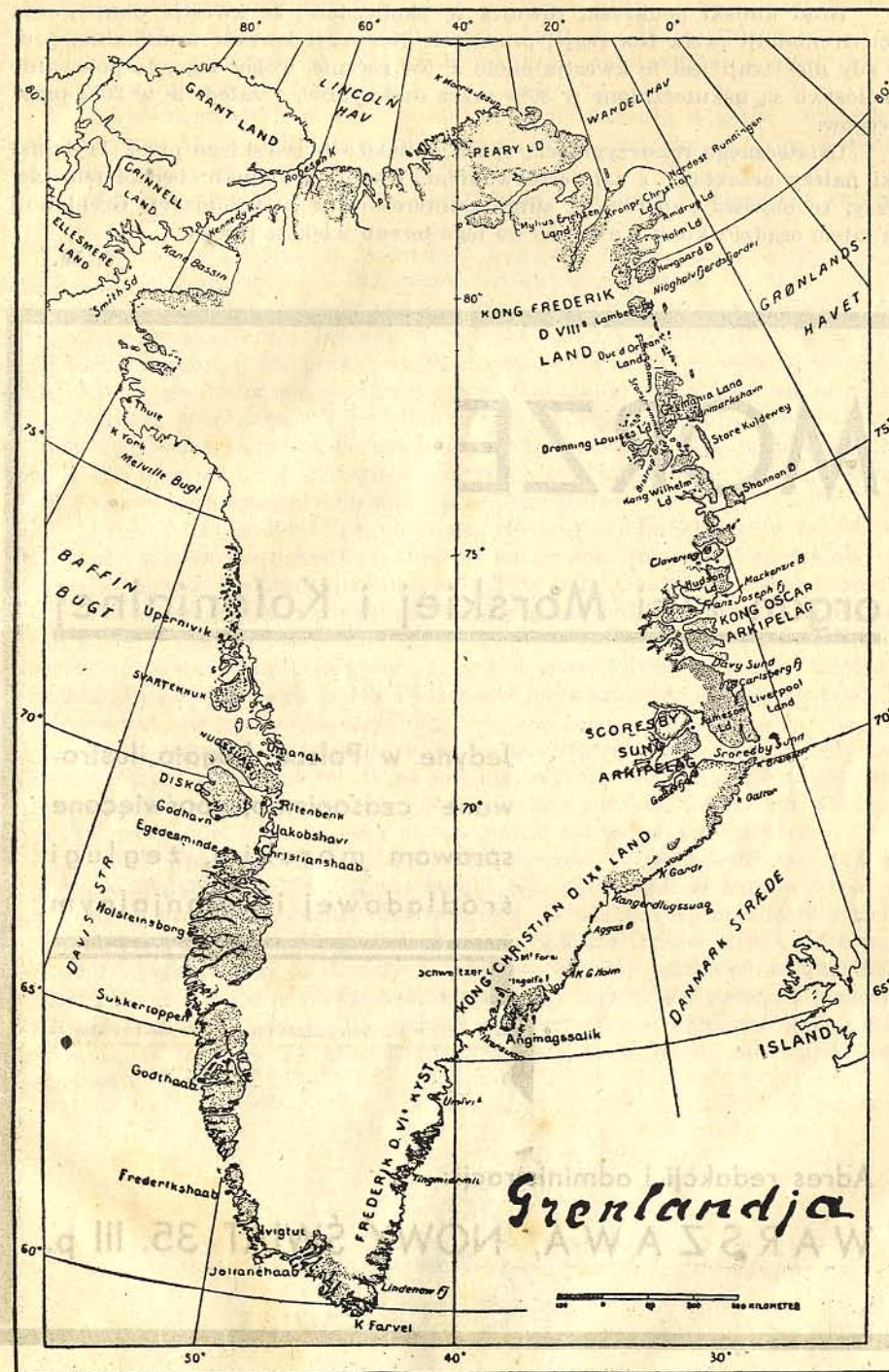
Gdy w lecie 1931 r. Danja wysłała do wschodniej Grenlandji ekspedycję, która ze względu na jej rozmiary miała charakter formalnej okupacji, Rząd Norweski uznał ten fakt, jako pogwałcenie postanowień traktatu Grenlandzkiego i dla podkreślenia swoich praw, zajął w dniu 12 lipca b. r. wschodnią część Grenlandji.

Pretensje duńskie opierają się na następującej podstawie:

Grenlandja stanowiła od niepamiętnych czasów składową część państwa duńskiego, co w szeregu traktatów uznane było przez mocarstwa europejskie.

Norwegia w szeregu aktów z lat 1814 — 1821 wyraziła zupełne désinterement kwestją Grenlandji, która była całkowicie eksploatowana z niemałym nakładem kapitału przez Danję, podczas gdy udział Norwegii i to dopiero w ostatnich latach wynosi zaledwie 25% udziału duńskiego; przytem charakter norweskiej gospodarki był obliczony wyłącznie na zysk, bez uwzględniania interesów Grenlandji.

Jeżeli chodzi o akcję kolonizacyjną, — to Danja jest założycielem dwóch kolonii: Angmagssalik ($65^{\circ} 41'$ szer. półn.) i Scoresby Sound ($70^{\circ} 31'$ szer. półn.), liczących łącznie około 1.000 mieszkańców, z których większość prowadzi życie koczownicze, skutkiem czego następują ciągle wędrowki ludności z południa na



Map of Greenland.

północ i vice versa we wschodniej części Grenlandji; jest więc rzeczą pierwszorzędnej wagi, aby cała ta przestrzeń pozostała w jednych rękach, t. j. duńskich. To też norweska okupacja spowodowała zwrócenie się ludności grenlandzkiej do rządu duńskiego o ochronę jej interesów i o pozostawienie jej pod opieką Danji.

Rząd duński podkreśla również tę okoliczność, że kwestja okupowania części Grenlandji przez Norwegję, przyniesie Norwegji korzyść minimalną, podczas gdy dla Danji jest to kwestja około £ 550 rocznie, wobec tego, że polowanie i rybołówstwo są skuteczniejsze w 80% przez duńczyków, a zaledwie w 20% przez norwegów.

Ostatecznego rozstrzygnięcia sporu duńsko - norweskiego przez Trybunał haski należy oczekiwać z zainteresowaniem. Wyrok Trybunału będzie tem ciekawszy, że obydwa państwa są silnie zainteresowane w kolonizacji Grenlandji i nie łatwo osądzić, które z nich ma do tego terenu większe prawa.

J. W.

MORZE

organ Ligi Morskiej i Kolonjalnej

Jedyne w Polsce, bogato ilustrowane czasopismo, poświęcone sprawom morskim, żeglugi śródlądowej i kolonjalnym

Adres redakcji i administracji:

WARSZAWA, NOWY ŚWIAT 35. III p.

Legendarne góry

Przez wiele tysięcy lat, aż do najnowszych czasów umysły ludzi nauki zajmowała nierozwiązana zagadka: gdzie są źródła Nilu? — owej błogosławionej dla Egiptu rzeki, dzięki której pustynia zamienia się na urodzajne pola i nad której brzegami rozwinęła się wspaniała kultura, pozostawiając pomniki okresu swej świetności, potężne piramidy.

Od zamierzchłych czasów wieść niosła o istnieniu w głębi tajemniczej i niedostępnej Afryki, poza ogromnymi puszciami i moczarami „Gór Księżycowych” śniegiem pokrytych olbrzymów górskich.

Nil — według tej legendy — miał brać początek w topniejących śniegach tych gór.

Gdy w roku ubiegłym wyruszyła belgijska ekspedycja naukowa ze 100 tragarzami, 30 żołnierzami i wszelkiego rodzaju przyrządami do badań naukowych, aby zbadać, stale mgłami okryte, góry „Ruvenzori”, leżące w pobliżu równika, przypomniano sobie legendę o „Górach Księżycowych”, o których wspomina Herodot około r. 457 przed nar. Chr., gdy zwiedzał Egipt. Później wspomina o nich Klaudjusz Ptolomeusz w drugim wieku naszej ery. Powtarza on za geografem syryjskim Mariusem z Tyru opowiadanie jednego z kupców greckich, który po trzech prawie tygodniach posuwania się od wschodu w głąb Afryki dotarł do dwu wielkich jezior i dwu śniegiem pokrytych gór, uważanych za „Góry Księżycowe”, dające topniejącymi śniegami, początek Nilowi.

Przez wiele wieków utrzymywała się ta legenda. Zbadanie źródeł Nilu napotykało zawsze na przeszkody nie do pokonania. Im większe czyniono wysiłki, tem większą zasłoną tajemniczości okryte były źródła tej wielkiej rzeki.

Aż wreszcie wielki podróżnik Stanley przebrnął w poprzek Afrykę, zdarł z niej grozę i wyjaśnił wiele tajemnic. W r. 1889 przebywając w pobliżu jeziora Alberta, dostrzegł wylaniające się z mgieł góry, których nazwa miejscowa brzmiała „Ruvenzori” czyli „Góry Deszczowe”, bowiem stale na ich zboczach padają deszcze.

Przypuszczał początkowo, że są to owe legendarne „Góry Księżycowe”. Wkrótce jednak przekonał się, że na wielkiej wyżynie wschodnio - afrykańskiej, dalej na południe, są inne jeszcze góry śniegiem pokryte, jak szczyt Kirissimbi w grupie wulkanów Virungi, oraz na wschodzie Kilimandżaro i Kenya.

Które z nich uważano za „Góry Księżycowe” — pozostanie zagadką. Dziś, skoro zostały nietylko odkryte źródła Nilu, ale zbadana cała wyżyna, można z dużem prawdopodobieństwem twierdzić, że właśnie Kilimandżaro i Kenya, są owymi legendarnymi górami, leżą bowiem najbliżej źródeł Nilu oraz brzegów Oceanu Indyjskiego, skąd ruszały karawany kupców greckich w głąb kraju. W każdym razie legenda nie podawała gór zmyślonych, ale podawała rzeczywistość, której w starożytności nie bardzo dawano wiarę, skłaniając się do przypuszczenia, iż rzeka o tak błogosławionych skutkach, musi mieć nieziemskie pochodzenie.

Fr. Ł.



Samotna wyspa

Daleko, na południowym Atlantyku, poza wszelkimi szlakami morskimi, znajduje się mała wyspa Tristan da Cunha (czyt. Kunja), zamieszkała przez 162 ludzi — mężczyzn, kobiet i dzieci, — a obok niej druga, bezludna wysepka.

Co dwa lub trzy lata odwiedza obie wysepki jakiś statek, poza tem nikt nie pojawia się na tych dalekich wodach oceanu.

Z początkiem r. b. odwiedził je angielski krążownik, przywożąc mieszkańcom różne potrzebne im rzeczy, oraz wiele podarków od nieznanych im sympatyków na całym świecie.

Ciekawe jest życie tych mieszkańców na wyspach, porośniętych tylko trawą. W ciągu długich lat przyzwyczaili się do samotności.

Pożywienie ich składa się z ziemniaków, które się tam dobrze udają, ryb, jaj pingwinów oraz nabiału. Chodowlę mają małą. Składa się ona z kilku krów, kilkunastu baranów i małej ilości świń.

Zajęcie ich nie jest zbyt urozmaicone: połowy ryb, czasem polowanie wieloryby lub morsy, gdy pojawią się w pobliżu wyspy, zbieranie jaj pingwinów, sadzenie i zbiór ziemniaków, urządzenie ogródków kwiatowych — a poza tem żywot beztroski.

Domy b. dużej z kamienia, a drzewo wyławiają z morza. Są to szczątki rozbitych statków.

Na wyspach tych nie ma żadnych dzikich zwierząt, ani też dokuczliwych owadów. Nawet pchły są tam nieznane. Są tylko szczury, które przed 50 laty dostały się ze statku, rozbitego u brzegów wyspy.

Klimatu tamtejszego nie można uważać za rozkoszny. Od grudnia do marca trwa lato i pogoda, ale reszta roku jest dżdżysta, morze jest wzburzone, padają ulewne deszcze i szaleją wichury.

Na krążowniku angielskim przybył na wyspę Tristan da Cunha dentysta z Capetown, nie miał jednak nic do czynienia, gdyż okazało się, że wszyscy mieszkańcy mają zupełnie zdrowe zęby. Także i lekarz okrętowy stwierdził świetny stan zdrowia ludności. Choroby tam są prawie nieznane.

Kilkakrotnie starano się nakłonić mieszkańców do przeniesienia się do innego lepszego klimatu i niby to łatwiejszych warunków bytowania — ale mieszkańcy nie chcą opuścić wysp, na których wiodą żywot beztroski a pożywienia mają obfitość. Wystarcza im życie rodzinne i połowy ryb, a z gmachów publicznych: mała szkoła i mała kaplica. Twierdzą że są zadowoleni, uważają się za szczęśliwych i nie pragną żadnej zmiany.

Reszta ludzkości — ta olbrzymia, — rozmieszczona na całej kuli ziemskiej — ma zamiar dorzucić im jeszcze jeden łut zadowolenia z życia a mianowicie wybudować im radjostację i zaopatrzyć ich w radjoodbiorniki.



Franciszek Łyp.

Do Angoli

Towarzystwo było narodowościowo i jakościowo różnorodne. Bawili się jednak wszyscy doskonale, jak to zwykle bywa na statku, na którym pasażerowie zmuszeni są przepędzić ze sobą pewien czas, odcięci ogromem wód od reszty świata.

Zdawałoby się, że ich coś ważnego łączy, że nigdy nie zaznali troski, że jedynym celem ich życia jest: jeść, spać, spacerować po pokładzie lub grać w bridża i tak w kółko bez końca. Żłuda ta pryska; skoro tylko wyjdą na ląd — rozbiegną się, każdy z troską na obliczu w gorączkowej pogoni za swymi sprawami.

Beztrosko także wyciągnął się na leżaku Polak z zamiarem zdrzemnięcia się. Ale obok namiętnie dyskutowało dwu Portugalczyków z Anglikiem, przerwał więc drzemkę i zaczął przysłuchiwać się rozmowie.

— Pieniądze — mówił Portugalczyk słabą angielszczyzną — tak, niestety, pieniądze. Bez nich niema po co pokazywać się w kolonjach. Co za ironja losu, przecież nowy kraj powinien istnieć po to, aby się w nim bogacić, bez przywożenia pieniędzy.

— Tak było dawniej — odparł Anglik. — Gdy, przed przeszło trzydziestu laty, wyruszyłem w głąb Rodezji, miałem zaledwie dwadzieścia funtów szterlingów w kieszeni, sztucer, żądę przygód, chęć z bogactwami, no i lat dwadzieścia pięć. To były szanse! Osiadłem pod Bulawayo — wiecie tam, gdzie najciekawsze walki były z białymi. Miejscowe plemię murzyńskie było okrutne — sama nazwa Bulawayo określa je, oznacza bowiem „krwawą męczeńską ścieżkę“, na którą wpędzano złapanych białych, lub też czarnych jeńców i znęcano się nad



Wspaniały okaz palmy

nimi dopóty, dopóki w męczarniach nie wyzionęli ducha. Potem wyprawiano sobie z nich ucztę przy piekielnej wrzawie i djabelskim tańcu.

Zostałem kupcem. Kompanja „Upper Zambezi“ dostarczyła mi towaru na kredyt. Handlowałem z murzynami, — poszczęściło mi się, ani razu mnie nie napadli — zarobiłem wiele pieniędzy.

A potem przyszedł czas złota i djamentów, polityki Cecila Rodesa, przeprowadzenia kolei transafrykańskiej przez samo serce, groźnego jeszcze wtedy, czarnego łądu. Bulawayo stało się węzłową stacją kolejową, — tereny brało się wprost za bezcen, nabyłem więc ile mogłem. Dawni ludożercy pracują u mnie obecnie na plantacji i są pokorni jak baranki, — do rany ich przyłożyć. Nie potrzebowaliśmy dawniej pieniędzy, aby osiąść w Afryce, — dostawaliśmy kredyt w towarach, za który nabywaliśmy kauczuk, skóry, kość słoniową, czasem złoto i t. d. Ale też nie mieliśmy miast, kolei, łodzi motorowych na rzekach, wspaniałych dróg samochodowych, kina, radja, poczty, telegrafu drutowego i bez drutu, policji i wojska, no i nie mieliśmy hoteli z ruletką. Życie było twarde, surowe, dzikie jak dzika była wtedy stara Afryka. A więc cóż, — panowie chcecie korzystać z cywilizacji i z niczem przyjechać do nowej Afryki?

Dawniej murzyn za garść paciorków pracował cały miesiąc. Za kilka świecidełek niósł na głowie kilkadziesiąt kilometrów kupionego od niego produktu, przynosił zowrotem towar do sklepu i ponadto sam się żywił w drodze. Dzisiaj nie wolno czarnego używać do takiego transportu. Kodeks pracy określa jaką żywność i ile należy dać murzynowi i ponadto trzeba za jego pracę płacić w gotówce według określonej przez rząd taksy, oraz otaczać go opieką lekarską. A to wszystko wymaga pieniędzy.

— Kauczuk, wspomnieliśmy pan o kauczuku — podjął jeden z Portugalczyków. — Murzyni przestali go produkować, gdyż nie opłaca się, a przecież przed dwudziestu jeszcze laty otrzymywaliśmy po dwa dolary za kilogram. O mało co, a byłbym wtedy zbankrutował. Było to w 1901 roku. W owym czasie miałem już własny sklep na wyżynie angolskiej około Huambo. W czarnych łbach zrodziła się szatańska myśl zbuntowania się. Chociaż byliśmy powiadomieni o tem, to jednak lekceważyliśmy czarnych, zresztą pochłaniał nas handel i wprost olbrzymie zyski. Aż naraz zerwała się czarna masa. Kilkuset mych tragarzy, niosących kauczuk aż z Morico — jedyne moje w owym czasie bogactwo — porzuciło cały transport i wraz z kilkutysięczną, wyjąca tłuszczą ruszyło przeciw białym.

Byliśmy dobrze uzbrojeni, sformowaliśmy obronę. Wkrótce nadeszły posiłki. Cztery kompanje sipajów *) — pożałujcie Boże, niespełna sześciuset ludzi, ale mimo to byliśmy pełni dobrych nadziei, gdyż za sipajami podążała bateria artylerji górskiej. Drżeliśmy jednak, czy przybędzie na czas po ścieżkach i wertepach przez góry nadmorskie.

A tymczasem waliła na nas kilkunastutysięczna czerń, doskonale uzbrojona w karabiny, zakupione w sąsiedniej kolonii niemieckiej. Parła tak na nas, że nie zdołaliśmy już umykać. Przyjęliśmy bitwę pod Candumbo, o 30 kilometrów od Hoambo, gdzie nad miejscem bitwy wznosi się olbrzymia samotna skała. Widoku bitwy nigdy nie zapomnę. Tam-tamy huczały, a na czele ryczącej tłuszczy biegli kacykowie z zatkniętymi za pasy toporkami i skórą lamparciami, oznakami swej władzy, oraz z karabinami opartymi na biodrach. Pomimo, że prażyliśmy ich huraganowym ogniem, rzucili się na nas wręcz i w mig wycieli jedną kompanję sipajów; potem runęli masą w sam środek naszego szyku, który wygiął się, a w pewnym momencie pękł. Ale z luki, jaka się utworzyła, gruchnęła salwa armatnia, nadbiegłej w ostatnim momencie baterji. Zwycięstwo było nasze.

*) Sipajami nazywa się czarnych żołnierzy w służbie rządu kolonji. Jest to wojsko kolonjalne.



Dwaj młodzi eleganci

Wyobraźcie sobie panowie — za kilka dni pojawili się moi czarni tragarze z transportem kauczuku, który uważałem za przepadły. Zaklinali się na wszystkie swe plugawe świętości, że nikt z nich nie brał udziału w buncie.

Dzisiaj niema nawet mowy o jakiegokolwiek rewolcie. W ciągu kilku godzin może być dostawione wojsko i uśmierzy wszelkie objawy nieposłuszeństwa.

— Tak, ale to wszystko kosztuje — dorzucił drugi Portugalczyk — każdy czarny, pełnoletni mężczyzna musi płacić corocznie pogłównie jako podatek, no a my musimy im dać zarobić, aby mieli z czego płacić. Dawniej na plantacji wystarczyło kilkunastu murzynów, woły i pługi. Dzisiaj potrzeba dwa razy więcej czarnych robotników, traktorów i maszyn. Dawniej mieliśmy dużo wolnego czasu, jeździliśmy więc „konno“ na wólach po 30 kilometrów na dobę, a w portach czekaliśmy na statek po kilka tygodni. Obecnie musimy posiadać samochody, pędzimy jak warjaty, na statki nie czekamy więcej jak dwa dni i pomimo tego nie mamy czasu na wiele pożytecznych rzeczy. Czasy się zmieniły, dlatego też urządzenie się w Afryce kosztuje bardzo dużo.

— W Rodezji — podjął Anglik — albo też w którejkolwiek kolonii angielskiej założenie plantacji kosztuje najmniej trzy tysiące funtów szterlingów. Znam wielu, którzy przybyli do Rodezji prawie bez pieniędzy, ale było to dawniej. Zaczęli polować na słonie. Kość miała wysoką cenę, zgromadzili za nią dostateczne kapitały. Dzisiaj jest to niemożliwe. Wszędzie istnieje ochrona zwierzyny, trzeba starać się o pozwolenie na polowania oraz składać wysoką opłatę. Kość słoniowa staniała, — cały proceder nie opłaca się. Tak, trzeba mieć trzy tysiące funtów. U was w Anglii podobno taniej można się urządzać?

— Jeszcze przed trzema laty potrzeba było około 10 tysięcy dolarów — odparł Portugalczyk — ale obecnie wystarczy połowa, naturalnie, jeśli plantator będzie rolnikiem i będzie się znał na wszystkich pracach, jakie spotka na plantacji; będzie umiał trochę kowalstwa, stolarstwa i wogóle będzie „majsterklepką“.

— I nie będzie pijakiem — dorzucił drugi. — Gdy ongiś przebywałem w Kamerunie, miałem dwu przyjaciół: mego rodaka i jednego Polaka. Obaj zalewali się winem palmowym i obaj dostali wkrótce febrę. Po dwu latach mojemu rodakowi spuchła wątroba jak bochen i pochowałem go w krótkim czasie, a Polakowi rodzina przysłała pieniądze na powrót do kraju. Wyjechał, wyleczył się i znów powrócił. Unika teraz trzech największych nieprzyjaciół białego człowieka w Afryce: alkoholu, słońca i wody.

— Co takiego? — wyrwało się Polakowi. — A gdzież węże, lwy i inne drapieżniki?

Uśmiech współczucia i politowania zaigrał na twarzach starych wygów afrykańskich.

— Jak to zaraz widać, że jest pan nowicjuszem — stwierdził Portugalczyk. — Węzów jest mało w Afryce, zależy to zresztą od okolicy, no i nie są dla nas groźne. Murzyni chodzą boso, a jednak rzadko zdarzy się wypadek ukąszenia; my chodzimy w butach. Lwy i inne drapieżniki to miłe stworzonka, które usiłujemy spotkać na polowaniu i rzadko kiedy nam się to nadaje. Ale alkohol w Afryce osłabia organizm i czyni go podatnym na febrę i inne choroby. Słońce szkodzi białemu, jeśli chodzi on z gołą głową, jak to czynią nowicjusze, lub też jeśli udaje się na polowanie w stroju kąpielowym. Za dużo jest promieni ultrafioletowych. Organizmy europejskie nie są przyzwyczajone do nich, dlatego też promienie te działają na białych szkodliwie. Trzeba dużo przebywać w cieniu. Woda w potokach, rzekach i jeziorach ma masę różnego rodzaju zarazków, w Europie nieznanych, które dostają się do organizmu w czasie kąpieli, lub po wypiciu takiej wody. Zarazki te wywołują złośliwe i przewlekłe choroby, a nie rzadko powodują śmierć. Należy używać wody źródlanej lub przefiltrowanej. A do której pan kolonii jedzie i co pan tam zamierza czynić?

— Do Angoli, na wyżynę, chcę tam założyć plantację.

— Jakiej pan narodowości?

— Jestem Polakiem.

— Mile widzimy Polaków w Angoli. Jest ich już kilka rodzin około Humbo, ale, niektórzy — zdaje się — mało mają kapitału. Przepraszam za niedyskrecję: ile ma pan pieniędzy na założenie plantacji?

— Dwadzieścia pięć tysięcy złotych.

— Młody człowieku — wtrącił Anglik — cenimy polską walutę i wiemy, że jest silna, ale zechciej ująć to w walucie nam znanej.

— To będzie niespełna tysiąc funtów.

Zdumienie odbiło się na twarzach wszystkich

— I za to chce pan urządzić się w Angoli?

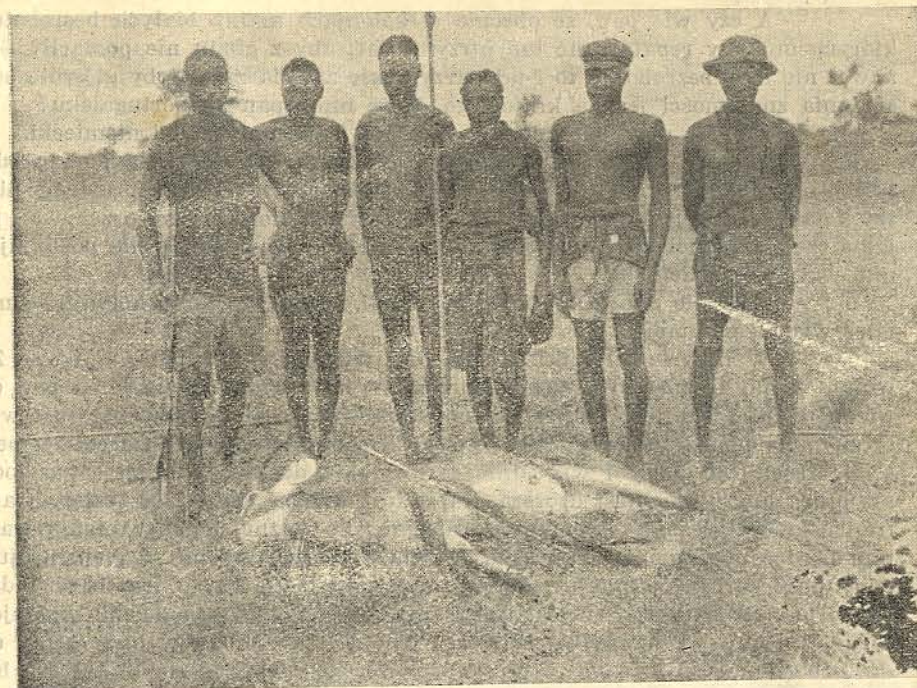
— Niestety, nie mam więcej. Musi mi to wystarczyć.

— Jest to mniej więcej połowa tego, co potrzeba. Czy może ma pan już praktykę kolonialną i jest pan rolnikiem?

— Ani jedno, ani drugie.

— No to pan nie ma żadnych szans w kolonjach. Początkowo będzie pan popełniał błędy. Gdyby pan miał znaczniejszy kapitał, wówczas wystarczyłoby panu na popełnianie błędów. Po uzyskaniu praktyki pozostałoby go jeszcze tyle, że za resztę dobrze by się pan urządził. Ale cóż panu pozostanie, gdyby zdobycie praktyki pochłonęło najmniej połowę pańskiego kapitału. Z pozostałą resztą nic pan nie zrobi, a z całością bez praktyki także nic.

Afryka rajem dla myśliwych



Czarni myśliwi przy ubitej Antylopie



Powalony mocarz puszczy — słoń

— Wszystko w ojczyźnie zlikwidowałem, nie mam tam co robić. Muszę sobie dać radę z tem co posiadam. Jeśli nie będę mógł gospodarować na swoim, wezmę posadę.

— A czy wie pan, że obecnie w kolonjach mamy białych bezrobotnych, których musimy repatrijować lub utrzymywać, aby z głodu nie pomarli? Gdyby nawet nie było bezrobocia, to i tak otrzymanie zajęcia zależałoby głównie od posiadania znajomości języka krajowego. Może umie pan po portugalsku?

— Nie, ale mogę się nauczyć — znam język angielski i niemiecki.

— Z temi językami nie wiele pan zdziała w Angoli, a portugalskiego trzeba się długo uczyć — to trudny dla cudzoziemców język. Wprawdzie niektórzy z nas — są to jednak wyjątki — znają język angielski, gdyż przebywali przez jakiś czas w angielskich kolonjach, ale znają go tak słabo, że nie posługują się nim w życiu codziennym.

— Jeśli nie dam sobie rady w Angoli, pojedę do innej kolonii, — muszę mieć własną plantację.

— W innych kolonjach jeszcze jest trudniej — wtracił Anglik. — Zapewniam pana, że znam wszystkie kolonie Afryki centralnej. Jeśli ma pan odpowiedni kapitał, lub jeśli stoi za panem jakiś kapitał, który pana poratuje w krytycznym momencie, to w każdej kolonii da sobie pan radę. Kamerun w pewnej swej części jest dobry i względnie zdrowy, ma doskonałe drogi samochodowe, ale praca murzyńska jest droższa. Kapitału potrzeba 150 do 250 tysięcy franków francuskich. Założenie sklepu, tej niezmiernie ważnej pomocy plantatora, jest tam bardzo utrudnione. Francuska Afryka Ekwatorialna ma w głębi kraju wyżyny dość zdrowe, kapitału potrzeba tam mniej, ale za to jest bardzo daleko od portów; transport więc jest drogi, gdyż niema kolei. Angielskie kolonie jak Uganda, Kenya, Tanganyika, Nyassa i obie Rodezje, mają w przeważnej części doskonały klimat, to samo część portugalskiego Mozambiku, oraz część belgijskiego Konga, innemi słowy: cała wschodnio - afrykańska wyżyna. Ale wszędzie potrzeba pewnego kapitału, prawie cztery razy większego, aniżeli go pan posiada.

— W takim razie założę sklep.

— Przedewszystkiem nie zna pan języka portugalskiego — rzekł Portugalczyk — bez niego nic pan nie zrobi. Poza tem wszystkie punkty handlowe są już obsadzone, nie wytrzyma pan konkurencji, a wreszcie przechodzimy wszyscy kryzys i nawet zwiijamy sklepy w wielu miejscach.

— No to zaprowadzę hodowlę bydła lub owiec.

— Rolnictwem musi się i tak pan zajmować, zanim hodowla zacznie dawać zyski. Na zakup terenu, krów i owiec potrzeba pewnego kapitału. Część kapitału musi pozostać na bieżące wydatki do pierwszego dochodu, który będzie dopiero za kilka lat, o ile choroby nie wyniszczą stada. Hodowca musi posiadać dużą praktykę. Jeśli pan weźmie koncesję na teren, to okaże się, że nie ma tam przygotowanego odpowiedniego pastwiska. Musi go pan wyrobić, a to też potrwa kilka lat. Na gospodarstwo mleczne nie może pan narazie liczyć, gdyż trudno będzie nabyć krowy mleczne. Tych nikt tutaj nie sprzedaje, chyba bardzo drogo, a to się nie opłaca. Musi pan wyrobić mleczność u krów, a to także trwa kilka lat.

— Mogę zająć się warzywnictwem i sadownictwem.

— To już jest lepsza myśl. Mniej na to potrzeba kapitału, ale nie ma pan praktyki. Warunkiem jednak zasadniczym jest usadowienie się blisko kolei, gdzie tereny są już drogie.

— A gdybym tak założył jakąś fabryczkę?

— Nawet gdyby pan był fachowcem, to i tak nie udałoby się panu, gdyż przechodzimy kryzys, a poza tem jest mało ludności w kolonii, przemysł jeszcze się nie opłaca.

— Więc mam może wracać? Nigdy.

— Pozostaje panu zdobycie praktyki bez wydawania pieniędzy. Mam dużą plantację pod Bié. Mogę pana przyjąć na praktykę. Uprawiam żyto, pszenicę, ziemniaki, kawę, banany, mam sad owocowy: grusze, jabłonie, pomarańcze, pigwy, marmele, a pośród nich sadzę truskawki i warzywa. Nauczy się pan wiele. Jeden z mych znajomych prowadzi około Huambo wzorowe gospodarstwo mleczne. Około Bié „Angola Estates Co“ ma wielką hodowlę bydła. Może uda mi się uzyskać i tam dla pana praktykę. Na całym wysokim płaskowzgórzu, powyżej 1500 m. ponad poziom morza jest dobry klimat. Jest to nasze miejsce klimatyczne dla chorych na malarję. Na upały nie będzie się pan skarżył. Wprawdzie termometr wiele stopni wykazuje, ale na tej wysokości organizm nie odczuwa takiego gorąca, nie ma duszności, ani parności, gdyż stale wieją orzeźwiające wiatry. Czekają jednak pana ciężka praca. Wszyscy w kolonjach musimy pracować. Nie będzie się jednak panu nudziło. Będziemy mieli także i pewne urozmaicenia. Czasem pojedziemy do Bié do kina, będziemy odwiedzać się wzajemnie między sąsiadami, czasami ruszymy daleko na południe Angoli na polowanie, zwiedzimy wtedy Mossamedes, gdzie pozna pan nasze rybołówstwo morskie. Zobaczymy wodospady na Cunene i pustynię Kalahari. Już od kilku lat wybieram się na wschód kolonii do Calundy nad górnym Zambezi. Mieszkałem tam jakiś czas przed wielu laty. Piękny to kawał kraju; górzysty i bardzo zdrowy, a polowania wspaniałe. Niech pan jednak nie przypuszcza, że można tam wyżyć z polowania. Już to różni próbowali, ale im się nie udało. Starszy mój brat, który mieszkał tam przed 40-tu laty, opowiadał mi o jakichś Polakach. Mieli tam ongiś plantację, ale już ni śladu po niej nie pozostało.

— Był tam Steblecki z Pisulińskim. Ten ostatni jeszcze żyje. Opisał tamtejsze polowania w książce „Szlakiem słonia afrykańskiego“.



Obrazek z głębi Kamerunu. Suszenie mięsa

— Nazwisk nie pamiętam. Pokażę panu także Lundę, wyżynę 1.200 m. nad poziomem morza. Gorąca, ale zdrowa — cudowne tam polowania, ale na brzegach niektórych rzek są zdradzieckie, grząskie piaski. Gdy człek wejdzie na nie, mogą go pochłoniąć, zanim bliska nawet pomoc nadbiegnie. Gdy zdobędzie pan już praktykę, założy własną plantację, dobrze ją zagospodaruje, wówczas pojedziemy koleją lub własnymi samochodami do Bulawayo odwiedzić naszego miłego towarzysza podróży, pana Parkera.

— Bardzo proszę — skłonił się Anglik.

— Ależ to ze 2 tysiące kilometrów lub więcej — wykrzyknął Polak.

— Pojedziemy kilka dni. Odbyłem już raz podróż samochodem do Cape Town — 5 tysięcy kilometrów. W porze suchej można odbywać wspaniałe wycieczki. Drogi są dobre, pogoda piękna, niema obawy przed zerwaniem mostów, przez deszcze, gdyż nie padają wtedy, wieczory i poranki chłodne, a dni nie nazbyt upalne. A czy pan żonaty?

— Nie.

— To szkoda. Żona w Afryce to połowa powodzenia. Ona to prowadzi całe gospodarstwo domowe, — to wielka pomoc. To najlepszy i najbliższy przyjaciel. Gdy napadnie pana tęsknota za krajem ojczystym, któż z bliskich przemówi do pana serdecznie i zachęci do wytrwania, gdy przyjdą momenty załamania się? A przejdzie pan wiele przykrych chwil i często będzie się pan zrywał, aby porzucić wszystko i wracać w strony ojczyste. I trwać to będzie tak długo, aż pan przebuduje swoją psychikę i stanie się pan prawdziwym afrykańczykiem. Z początku wszystko będzie pana zachwycało. Potem wszystko stanie się codziennością, znudzi pana, aż wreszcie obrzydnie. Wtedy powinien pan wyjechać na krótko do Polski, gdzie stwierdzi pan, iż jest już innym człowiekiem. Ogarnie pana tęsknota za Afryką i szybko będzie pan pakował manatki, aby jak najprędzej dostać się do tej wolnej ziemi afrykańskiej. Wtedy dopiero pokocha pan nasze rozległe, o melancjoliwnym wyglądzie stepy, po których wzrok biegnie daleko, daleko... I wtedy też zrozumie pan, iż w Afryce trzeba pracować, że nic nie ma bez pracy, a przez pryzmat przygód w Afryce patrzeć tylko nowicjusze. Tych należy skierować do głębokich puszczy Konga lub nad środkową Zambezi. Niech raz zetkną się z grozą puszczy, a na pewno odechce im się wszelkich „przygód“, które znają z opisów, wykwitłych w wyobraźni różnych autorów, którzy nigdy nie widzieli kolonij, lub też widzieli je tylko z okien wagonów. Ot, tacy zwykli „kibice kolonialni“. Przywiezie pan z Polski żonę i już się pan z kolonji nie ruszy, chyba dla odwiedzenia rodziny, pozostałej na kontynencie europejskim. Będzie pan produkował wtedy dużo, dużo kawy i będzie ją pan przysyłał do tego, nowozbudowanego portu polskiego, którego nazwy nie pamiętam.

— Gdynia.

— A tak. Tam pan wywiezie swoją produkcję — dla Angoli zwiększy się rynek zbytu. Trudności z wywozem nie będzie, również i drogi samochodowe mamy dobre. Mamy szkoły na wyżynie. Lolito, to doskonały nasz port, dobrze nowoczesnie urządzony. Z Gdyni sprowadzi pan polskie narzędzia rolnicze. Miło panu będzie orać polskim pługiem. Zapewniам pana, iż wtedy tak pana pochłonie Afryka, jak i nas wszystkich pochłoneła. Bez niej już żyć nie możemy.

Polska jest jedynym państwem o typie

mocarstwowym — bez kolonii.

Bohdan Wojewódzki.

Afryka bez przygód

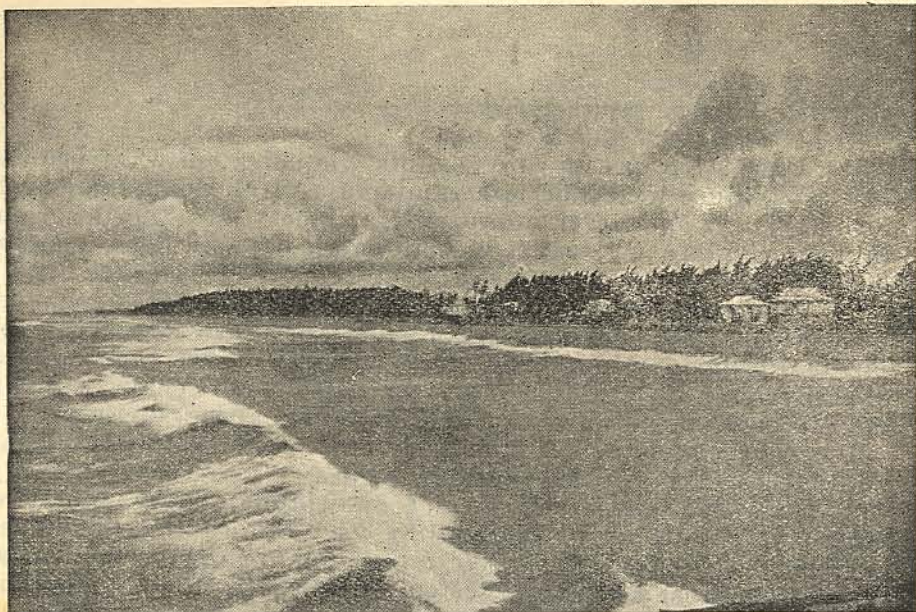
Dużo się u nas mówi o osadnictwie polskim w Afryce i wiele jest osób, które wyjechać tam zamierzają. Brak dokładniejszych informacji oraz opowieści, niosące nieraz rzeczy straszne, dezorientują takiego amatora wyjazdu i nie pozwalają na powzięcie stanowczej decyzji.

Wiele opisów nadzwyczajnych przygód, zdarzeń przedziwnych, i najnieprawdopodobniejszych historii przeraża każdego i do wyjazdu zniechęca, mimo, że w rzeczywistości można tam znaleźć doskonały teren do pracy, a ludzie bardziej przedsiębiorczy i silnych charakterów, mogą nawet dorobić się tam znacznej fortuny.

Żeby owi panowie, którzy opisują te nadzwyczajne i zawsze „autentyczne“ przygody, zdali sobie sprawę z krzywdy, jaką wyrządzają swoimi wyssaniami z palca opowieściami tym, którzy wyjechać zamierzali, pewnie zmieniliby ich krwawą treść na nieco łagodniejszą i prawdziwszą. Być może jest to modne. Być może, że Afryka, pokazana w rzeczywistości światło, nie miałaby tego uroku tajemniczości i straciłaby romantyczne cechy pociągające, gdyż ani sensacyjnych przygód, ani nadzwyczajności tam niema. Życie płynie cicho i spokojnie, bez wrażeń i przygód. Zamiast sypiania w namiocie, otoczonym przez ryczące lwy, ma się wygodne łóżko. Wieczory spędza się na werandzie w leżaku i wygodnej pyjamie, pomi-



Conakry (Gwineja). Aleja, prowadząca do portu



Cotonou. Widok na wybrzeża Atlantyku

jając tradycyjne „whisky and soda“ i nie troszcząc się o niebezpieczeństwa i napady, bo napadają jedynie mrówki, gdyż i komarów jest mało.

Afryka powieściowa nie ma nic wspólnego z Afryką dzisiejszą. Czasy Liwingtona i Stanleya dawno już minęły i poszły w niepamięć. Pozostał tylko kraj oczekujący na ludzi i pracę, kraj względnie pusty, lecz spokojny i cichy.

Murzyn też się zmienił. Z dawnego wojowniczego i wolnego człowieka stał się potulnym i cichym pracownikiem. Ugiął się pod potężną kiałą dłoń nowego władcy i zapomniał o dawnych walkach, chociaż czasy tych walk nie są tak bardzo odległe.

Stosunek murzyna do Europejczyka jest dość osobliwy, gdyż przeblyskuje w nim pewna tolerancja. Czarny człowiek, nawykły od dziecka do tyranii swoich kacyków, pamiętający dziś jeszcze łowy arabskich handlarzy niewolników, przyjął obojętnie białego przybysza, który oswobodził go od tych nieprzyjemności. Dziś też musi pracować, żeby opłacić swoje podatki. Dawniej kłaniał się kacykowi, dziś kłania się tak samo białym. Dla niego właściwie nie zmieniło się nic. Nie ten, to inny będzie nim rządził.

Wprawdzie pod nowymi rządami nikt go w niewolę nie sprzeda, ani też kacyk nie upiecze go sobie na śniadanie, lecz są to kwestje dla murzyna tak małej wagi, że wywołać jakiejś sympatii do wybawcy nie mogą. Mimo to murzyn uznał potęgę białego człowieka, a jego samego wyniósł, widzi w nim istotę wyższą i silniejszą, której ulegać trzeba. Biały rozkazuje — murzyn pracuje i wszystko jest w porządku, gdyż czarny nie może sobie wyobrazić, że biały może pracować tak samo, jak on.

Był jednak moment w czasie wielkiej wojny, kiedy boskość Europejczyka została zachwiana. Murzyn przekonał się wówczas, że białego tak samo łatwo można zabić jak i czarnego i że nadprzyrodzoność białego jest dość wątpliwej wartości. Zawrotny rozwój kolonij w latach 1925 — 1929, maszyny, samochody, samoloty i koleje wprawily wszakże biednego murzyna w istne osłupienie i poprawily zachwianą nieco reputację białego człowieka. W rezultacie zmniejszyła się cześć dla białej skóry, a jej miejsce zajął podziw dla tych dziwnych ludzi, którzy potrafią posługiwać się tak dziwnymi maszynami. Biały przestał być pół-bogiem, lecz stał się w pojęciu czarnego wszechpotężnym i mądrym.

Jest to przyczyna tak łatwego panowania białych w kolonjach. Jakim murzyn białego wyimaginował, takim chce go mieć i tylko takiego słuchać będzie.

Niebezpieczeństwo ze strony murzynów nie zagraża niemal zupełnie. Cała Afryka jest dziś tak spokojna, że można śmiało prze-wędrować ją z laską w rękę, bez żadnej broni i nie narazić się na żadne nieprzyjemności. O napadach, rzeziach, podpaleniach i t. p. nie słyszy się nigdy i są to rzeczy tam nieznane. Są wprawdzie okolice mało zbadane, dzikie i niedostępne, gdzie krajowcy żyją swoim życiem pierwotnym. Takie krainy leżą jednak zdala od utartych szlaków, są niedostępne i dostanie się do nich jest niemal niemożliwe, gdyż władze nie dopuściłyby tam niepowołanego przybysza.

Zwierzęta też nie są groźne i nigdy, pomijając książki, nie słyszałem o napadach, jeśli nie były sprowokowane w jakikolwiek sposób. Wszystkie drapieżniki uciekają na widok człowieka i pod tym względem bezpieczeństwo jest również całkowite, jak i w Europie.



Pochyle palmy kokosowe, zdobiące brzeg w Port Gentil



Goryl — mieszkaniec wnętrza lasu cz. podzwrotnikowych

Gadów i płazów też nie ma wiele. Afryka pod tym względem nie daje się porównać np. z Ameryką Południową. Węże i żmije są na tyle rzadkie, że w przeciągu czteroletniego pobytu w Afryce środkowej widziałem zaledwie jakiś tuzin tych płazów, a włożyłem się po najprzeróżniejszych okolicach. Jak na kraj tropikalny jest to naprawdę mało. Jadowite stonogi, skorpjony i inne podobne owady też nie są spotykane na każdym kroku. Corzej jest z karaluchami i prusakami, które w gorącym klimacie hodują się doskonale i dochodzą do nieprawdopodobnych rozmiarów. Nie gnieźdzą się jednak w domach, lecz w trawie lub w lesie i tylko czasem pojedynczo odwiedzają ludzkie siedziby, żeby się pożywić. Latające mrówki, termity, muchy i muszki różnego rodzaju w porze deszczów zjawiają się w ilościach bardzo dużych i mogą nieraz obrzydzić człowiekowi życie, lecz nie są ani jadowite, ani niebezpieczne.

Warunki klimatyczne nie są również tak okropne, jakby się to zdawać mogło i w opowiadaniach o żałoźnym klimacie Afryki jest więcej jeszcze przesady niż w opowieściach o niesamowitych przygodach. Są oczywiście okolice bardzo niezdrowe, bagniste, malaryczne lub objęte śpiączką, lecz okolice te są znane i instalować się tam nikt nie będzie.

Jedyną nieuniknioną prawie chorobą jest malarja, która panuje na całym niemal kontynencie Afrykańskim i nie wierzę, żeby

Na dworze Króla Jegomości



Kacyk murzyński z głębi Kamerunu w towarzystwie jednej z małżonek, następcy tronu i wielkich książąt



Małżonki królewskie fabrykują mąkę w prymitywnych żarnach. Z tyłu dwaj „gwardziści” czuwają nad tempem pracy

istniały okolice uprzywilejowane, w których choroba ta nie byłaby znana. Zwykła febra nie jest niebezpieczna, chyba dla organizmów wyjątkowo wyniszczonych. Nieregularny tryb życia, wysiłki fizyczne, przemęczenia i nadużycie alkoholu sprzyjają rozwojowi tej choroby i mogą doprowadzić ją do stanu groźnego. W zwykłych zaś wypadkach paroksyzm malarji jest raczej nieprzyjemnem przeżyciem niż chorobą; pociąga za sobą parudniowe leżenie w łóżku i trochę osłabienia.

Przy regularnem zażywaniu chininy i spokojnym trybie życia paroksyzmy są tak rzadkie, że nie mają nawet wpływu na ogólne samopoczucie i stan zdrowia.

Śpiączka jest chorobą o wiele groźniejszą od malarji, lecz tylko niektóre okolice są przez nią opanowane, przeważnie wybrzeża wielkich rzek, gdzie gnieździ się mucha tse-tse, roznosiciel tej choroby. W wypadku zachorowania wyleczenie jest stosunkowo łatwe, zwłaszcza w pierwszym okresie choroby, który trwa od sześciu miesięcy do trzech lat i łatwy jest do rozpoznania. Leczenie wymaga jednak niemal zawsze powrotu do Europy. Wypadki śpiączki pomiędzy Europejczykami są wszakże bardzo rzadkie i niebezpieczeństwa tej choroby nie trzeba przesadzać.

Innych chorób jest tam stosunkowo niewiele. Zdarza się dezerterja, kilka gatunków robaków, niebezpieczne aczkolwiek bardzo rzadkie, są przeziębienia. Choroby skórne bywają dość częste, ale



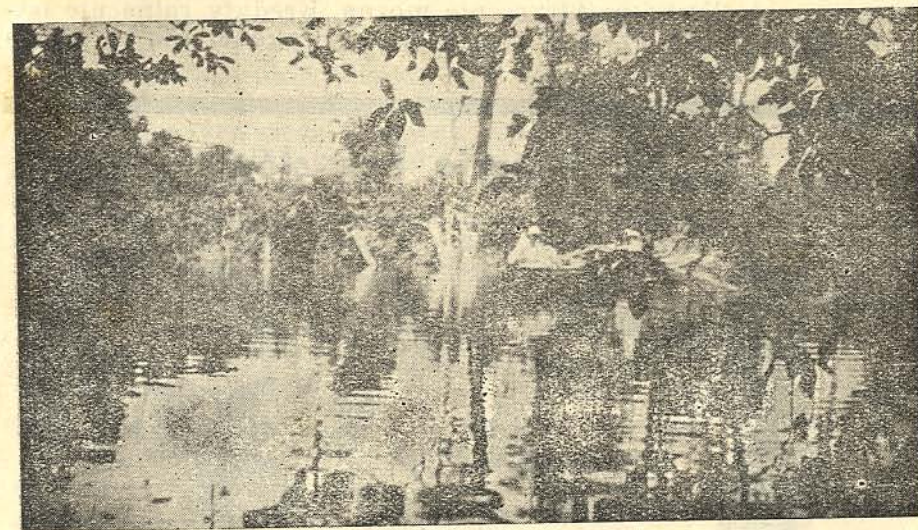
Cywilizacja dociera nawet do wnętrza puszczy afrykańskiej

nie groźne i są w większości wypadków wynikiem nadmiernego pocenia się. Po przyzwyczajeniu się do gorącego klimatu mijają bezpowrotnie.

Tryb życia na afrykańskiej plantacji przypomina bardzo życie głuchej polskiej wsi, z jej kłopotami i przyjemnościami. Różną oczywiście jest strona dekoracyjna, lecz gdy pierwsze wrażenie egzotyizmu minie i stanie się codziennością, życie układa się spokojnie i równo, bez żadnych nadzwyczajności ani sensacji, nawet monotennie i nudno, gdyż sąsiedztwo jest o wiele odleglejsze, niż najdalsze poleskie i nie zawsze sympatyczne.

Wobec braku rozrywek ludzie w kolonjach starają się wygodnie urządzić sobie życie codzienne. Służba murzyńska jest dość dobra, a że przytem tania, więc trzyma się jej więcej, niż w Europie.

Warunki komunikacyjne są stosunkowo dogodne. Dróg żelaznych jest jeszcze mało i w komunikacji lokalnej nie mogą być brane pod uwagę, gdyż celem ich jest połączenie wnętrza lądu z morzem dla ułatwienia eksportu. Jest natomiast dużo dróg samochodowych bardzo dobrych, takich, jakie rzadko się w Europie spotyka. Samo-



Rzeki są wygodnymi szlakami komunikacyjnymi we wnętrzu puszczy kameruńskiej

chód nie jest w Afryce przedmiotem zbytku, lecz artykułem pierwszej potrzeby. Komu brak pieniędzy na kupno samochodu, ten kupuje motocykl. Wielkie rzeki są też doskonałymi drogami i po nich odbywa się największy ruch towarowy.

Tam gdzie dróg niema, podróżować trzeba pieszo z karawaną tragarzy. Wyprawy takie są jednak rzadkie, chyba w razie podróży w odległe okolice na polowanie lub w jakichś sprawach nadzwyczajnych. Wszelkie znaczniejsze ośrodki połączone są ze sobą drogami samochodowymi, lub znajdują się nad rzekami, umożliwiającymi podróżowanie łodzią.

Pomoc lekarska jest zorganizowana przez administrację państwową. Są szpitale i lekarze na zawołanie, chociaż nieraz o paręset kilometrów. Odległości takich nie uważa się w Afryce za duże,

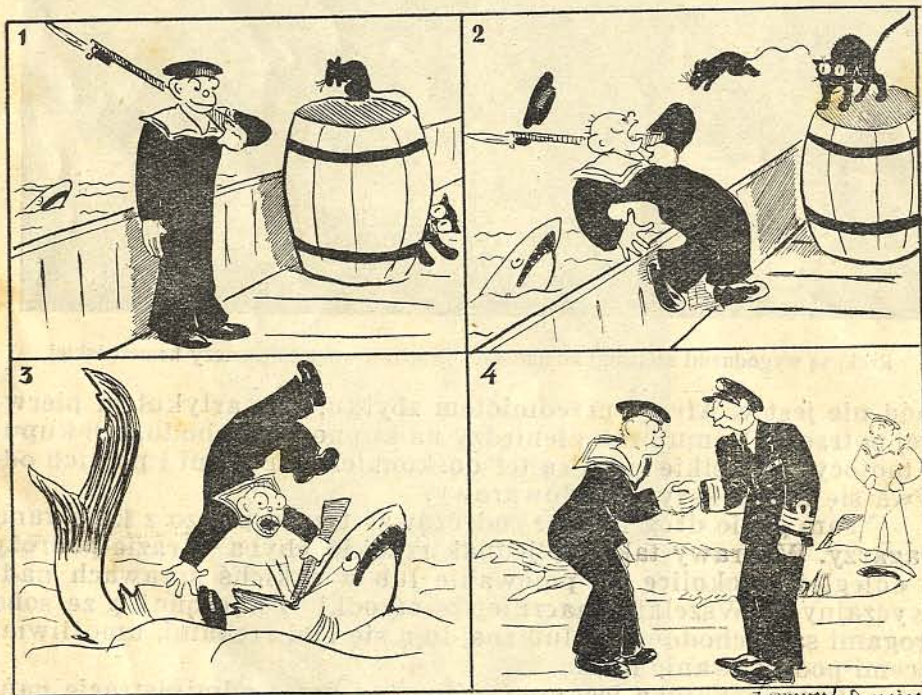
gdyż przy lokomocji samochodowej i dobrych drogach przebycie ich to kwestia kilku najwyższej godzin.

Wszystko, co jest Europejczykowi do życia potrzebne, a więc produkty spożywcze, ubranie, narzędzia rolnicze i inne, są na miejscu i wszystkiego można dostać. Ceny wprawdzie wysokie, nieraz o 100% wyższe od europejskich, to też większość wyjeżdżających zaopatruje się we wszystkie potrzebne rzeczy w Europie. Samochody są jednak o wiele tańsze w Afryce, wobec cel nieporównanie mniejszych.

Najbardziej wskazane przedsiębiorstwo to plantacja. Rolnictwo naogół popłaca w kolonjach bardzo, gdyż taniość robotnika pozwala na szerokie rozwinięcie akcji, a zapotrzebowanie na towary kolonialne wzrasta mimo kryzysu, chociaż ceny na te towary wybitnie spadły.

Na założenie dwustu - hektarowej plantacji kawy czy kakao trzeba w chwili obecnej przeznaczyć 50.000 złotych. Suma ta zawiera w sobie koszty podróży, ekwipunku, przeżycia Europejczyka w przeciągu trzech lat, t. j. do chwili rentowności przedsiębiorstwa, oraz koszt robocizny przez te same trzy lata. Obejść się mniejszą sumą byłoby prawie niemożliwością, gdyż w dobie obecnej na żadne zarobki postronne liczyć w Afryce nie można. Kredyty rolne nie istnieją, niepodobna też uzyskać i pożyczki na wykończenie rozpoczętej plantacji.

Krótką historia bez słów



Liga morska i kolonialna

Organizacją, która zrzesza w swych szeregach szerokie warstwy społeczeństwa polskiego do pracy dla wyzyskania naszego dostępu do morza oraz do rozwoju polskiego handlu zamorskiego i zdobywania terenów zaoceanicznych dla kolonizacji bezrolnych i małorolnych z Polski — jest Liga Morska i Kolonialna.

Cele Ligi Morskiej i Kolonialnej są następujące (art. 3 statutu): „Celem Ligi Morskiej i Kolonialnej jest uświadamianie społeczeństwa o korzyściach, płynących z wyzyskania morza, rzeki, śródlądowych wód, tudzież z racjonalnej kolonizacji, oraz organizowanie jego sił dla stworzenia i utrwalenia podstaw realnej pracy społecznej, zmierzającej do wyzyskania tych korzyści dla dobra Narodu i Państwa.

W szczególności zatem L. M. i K. dąży do:

- a) podniesienia, rozwoju i jak najszerszego spopularyzowania wiedzy w zakresie ojczystym spraw morskich, rzecznych i emigracyjno - kolonialnych;
- b) czynnego współdziałania w tworzeniu i rozbudowie wszelkich urządzeń, koniecznych dla rozwoju polskiej żeglugi morskiej i śródlądowej, a więc floty wojennej, marynarki handlowej, portów i ich urządzeń, regulacji rzek i śródlądowych dróg wodnych oraz handlu morskiego, rybactwa i przemysłu z żeglugą związanego;
- c) utrzymania ścisłego kontaktu z wychodźstwem polskim zagranicą w zakresie jego życia narodowego i kulturalnego;
- d) pozyskania terenów, celem zapewnienia Narodowi Polskiemu nieskrępowanej ekspansji ludzkiej i gospodarczej, oraz do koncentracji wychodźstwa polskiego na obczyźnie i podtrzymania jego spójni z krajem ojczystym.

Liga Morska i Kolonialna jest instytucją bezpartyjną, przeto wszelkie dyskusje i poczynania o charakterze partyjnym na jej terenie, lub w jej wystąpieniach nazewnątrz są niedopuszczalne.

Liga Morska i Kolonialna liczy obecnie przeszło 40 tysięcy członków zorganizowanych w około 250 oddziałach na terenie całego kraju. Ponadto zagranicą, na terenach emigracji naszej Liga posiada stowarzyszenia swoich przyjaciół, jak np. w Stanach Zjednoczonych, Ameryki Północnej, Brazylii, Francji, Czechosłowacji i t. d.

Prace swe Liga Morska i Kolonialna podzieliła na trzy zasadnicze wydziały: morski, żeglugi śródlądowej i kolonialny. W ten sposób władze centralne Ligi wykonywują cele statutowe, dobierając sobie do poszczególnych wydziałów specjalistów z każdej dziedziny.

Organizacyjnie Liga przedstawia konstrukcję następującą:

1. Walny Roczny Zjazd Delegatów Oddziałów (1 delegat na 100 członków), który jest organem uchwałodawczym.
2. Rada Główna, składająca się z 46 członków (w tem prezes wybierany przez Roczny Walny Zjazd Delegatów) i prezesów Zarządów Okręgów — w łącznej liczbie około 60 członków. Rada Główna posiada charakter rady nadzorczej. Rada ze swego grona wybiera 15 członków Zarządu Głównego.

3. Zarząd Główny jest władzą wykonawczą Ligi i za swe czynności odpowiada przed Radą Główną.

Terytorjalnie Liga dzieli się na Okręgi, Oddziały i Koła.

Okręg odpowiada w zasadzie obszarowi województwa. Oddziały mogą obejmować jedną lub parę miejscowości na terenie powiatu. Filje Oddziału nazywają się Kołami.

Członkowie czynni Ligi dzielą się na: rzeczywistych, opłacających 1 zł. składki miesięcznej; popierających, opłacających 50 groszy miesięcznie i zbiorowych — opłacających po 10 gr. miesięcznie.

Członkowie rzeczywisci korzystają w pełni z czynnego i biernego prawa wyborczego i otrzymują bezpłatnie miesięcznik „Morze”, oraz korzystają z wszelkich przywilejów i urządzeń organizacji.

Członkowie popierający korzystają z pełni czynnego i biernego prawa wyborczego i otrzymują bezpłatnie miesięcznik „Morze” w stosunku jeden miesięcznik na 2 członków popierających, oraz korzystają z wszelkich przywilejów i urządzeń Ligi.

Członkowie zbiorowi korzystają z prawa czynnego i biernego wyboru, o ile na liście członka zbiorowego zapisało się przynajmniej 20 osób, opłacających po 10 groszy miesięcznie. Członkowie zbiorowi wykonywują swe czynne i bierne prawo wyborcze za pośrednictwem swych pełnomocników, których wybierają w stosunku jeden na 10 członków zbiorowych. Tego rodzaju pełnomocnik traktowany jest na walnych zebraniach swego Oddziału jako pełnoprawny członek Ligi.

Widać z tego, że w szeregach Ligi Morskiej i Kolonjalnej szerokie warstwy społeczeństwa polskiego mogą się organizować, pracować i czynnym swym udziałem wybitnie przyczyniać się do rozwoju Polski na morzu i do poparcia ludzkiej i gospodarczej ekspansji naszego narodu na tereny zaoceaniczne.

Cele, jakie nakreśliła sobie Liga Morska i Kolonjalna, są zadaniami o charakterze ogólnonarodowym, a nawet państwowym. Dlatego też Liga zasługuje całkowicie na poparcie Społeczeństwa i Państwa.

Każdy obywatel powinien stawiać sobie za punkt ambicji należenie do Ligi Morskiej i Kolonjalnej. Tylko bowiem potężna, miljonny członków licząca, Liga będzie mogła skutecznie wykonać te wielkie cele, jakie na swoim sztandarze wypisała.

Inny wpływ na nasze sprawy morskie i zamorskie wywierać będzie Liga, licząca 40 tysięcy członków, a inny Liga, licząca chociażby 1 milion członków.

Morze i praca na morzu wymaga miliardów złotych i milionów ludzi. Na jedno i drugie musimy się zdobyć. Kapitał ludzki i pieniężny ulokowany w pracach na morzu, opłaci się bowiem sowicie.

Zapisujcie się więc sami i namawiajcie innych do zapisywania się na członków Ligi Morskiej i Kolonjalnej.

Każdy naród musi mieć marynarkę odpowiednią do swej polityki.

MINISTER LEYGUES

Rada Organizacyjna Polaków Zagranicą

Odzyskanie własnego państwa przyniosło zasadniczy przewrót, jeśli chodzi o stosunek Macierzy do polskiego wychodźstwa. Z jednej strony kraj zaczyna poszukiwać żywego kontaktu z Polonią zagraniczną, początkowo podchodząc do tego zagadnienia niemal wyłącznie od strony charytatywno - opiekuńczej; z drugiej — sama emigracja uczy się widzieć w krzepnącej państwowości polskiej czynnik twórczy, wpływający bezpośrednio na jej życie na obczyźnie.

W miarę pogłębiania się myśli emigracyjnej w Polsce, oraz zacieśniania się więzów łączących Macierz z Polakami zagranicą, powstaje kwestja nowa, kwestja współpracy wzajemnej, opartej na mocnych podstawach, dążącej do ujęcia życia polskiego na obczyźnie w ramy wspólnego wysiłku dla dobra Państwa.

Na tem podłożu rodzi się idea pierwszego ogólnego Zjazdu Polaków z Zagranicy, który zbiera się w dniu 14 lipca 1929 roku w gmachu sejmowym w Warszawie, pod protektorem Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, prof. Ignacego Mościckiego, pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego oraz Prymasa Polski Ks. Kardynała Hłonda. W zjeździe, który staje się żywiołową manifestacją Polonji zagranicznej na rzecz współpracy z krajem, bierze udział 98 delegatów, reprezentujących 18 środowisk polskich na obczyźnie.

Rezultatem pięciodniowych pracowitych obrad Zjazdu jest szereg wniosków, zmierzających do podtrzymania polskości na obczyźnie, do unormowania jej łączności z krajem oraz powołania do życia, jako organu stałego, Rady Organizacyjnej Polaków z zagranicy, organizacji przejściowej, której zadaniem jest zrealizować ideje Związku Światowego Polaków.



Rodzina polskich wychodźców w Brazylii.

Przyjęty na Zjeździe Statut Rady Organizacyjnej, przyznaje prawo do uczestnictwa w niej czterem zasadniczym grupom a) emigracji zamorskiej, b) emigracji kontynentalnej, c) mniejszościom polskim z Europy, d) społecznym czynnikom krajowym, zajmującym się sprawami Polaków z zagranicy. Pracami Rady org. kieruje prezydium, którego sekretarzem jest dyrektor biura. Rada wydaje własne pismo - biuletyn „Polacy zagranicą”. Fundusze Rady składają się z opłat poszczególnych środowisk polskich, zadeklarowanych na Zjeździe.

Trzyletni okres prac Rady organizacyjnej, której zadania streszczają się w trzech zasadniczych punktach: reprezentacja i obrona interesów Polaków zagranicznych, konsolidacja żywiołu polskiego na obczyźnie oraz współdziałanie z organizacjami krajowymi na wszystkich polach jej działalności — przyniósł rzeczywiście pożyteczne wyniki. W chwili obecnej Rada utrzymuje żywy kontakt z 28 środowiskami polskimi na obczyźnie. Równocześnie prowadzona wytrwała akcja konsolidacyjna na poszczególnych terenach, przyczyniła się do zlikwidowania wielu przeciwności, dzielących Polonję niejednokrotnie ze szkodą dla sprawy na wrocie odłamy, oraz do wytworzenia centralnych organizacji polskich w Brazylii, Argentynie, Rumunji, Austrii i t. d. Równocześnie Rada pragnie również unormować w kraju współpracę poszczególnych organizacji polskich, których działalność stoi w bezpośrednim związku z życiem Polaków zagranicznych.

Cytując poszczególne dziedziny prac Rady, ograniczyć się musimy jedynie do wymienienia rodzajów jej różnorodnej działalności, obejmującej całokształt życia Polonji zagranicznej, jak opieka duszpasterska, zagadnienia kulturalno - oświatowe, troska o młode pokolenie polskie na obczyźnie, jakże często wynaradawiające się w obcojęzycznej szkole, sport i wychowanie fizyczne, akcja wycieczek do kraju, propaganda prasowa, zbieranie danych statystycznych o Polakach zagranicą, współpraca gospodarcza z Macierzą i t. d.

Rok 1934, termin II-go Zjazdu Polaków z Zagranicy, przynieść ma realizację naczelnego postulatu Zjazdu I-go Światowego Związku Polaków, który zastąpi obecną luźną organizację, jaką jest Rada, na mocnych podstawach opartym Związkiem, centralizującym wysiłki Polonji zagranicznej, wysiłki podjęte z myślą o pracy dla Państwa.

„WARTA” TOWARZYSTWO EKSPEDYCYJNE Sp. z o. p. GDYNIA

Adres telegraficzny: WARTA GDYNIA Telefony 1219 i 1290
Codes: The Boe Code, A. B. C. Code 5-th Edition, Bentley's Code

Z A Ł A T W I A: ekspedycje wszelkich towarów, składowanie i frachtowanie statków.

S p e c j a l n o ś ć: ekspedycja transportów masowych jak: węgiel, fosforyty, piryty, ruda, cukier, saletra, tomasyna, celuloza, sól itp.

Przepisy emigracyjne i warunki wyjazdu zagranicę

Podstawowe przepisy o emigracji zawarte są w rozporządzeniu Prezydenta Rzeczypospolitej z dn. 11 października 1927 r. (Dz. U. R. P. Nr. 89, poz. 799).

Za emigranta w rozumieniu przytoczonego rozporządzenia należy uważać obywatela polskiego, opuszczającego (lub też takiego, który opuścił) terytorjum Polski w celach poszukiwania pracy zarobkowej zagranicą, lub też w celach osadnictwa; za emigrantów uważa się również członków rodziny, udających się razem z tym (lub też do tego), kogo rozporządzenie uważa za emigranta.

Emigrant i jego rodzina otrzymują paszport na wyjazd z Polski bezpłatnie.

W zasadzie dopuszczalna jest całkowita swoboda emigrowania. W niektórych tylko specjalnych wypadkach Rząd ma prawo częściowo lub całkowicie wstrzymać emigrację.

Ustawodawstwo wewnętrzne o emigracji ma za zadanie ułatwić zorientowanie się kandydata na emigranta, dokąd ma możliwość z korzyścią dla siebie wyjechać.

Nadzór nad ruchem emigracyjnym powierzony jest organom administracji państwowej.

Dekret z r. 1927 jest w obecnej chwili nieaktualny. W 1932 r. uległ likwidacji Urząd Emigracyjny, który był centralnym organem dla spraw emigracyjnych. Część spraw, a mianowicie nadzór nad rekrutacją powierzony został samodzielnemu Wydziałowi bezrobocia i imigracji w Min. Opieki Społecznej, pozostałe sprawy objęło Ministerstwo Spraw Zagranicznych.

W związku z temi zmianami oczekiwane są rozporządzenia wykonawcze, jak również nowelizacja podstawowej ustawy o emigracji.

Przewóz emigrantów dozwolony jest poza indywidualnymi wyjazdami tylko przedsiębiorstwom, mającym specjalnie w tym celu pozwolenia władz centralnych. Werbowanie robotników lub osadników dopuszczalne jest również tylko za specjalnem zezwoleniem.

W 1930 r. powołana została przez b. Urząd Emigracyjny specjalna instytucja (spółka handlowa z ograniczoną poręką) pod nazwą Syndykat Emigracyjny o następujących zadaniach:

- 1) udzielanie emigrantom właściwych informacji;
- 2) pomoc w uzyskaniu potrzebnych dokumentów i likwidacji stosunków majątkowych w kraju;
- 3) pomoc i pośrednictwo w zakupie biletów okrętowych i kolejowych;
- 4) pomoc i pośrednictwo w uzyskaniu kredytu;
- 5) urządzenie zbiorowych transportów;
- 6) urządzenie i prowadzenie hoteli i domów dla emigrantów;
- 7) załatwianie wszelkich formalności wyjazdowych wobec władz krajowych i zagranicznych.

Syndykat Emigracyjny otrzymał więc daleko idące pełnomocnictwa w sprawach emigracji w szczególności zamorskiej, następnie rozszerzono pełnomocnictwa na emigrację kontynentalną. Kan-

dydat na emigranta jednej z licznych placówek Syndykatu może powierzyć załatwienie wszelkich formalności, związanych z jego wyjazdem, nie będąc narażonym na wyzysk.

Rekrutacja emigracji sezonowej do Niemiec powierzona była Państwowym Urzędem Pośrednictwa Pracy; wykonywana była w miarę wezwań Niemieckiej Centrali Robotniczej, przedkładającej stronie polskiej liczebne zapotrzebowanie i kontrakty o pracę zbiorowe lub indywidualne.

Rekrutacja emigracji do Francji powierzona była również Państwowym Urzędem Pośrednictwa Pracy, działającym w tym zakresie w porozumieniu z francuskim Towarzystwem Imigracyjnym.

Sprawy emigrantów, którzy opuścili terytorium Rzeczypospolitej, podlegają lokalnemu ustawodawstwu. W celu złagodzenia niezawsze korzystnego położenia emigranta, jako cudzoziemca, oraz w celu uchylecia szeregu ograniczeń, stosowanych wobec emigrantów, zawarte zostały specjalne konwencje:

z Niemcami polsko - niemiecka konwencja z dnia 24 listopada 1927 r., regulująca prawa polskich robotników rolnych, przebywających w Niemczech;

z Francją polsko - francuska konwencja z dnia 3 września 1919 r. o emigracji i imigracji oraz z dnia 14 października 1920 r. o opiece i pomocy społecznej. Ponadto z Francją zawarte zostały inne jeszcze konwencje i układy, mniej lub więcej dotyczące spraw emigracyjnych.

Z innemi państwami specjalnych umów o emigracji nie posiadamy.

Co się tyczy warunków, jakie są wymagane do wyjazdu zagranicę przez kraje imigracyjne, to w obecnym okresie czasu są one bardzo rygorystyczne i uniemożliwiające swobodny wyjazd. Obecnie niema ani jednego państwa w Europie lub poza kontynentem, któreby swobodnie pozwalało na imigrację. Do Niemiec ruch emigracyjny jest całkowicie wstrzymany. Do Belgii wyjazd jest uzależniony od otrzymania wizy pobytowej przez placówkę konsularną w kraju emigranta. Wiza taka może być wydana po przedłożeniu kontraktu pracy, zalegalizowanego przez Min. Pracy w Belgii oraz zatwierdzonego przez Min. Sprawiedliwości.

Do Francji wyjazd ograniczony jest analogicznymi warunkami. Przed otrzymaniem wizy należy przedłożyć kontrakt pracy, zalegalizowany przez Ministerstwo Pracy, o ile chodzi o pracę w przemyśle i przez Ministerstwo Rolnictwa, o ile chodzi o pracę na roli. W zasadzie emigracja przemysłowa jest we Francji obecnie wstrzymana. W nielicznych tylko wypadkach czynione są odchylenia.

Kwota emigracyjna do Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki dla Polski obniżana jest stale; posiadający wezwania muszą czekać przez kilka nawet lat na kolejny swój numer. Konsulaty przed udzieleniem wizy poddają kandydata na emigranta bardzo surowym badaniom i egzaminowi; badanie to powtarza się przy przyjeździe do Stanów Zjednoczonych Półn. Ameryki.

Co się tyczy wyjazdu do Kanady, to wymagane są również wezwania od krewnych lub pracodawców, zaopatrzone w kontrakty pracy, odpowiednio zalegalizowane.

Do Brazylii mogą wyjeżdżać następujące kategorie osób:

1) osadnicy, wyjeżdżający za pośrednictwem Towarzystwa Kolonizacyjnego w Warszawie;

2) reemigranci z Brazylii, posiadający poszpory konsularne;

3) imiennie wezwani przez krewnych lub pracodawców;

4) posiadający zezwolenie na wjazd, wydane przez stanowe władze rolnicze;

5) kto po opłaceniu kosztów podróży wykaże się posiadaniem 3 contos (około 2.500 zł.), do lat 12 — 2-ch contos (około 1.700 zł.) w postaci czeku na Brazylię.

Do Urugwaju mogą wyjechać te osoby, które mają wezwanie imienne od krewnych lub pracodawców, albo też posiadają po opłaceniu karty okrętowej 50 dolarów amerykańskich, względnie, jeśli chodzi o rodzinę, mającą zamiar osiąść na roli — 300 dol. am.

Do Peru poza osobami imiennie wezwanymi przez rodzinę lub pracodawcę mogą wyjeżdżać ci wszyscy, którzy po opłaceniu kosztów podróży deponują we właściwym konsulacie peruwjańskim kwotę 100 dolarów, jako ewent. koszty na repatriację w razie niezalezienia pracy.

Jak więc z fragmentarycznie przytoczonych warunków co do możliwości emigrowania wynika, wyjazdy zagranicę są obwarowane szeregiem warunków, zmieniających się w zależności od konjunktury na rynku pracy.

Niewątpliwie każdy kandydat na emigranta znajdzie najlepsze informacje aktualne we wspomnianym wyżej Syndykacie Emigracyjnym, do którego może się zwracać osobiście i pisemnie.

Warszawskie Towarzystwo Transportowe^{SP.}_{Z.O.G.}

Adres telegraf.: „WARTRANS”

GDYNIA

ul. Świętojańska

Tel. 1350 - 1331

GDAŃSK

Hundegasse 117

Tel. 229 51

EKSPEDYCJA MORSKA I LĄDOWA

Specjalność: Przeladunek towarów masowych jak: ruda, fosforyty, siarczan amonu, sole potasowe, ryż, cukier, tomasyna, cement, węgiel i t. p.

SPECJALNY DZIAŁ BAWELNY

Ekspedycja wszelkiego rodzaju drobnicy, warantowanie towarów — Nowoczesne magazyny w Gdyni i Gdańsku

Poznaj swój kraj!

„Cudze chwalicie — swego nie znacie — sami nie wiecie, co posiadacie!” — ten dwuwiersz popularnego poety po dziś dzień nie stracił na swej aktualności. Jak za dawnych lat, tak i teraz, Polacy chętnie wędrują zagranicę, włóczą się nieraz po całej Europie, lub po całym nawet świecie, ale zapytani o cuda i osobliwości swego kraju, z zakłopotaniem przyznają, że nic o Polsce nie wiedzą. Potrafią ze znajomością rzeczy opowiadać o Paryżu, unosić się nad urokiem Alp i czarem jeziora Lemańskiego, nie widząc przez całe życie swoich Tatr i ze zdumieniem słuchając zachwytów jakiegoś cudzoziemca nad potęgą majestatu tatrzańskiego i nad czarem Morskiego Oka.

Jest coś dziwnego w naturze Polaka, że zawsze cudze, obce, więcej go pociąga, więcej mu imponuje, niżeli własne, rodzime. Zawsze chętniej naśladujemy zagraniczne wzory, choćby nawet złe i nedorzeczne, niżeli rozwijamy rdzenne pierwiastki ojczystej kultury i tradycji.

Dawna Rzeczpospolita szlachecka szukała zawsze cudzoziemskich wzorów.

„Pawiem narodów bylaś i papuga” — wołał Juliusz Słowacki, wytykając z bólem serca tę wadę swej ojczyźnie.

Rzeczą godną pochwały jest żądza wiedzy i żądza poznania świata, obcych krajów i ludów. Nic tak bowiem nie kształci i nie rozwija umysłu, jak podróże. Zanim jednak zaczniemy poznawać cudzoziemskie kraje, należy pierwaj dobrze poznać swój kraj ojczysty.

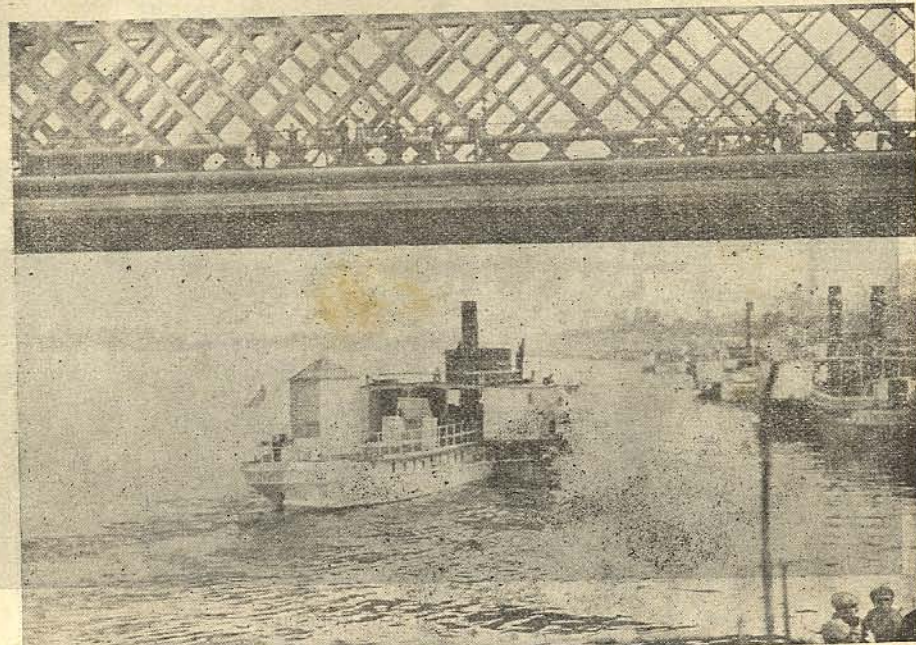
Niewyczerpane skarby piękna przyrody polskiej, nagromadzone przez wieki zabytki sztuki i kultury polskiej w starych miastach i pałacach — wynagrodzą sownie turystę trudy i przekonają, że rozpoczęcie zwiedzania świata od własnego kraju nie jest żadną ofiarą, ani poświęceniem, lecz źródłem wielkiej przyjemności i niezapomnianych nigdy silnych i głębokich wrażeń i wzruszeń estetycznych.

Zwolennicy morza cieszyć będą swoje oko widokiem polskiego Bałtyku, lazurem zatoki Orłowa i zielenią lasów Redłowskich, radować swe serce rosnącą jak na drożdżach z istic amerykańską szybkością Gdynią, najnowocześniejszym portem morskim i napawać wzrok widokiem z Kamiennej Góry.

Będą wdychać z rozkoszą woń ryb w Puckim, Helskim czy Kuźnickim porcie, prażyć swe ciało w rozpalonych piecach plaż Helskiego półwyspu, lub igrać z wielkimi falami „wielkiego morza” na przestrzeni od latarni na Helu do ujścia Piaśnicy! Rozkoszować będą wzrok rozległym widokiem z latarni na Rozewiu, bądź ze szczytu Jastrzębiej Góry i podziwiać wspaniałą autostradę, biegnącą z Halerowa równolegle do linii morza.

Miłośnicy silnych wrażeń, jakie dają wspinaczki wysokogórskie, zażyją emocji alpinistycznej na niebezpiecznych turniach i niedostępnych ścianach tatrzańskich, igrać będą z życiem na Zamarłej Turni, czy próbować swej zręczności i zimnej krwi na Mnichu, lub Żabim Koniu. Zwyczajni miłośnicy gór zażyją niezapomnianych ni-

gdy wzruszeń na całej przestrzeni od Obzy w śląskiej krainie, co graniczy z Niemcami, do Czeremosów w Beskidach Wschodnich, które toczą swe wody na rumuńskiej rubieży, wzdłuż całego olbrzymiego łuku Karpat polskich, co jak klamra spiżowa spięły Rzeczpospolitą Polską od południa, stanowiąc jej naturalną i fundamentalną granicę. Czy w pięknych, łagodnych Beskidach Śląskich, a malowniczą doliną górnej Wisły, czy na Polaku, lub na Babiej Górze, na Torbaczu wśród stożkowatych szczytów lesistych, czy na łatwiejszych szczytach Tatr i w ich prześlicznych dolinach, lub nad brzegami modrookich stawów tatrzańskich, czy na wzburzonych falach wijącego się w nagłych skrętach wśród prostopadłych, białych, jak śnieg, Pienin, Dunajca, czy w dzikich, porośniętych dziełami puszczy i nieprzebytym gąszczem kosodrzewiny Sorgia-



Na Wiśle pod Warszawą.

nach, lub wreszcie na rozległych szmaragdowych poloninach Czarnohory — wszędzie turysta znajdzie wspaniałe tereny dla różnorodnych wycieczek górskich i skarbnicę niepowszednich wrażeń.

Zwolennicy krajobrazów mniej dzikich, wycieczek mniej trudzących, gór niezbyt wysokich, znajdą skarby przyrody pagórkowej w Szwajcarii Kaszubskiej, pośród mnóstwa jezior, wtulonych w wąwozy, otoczone leśnymi wzgórkami. Znajdą przepiękne doliny Ojcowskie, ujęte w ornamentykę białych, wapiennych ścian, ozdobionych szatą świerkowych lasów. Rozkoszować się będą pejzażem gór Świętokrzyskich i ich gołoboczami. Zwiedza Szwajcarię Wołyńską z górą Bony w Krzemieńcu, Ławra Począjowską i zamkiem w Ostrogu. Znajdą tysiące uroczych zakątków, pięknych jarów i parowów na całym Podkarpaciu, na wyżynie sandomiersko lubelskiej, w okolicach Wilna, wreszcie na Podolu.

Miłośnicy jezior zwiedzą pojezierze kaszubskie, jeziora kujawskie z Gopłem na czele, pojezierze brodnickie, pojezierze augustowskie z seledynowem jeziorem Wigry, otoczonem zewsząd niezmierzonym borem, zwiedzą piękną Świtezę koło Nowogrodka, zapuszczają się na północ na pojezierze Wileńskie z olbrzymiem jeziorem Narocz i malowniczym Trockiem na czele.

Wielbiciele lasów i puszczy nieprzejrzanymi użyją rozkoszy w puszczy Białowieskiej, gdzie ujrzą rezerwat, konserwujący przyrodę leśną w dziewiczym jej stanie, zwiedzą puszcę Nalibocką, Karpackie leśne ostępy, puszcę Niepołomicką, rezerwaty w Pieninach i na Babiej Górze, wreszcie bory Tucholskie na Pomorzu.



Wśród rozlewów i błot Polesia.

Miłośnicy zabytków sztuki i starożytnej kultury, zwiedzać będą prastary Kraków, zamek na Wawelu, cieszyć wzrok renesansem Barbakanu, czy gotyckie wieże Marjackiego kościoła, zachwycać się świątyniami Wilna, odczytywać dawne dzieje Polski na murach i pamiątkach Gniezna, Poznania, Warszawy, Torunia, Lublina, Lwowa, zwiedzać stare mury zamków Czerska, Janowca czy Tenczynka, oglądać zbiory cennych starych ksiąg w bibliotekach klasztornych Kazimierza nad Wisłą, cenne zbiory starych zbroi, bądź galerje obrazów w Rogalinie, czy Kórniku.

Miłośnicy kultury, sztuki, wyczynów i obyczajów, malowniczych strojów ludowych zachęcą swe oczy kresecjami i gorsecikami krakowskimi, guniami i parzenicami górali podhalańskich, serdakami, pasami i lyżnikami huculskimi, pasiakami łowickimi, strojami łamberek, lub zetkną się bezpośrednio z szarem, ale jak bardzo bogatym we wrażenia życiem rybaków kaszubskich, co od wieków nad morzem polskim straż trzymają!

Polska to kraj niepospolicie ciekawy pod względem turystycznym. Zaczynają to już rozumieć niektórzy cudzoziemcy, którzy coraz bardziej ojczyznę naszą się interesują i przyznają, że np. nasze Pieniny ze słynnym przełomem Dunajca, że nasze Morskie Oko w Tatrach, że nasze Poleskie Błota i tereny polowań na nich się znajdujące — nie mają równych sobie w całej Europie.

Nie bądźmy więc gorzej od cudzoziemców poinformowani o wartościach i urokach naszej rodzinnej przyrody i poznajmy dokładnie skarby naszej tysiącletniej kultury.

Pomocą przy zwiedzaniu kraju będą nam przewodniki turystyczne po Polsce. Wyszły dotychczas 2 tomy Przewodnika po Polsce, wydanego przez Min. Komunikacji, a opracowanego przez dr. Mieczysława Orłowicza: tom I — Polska południowo - zachodnia i tom II — Polska północno - zachodnia. Niebawem ukażą się dalsze.

Dla turystów automobilowych godny polecenia jest „Przewodnik automobilowy po Polsce“, wydany w r. 1930 przez Automobilklub Polski w Warszawie.



Przezorny Turysta

Z „ORBISU“

korzysta!



WIOSNA W AFRYCE — WIELKANOC W SEWILLI

Wiosenna wycieczka morską okrętem

S. S. „POLONIA”

od 3 do 27 kwietnia 1933 r.

Ceny: od 870.- zł do 1500.- zł.

INFORMACJE W BIURACH

LINJI GDYNIA-AMERYKA

w Warszawie, ul. Marszałkowska 116
w Krakowie — Lubicz 3
we Lwowie — Na Błonie 2
w Rzeszowie — Grottgera 1004
w Gdyni — Waszyngtona
oraz w biurach turystycznych

Program letnich wycieczek morskich

będzie oddzielnie ogłoszony

SPÓŁKA ARCYJNA DO EKSPLOATACJI PAŃSTWOWEGO MONOPOLU ZAPALCZANEGO W POLSCE

WARSZAWA, UL. KRÓLEWSKA 3

POLECA

ZAPALKI

specjalne płaskie, liliputy
oraz czerwone i białe
impregnowane

przyjmuje również zamówienia na zapalki
z reklamą nabywców

adres telegr.

PAM

adres telegr.

Polska Agencja Morska

GDYNIA

ul. Świętojańska
Tel. 1506 - 1507 - 1049

GDAŃSK

Elisabethwall 4
Tel. 23951
(5 linii)

Maklerstwo Okrętowe
Załatwianie wszelkich spraw,
dotyczących transportu morskiego

Regularna komunikacja z Gdyni/Gdańska do:

Rygi	Halifax
Tallinna	New York
Helsingforsu	New Orleans
Kotki	Galvestone
Stockholmu	Houston
Norrköping	Corpus Christi
Hamburga	Tampico
Rotterdamu	Victoria
Amsterdamu	Rio de Janeiro
Portów Reńskich	Santos
Antwerpji	Buenos Aires

Z przeładunkiem

w Hamburgu - Antwerpji - Rotterdamie
do portów Dalekiego Wschodu oraz
do wszystkich portów świata
za bezpośrednim konosamentem.

Spis treści

	Strona
— Kalendarz roczny	3
— Kalendarjum	5
— Wyjątki z przemówienia Pana Prezydenta Rzeczypospolitej prof. Ignacego Mościckiego na uroczystym Świecie Morza w Gdyni w dniu 31 lipca 1932 r.	18
— Tekst rozkazu Naczelnego Wodza o utworzeniu Marynarki Wojennej	20
J. B. Rychliński — Białe Orzeł Mór	21
— Wstęp	23
J. Kozuchowski — Wiele pracy i uporu jeszcze potrzeba	25
— Co każdy o dostępie Polski do morza wiedzieć powinien	27
J. I. Kraszewski — Bałtyk	31
G. Orlicz-Dreszer — „Chcemy żyć pokojem, pracą i prawem”	33
gen. dyw. — Święto Morza w Gdyni w dniu 31 lipca 1932 r.	35
Inż. E. Kwiatkowski — „Na własnej ziemi stoimy”	42
H. Derdowski — Marsz Kaszubski	45
— Polska Marynarka Wojenna	48
— Polska Marynarka Handlowa	52
— Prawa Polski w Gdańsku	56
— Jonasz prorok o zniszczeniu miasta Gdańska	59
— Polacy w Prusiech Wschodnich — M. P.	60
St. Knauff — Polacy na szerokim świecie	62
J. Kuczyński — Harcerskie drużyny żeglarskie	73
— Poławianie rekinów — G. Z.	79
G. Piotrowski — Polskie rybactwo morskie	81
— Trawlerem po wodach Polesia	84
J. Meissner — Tempo	86
— Jak to w Bałtyku biskupa morskiego rybacy utowili	92
St. Kosko — Koniec statku „Hougoumont”	93
— Przez głębie i mielizny	96
Port Gdyni	
— Dlaczego Polska zbudowała Gdynię	99
— Opis portu gdyńskiego	101
— Obroty towarowe portu gdyńskiego	111
J. Kochanowski — Burza na Bałtyku	121
Al. Majewski — Na skrzydłach wichrów	123
— Pochwała miast pruskich	131
T. Szczygielski — Podarek gwiazdkowy	132
— Emigracja z Polski w 1931 r. — H. S.	137
Fr. Łyp — Zwiążmy wychodźstwo z Macierzą!	139
— Polacy w Stanach Zjednoczonych	143
K. Głuchowski — Pan Szymon z boru	148
Dr. R. Cz. Ciechanow — Emigracja a rozgrywki polityczne w Ameryce Południowej	155
B. T. Lepecki — Brazylja i wychodźstwo polskie	158
T. Milan — Marsz drużyn pańskich	165
Kpt. M. B. Lepecki — W Gran Chaco	166
Dr. W. Rosiński — Polskie zagadnienia kolonjalne i kolonizacyjne	170
Doliwa — Pierwsza polska wyprawa naukowa do Afryki Stefana Rogozińskiego	174
— W dżungli kameruńskiej	178

St. Zieliński	— Krzysztof Arciszewski	180
Dr. A. Gądomski	— Leon Barszczewski	186
H. Ernestowa	— Gawęda	193
W. Szukiewicz	— Dola polskich wychodźców w Niemczech	195
	— Peru	198
	— Spór o kolonję pokrytą śniegiem — J. W.	204
	— Legendarne góry — Fr. Ł.	207
	— Samotna wyspa	208
Fr. Łyp	— Do Angoli	209
B. Wojewódzki	— Afryka bez przygód	217
	— Liga Morska i Kolonialna	225
	— Rada Organizacyjna Polaków zagranicą	227
	— Przepisy emigracyjne i warunki wyjazdu zagranicę	229
S. Lenartowicz	— Poznaj swój kraj	232

178	W dzianku kamienistym	—
174	Rogozńskiego	—
170	Pierwsza polska wyprawa naukowa do Afryki Stefana	—
166	Dr. W. Rosiński	—
162	Kpt. M. B. Lepicki	—
158	T. Milin	—
154	Bractwo i wychodźstwo polskie	—
150	Emigracja i rozprawy polityczne w Ameryce Południowej	—
146	— Pan szymon z domu	—
142	— Polacy w Stanach Zjednoczonych	—
138	— Zwyczaj wydobycia z Mieczi	—
134	— Emigracja z Polski w 1931 r. — H. S.	—
130	— Podatek wyjazdowy	—
126	— Pochwała miast	—
122	— Na skrzydłach	—
118	— Burza na	—
114	— Opisy	—
110	— Długość	—
106	— Pół Gł	—
102	— St. Kosko	—
98	— J. Weissner	—
94	— G. Piotrowski	—
90	— J. Kuczyński	—
86	— St. Krami	—
82	— Polacy	—
78	— Polacy	—
74	— Polacy	—
70	— Polacy	—
66	— Polacy	—
62	— Polacy	—
58	— Polacy	—
54	— Polacy	—
50	— Polacy	—
46	— Polacy	—
42	— Polacy	—
38	— Polacy	—
34	— Polacy	—
30	— Polacy	—
26	— Polacy	—
22	— Polacy	—
18	— Polacy	—
14	— Polacy	—
10	— Polacy	—
6	— Polacy	—
2	— Polacy	—

